

GDY W GRĘ WCHODZĄ OGROMNE PIENIĄDZE,
LUDZKIE ŻYCIE PRZESTAJE MIEĆ ZNACZENIE

SKUTKI UBOCZNE

R15 G55

75/76Hz
20Hz



6.0 R15 G55

WYDZIAŁ / DZIAŁ

J A N U S Z
B E Y N A R

novae res
WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

Janusz Beynar

Skutki uboczne

Redaktor prowadzący *Krzysztof Szymański*
Korekta *Wojciech Gustowski*
Projekt okładki *Mariusz Banachowicz*

© Janusz Beynar i Novae Res s.c. 2014.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie drugie
ISBN 978-83-7722-023-8

Novae Res – Wydawnictwo Innowacyjne
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61 e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

Konwersja do formatu EPUB/MOBI:
Legimi Sp. z o.o. | Legimi.com

Mojej Bożce

*dzięki za setki godzin cierpliwych rozmów, za wsparcie moralne, uczuciowe,
ortograficzne i kulinarne... i za ostatnie dwadzieścia osiem lat razem.*

Zadzwoił telefon.

– Cześć Vicky, nie uwierzysz, właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– Cześć! Dzwonię, żeby zamienić się na weekendy. Mam w sobotę szkolenie i pomyślałam, że może mógłbyś spędzić ten czas z Tomkiem.

– To naprawdę niesamowite – odpowiedziałem autentycznie zaskoczony. – Właśnie oglądam w TV prognozę pogody na następne dwa tygodnie i miałem do ciebie dzwonić w tej samej sprawie. Oczywiście, że tak, bardzo mi pasuje. Przyszły tydzień ma być piękny. Mam zamiar wyjechać w ten poniedziałek i zostać aż do przyszłej niedzieli.

– Gdzie cię znowu niesie? – starym, znajomym tonem zapytała Vicky. – Niech zgadnę... hmm... jedziesz gdzieś do lasu?

– Zgadła pani za pierwszym razem i przechodzi pani do następnej tury – zaśmiałem się, jak niegdyś. – Tak, jadę na tydzień do Killarney. Wiesz, to tam, gdzie nigdy nie chciałaś ze mną pojechać.

– Ile razy już tam byłeś? Pięć, sześć?

– To nieistotne. Ważne, że znowu tam będę. To najpiękniejsze miejsce w Ontario.

– Tak, tak. OK. To jesteśmy umówieni. Kiedy podrzucić ci Tomka? W piątek po szkole czy w sobotę rano przed ósmą?

– W piątek. Będziemy dłużej razem.

– To pa.

– Na razie.

Nie jesteśmy rozwiedzeni. Właściwie to nigdy nie byliśmy małżeństwem. Mamy siedmioletniego syna – Tomka, którego oboje bardzo kochamy. Byliśmy razem przez ponad osiem lat.

Z nieznaney mi przyczyny nie mogę zrobić kolejnego kroku. Vicky od lat czeka na ślub kościelny, potwierdzenie naszej miłości i rodziny. Jest religijna i modli się za nas codziennie. Ja też się modlę, ale chyba nie tak, jak ona. Mieszkamy oddzielnie od czterech miesięcy – ona z Tomkiem, a ja sam. Mieszkamy osobno, ale bez nowych partnerów, czekając na coś. Moja praca też nie pomaga naszemu związkowi. Nie mogę zbyt dużo o niej opowiadać, często muszę wyjeżdżać na kilka dni, bez wcześniejszych planów, co dla nas obojga jest denerwujące.

Vicky jest piękną kobietą, więc pewnie niedługo przestanie się za nas modlić i nie będzie mieszkać sama. Jest chyba ciągle jeszcze moja, a ja dalej czekam na coś. Jak z jakimś wrodzonym defektem, który nie pozwala mi poślubić pięknej, kochanej kobiety. Czekam na coś i coraz częściej myślę, że jestem idiotą.

Wyjechałem z Polski pół życia temu, w wieku dziewiętnastu lat i dziewiętnaście lat temu. W Kanadzie mieszkam już osiemnaście lat – osiemnaście lat mojego własnego, egoistycznego życia.

Podpisałem sam ze sobą ugodę na zwykłe, egoistyczne życie – bez fajerwerków, cudownych osiągnięć zawodowych i bogactwa, ale za to z samolubną wygodą. Pracuję, zarabiam więcej, niż wydaję. Stać mnie na wyjazdy do najciekawszych miejsc świata, a każdą wolną chwilę spędzam zazwyczaj w kanadyjskich górach i lasach, nad rzekami i jeziorami, których jest tu – wydawałoby się – nieskończenie wiele. Znalazłem to, co egoistycznie kocham i nie chcę się z tym rozstawać. Kiedy zupełnie sam – przepraszam, niezupełnie sam, bo z Uchym, moim psem – jestem dziesięć dni w lesie, moje życie spełnia się.

Życie wtedy *jest*.

We wczesnych latach osiemdziesiątych z Polski wyjechała olbrzymia masa młodych – jak i ja wtedy – ludzi.

Różnie można by ich klasyfikować i dzielić według kryteriów społeczno-statystycznych. Ja rozróżniam trzy, a właściwie cztery grupy emigrantów. Pierwsza i najliczniejsza to grupa tych, którzy spakowali manatki, bo po prostu mieli serdecznie dość szarej, komunistycznej rzeczywistości. Patrząc w ekran przyszłości, widzieli tylko usterki i niekończący się las znaków zapytania. Wyjechali, bo chcieli normalnie pracować, mieszkać bez dwudziestu lat czekania na własny kąt, mieć auto, wakacje i... święty spokój.

Druga grupa to ludzie politycznie i emocjonalnie zaangażowani w *Solidarność* i inne antyczerwone organizacje. Tych z kolei wizja przyszłości załamała się po okresie euforii zakończonej stanem wojennym, a i oni też na horyzoncie widzieli już falujące łany świętego spokoju. Spakowali się, bo ten, który straszył czołgami, miał już na swoim koncie kilka milionów morderstw.

W drugiej połowie i pod koniec lat osiemdziesiątych ruszyła w świat trzecia,

cicha, nieafiszująca się grupa. Po latach ssania wielkiej, tłustej, czerwonej maciory w szeregach partii, SB, milicji czy wojska pojawiła się realna możliwość, że ktoś może dobrać się im do dupy i rozdzielić kilka klapsów. Ta grupa, pakując się, nie zapomniała o dodatkowym worku pieniędzy, które to – kto wie – mogą się zawsze przydać.

Wreszcie ostatnia grupa to ci zaangażowani głęboko w działalność antykomunistyczną – ideowcy gotowi do poświęceń, których jedyna, najukochańsza osoba na świecie, bez której nie wyobrażali sobie przyszłości, okazała się agentem SB i wsypała całą paczkę przyjaciół wraz ze swoim jedynym, ukochanym narzeczonym.

Jak liczna jest ta ostatnia grupa, tego nie wiem. Wiem natomiast, że jest w niej co najmniej jeden, dwadzieścia lat temu bardzo smutny i rozczarowany człowiek, który też w końcu wyjechał, żeby gdzieś daleko znaleźć święty spokój i zapomnieć słowa takie jak: zdrada, kłamstwo, nóż w plecy... Ten człowiek na dodatek nigdy do starego kraju nie wrócił, nawet z krótką wizytą.

Nie jestem nałogowym palaczem, ale czasem lubię sobie pociągnąć droższe cygarko. Vicky zawsze stanowczo wskazywała drzwi, kiedy sięgałem po paczkę cygar. Od czterech miesięcy mieszkam sam, ale widać tresura nie poszła w las, bo ciągle wychodzę zapalić cygarko na ganek.

Właśnie kończyłem moje piątkowe, popracowe cygarno, kiedy przy podjeździe zatrzymała się czerwona honda accord. Po chwili szamotania się z pasami tylnymi drzwiami wystrzelił Tomek.

– Tata! – Przypędził i skoczył prosto w moje objęcia, ściskając mnie z całych swoich siedmioletnich sił. – A gdzie Uchy?

– Naciśnij ten guzik, a wielki Uchy oblize cię – śmiejąc się, podałem Tomkowi breloczek z pilotem do garażu. Gdy tylko drzwi uniosły się na dwa cale od ziemi, w otworze pojawił się wielki, czarny nos, potem oczy, uszy no i reszta sześćdziesięciu kilogramów ogromnego, czarnego labradora skrzyżowanego z nowofundlandem. Zawsze zadziwia mnie, jak taka wielka, niezdarna psia masa może być tak delikatna i czuła podczas powitań tej dwójki. Wychowywali się razem praktycznie od urodzenia, obydwaj mają po siedem, prawie osiem lat.

Tomek został dokładnie oblizany i leżał, śmiejąc się na trawie przed domem, a Uchy popędził przywitać się z Vicky. Oni wszyscy bardzo za sobą tęsknią.

– Kiedy się z powrotem przeprowadzimy? – zapytał smutno Tomek.

– Bądź cierpliwy – bez przekonania wycelowałem w malca palcem.
– Idę do mojego pokoju, chodź Uchy, chodź – zniknęli obaj, tupiąc po schodach.
– Cześć Vicky – oficjalnie podaliśmy sobie dłonie. – Ile razy mały zadaje mi to pytanie, czuję się jak idiota. Czy naprawdę nie możecie tu wrócić, żeby było tak, jak kiedyś? To przecież nie ma żadnego sensu... ten mały apartament, szkoła i te wizyty co jakiś czas...

– Nie może być tak, jak kiedyś, bo to *kiedyś* stało w miejscu i to w dodatku w złym miejscu. Pomyśl nad tym mocniej, kiedy będziesz sam w swoim głębokim lesie... Sorry, Janek, ale nie mam teraz czasu na głębokie analizy naszej sytuacji... tu, przy krawężniku. Pogadamy, jak coś nowego wymyślisz – zrobiła niecierpliwy gest ręką. Była piękną kobietą.

Zawsze była piękna: kiedy się złościła, niecierpliwiła czy spała. Gdy się śmiała, jej uśmiech zwał z nóg. Śmiechu Vicky nie słyszałem od dawna.

Mama Vicky pochodzi z Grecji, ojciec – z Danii, a ona urodziła się w Kanadzie. Wydaje się, że odziedziczyła tylko najlepsze cechy ludzi południa i północy. Ma długie, gęste, czarne włosy. Jest przy tym wysoka, szczupła i bardzo zgrabna. Jeśli do tej pięknej, statycznej sylwetki dodać ruch... Vicky nie chodzi tak, jak inne kobiety – Vicky płynie przez otaczającą ją przestrzeń.

– Dobra, przestań się na mnie gapić i lepiej powiedz, co będziecie robić z Tomkiem – ostro przerwała moje rozmyślenia. Nigdy nie lubiła tematu swojego wyglądu i zazwyczaj machała ręką, kiedy próbowałem jej o tym powiedzieć. Nie, na pewno nie była próżna.

– Dzisiaj już pewnie niewiele, pogramy w coś... Ale za to jutro rano... – specjalnie głośniejsz zacząłem zdanie.

– Co będzie jutro rano? – z okna na piętrze krzyknął mały.

– Jutro rano idziemy do Kortright, rezerwatu przyrody, na co najmniej cztery godziny.

– Uchy idzie z nami? – znowu zapytał głos z okna.

– Oczywiście. Potem lunch i musimy podjechać do sklepu ze sprzętem turystycznym. Potrzebuję kilku rzeczy na wyprawę. Podrzucę ci synka w niedzielę wieczorem, bo chcę wyjechać wcześniej rano w poniedziałek.

– Świetny plan – Vicky pomachała Tomkowi. – To trzymajcie się dzielnie.

Ruszyła w stronę samochodu, zgrabnie uchylając się od mojej próby objęcia jej. Podczas wsiadania uniosła delikatnie spódnicę, pokazując zgrabne nogi. Jeżeli przez własną, upartą głupotę kiedykolwiek stracę tę kobietę, to spakuję plecak, pójdę do lasu i nigdy nie wrócę.

Taki będzie koniec życia idioty.

– Proszę, proszę, wejdź Albercie. Dzień dobry, jak się masz? – Salvatore Rodrigez wstał zza biurka, odsunął ciężki, czarny, skórzany fotel i wyciągnął dłoń.

– Całkiem nieźle, szczególnie, kiedy zacząłem widzieć światło na końcu mojego czterdziestoletniego tunelu – ze śmiechem przywitał się Albert Weiss.

– Aha – mruknął Sal z filozoficznym zamyśleniem, jakby nie potwierdzając optymizmu Alberta.

– Czy masz już jakieś specjalne plany na pierwsze miesiące emerytury?

– O, tak. Na początku będę robił wielkie NIC, a kiedy skończę, to mam jeszcze sporo pracy przy moim domku marzeń nad jeziorem – odparł Albert, poprawiając pękatą teczkę z aktami, jakby chciał już przejść do sedna wizyty.

– W zeszły piątek wysłałem ci e-maila w sprawie Alistera Swana. Jest to chyba jedna z najdłuższych spraw w naszych archiwach i na dodatek nie zanosi się na jej zamknięcie – przedstawił temat wizyty Albert.

– Tak, sprawdziłem to. Ty jesteś w tych archiwach od samego początku, czyli od 1969 roku.

– No właśnie, mimo długiego okresu wyciszenia, historia Alistera Swana nigdy nie została formalnie zamknięta, zgodnie z wewnętrzną procedurą biura. Po roku 1985 już tylko jeden agent regularnie sprawdzał telefony, e-maile i korespondencję Alistera. Nasz klient cały czas żąda kwartalnych raportów i płaci regularnie.

– Z tego, co się orientuję, to nie wiemy, kim jest klient, prawda?

– Nie wiemy. Od początku sprawy jest tylko dwunastocyfrowy kod klienta i regularne przelewy na nasze konto w Waszyngtonie.

– Jak się domyślam, masz ochotę teraz zdać akta tej sprawy przed odejściem na emeryturę. Prosiłbym cię jednak o szczegółowe wprowadzenie w kulisy sprawy. Nikt nie zna detali lepiej od ciebie, a pisałeś ostatnio, że pojawiły się jakieś nowe, niepokojące ruchy naszego starego Alistera. Ja osobiście słabo pamiętam zdarzenia z 1969 roku, miałem wtedy cztery lata – z uśmiechem zakończył Salvatore, rozsiadając się w fotelu. – Poczekaj – Podniósł się. – Zanim zaczniesz, co byś powiedział na małą szkocką?

Al pociągnął duży łyk zielonego Johnnie’ego Walkera, po czym oparł się wygodnie, jak dziadek zmuszony przez wnuki do opowieści sprzed lat.

– Prawdę mówiąc, niewiele wiemy o kulisach tej całej sytuacji. Od początku

wszystko było ściśle tajne i opieczetowane poleceniem niezadawania pytań, tylko dostarczania informacji i wykonywania zleceń. Alister Swan urodził się w czasie drugiej wojny światowej w Bostonie. Był bardzo zdolnym studentem, ukończył kilka fakultetów, w tym medycynę na Harvardzie, ale nigdy nie był lekarzem. Ma doktorat z biologii i genetyki. Wiele lat spędził w laboratoriach chemicznych. Po ukończeniu uniwersytetów w Filadelfii i w Bostonie, w 1967 roku został zatrudniony przez wielki koncern farmaceutyczny Pharmaticus w Kalifornii. Spośród setek aplikacji tylko Alister i jego przyjaciel ze studiów, Kumar Ramadir, zostali przyjęci na dobrze płatne stanowiska w laboratorium w Pasadenie. Od początku obaj brali udział w zaawansowanych i ściśle tajnych pracach nad nowymi wówczas pigułkami antykoncepcyjnymi. W listopadzie 1969 roku coś, o czym nie wiemy, wydarzyło się w laboratorium.

– Czy mamy chociaż zarys sytuacji? Czy to był wypadek, eksplozja, przeciek tajemnicy? – przerwał pytaniami Sal.

– Alarm wszczęto w środku nocy i to w dodatku w Święto Dziękczynienia – ciągnął dalej Albert. – Było strasznie dużo zamieszania przy ściąganiu ludzi do pracy, do zakładania podsłuchu w domach Alistera i Kumara, w samochodach i w laboratorium. Natychmiast rozpoczęliśmy dwudziestoczterogodzinną obserwację. Wiele z nagranych kaset było odsyłanych do klienta nawet bez odsłuchu przez naszych agentów. Odgrywaliśmy rolę narzędzia, bez brania udziału w procesie decyzyjnym. Jedyne, co można było wywnioskować to to, że nastąpiło jakieś odkrycie naukowe, w którym obydwaj przyjaciele odegrali główną rolę, a cała historia miała na celu zapobieżenie przedostaniu się faktów na zewnątrz.

– Myślisz, że mogło chodzić o sprzedaż wyników badań dla konkurencji, czy stały za tym pieniądze? – zapytał Salvatore.

– Myślę, że nie – bez namysłu odparł Al. – Chodziło raczej o możliwość publikacji wyników i podania ich do wiadomości społeczeństwa. Padło nawet niepokojące twierdzenie o możliwej nieobliczalnej reakcji mas.

– To zdecydowanie ciekawe... hmm... Nawet nie wiem, co o tym myśleć. Czy cokolwiek przeciekło do gazet? – Sal coraz bardziej znęcał się nad ołówkiem w zębach.

– Nigdy nic, cisza. Wkrótce potem, na początku grudnia, młody Hindus zginął w wypadku na autostradzie numer 15, w drodze z San Bernardino do Las Vegas, gdzie umówił się z jakimś ciekawskim dziennikarzem. Jego Ford Mustang przebił na zakręcie barierkę i poleciał ponad sto metrów w dół. Kumar Ramadir zginął na miejscu.

– Wygląda to na *T.C.T.* – ze zrozumieniem westchnął Sal.

– Niestety tak. Młody naukowiec nieopacznie postanowił spełnić swój obywatelski obowiązek i nawet wbrew Alisterowi zdecydował o kontakcie z gazetą – Albert pokiwał ze smutkiem głową.

– Tak więc od 1970 roku pozostał nam tylko Alister Swan. To już trzydzieści siedem lat i sprawa, jak mówisz, ciągle żyje – z niedowierzaniem w głosie, chętny do dalszego słuchania, rzucił Sal.

– Sprawa po śmierci Hindusa bardzo się wyciszyła. Alister bezbłędnie odczytał przekaz. Jeszcze jako młody naukowiec, około trzydziestki, awansował na najwyższe stanowisko konsultacyjne w centralnym laboratorium Pharmaticusa w San Bernardino w Kalifornii. Tam też mieściło się jego nowe biuro, wyposażone jak luksusowe mieszkanie. Jednym słowem: odsunięto go od badań, płacąc mu olbrzymie pieniądze za milczenie i bycie po stronie firmy-matki. Często bywa, że duże pieniądze robią z duszy szmatę, ale nasz A.S. nie szalał, nie trwonił majątku, który całkiem łatwo mu przychodził. W roku 1973 Alister ożenił się z młodszą od siebie studentką filozofii. Julia Swan nigdy nie urodziła mu dzieci, lecz była za to wytrwałą towarzyszką licznych podróży po świecie. Tak więc w roku 1969, jeszcze przed śmiercią Ramadira, nad sprawą dzień i noc ślęczało dwudziestu agentów. W latach osiemdziesiątych było ich już tylko dwóch, a ostatnio jeden, i to chyba nie na cały etat. Alister i Julia Swan mieli dom w górach w stanie Oregon, to, już wspomniane, mieszkanie w firmie, dom w północnym Vermont, niedaleko kanadyjskiej granicy oraz mieszkanie w rodzinnym mieście Alistera, w Bostonie. Przez wiele lat jego praca polegała na odwiedzinach biura dwa-trzy razy w miesiącu, podpisywaniu paru dokumentów i wzięciu udziału w kilku konferencjach naukowych. Przez cały czas czytał i studiował, pilnie śledząc aktualne osiągnięcia naukowe swojej firmy. Duże pieniądze i dużo wolnego czasu dawały państwu Swan nieograniczone możliwości podróży. Oboje uwielbiali wielotygodniowe wędrówki z plecakami przez góry Ameryki i Kanady. Byli w Nowej Zelandii, Australii i Afryce. Spróbuj wyobrazić sobie koszty, jakie klient poniósł za całodobową obserwację tej dwójki w pierwszym okresie. Potem, jak już wspomniałem, poluzowaliśmy, a oni ciągle podróżowali. Mając niesamowite zasoby finansowe prawie zawsze spali w namiotach lub w tanich schroniskach górskich. Czasami korzystali z noclegów w lokalnych chatkach, gdy przemieszczali się po bezdrożach. Podążanie za tą dwójką było piekłem dla takiej agencji, jak nasza. Kilkakrotnie udało się nam włożyć mikropodsłuch do któregoś z plecaków i dzięki temu wiedzieliśmy, że nie dzieje się nic podejrzanego. Wyglądało na to, że państwo Swan chcieli mieć święty spokój, a to była dla nas dobra

wiadomość. Przez cały ten okres jedyny niepokój w naszych szeregach budził fakt, że Alister znacznie więcej zarabiał, niż wydawał na swoje wyprawy. Faktycznie, czasem wynajmował helikopter czy też mały, prywatny samolot, gdzieś tam w Argentynie lub na Syberii. Dotował też niektóre organizacje charytatywne, ale mimo tego bilans finansowy powinien wskazywać na istnienie niezłej fortuny. Niestety, nie mamy pojęcia, gdzie się ona znajduje i kto ma do niej dostęp.

– Wygląda na to, że akta tej sprawy nadawałyby się do przekazania komuś młodszemu. Co więc takiego wydarzyło się ostatnio, że poprosiłeś o dwóch dodatkowych agentów? – zapytał Sal.

– Przed pięcioma miesiącami, po trzydziestu czterech latach małżeństwa zmarła Julia, jedyna żona Alistera. Z raportów wynika, że starszy pan bardzo to przeżył. Nigdzie sam nie wyjechał od czasu pogrzebu i całe dnie, a nawet tygodnie spędza sam w domu w Vermont. Posiadłość w Oregon wystawił na sprzedaż. Załamanie po śmierci bliskiej osoby to raczej rzecz normalna. W tym przypadku wydaje się jednak, że zdarzenie to obudziło dawne wyrzuty sumienia. Prawdopodobnie Alister sporządził dysk z dokumentami i listami opisującymi minione wydarzenia z 1969 roku. W zeszłym tygodniu chciał go zdeponować w biurze swojego zaufanego prawnika. Na razie udało nam się temu zapobiec. Niestety, nadchodzą meldunki o dalszych próbach i obawiam się, że nawet trzech agentów może nie wystarczyć. Nie możemy przecież umoczyć sprawy sprzed prawie czterdziestu lat.

Prawie momentalnie Sal sięgnął po notatnik i laptopa: – Czy sześciu na razie wystarczy?

– Myślę, że tak, ale nie pytaj, na jak długo. Jak się stary człowiek na coś zawezmie, to... Wiem to po sobie – z lekką nutką dumy zakończył Albert. Sięgnął po szklanekę, pociągnął ostatni łyk whisky, po czym wstał, lekko się przeciągając.

– Ta sprawa ciągnie się prawie przez całą twoją karierę. Nie chciałbyś doprowadzić jej do zamknięcia? To byłoby takie postawienie kropki na końcu długiego zdania – zapytał Salvatore.

– Nie wiem, czy starczy mi życia – nie odpowiadając na pytanie odrzekł Albert.

Myli się ten, który myśli, że jeżeli coś fajnego obieca siedmiolatkowi, to uda mu się pospać w sobotę rano. Już przed siódmą obudził mnie skok kolan na wyciągnięty beztrosko brzuch. Po pierwszym szoku odpłaciłem malcowi długim gilgotaniem, aż zaczął krzyczeć, że brzuch mu pęka. Szybko zjedliśmy śniadanie i byliśmy gotowi do

wyprawy już przed ósmą.

Przed siedmioma laty, kiedy razem z Vicky szukaliśmy domu, wybraliśmy ten rejon, około pół godziny na północ od Toronto, głównie z powodu bliskości kilku pięknych rezerwatów przyrody. Kortright zawsze był naszym ulubionym miejscem długich spacerów: najpierw z małym Tomkiem jeszcze w brzuchu, potem w nosidle, w wózku i teraz, kiedy trudno go dogonić. Na stosunkowo niedużym obszarze – można go obejść w cztery godziny – jest wszystkiego po trochu: piękny, kolorowy jesienią las klonowy, trochę łąki, rzeka ze stromym klifem, dwa strumienie, którymi jesienią dzielnie przebijają się łososie z jeziora Ontario na tarło. Jest też jeziorko z żółwiami, czaplami, kaczkami i oczywiście wszechobecnymi gęsiami kanadyjskimi. To naprawdę dziki teren. Nikt nie rusza powalonych drzew czy osuniętych urwisk, można nawet znaleźć szkielet sarny objedzony przez kojoty.

Tomek był w siódmym niebie. Jak prawdziwy traper, siedział cicho i mniej więcej bez ruchu. Z lornetką w ręku, koło tamy bobrowej, czekał cierpliwie, aż ukaże się mokra głowa właściciela. Uchy oczywiście pływał w rzece, a nad jeziorkiem wystraszył jelenie wirginijskie, które z głośnym prychaniem przebiegały przez trzciny. Przy małym wodospadzie zrobiliśmy przerwę. Na mojej lekkiej propanowej kuchence ugotowaliśmy wodę na herbatę, a młody wędrowiec połknął kanapkę. Spędziliśmy w parku cudowne, wrześniowe przedpołudnie.

Na przełomie września i października w Ontario zazwyczaj pojawia się fala ciepłego powietrza zwana „indiańskim latem”. Wczesna jesień to z pewnością najpiękniejsza pora roku, podczas której tysiące drzew zmienia kolory. Podczas tych zazwyczaj słonecznych dni dopełnienie szczęścia stanowi brak komarów, czarnych much i wszelkiego innego robactwa. W czerwcu taka wyprawa kończy się po pół godzinie... wieloma bąblami.

Z Kortright do domu mam może pięć minut, a i to tym razem wystarczyło, żeby Tomek zasnął jak kamień na tylnym siedzeniu. Delikatnie przeniosłem go na kanapę, a sobie zaparzyłem kawę i zrobiłem listę zakupów w Mountain Co-op, dużym sklepie ze sprzętem turystycznym. Po południu, tym razem już bez Uchego, zjechaliśmy na południe autostradą numer 400 do centrum Toronto.

W języku Indian Huron „toronto” oznacza po prostu osadę rybacką, a obecna metropolia rozciąga się wzdłuż malowniczego północnego wybrzeża jeziora Ontario, pełnego różnego gatunku ryb, niestety niezdatnych do jedzenia z powodu zatrucia bakteryjnego oraz dużego stężenia metali ciężkich. Osada białych ludzi powstała w tym miejscu w roku 1793, a prawa miejskie otrzymała czterdzieści lat później. Obecnie zespół miejski Toronto zajmuje ponad sto kilometrów wybrzeża i liczy pięć

milionów mieszkańców, czyli więcej niż populacja wszystkich czterech prowincji atlantyckich Kanady razem wziętych. Według ostatnich statystyk, procent kolorowych imigrantów na terenie miasta przekroczył pięćdziesiąt. Ich napływ dostarcza masę taniej siły roboczej, nabywczej oraz, jako skutek uboczny, przestępczej, o czym raczej niewiele się mówi. Towarzyszy temu tak zwany „multikulturalizm” który, jak inne wybitne idee społeczno-polityczne zakończone na -izm, nie pozwala głośno mówić o negatywnych aspektach swojej struktury, przezywając tych, którzy by spróbowali, od rasistów, antykomunistów, ... -stów. Multikulturalizm powstał w prostym celu – żeby się ludziska z różnych części świata nie pozabijały. Dopóki lokalna gospodarka pędzi do przodu, a bezrobocie jest niskie, dopóty społeczeństwo mieszane zachowuje się poprawnie. Jak na człowieka, który – jakby nie patrzeć – pół swojego życia przeżył w komunie, ciągle jeszcze jestem wychulony na objawy beznadziejnej propagandy, do której to multikultura, jak i inne hasła lokalnych polityków, świetnie pasują. Dobrą cechą „mieszanki” jest niesamowita ilość knajpek i restauracji serwujących dania różnych nacji. Zawsze lubiliśmy z Vicky wpaść na tajską sałatę albo na afgańskie placki z kurczakiem.

Polacy z tak zwanej ostatniej fali, czyli lat osiemdziesiątych, osiedlili się głównie w Mississauga, leżącej na zachód od centrum Toronto. Jest tam już ponad sto tysięcy rodaków, wielki polski kościół, polskie sklepy, biznesy, restauracje i z nieznanym – pewnie finansowym – przyczyną masa polskich dentystów.

Kiedy prawie dwadzieścia lat temu przyjechałem do tego miasta, podobała mi się niska zabudowa, nawet blisko centrum – pełnego wieżowców, z metrem i centrami handlowymi – ludzie mieszkali w małych domkach z ogródkami. Dziwiłem się wtedy, jak w największym mieście Kanady, w samym centrum, mogły po ulicach chodzić gęsi, a tyle ziemi pozostawało praktycznie niezagospodarowane. Teraz to już historia. Luksusowe wieżowce, ponad czterdziestopiętrowe, zajęły puste place. Wyburzono opuszczone fabryki, a małe domki coraz częściej padają ofiarą zaborczego rozwoju i boomu mieszkaniowego. Kanada to wielki kraj, ale prawie wszyscy imigranci kończą w czterech wielkich miastach: Toronto, Montrealu, Vancouver lub Calgary. Stąd też zwariowany popyt na mieszkania.

Raczej rzadko przyjeżdżam do centrum Toronto, zazwyczaj do jakiegoś specjalistycznego sklepu lub też z gośćmi spoza miasta czy Kanady. Obowiązkowo należy wtedy zjeść obiad w obrotowej restauracji na wieży CN, z widokiem na miasto i jezioro, a potem udać się nad wodospad Niagara.

W sobotnie popołudnia nie jest jeszcze tak tłoczno. Znaleźliśmy parking za jedyne osiem dolarów i w końcu dotarliśmy do sklepu Mountain Co-op. Po polsku byłoby to:

„kooperatywa górską”. Tomek od razu zniknął w lesie porozstawianych namiotów, chowając się w każdym po kolei. Następnie przysłała kolej na kajaki, *canoe* i wspinaczkę na sztuczną skałę z prawdziwymi linami i hakami. W tym sklepie jest zazwyczaj wszystko, czego tylko człowiek gór, lasów i jezior może potrzebować. Tym razem wrzuciłem do koszyka nowy filtr do wody, matę do spania (starą przedziurawiłem na ostatniej wyprawie w Góry Skaliste), kilka pojemników z propanem do gotowania, grube skarpety dla taty i dla synka, który naciągnął mnie także na nowe skórzane buty za kostkę. Z półki z jedzeniem dorzuciłem parę gotowych, suszonych obiadów (dolewasz pół litra wrzątku i masz na przykład gulasz z groszkiem, marchewką i ziemniakami). Ach, gdzie te bieszczadzkie czasy z konserwą turystyczną i słoikiem smalcu? Sam namiot ważył wtedy więcej niż cały mój plecak na tygodniową wyprawę. Oczywiście, oprócz kupowania, zawsze lubię pooglądać, co nowego pojawiło się na rynku sprzętu do łażenia po lasach. Ostatni trend to superlekkość: nowe materiały – stopy włókien węglowych. Ultralekkie tworzywa pozwalają spakować tygodniowe potrzeby w plecak poniżej trzydziestu pięciu funtów, czyli około piętnastu kilogramów. Kiedyś naprawdę śmiałem się z tych „ultralekkowców”, obcinających szczoteczki do zębów tuż przy włoskach i wydających setki dolarów na nowe, nic nieważące kuchenki i naczynia ze stopów tytanu. Jednak po przejściu stu kilometrów z całym dobytkiem na plecach nie jest to już wcale takie śmieszne – moja szczoteczka do zębów ma już tylko pięć centymetrów. Pakowanie, przebieranie rzeczy, kompletowanie sprzętu to też swoisty rytuał. Nikt nie ma ochoty na dźwiganie przedmiotów zupełnie zbędnych, ani na sytuacje, w których jesteś zupełnie sam czterdzieści kilometrów od szosy i brakuje ci na przykład bandaża albo pierwszego z siedmiu wieczorów stwierdzasz, że nie masz latarki. Uchy też ma swój plecak. Sześćdziesięciokilowe zwierzę idące po dwadzieścia kilometrów dziennie też potrzebuje trochę zjeść, a ja nie mam ochoty na dodatkowe dźwiganie. W dwóch symetrycznych kieszeniach zapiętych pod brzuchem i pod szyją pies niesie swoje obiady, popakowane wienne porcje oraz kocyk do spania, a w drodze powrotnej zawsze znajdują się jakieś puste pojemniki od propanu czy inne śmieci. Nie zostawiamy po sobie nic. Ważne jest, w miarę możliwości, żeby nie dźwigać ciężkiej wody do picia. Nowy filtr-pompka do wody waży ze dwieście gramów i można nim uzdatnić pięć tysięcy litrów wody. Świetna sprawa – jedyny problem w tym, że bez koordynacji z mapą można zostać na długiej osłonecznionej wyżynie bez strumieni i jezior... z suchym filtrem.

Zjedliśmy obiad w mieście i pod wieczór wróciliśmy do domu. Od czasu, kiedy Vicky i Tomek wyprowadzili się, nie jadłem domowego jedzenia. Tęsknię już za

domową zupą.

Wieczorem mieliśmy jeszcze pójść do kina, ale po całym dniu malec zaproponował oglądanie moich zdjęć z wypraw. Zasnął jednak twardo jeszcze przed dziewiątą.

W niedzielę odwiozłem Tomka do Vicky. Uściskali się serdecznie. Wiem, że musimy być razem. Muszę zacząć działać. I to szybko. Po powrocie z Killarney, za tydzień, oświadczę się, słowo daję... oświadczę się, raz na zawsze... Kupię pierścionek. Weźmiemy ślub kościelny, w jakimkolwiek kościele Vicky będzie chciała i kiedy będzie chciała. Mam dosyć tego niedorobionego życia, chodzenia krok do przodu, dwa do tyłu, a potem jeszcze w bok. Podjąłem decyzję. Nareszcie.

Po powrocie do ciągle jeszcze pustego domu było mi lekko. Podjąłem ważną decyzję.

Zacząłem się pakować. Miałem dobry nastrój. „Może by tak zadzwonić już teraz...? Muszę trochę skupić się na pakowaniu, żeby nie wylądować w kanadyjskiej dziczy bez namiotu”.

Znajomi w reakcji na moje samotne wyprawy często zadają dramatyczne pytania typu: „A co będzie, jak złamiesz nogę, zetnie cię zawał, pęknie ci wyrostek albo zaatakuje niedźwiedź?”. Odpowiedź jest krótka: nie wiem. Kompletuję apteczkę z bandażami, środkami przeciwbólowymi, igłą chirurgiczną i niciami, żeby w razie czego zszyć ranę ciętą lub szarpaną, jak Sylvester Stalone – Rambo w wietnamskiej dżungli. Co do zawału, to chyba trudno byłoby samemu się reanimować, ale i w centrum miasta, w tłumie, można napotkać ten sam problem, leżąc na chodniku pośród obojętnych przechodniów. Jeśli chodzi o misie, to przestrzegam bardzo ściśle przepisów czystości i bezzapachowości wokół namiotu, żeby nie przyciągnąć ciekawskiego i wiecznie głodnego niedźwiedzia: całe moje (i psie) jedzenie co wieczór wędruje na drzewo, zawieszane na linie co najmniej pięć metrów nad ziemią, a umyte do czysta garnki układam w sporej odległości od obozowiska. Nigdy nie miałem spotkania z misiem na miejscu kempingowym. Pewnie jest to po części zasługa Uchego, który regularnie obsikuje teren, znacząc prawo wyłączności. Mam oprócz tego bardzo stężony gaz pieprzowy, a przy psim plecaku zamontowałem mały dzwoneczek, żeby hałasem odstraszyć czarnego niedźwiedzia, a nie zaskoczyć go gdzieś za zakrętem czy za skałą. W Ontario występuje jedynie czarny miś i jest tylko trzy razy większy od mojego psa. W górach Skalistych mieszka jego kuzyn – grizzly, ważący ponad trzysta kilogramów – troszkę poważniejsza konfrontacja. Tam też jeszcze nie byłem na samotnej wyprawie, zawsze jeździmy grupą. Jakoś raźniej być zjedzonym w gronie towarzyszy niedoli. Często tam, gdzie są niedźwiedzie grizzly,

samotne wyprawy są po prostu zabronione. Moja historia spotkań z niedźwiedziami nie jest zbyt bogata. Raz spotkaliśmy się na ścieżce w Algonquin Park w Ontario i niedźwiedź od razu zszedł mi z drogi, tak, że zobaczyłem tylko wielki czarny zad. Drugi raz był we francuskiej prowincji, Quebecu, gdzie uparty czarny samiec nie dawał nam spokoju w nocy, dobijając się do małego schroniska, w którym nocowaliśmy w Saguenay Park, na północ od Rzeki Świętego Wawrzyńca. Wtedy udało mi się nawet zrobić mu zdjęcie (przez małe okienko).

Jeszcze raz sprawdziłem zawartość plecaka i przejrzałem listę przypiętą do drzwi komórki pod schodami, gdzie trzymam cały mój wyprawowy bałagan. Nie zaszkodzi ta odrobina drobiazgowości. W ten prosty sposób można uniknąć niespodzianek, takich jak ta na czterodniowym spływie po French River, kiedy pierwszego wieczoru okazało się, że nie mam masztów do mojego dwuosobowego namiotu.

Od wspomnień i rozważań nad plecakiem oderwał mnie Uchy, zdecydowanie żądając wieczornego spaceru. Było już koło ósmej, a rano chciałem wstać przed piątą. Po latach treningu Uchy umie chodzić bez smyczy. Chodzi tuż przy nodze, czeka przed ulicą, a i sąsiedzi się przyzwyczaili. Wyszliśmy przed dom. Było już ciemno, zapadł wrześniey zmierzch, a w powietrzu unosił się cudowny zapach zmęczonego lata. Pies zamerdał ogonem, widząc sąsiada z drugiej strony ulicy. Stary Joe machał przyjaźnie. Zawsze zamieniamy kilka słów. Tym razem był w towarzystwie eleganckiego faceta, który trzymał w ręku znak „REMAX – dom na sprzedaż”. Mina mi zrzędała. Joe jest bardzo dobrym sąsiadem.

– Hej Joe, co ty do diabła robisz, i to w dodatku bez konsultacji ze swoim najlepszym sąsiadem? – żartobliwie krzyknąłem, idąc w ich stronę.

– Cześć Janek – odpowiedział Joe.

– Dobry wieczór – pozdrowił sparaliżowany widokiem Uchego agent sprzedaży nieruchomości.

– Nie martw się zawczasu, to wszystko jakby żart – dla uspokojenia rzucił Joe.

– Ładny żart, a pomyślałeś, co będzie ze mną, jak wprowadzi się tu cały gang handlarzy narkotyków albo otworzą salon masażu, co?

Śmiejąc się, stary machnął ręką: – Wiesz po ile chodzą domy na naszej ulicy? Chyba nigdy cena nie przekroczyła czterystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Ja, ot tak, na próbę, wystawiam dom za pół miliona, także nie obawiaj się, jeszcze długo pomieszkamy razem. Ha, ha, ha – rubaszenie zaśmiał się Joe. – Taniej nie sprzedam, obiecuję. Lubię tę okolicę, no i oczywiście sąsiadów wraz z ich czworonożnymi potworami – przyjaźnie pociągnął psa za ucho.

„Kto wie”, pomyślałem, „Joe ma naprawdę zadbane, piękny dom, wykończony

z zewnątrz naturalnym kamieniem i otoczony kolorowym ogrodem, pełnym jałowców i polnych kwiatów. Kto wie, może znajdzie się ktoś chętny zapłacić wygórowaną cenę?”.

– No to dobranoc – pożegnałem się. – Gdyby słyszał pan, że ktoś szuka domu za dwa miliony, to proszę dać mi znać – zażartowałem w stronę agenta, który odprężył się powoli po odejściu psa.

Nie lubię pośredników w handlu nieruchomościami, lubię natomiast mój dom, moją ulicę świętej Weroniki, sąsiadów i ten spokój wokoło. Do pełni szczęścia brakuje tu tylko Vicky i Tomka, na stałe i na zawsze.

„Samochód nie będzie gotowy do poniedziałku rano”. Alister odłożył telefon. Wstał lekko zirytowany. Niby nigdzie się nie spieszył. Miał dużo czasu i jeden dzień w jedną czy drugą stronę nie robił żadnej różnicy, ale on zawsze lubił planować i ściśle trzymać się swoich planów. Poza tym była jeszcze kwestia miejsc noclegowych, która jednak nie powinna być problemem – był przecież koniec września.

Land rover Alistera miał niespełna dwa lata i był w bardzo dobrym stanie, ale serwis uparł się na dokładny przegląd i wymianę jakiegoś modułu komputerowego przed daleką podróżą. Obiecali przysłać auto pod dom przed dziewiątą rano w poniedziałek, co też przesunęło planowany wyjazd o ponad dwadzieścia cztery godziny.

Alister potrzebował całego dnia, aby ze swojego domu w Barlington na północy Vermont dotrzeć do Killarney Park w środkowym Ontario. Do tego trzeba pamiętać o przejściu granicznym w Cornwall, gdzie w poniedziałek może być duży ruch ciężarówek. Po pierwszej reakcji powoli zaczął oswajać się z nowym planem. Po godzinie powinien być na granicy. Przejazd przez Montreal i dojazd do Ottawy nie powinien zająć więcej niż trzy-cztery godziny. Z Ottawy przejazd przez południowe Ontario, w okolice Killarney, to następne pięć-sześć. „OK”, wyraźnie odetchnął, „wygląda na to, że da się to zrobić”. Poniedziałkową noc przenocuje w motelu przy drodze, a we wtorek zrobi te ostatnie sto kilometrów do bramy parku. Wszystko zaczęło wyglądać lepiej, gdy stwierdził, że o dziewiątej rano we wtorek założy plecak i wyruszy na szlak.

„Przecież jakoś to będzie, jestem starym pierdzielem na emeryturze i tak naprawdę to nigdzie mi się nie śpieszy” – pomyślał, patrząc jeszcze raz na mapę

samochodową. Usiadł wygodnie i wyciągnął nogi na mały, rozkładany fotelik, którego Julia używała do wielogodzinnych obserwacji ptaków w Acadia National Park. Następnego dnia mijało pięć miesięcy od pogrzebu Julii. Od tamtego czasu wielki dom stał cichy i pusty. Tymczasowo Alister odwołał kobietę do sprzątania, tymczasowo – pięć miesięcy temu. Wokół domu sypały się liście z klonów i brzoź i nikt ich tamtego roku nie grabił.

Po trzydziestu sześciu latach małżeństwa, bezgranicznej przyjaźni i miłości Alister pożegnał się z żoną Julią, która odeszła zaledwie pół roku po zdiagnozowaniu raka jajnika. Od pogrzebu praktycznie cały dom stał martwy. Alister zamieszkał w niewielkim pokoiku na strychu, z oknem wychodzącym na podjazd przed garażem. Przed wielu laty, zaraz po zakupie tej posiadłości, urządzili ten kąt na poddaszu jako centrum planowania ich wspólnych wypraw. Ściany wykończone były boazerią, a podłogę pokrywały grube deski. W kącie stała żeliwna koza o trzech nogach, na której w zimowe wieczory stał miedziany czajnik. Całe pomieszczenie, ukryte w miejskim domu, przypominało raczej wnętrza schronisk, w których spędzili setki nocy na wszystkich kontynentach. Naokoło wisiały plakaty i mapy z oznaczonymi trasami, setki pinesek przytrzymywały zdjęcia i pocztówki na ścianach, zaś na półkach stały pamiątki. Naprzeciwko okna były niskie drzwi prowadzące do schowka na plecaki, namioty, liny, kuchenki i buty – wiele par górskich butów, które Julia bardzo lubiła kupować. Tak naprawdę, to chyba nikt ze znajomych, a nawet przyjaciół, nigdy tu nie był. Było to tylko ich miejsce i nawet sprząkali tu, albo i nie, zawsze sami.

Po śmierci Julii Alister odważył się na likwidację jej garderoby. Pełne kartony ubrań, butów, torebek odstawił do lokalnej Armii Zbawienia. Nigdy natomiast nie udało mu się ruszyć jej plecaka, ubrań, kurtek i butów górskich. Zabierał się za to już kilka razy, ale zawsze jakoś dochodził do wniosku, że tego i tak żadna organizacja charytatywna nie weźmie.

Wstał i powoli zaczął otwierać szafki i szuflady w komórcie, wybierając potrzebne rzeczy. Średni plecak, siedemdziesiąt litrów, na tygodniową drogę, mały, dwuosobowy namiot – nigdy nie miał w swoim ekwipunku jedynek... Tak, to będzie jego pierwsza samotna wyprawa od pewnie czterdziestu lat i pierwsze wyjście z plecakiem od ponad roku. Tydzień po pierwszej diagnozie Julia uparła się, że musi jeszcze, jak to mówiła „przed długim leczeniem”, wybrać się w góry lub do lasu. Spędzili trzy dni na części Appalahan Trail, niedaleko Berlina, na północy New Hampshire. Julia była słaba. Poruszali się powoli, a las wokół nich pełen był tej niezwykłej poświaty, jaka towarzyszy tylko doniosłym wydarzeniom. Zamiast, jak

zwykle pokonywać dziesiątki kilometrów w pocie i zmęczeniu, tym razem wiele godzin siedzieli po prostu przytuleni do siebie przy ognisku. Oboje czuli, że mogła to być ich ostatnia wspólna wyprawa. I była. W czasie tygodni leczenia, chemioterapii i radioterapii Alister nie odstępował żony na krok. Przez telefon i komputer zakończył swoją wieloletnią karierę w koncernie Pharmaticus i cały czas poświęcił na długie rozmowy i krótkie, coraz krótsze, spacerzy ze swoją ukochaną kobietą.

Na kilka dni przed śmiercią Julia powróciła, po raz pierwszy po wielu latach, do dawnej historii z laboratorium, do Kumara, i do, jak to nazwała, niedokończonych sprawy.

– Teraz już chyba oboje wiemy, że umieram – mówiła cichym głosem. – Miałam z tobą dobre, spokojne życie. Nie urodziłam ci dzieci, Bóg czy los tak chciał. Mam uczucie, że zostaje po mnie pustka. Na dodatek, jest gdzieś we mnie to niedobre uczucie, jak przekręcony pasek od plecaka na długiej trasie, uwiera mnie, uwiera moją duszę ta niedopowiedziana sprawa sprzed lat. Ty też nie jesteś już taki młody, Alister. Proszę cię, zrób coś z tym, zanim i ty umrzesz. Wierz mi, umieranie z czymś takim jest chyba trudniejsze. Zrób to dla mnie i dla siebie.

Przez lata żyli w linii prostej, nie zastanawiając się nad przeszłością. Nagle: STOP. Refleksja nad tym, że może tak naprawdę żyli na kredyt, i to na kredyt tysięcy ludzi. Kiedyś Alister przeczytał w lokalnej gazecie wzmiankę o kobiecie, gdzieś ze wschodniej Kanady, która całe życie poświęciła karierze politycznej. Wspiwała się po szczeblach, najpierw lokalnych, a potem nawet prowincjonalnych. Pewnego dnia, podczas rutynowej wizyty u dentysty, pani polityk straciła przytomność na skutek reakcji na zastrzyk przeciwbólowy. Nie umarła. Po kilku dniach w szpitalu obudziła się jakby inna osoba. Po powrocie do zdrowia ostentacyjnie porzuciła politykę, rezygnując ze wszystkich dotychczasowych funkcji w rządzie prowincjonalnym. Publicznie wyraziła współczucie politykom kanadyjskim i światowym za zmarnowane życia i stratę czasu, na dodatek zostając głośną przeciwniczką korupcji.

Alister zamyślił się: „Co tak naprawdę stało się z tamtą panią polityk? Co podpowiedziało Julii, że nawet w ostatniej chwili życia trzeba naprawiać złe, niedokończone sprawy?”. Oboje nie należeli do ludzi religijnych, nie bywali w kościołach, chyba że w ramach zwiedzania zabytków. Nigdy też nie deklarowali się jako ateści. „Czy to bliskość śmierci, taka jednoznaczna bliskość, przynosi ten niepokój?”

Kilka tygodni po pogrzebie Alister umówił się na rozmowę podczas obiadu ze swoim starym, zaufanym prawnikiem. Od lat ten sam Robert Taylor, dobry i jak na prawnika chyba uczciwy chłop, stawiał się punktualnie na spotkanie w restauracji

w starym Bostonie. Po przywitaniu, złożeniu kondolencji i zamówieniu obiadu Robert poinformował swojego starego klienta, że wszystkie podstawowe formalności związane ze śmiercią Julii zostały załatwione.

– Daj mi znać kiedy się otrząśniesz po tych smutnych przejściach, to wyślę ci to, co już jest gotowe i umówimy się na spotkanie u mnie w biurze. Trzeba jeszcze podpisać kilka dokumentów i ustalić sprawę spadkową.

– To właśnie jedna ze spraw, które chciałem poruszyć. Mam zamiar zmienić częściowo mój testament, ale to musi chwilę poczekać. Niedługo skończę poprawki i wyślę ci wstępną formę.

Alister zamilkł na chwilę i głęboko westchnął, rozglądając się wokoło. Kelner postawił na stole szklanki z lodem, po czym wprawnym ruchem nalał dwie podwójne szkockie. Milczenie po pierwszym łyku przerwał Robert:

– Mój ojciec był prawnikiem twojego ojca, także jesteśmy już drugim współpracującym pokoleniem. Wyraźnie widzę, że chcesz mi coś powiedzieć. Wal śmiało, o co chodzi.

– No i wygląda na to, że ostatnim – z uśmiechem dodał Alister. – Jak wiesz, nie mam potomstwa, o którym bym wiedział.

– Tak, a moja jedyna córka jest aktorką... także tu kończy się współpraca pokoleń.

Podnieśli do góry szklanki i opróżnili je w znanym ludzkości geście przyjaźni. Alister oparł się wygodniej na dużym, rzeźbionym krześle.

– Jestem już starszym człowiekiem. Może metryka jeszcze nie wskazuje na rychły zgon, ale teraz, po śmierci Julii, poczułem się dużo starszy, niż naprawdę jestem. Uczuciu starości często towarzyszy tak zwany rachunek sumienia. Myślimy wtedy może nie tak bardzo o tym, co uczyniliśmy w życiu dobrego, a raczej sumujemy te większe wpadki, które uwierają nasze dusze jak kamień w bucie.

– Brzmi to nieco filozoficznie...

– Pamiętasz, jako młody naukowiec dostałem wymarzoną pracę w laboratorium Pharmaticusa w Kalifornii. Pod koniec lat sześćdziesiątych moje właściwie pierwsze poważne badania i ich wyniki zostały utajnione przez firmę. Mój bliski i jedyny ówczesny współpracownik zginął w dziwnych okolicznościach na szosie pod San Bernardino. Sprawa jest bardzo poważna. Od czasu śmierci Julii nie daje mi spokoju i zdecydowałem się jakoś to uporządkować.

Robert Taylor siedział z poważną miną i milczał, nie zwracając uwagi na kelnera, który właśnie podszedł do stolika i próbował się upewnić, kto zamówił steka a'la Nowy Jork, a kto homara.

– Tak więc podjąłem decyzję i sporządziłem teczkę z dokumentami. Teczka jest

zaplombowana w kasetce. Chciałbym wkrótce zdeponować ją w twoim biurze z możliwością otwarcia dopiero po mojej śmierci.

– Poprosimy jeszcze dwie szkockie – Robert prawie krzyknął w stronę odchodzącego kelnera.

– Chcę, żeby te wszystkie papiery leżały bezpiecznie w twoim biurze, Robercie, aż do dnia mojej śmierci. Spiszemy prostą umowę, za roczną opłatą. Chciałbym, żebyś się zobowiązał do opublikowania treści tych dokumentów w tydzień po moim odejściu. Co ty na to?

Cisza. Wyraźnie zdenerwowany Robert sięgnął po szklanę, która właśnie pojawiła się na stole. Cisza...

– Wróć za chwileczkę – Robert wstał i skierował się w stronę ubikacji.

Gdy tylko zniknął Alisterowi z pola widzenia, wyjął telefon komórkowy. Kiedy wrócił do stołu, tamten opróżnił już drugą szkocką.

– Nie wiem, co jest w tych papierach... ty wiesz. Pomyśl... minęło już trzydzieści osiem lat od tej, „co-by-to-nie-było”, sprawy. Czy opublikowanie wyników zmieni świat, w którym żyjemy na lepszy? Ty nie masz jeszcze siedemdziesiątki. Może będziesz żył jeszcze dwadzieścia pięć lat i po sześćdziesięciu latach będziesz ujawniał jakieś stare tajemnice? Niewielu ze współczesnych będzie pamiętało, o co tu mogło chodzić... może łatwiej byłoby po prostu zapomnieć.

– Zapomnieć? Jak sam zauważyłeś, nie wiesz nawet, o co chodziło w tych badaniach, tak, że wybaczyć, ale jak możesz sugerować, żebym... zapomniał.

– Posłuchaj, Alister, popatrz na sprawę z mojego punktu...

– ROBERCIE, to naprawdę nie jest twoja sprawa, co jest w tej teczce. Nie powinno tu być żadnego twojego punktu widzenia. Ja proszę cię tylko o, wydawało mi się, prostą usługę prawniczą i mam zamiar dobrze ci za nią zapłacić.

– Panowie, czy wszystko w porządku? – zapytał kelner, wskazując na nietknięte obiady.

– Tak! – prawie krzyżąc, odgonił go Alister. – W porządku. Naprawdę myślałem, że chodzi tu po prostu o zwykłą umowę prawniczą, dopisek do testamentu...

– Proszę cię, zapomnij o tym, to już tyle lat – mówiąc to, Robert nagle wstał i zabrał wiszącą na krześle marynarkę. – Wyślę ci wszystkie papiery dotyczące Julii. Do widzenia. Przepraszam Alister.

Wychodząc, Robert zapłacił za dwa nieruszone obiady.

Później Alister znalazł inną, mniejszą firmę prawniczą „Arnold Ryba Law Office”. Przedstawił wstępnie, o co mu chodzi, omówił szczegóły z samym właścicielem. Doszło nawet do ustalenia sumy, jaką zapłaci za pośmiertne podanie

dokumentów do wiadomości publicznej oraz ich przechowanie. Arnold Ryba poprosił o tydzień na przygotowanie wszystkich formalności. Zamiast umowy, po trzech dniach zadzwoniła sekretarka i z żalem poinformowała, że niestety firma nie będzie mogła wywiązać się z poprzednio powierzonych zadań.

Powoli wracało stare, znane uczucie, że ktoś interweniuje gdzieś po cichu w jego sprawy, ktoś gdzieś podejmuje za niego decyzje, ktoś gdzieś śledzi jego kroki... Tym razem jednak nie zniechęcił się tak łatwo, jak trzydzieści osiem lat temu.

„Dosyć wspomnień...” – Alister wstał z fotela zrobionego z nieheblowanych pni brzozy. „Trzeba na serio zabrać się za pakowanie, jeżeli naprawdę mam zamiar gdzieś wyjechać”. Podchodząc do komórki ze sprzętem, odsłonił małe, trójkątne okienko w dachu. Około pięćdziesięciu-sześćdziesięciu metrów od brukowego podjazdu stał czarny chevrolet suburban z wygaszonymi światłami. Alister wziął do ręki lornetkę, której Julia używała kiedyś do obserwacji ptaków. W aucie siedziało dwóch mężczyzn – jeden palił papierosa, a drugi rozmawiał przez telefon komórkowy. Tak jak przed laty Alister był znowu pod ścisłą obserwacją.

Vincent odpoczywał.

W ciągu doby, każdej doby, spał cztery godziny – od północy do czwartej nad ranem. Drugi, godzinny odpoczynek następował zawsze po południu, po lunchu, od pierwszej do drugiej.

Pozostałe dziewiętnaście godzin pracował. Nie zarobkowo, siedząc w jakimś biurze czy w fabryce: dziewiętnaście godzin na dobę, każdą dobę, w niedzielę i święta Vinc pracował nad sobą. Dyscyplina jest kluczem do tego, żeby każde, najtrudniejsze zadanie mogło być wykonane ze stuprocentową precyzją. Błędy pochodzą z braku dyscypliny i braku codziennego treningu.

Vincent nie używał budzika. Codziennie otwierał oczy punktualnie o czwartej i wstawał z łóżka bez ociągania się, jak większość słabych ludzi. Dzień, jeszcze po ciemku, rozpoczynał od połowy maratonu. Około dwudziestu jeden kilometrów biegu przed śniadaniem. Prysznic. Sześć jaj na bekonie, kawa, sok pomarańczowy i duży kawałek słodkiego ciasta. Od siódmej do dziewiątej intensywne zadania matematyczne i łamigłówki numeryczno-logiczne. Od dziewiątej do lunchu pływanie, siłownia, prysznic.

Teraz, po zjedzeniu dużego fileta z tuńczyka, Vincent odpoczywał na tarasie swojego niedużego mieszkania na terenie prywatnego ośrodka golfowego w Hauula

Beach, na głównej wyspie Hawajów. Vincent miał trzydzieści dziewięć lat, za kilka miesięcy miał – prawdopodobnie w samotności – obchodzić czterdziestkę.

Zlikwidował pierwsze pojawienie się łysiny całkowitym ogoleniem głowy. Był w bardzo dobrej formie i na pierwszy rzut oka, opalony i wysportowany, wyglądał dużo młodziej. Jego życie upływało na lojalnym oczekiwaniu i na pracy nad sobą, żeby w danym momencie nie zawieść tych, którzy płacili za otaczający go luksus.

Odpoczynek przerwał domofon. Poczta. Vincent uchylił drzwi na szerokość dziesięciu centymetrów i z ręki chłopca hotelowego wyjął kopertę. Delikatnie zamknął drzwi. Chłopiec poczekał chwilę na napiwek, po czym odszedł. Teraz dopiero Vincent otworzył wiadomość, przeczytał raz, po czym złożoną kartkę włożył do małego akwarium w kształcie kuli. Papier zniknął z sykiem w kwasie pomiędzy szklanymi rybkami. Dziesięć minut później Vincent jechał taksówką na lotnisko międzynarodowe w Honolulu, gdzie za godzinę miał odlecieć jego samolot. Nie będzie popołudniowych zajęć, nie będzie drugiej połowy maratonu przed snem. Jest za to coś, na co zawsze czeka – podniecenie, ekscytujące poczucie własnej siły, możliwość pokazania swojej niezawodności i sprawności. Następne zlecenie, które wykona bezbłędnie. Po przesiadce w Los Angeles będzie na miejscu w niedzielę przed południem.

Wczesnym rankiem Albert Weiss wszedł do biura pachnącego świeżą kawą. Ella, wieloletnia sekretarka Alberta, starała się ostatnio bardziej niż przez te wszystkie lata, chyba nawet bardziej niż w czasie pierwszych trzech próbnych miesięcy na początku swojej kariery.

– Och, jak wspaniale pachnie poranna kawa – zauważył Al. – Chyba chcesz, żebym cię dobrze wspominał.

Ella była jedyną osobą w życiu Alberta, która w ciągu ostatniego ćwierćwiecza przygotowywała dla niego kawę i miała czasem coś miłego do powiedzenia. Kariera, która właśnie dobiegała końca, nie pozostawiała wolnego miejsca dla żony, dzieci, kina, weekendów za miastem i tych wszystkich drobnych, nieistotnych elementów, które tworzą życie rodzinne. Niedługo prace wykończeniowe w domu nad jeziorem Tully, około osiemdziesiąt kilometrów na północny-zachód od Bostonu, zostaną zakończone. Dobra emerytura, dom marzeń, dużo czasu i... samotność.

– Dzwonił Salvatore – przerwała rozmyślenia Ella. – Zostawił wiadomość, że przed lunchem będzie ćwiczył przez pół godziny w siłowni na dwudziestym ósmym

piętrze. Zaprosił cię do udziału w treningu.

Od lat Ella i Albert byli na ty, choć nie przyjaźnili się ani nie spotykali się po pracy.

– Potwierdź, że przyjdę – mieszając ciekłą smużkę śmietanki w czarnej kawie, odpowiedział Al.

Kolo jedenastej, kiedy uporał się z porannymi raportami, Albert przebrał się w dres i adidas. Pomachał chwilę rękami, zrobił kilka przysiadów i zamiast do windy skierował się w kierunku schodów przeciwpożarowych. Szybkimi, dużymi krokami, po dwa stopnie, pokonał czternaście pięter, które dzieliły jego biuro od siłowni i sauny. Jak na sześćdziesiąt dwa lata był w bardzo dobrej formie, w formie wymaganej ścisłym regulaminem agencji. Sala siłowni była o tej porze pusta.

– Hej, Sal! – z daleka pomachał Albert.

– Albert – odpowiedziało echo w przestrzennej sali. – Tu jestem – Salvatore Rodrigez odłożył hantle, wstał z ławki i wytarł dłonie w ręcznik. Przywitali się.

– Już z daleka słysząc, jak stary Albert liczy dni – żartobliwie rozpoczął Sal.

– Zgodnie z ostatnimi wiadomościami i z moim podaniem zostało ich osiemnaście i pół dzisiejszego dnia – odpowiedział Albert, siadając na ławce do ćwiczeń mięśni brzucha. – Większość moich spraw i teczek powoli zamyka się i pracuję nad końcowymi raportami. Taka jest procedura przed odejściem.

– Jak tam posuwa się budowa nad jeziorem Tully?

– To już nie budowa, tylko prace wykończeniowe. Myślę, że choinkę ubiorę już w nowym domu.

– To wspaniale, Albercie, naprawdę zasłużyłeś sobie na odpoczynek. Musisz jeszcze tylko szybko znaleźć partnerkę na resztę życia.

– Kto wie? Może jeszcze zdążę – zaśmiał się Albert.

– Wiesz, chciałem się z tobą spotkać na kilka minut, żebyś pokrótce zdał mi sprawę z ostatnich wydarzeń w sprawie Alistera Swana. Co wydarzyło się od naszej ostatniej rozmowy?

– Zaszły pewne zmiany, jeśli chodzi o częstotliwość raportów. Tydzień temu Alister znowu podjął próbę złożenia dokumentów w firmie prawniczej. Tym razem wybrał małą firmę Arnold Ryba Law Office i gdyby nie całodzienna obserwacja, prawie by mu się udało. Wysłaliśmy najlepszego negocjatora, który zaoferował firmie dużą sumę za kopie dokumentów. Jeszcze tego samego dnia Arnold Ryba zerwał wstępne rozmowy z Alisterelem i wycofał się z całej sprawy. Od tamtej pory otrzymaliśmy od klienta stanowcze żądanie raportów co dwanaście godzin. Padło tu słowo „desperacja”, a to pociąga za sobą zupełnie nowy schemat działania. Przez

ostatnie dni nic się nie wydarzyło, klient tylko zbiera raporty i nie odzywa się z nowymi poleceniami. Widać, czeka na następny ruch Alistera. To chyba tyle.

– Właśnie wczoraj, przed pójściem do domu, otrzymałem przesyłkę, metalową kasetkę od klienta – poważnym tonem dodał Sal. – Dostarczył ją goniec bez żadnych wstępnych e-maili, telefonów i potwierdzeń z podpisami.

– Widzę, że tym razem pominęli rutynowe szczeble hierarchii agencji i nie przysłali tego do mnie – bez cienia żalu powiedział Al.

– Tak, chodzi tu o przygotowanie do *T.C.T.* w przypadku dalszych nierozważnych kroków Alistera. Po tylu latach nic nie uległo tu przedawnieniu ani zapomnieniu.

– Jeśli mógłbyś, Sal, zrobić mi przysługę i przekazać tę sprawę komuś młodszemu jeszcze przed moim odejściem, byłbym ci bardzo wdzięczny. Jest to ostatnia, niezamknięta teczka na moim biurku i nie chciałbym podejmować decyzji tej wagi w ostatnich dniach pracy.

– Coś mi się zdaje, że już klient sam zatroszczył się o to, żeby to spadło na moje barki. Wszystko, co masz, łącznie z danymi agentów, tych nowych i tych starych sprzed lat, podrzuć mi jutro rano, proszę.

– Bardzo ci dziękuję, Sal – z głęboką, już mało profesjonalną ulgą odetchnął Albert.

– Czy w takim razie w przyszły piątek będę mógł się pożegnać ze wszystkimi? Mam jeszcze dwa tygodnie zaległego urlopu.

– Oczywiście, drogi Albercie, urządzimy dla ciebie małe przyjęcie. Tylko nie płacz i nie wzruszaj się – Sal przyjaźnie poklepał starego po plecach w geście, na który pewnie by się nie zdecydował wcześniej ze względu na szacunek i doświadczenie kolegi.

– Obiecuję, że będę dzielny – zasalutował żartobliwie Al.

– Aha, jeszcze jeden drobiazg, korzystając z twojego wieloletniego doświadczenia. Komu powinienem polecić dokończenie... *T.C.T.*, jeśli klient tego zażąda?

Albert nie potrzebował się długo zastanawiać:

– Vincent Rogov.

– Słyszałem o nim. Dziękuję – Salvatore wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Jutro rano będę u ciebie – Albert podskoczył lekko do góry i, jakby młodszy, truchtem ruszył w kierunku drzwi. Czternaście piętér w dół przeskoczył dosłownie w trzy minuty. Wpadł do swojego biura i zrzucił sportowe ubranie. „Alister Swan też ma sześćdziesiąt dwa lata, i też, jak wynika z raportu, niedawno przeszedł na emeryturę... Na starość wracają skrupuły czy co?”

Wieczorem, z przyzwyczajenia, nastawiłem budzik na czwartą trzydzieści rano. Oczywiście obudziłem się przed czasem. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się zapać czy nawet ociągać ze wstawaniem z łóżka przed wyjazdem w kanadyjską dzicz. Nie można tego wstawania porównać z drastycznym wyrywaniem niewinnego człowieka z ciepłego łóżka do codziennej pracy. Kiedy budzik się odezwał, byłem już ubrany, umyty i gotowy do zejścia na dół. Uchy wyglądał na zaspanego – o tak wczesnej porze normalne psy śpią. Dopiero, kiedy wynosiłem przed dom nasze plecaki, podbiegł do swojego, obwąchał go dokładnie z psim zrozumieniem i z aprobatą zamachał ogonem, wyraźnie się ożywiając. Po krótkim spacerze toaletowym plecaki, buty górskie i torba z ubraniem na drogę powrotną powędrowały na tylne siedzenie, a pies na swój koc w bagażowej części mojego nissana xterra.

Bardzo lubię ten pojazd. Nigdy jeszcze mnie nie zawiódł. To prawda, że paląc jedenaście litrów na sto kilometrów nie należy do tych ekonomicznych, ale napęd na cztery koła, mocny silnik i wysokie zawieszenie terenowe już nie raz wyciągnęły mnie ze śniegu czy błota. Używałem tej mocnej maszyny nawet do wykarczowania pnia z korzeniami uschniętej brzozy przed domem, a innym razem przeprawiłem się przez całkiem głęboką wodę, kiedy to bobrowa tama spowodowała zalanie drogi i okolicy.

Mieliśmy dobry czas. Jeszcze przed piątą przejechałem pod okienkiem serwisowym kawiarni i, nie wysiadając z samochodu, chwyciłem kawę i rogała z białym serem. Ulice były jeszcze puste, ale już dawało się wyczuć pod skórą przebudzenie miasta. Za godzinę miliony ludzi miało ruszyć w ten poniedziałkowy ranek w stronę pracy, czyli w stronę Toronto. My jechaliśmy na północ, pod prąd tej oszalałej rzeki aut.

O tak, to był ten moment. Podniecenie. Lekka niepewność. Ja to uwielbiam, a Vicky... tego nie czuje. Przedemną był tydzień z samym sobą, tydzień męczącego wysiłku fizycznego. Dziennie mieliśmy robić około dwudziestu kilometrów, często pod górę, po rumowiskach skalnych, przez bagna i... mam nadzieję, że nie w deszczu. Na początku trasy, jeszcze pełen jedzenia, mój plecak ważył trochę ponad dwadzieścia jeden kilo. Znowu nie udało mi się zapakować poniżej dwudziestki. Wyjechałem na autostradę numer 400 na północ. W radiu śpiewał właśnie cicho chór, chyba pieśń mszalną Mozarta. Za oknem było ciągle jeszcze ciemnoszaro, ale wiem, że mijam pola i farmy, teren płaski, poprzecinany drogami dojazdowymi do autostrady.

Po godzinie jazdy na północ krajobraz zmienił się. Pojawiały się coraz większe obszary lasów, pocięte rzekami i podziurawione jeziorami. Na pierwszym i jedynym większym rozjeździe zjechałem na autostradę numer 69 na północ, do Sadbury. Około wpół do siódmej mglisto weszło słońce, ale czułem, że tam, ponad poranną mgłą, było zamówione przeze mnie błękitne niebo. Po następnych kilkudziesięciu kilometrach roślinność karłowaciała. Zaczynały przeważać skały i coraz bardziej powykręcane sosny, brzozy i krzewy.

Wjechaliśmy w strefę Georgian Bay, północno-wschodniej zatoki jeziora Huron. Zwykle silne wiatry i ostre zimy hartują bezlitośnie tutejszy krajobraz. Minęliśmy malownicze miasteczko Perry Sound położone na pokruszonym brzegu skalistej zatoki, potem most nad French River i pół godziny później zjechaliśmy na boczną drogę. Tutaj asfalt powoli ustępuje dziurom i łatom wypełnionym żwirem. Zwolniłem do siedemdziesiątki i jechałem ostrożniej, chociaż byłem zupełnie sam na drodze. Mimo skupienia i wytężonej uwagi, nie udało mi się ominąć sporej kuropatwy, która tuż przed zderzakiem wypadła zza krzaków. Głuchy huk i chmura piór eksplodowała przed przednią szybą. Może gdybym jechał w stronę domu, to zabrałbym ptaka na kolację.

W radiu na gitarze przygrywał Pat Metheny, mgła unosiła się, ukazując białe, błyszczące w słońcu granie białego kwarcytu, niczym lodowce ociekające wodą i spływające ku dolinom. Nie są to wielkie góry, jak Skaliste czy Alpy. Najwyższe szczyty sięgają tu zaledwie sześciuset metrów nad poziomem morza, a mimo to ich piękno zawsze mnie zachwyca. Dojechaliśmy do bramy, za którą rozciągało się całe czterdzieści osiem tysięcy hektarów parku prowincjonalnego Killarney. Powierzchnia tego rezerwatu przyrody rośnie z roku na rok, pochłaniając okoliczne lasy i jeziora – oprócz strony południowej, gdzie granica przebiega wzdłuż nietykalnego rezerwatu Indian. Była prawie dziewiąta, kiedy zaparkowaliśmy przed biurem parku. Było raczej pusto. Przy budynku kilku strażników leśnych w mundurach szykowało się do dnia służby, pijąc kawę i czekając, aż pojawi się jakiś pies bez smyczy, jak Uchy, żeby dać mu mandat.

– Dzień dobry, mam rezerwację na sześć noclegów, zaczynając od dzisiaj – zacząłem pierwszą tego dnia konwersację nie z psem. – Mam na imię Jan.

– Dzień dobry, witamy w Killarney. Wygląda na to, że będzie pan miał piękną pogodę – przyjaźnie odpowiedziała ruda, całkiem nieźle wyglądająca dziewczyna w mundurze, podchodząc do komputera. Po czterech miesiącach samotnego życia chyba większość dziewczyn jest już nieźle wyglądająca.

– Czy zna pan swój numer rezerwacji? – zapytała.

– 4457789 – bez zaglądania do notatek wystrzeliłem z pamięci – a numery miejsc noclegowych to: 45, 37, 31, 22, 18, 6 – dodałem z dumą.

Nigdy nie robię notatek. Zapamiętuję wszystkie numery telefonów, adresy, numery kont bankowych, daty... W ogólniaku w Gdyni, wraz z panią od matematyki, założyliśmy koło czy klub logicznego zapamiętywania. Za pomocą logicznych schematów udawało się nam zapamiętywać rzędy cyfr, aż do setki, czy też kilka ładnych stron tekstu. Robiliśmy zawody, mieliśmy przy tym dużo radości, a ja klasyfikowałem się gdzieś w połowie grupy. Nie byłem geniuszem, ale dzięki temu systemowi miałem niezłe oceny z innych przedmiotów wymagających wkuwania. Do tej pory ćwiczę pamięć, licząc, że skleroza dopadnie mnie kilka tygodni później niż innych.

Ruda popatrzyła na mnie z podziwem:

– Widzę, że wybierasz się pod prąd. Czy zdajesz sobie sprawę, że to dużo trudniejsza trasa niż z zachodu na wschód?

– Wiem – odparłem z miną profesjonalisty – pokonywałem już La Cloche kilka razy w obydwie strony.

– O, tak? – ruda uśmiechnęła się z podziwem po raz drugi i wydrukowała kilka kwitków rejestracyjnych.

Podpisałem umowę o dobrym zachowaniu, nieśmieceniu i o tym, że pies będzie zawsze na smyczy. Uchy by się uśmieł...

Podjechałem na parking bliżej miejsca, gdzie kończy się pętla La Cloche i zaparkowałem nissana pod dużym, czerwonym klonem. Zmieniłem buty, przypiąłem do plecaka butelkę z wodą i przygotowałem kijki. Jeszcze nie tak dawno śmiałem się z ludzi, którzy wydawali pieniądze na kijki do chodzenia. W reklamie kijków Kamperdell kozica górską stoi na czubku skały, a podpis głosi: „Zapytaj jej, czy lepiej na dwóch, czy na czterech”. Ja dopiero w północnych Apalachach przekonałem się, że na czterech, kiedy to w maju natrafiliśmy na cztery kilometry trasy przykrytej półmetrową warstwą mokrego śniegu. Bez kijków pewnie bym tam płakał i brnął do dziś.

Po czterech godzinach za kierownicą trzeba było się trochę rozruszać. Pogoniłem psa dokoła auta, zrobiłem kilka przysiadów i porozciągałem się. Dokumenty, portfel i klucze powędrowały do tajnej skrytki pod tylnym siedzeniem, oczywiście oprócz klucza do nissana i pozwolenia na kemping. W drogę. Pierwsze kilka minut marszu stanowił spacer przez prawie pusty o tej porze roku kemping. Chwilę później żarty się skończyły i od razu trasa powitała mnie ostrym podejściem.

Pot zalewał mi oczy. Pomarańczowa bandana na głowie pociemniała. Mijał ten

pierwszy moment przestawienia organizmu na nowy bieg, mijał czas początkowego zmęczenia i wyszliśmy na pierwszą wyżynę. Las zostaje w dole, odsłaniając piękny widok. Już z tego miejsca widać kilka błękitnych jak niebo jezior i okoliczne szarobiałe szczyty. Nad małym, czystym jeziorkiem wyżynnym zrobiliśmy pierwszą przerwę. Uchy dzielnie poczekał na zdjęcie plecaka, po czym dał nura do chłodnej wody. Był bardzo szczęśliwy. Jego pan też. Pies wylazł z wody. Czekaając na psiego kabanosa, otrzepał wielki łeb, posyłając mi orzeźwiający prysznic śliny z pyska i wody z uszu.

Wypiłem łyk wody. Zamknąłem oczy. To jest życie. Do pierwszego noclegu zostało mi jeszcze ze cztery godziny marszu.

Samolot wylądował zgodnie z planem. Podróżujący tylko z podręcznym bagażem Vincent ruszył prosto do wypożyczalni aut. Przez okienko podał kawałek papieru z nazwą firmy ziewającemu Hindusowi, który wyraźnie ożywiony wybiegł z biura.

– Proszę za mną, sir – otworzył z ukłonem drzwi srebrnej toyoty. – Wszystko jest załatwione, sir, życzę miłej podróży.

Vincent bez słowa zamknął drzwi i ruszył z piskiem opon. W schowku była jak zwykle gruba koperta zawierająca tylko małego pendrive'a. Zjechał na jakiś parking niedaleko Logan International Airport. Wyjął z plecaka małego laptopa i przeczytał szybko instrukcję. Wysiadł na chwilę z samochodu, położył pendrive'a na krawężniku, rozgniół obcasem jak niedopałek, po czym zgarnął okruchy plastiku do studzienki spływowej. Musiał jeszcze przed nocą zrobić zakupy: mały namiot, plecak, buty turystyczne i resztę sprzętu potrzebnego na wyprawę do Kanady. W Methuen, niedaleko autostrady numer 93, musiał zjechać i odwiedzić zakład naprawy zmywarek. Tam czekała na niego przesyłka i nowy pendrive. Jak zwykle wszystko załatwił szybciej, niż przewidywał. W niedzielne popołudnie poruszał się szybko, bez codziennych korków przy wyjeździe z miasta. Po drodze zatrzymał się tylko raz, na obiad złożony z krwistego steka. Przed zmierzchem zjechał na autostradę numer 89 do Vermont.

Adres w Barlington znalazł od razu. Przed dużym, kamiennym domem stał zaparkowany czarny chevrolet suburban. Podjechał z przodu na odległość około pięćdziesięciu metrów i raz mignął światłami. Suburban włączył silnik i powoli, żeby nie budzić mieszkańców drogiej dzielnicy, ruszył do przodu. Vincent położył siedzenie i na chwilę zamknął oczy. Była prawie druga godzina w nocy. Podczas

służby w Black Water w Iraku wyćwiczył do perfekcji coś w rodzaju półsnu. Śpi i odpoczywa, będąc jednocześnie świadomym wszystkiego, co dzieje się wokół niego i planuje już następny dzień. Ma wszystko, czego potrzeba, żeby spełnić powierzoną mu misję. Gdzieś w głębi świadomości pojawiło się znane tylko jemu podniecenie i uczucie podobne do radości, ale tej bardzo specjalnej radości, nieznannej otaczającej go masie zwykłych ludzi.

Alister zawsze lubił wyruszać w drogę wcześniej rano. Tym razem start nie tylko został opóźniony o całą dobę, ale jeszcze o oczekiwanie do ósmej rano na dostawę land rovera. Plecak już od wczoraj stał gotowy koło drzwi, obok stały skórzane buty. Był gotowy, a nie lubił czekania.

Jeszcze raz zajrzał do piwnicy i sprawdził automaty dozujące pożywienie i pompy powietrza w dziewięciu dużych akwariach z rybami i gadami, które zajmowały większość pomieszczenia. To było jego prywatne laboratorium biologiczne, które skompletował przed laty.

Wszedł jeszcze raz na górę po mapę. Usiadł z kubkiem kawy w ręce i popatrzył na buty Julii. Nagle, po raz pierwszy od śmierci żony, poczuł to, o czym czasem, z niedowierzaniem czytał, lekki jakby zapach, powiew, coś w rodzaju muśnięcia wszystkich końcówek układu nerwowego naraz. Julia tu była. Wzruszył się, a oczy wypełniły łzy. Drzwi i okna pozamykał wcześniej, a jednak wyraźnie poczuł ten przedziwny i niewytłumaczalny ruch powietrza w ich małym pokoju na poddaszu. Firanka nad małym, trójkątnym okienkiem uniosła się lekko.

– Julia? – wyszeptał, podchodząc do okna. – Trudno mi wyruszyć do lasu bez ciebie, bądź ze mną. Jeszcze nie dokończyłem tego, co ci obiecałem, ale już niedługo... – powiedział ze wzruszeniem.

Za oknem nie było już czarnego suburbana. Dalej, po drugiej stronie ulicy stała srebrna toyota. „Czyżby Julia chciała mi ją pokazać?”

W tej samej chwili z zamyślenia wyrwał go biały SUV marki Land Rover LR3, wjeżdżający na brukowy podjazd przed domem. Odstawił pusty kubek na parapet i rozejrzał się po ich ulubionym pokoiku.

– Kocham cię – westchnął, zamykając po cichu drzwi. Zszedł na dół po schodach.

– Wszystko gotowe, proszę pana – mały Chińczyk podał mu do ręki kluczyki. – Bardzo przepraszamy za niewygodę i opóźnienie, i proszę się nie martwić o rachunek, wszystko pokrywa gwarancja.

Nie czekając na dalszą konwersację, Alister zajął się załadowaniem plecaka na tylne siedzenie, po czym założył wygodne adidasy. Nareszcie, po tych bezsensownych opóźnieniach poczuł namiastkę tego, co dawniej tak doskonale czuli oboje... Podniecenie przed wyprawą, ten dreszcz bycia w ciszy, niby niebezpiecznej, a jednak będącej kwintesencją spokoju i błogiego wtopienia się, bycia całością z otaczającym światem danym człowiekowi chyba na początku stworzenia.

Ruszył na autostradę numer 15 wiodącą w stronę granicy kanadyjskiej, a później dalej do Montrealu. Kilkakrotnie zerkał w lusterko i stwierdził, że znajomych samochodów nie ma w polu widzenia. Jechał szybko. Niespełna po półtorej godziny, z krótkim postojem, przejechał granicę. Rząd Stanów Zjednoczonych cały czas odgraża się zaostreniem prawa paszportowego, ale póki co można przekraczać granicę lądową ze zwykłym prawem jazdy. W centrum Montrealu zjechał z autostrady i skręcił na pierwszym skrzyżowaniu do centrum sklepowego. Zaparkował przed kawiarnią Tim Hortons, kupił kubek kawy i ciastko z płatkami owsianymi. Siedząc przy oknie, cały czas obserwował parking i wyjazd z Rue St. Joseph. Gdy skończył, rozejrzał się jeszcze raz. Podszedł do tylnych drzwi samochodu i nachylając się do środka, wsunął pod bluzę szarą teczkę.

Zamknął auto i ruszył przez parking w stronę Bank of Nova Scotia. Zaraz przy drzwiach stanął w kolejce do bankomatu, rozejrzał się znowu i ruszył do wolnego stanowiska obsługi klientów.

– Dzień dobry, chciałem założyć skrytkę bankową na hasło i okaziciela, ale mam bardzo mało czasu.

– To potrwa nie dłużej niż dziesięć minut – odpowiedziała pani, sięgając po prawo jazdy Alistera.

Podpisał kilka stron umowy i ruszył za panią w głąb banku. Tutaj otrzymał dwunastocyfrowy kod i trzy plastikowe karty. Skrytka okazała się raczej mała. Żeby nie przedłużyć całej operacji, zwinął teczkę w rulon. Podziękował i ruszył szybkim krokiem do land rovera. Na parkingu w dalszym ciągu nie było znajomych aut.

Za Montrealem znalazł zjazd na drogę numer 401, w stronę Toronto, dodał gazu i ustawił tempomat na sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Po trzeciej powinien minąć miasto i skręcić na północ. Przejazd z Montrealu do Toronto jest płaski i nudny, ale o tej porze roku lasy płoną wszystkimi kolorami jesieni. Czerwienie, wszystkie odcienie żółci i pomarańczy lśnią w południowym słońcu. Cudowny widok. „Szkoda, że Julia... A może ona tu jest ze mną?” Julia nigdy nie zachwycała się głośno: „och, jak pięknie” czy „och, jaki cudowny widok”. Milczała, a jej oczy płonęły tym dziwnym, pozaziemskim uwielbieniem, miłością do życia i piękna.

O zachodzie słońca krajobraz zmienił się. Z bezkresną masą kolorowego lasu zaczęły wygrywać szare skały pocięte pasami błyszczącego białego kwarcytu. Niedaleko zjazdu na boczną drogę, prowadzącą do wsi i parku Killarney, Alister zdecydował się na nocleg w przydrożnym motelu.

French River Motel reklamował też kilka małych domków do wynajęcia nad jeziorem, około dwustu metrów od drogi. Wybrał domek, małą drewnianą chatkę z prysznicem. Rzucił plecak na łóżko i pobiegł truchtem z powrotem w stronę motelu, gdzie widniał czerwony neon „Obiady domowe – restauracja”. Zamówił zupę warzywną i żeberka z pieczonym ziemniakiem. Przez te wszystkie lata, gdy jadali razem poza domem, Julia zawsze zamawiała pieczone ziemniaki ze szczypiorkiem i kwaśną śmietaną, a Alister niezdrowe frytki. Jak na mały, zapadły motelik zagubiony w kanadyjskich lasach to trzeba przyznać, że jedzenie było całkiem dobre albo jedzący był na tyle głodny po całym dniu jazdy, że wszystko wydawało mu się specjałem.

W ostatniej fazie zmierzchu za oknem widać było parking, kilka samochodów, a w oddali śmigwały światła na autostradzie 69. Alister zaniepokoił się, gdy na parking wjechała srebrna toyota, identyczna jak ta rano, przed domem. Zrobiła koło i stanęła naprzeciw okna, za którym siedział Alister, rażąc go światłami prosto w oczy. Światła zgasły. Nikt nie wysiada i nie szuka ubikacji, jak to bywa zwykle na takich przystankach z dala od miast. Niebieska rejestracja z Ontario. Alister odczuł ulgę. Wypił piwo i poprosił o następne. Tamta rejestracja była ze stanu New Hampshire. Zanim skończył drugie piwo, toyota zapaliła światła i ruszyła w stronę, z której przyjechała. „Może ktoś pomylił drogę albo zajechał za daleko, sprawdził na mapie i zawrócił?”

Nie myślał już o tym dłużej. Po obiedzie i prysznicu zasnął w ciągu kilku sekund. Śniła mu się Julia, tak, chyba pierwszy raz śniła mu się Julia. W lesie, gdzieś nad wodą. Julia chodziła powoli wzdłuż brzegu, chyba rzeki, tam i z powrotem. Chodziła tak, jak człowiek czekający na autobus na przystanku. Tam i z powrotem... Była spokojna, ładnie wyglądała, milczała i chodziła... Alister obudził się, popatrzył na cyfry olbrzymiego, motelowego budzika. Była piąta trzydzieści. Domek był wyposażony w ekspres do kawy, kawę, cukier, a nawet kilka ciasteczek z rodzynkami w nieotwartym opakowaniu. Jeszcze przed szóstą wytoczył swoją białą maszynę z powrotem na drogę 69. Ruch był niewielki.

Nie udało mu się ujechać dziesięciu kilometrów, kiedy zaraz za mostem musiał gwałtownie zwolnić. Przed nim, w szarym poranku, widniała rzeka czerwonych świateł. Przez chwilę stał w nieruszającym się korku. „Wypadek albo remont drogi”,

pomyślał i powoli zaczął jechać po żwirowym poboczu, mijając stojące auta.

– Absolutnie nie możesz jechać po poboczu! – zawołała stanowczo policjantka siedząca na motocyklu. – Dwieście metrów przed nami leży przewrócona w poprzek ciężarówka z drzewem i zaraz ma tędy jechać dźwig! Widzisz tę drogę prowadzącą na wyrąb lasu? Zjedź w nią i zwolnij pobocze – zniecierpliwiona machnęła ręką w stronę błotnistej zjazdu.

– Jak długo to potrwa? – ośmielił się zapytać Alister.

– Dwie, trzy godziny, ale możesz spróbować objechać ten bałagan drogą na wyrąb. Masz mocne auto, tylko trzymaj się lewej – kiwnęła głową z sarkastycznym uznaniem. – Amerykanom zawsze się spieszy – dodała pod nosem, a sama do siebie burknęła: – A utop się w błocie!

Trudno to było nawet nazwać drogą. Po chwili jazdy po kamieniach i żwirze zaczęły się głębokie, błotniste koleiny wyciśnięte w glinie przez ciężkie ładunki drzewa z pobliskiego wyrąbu. Land rover radził sobie dobrze, tylko plecak i reszta bagażu skakała prawie pod sufit.

Kawałek dalej, w poprzek tej „syberyjskiej” niby-drogi, leżał pień sporej sosny. Bez namysłu Alister wjechał na prawie półmetrową przeszkodę lewymi kołami. Land rover niebezpiecznie przechylony powoli posuwał się do przodu, po czym stoczył się z pnia w głęboką kałużę. Najpierw stanął, bujając się do przodu i do tyłu. Kierowca przełączył bieg na najmocniejszy, napędzający wszystkie cztery koła i pojazd wyskoczył, pociągając za sobą tsunami brunatnego błota. Drogę przed sobą Alister widział coraz gorzej. Przednią szybę i reflektory prawie zupełnie przykryła gęsta maź. Włączenie wycieraczek i długich świateł niewiele pomogło. Zatrzymał się i wysiadł. Korzystając z kupy suchych gałęzi z boku drogi przedostał się na przód auta i ręką starł z lamp grubą warstwę nagrzanego błota. Powoli, ale skutecznie posuwał się do przodu. Dwieście dwadzieścia koni mechanicznych brykających w ośmiu cylindrach silnika przeprowadziło Alistera przez prawie dwa kilometry drogi przez piekło. Wyjechał z powrotem na pustą już w tamtym miejscu drogę 69, wiodącą na północ. Za drzewami widać było samochody stojące w miejscu na linii południowej. Wysiadł i obejrzał swoją niezawodną maszynę, ociekającą zielono-brunatną, gęstą zupą i oklejoną warstwą kolorowych liści, które znacznie ładniej wyglądają jesienią na drzewach. Kolor jeszcze dawało się rozpoznać po kawałku białego dachu. Była siódma. Stracił prawie godzinę. Przyspieszył auto, ale już wkrótce musiał ponownie zwolnić. Okolicę przykryła gęstniejąca z minuty na minutę mgła. Alister jechał bardzo powoli. Droga dojazdowa do parku i wioski Killarney nie była najwyższej klasy. Dziury w asfalcie, słaba widoczność oraz bardzo realna możliwość napotkania

dzikiej zwierzyny wręcz prosiły o dodatkową ostrożność. Udało mu się we mgle nie ominąć bramy parku i jeszcze przed ósmą zajechał na pusty parking.

– Dzień dobry – zza komputera odezwała się całkiem ładna, jeszcze zaspana strażniczka parku.

– W czym mogę panu pomóc?

– Dzień dobry. Mam rezerwację na trasę La Cloche, na sześć nocy, z tym, że chciałbym dokonać zmiany kierunku, jeśli to możliwe.

– Zaraz zobaczymy, co da się zrobić. Muszę jednak uprzedzić, że droga ze wschodu na zachód jest dużo trudniejsza.

– Poradzę sobie, mam nadzieję pokonać trasę w pięć lub sześć dni.

– OK, proszę zapisać nowe miejsca noclegowe: 45, 37, 31, 22, 18, 5 i podpisać regulamin.

Po chwili Alister już się rozgrzewał na parkingu przed wyruszeniem na szlak. Zmienił buty, sprawdził plecak i zatrzasnął kupę błota w kształcie Land Rovera LR3. Zawsze w tym momencie, w momencie wyruszania na wielodniową wyprawę, Julia zakładała plecak i krzyczała: „W droooogę!”, a potem, robiąc przesadny łuk w powietrzu ręką: „Idzieeeeemy!”.

Tym razem był sam.

W dni, w które nic pilnego nie miało się wydarzyć, Robert Taylor, korzystając z przywileju właściciela biura, zaczynał pracę po dziesiątej trzydzieści. Zalety tych dni były oczywiste. Miał dużo energii po porannych ćwiczeniach, był weselszy po dobrym, spokojnym śniadaniu i oczywiście sama droga do biura zajmowała dużo mniej czasu po porannym korku. O tej porze codzienna poczta była już zazwyczaj na biurku. Wtorkowy ranek, a właściwie przedpołudnie, zaczął od oddzielenia śmieci od kopert wartych otwarcia. Duża, żółta koperta z pieczętką „POLECONY”, dostarczona przez kuriera, górowała nad resztą poczty. Nadawca Alister Swan. W tym momencie tak dobrze rozpoczęty dzień zatrzymał się. Nie bardzo miał ochotę na otwarcie przesyłki, z której po prostu nic dobrego nie miało szansy wyniknąć. W dużej kopercie były dwie mniejsze: pierwsza zalakowana i opieczętowana oraz druga z dopiskiem: „Otworzyć ma tylko Robert Taylor”. „Mam nadzieję, że jednak mnie posłuchał” – pomyślał, rozcinając papier drewnianym nożykiem.

Załączona, zalakowana koperta zawiera tylko i wyłącznie tymczasową poprawkę do mojego testamentu. W przypadku mojej śmierci należy ją otworzyć w obecności

pięciu świadków. Dołączam listę trzech świadków. Proszę wybrać pozostałe dwie osoby.

Podpisano: „Alister Swan”.

Robert spakował przesyłkę do metalowej kasetki i umieścił ją w firmowym sejfie.

Pogodę mieliśmy wymarzoną. Był koniec września – całe dnie można maszerować w krótkim rękawie, a wieczorem zanurzyć się na chwilę w jeziorze. Na trzeci dzień marszu doszliśmy do miejsca, gdzie ścieżka La Cloche krzyżuje się z drogą łączącą jezioro Bell z najwyższym szczytem parku. Można dopłynąć tu w *canoe* i zrobić dzienną wycieczkę na Silver Peak, czyli Srebrzysty Szczyt, który króluje nad okolicą ponad pięćset metrów nad otaczającymi go jeziorami. Będąc bliskim zachwytu, jaki budzi zapierający dech widok na okolicę ze szczytu, zauważyłem jeden mały problem. Była już trzecia po południu i nie zdążyłbym przed nocą wejść, nacieszyć się, zejść i dotrzeć na następne miejsce noclegowe. Musiałem wraz z Uchym popełnić drobne przestępstwo, czyli przenocować na szczycie, co oczywiście jest zabronione. W ostatnim strumieniu przepompowaliśmy przez filtr pięć litrów wody, sprawiedliwie rozdzieliliśmy butelki pomiędzy plecaki i ruszyliśmy ostro pod górę. Ten odcinek doprawdy wyciska pot z człowieka. Byłem już na tym szczycie dwukrotnie, ale zawsze z małym, dziennym plecakiem. Tego dnia ciągnąłem ze sobą cały bagaż, plus wodę do picia, gotowania i obmycia chociażby twarzy. Po godzinie marszu niewysokie drzewa nagle się skończyły, dalej już rosły tylko jagody i różnokolorowe mchy.

W czasach, kiedy nie było jeszcze przeciwpożarowych patroli powietrznych i satelitarnych na szczycie zbudowano dwudziestometrową wieżę obserwacyjną. Pomyślałem, że chętnie bym się zamienił na pracę z tym szczęśliwcem, który całymi dniami obserwował raj na ziemi... setki jezior, setki hektarów lasów i niekończące się białe łańcuchy skalne. W oddali widać poszarpane skaliste wybrzeże Georgian Bay i cienką linię na horyzoncie – to Manitoulin Island, wyspa, której połowę zajmuje rezerwat Indian.

Bez żartów, nocleg w nieoznakowanym miejscu mógł mnie słono kosztować – mandat w wysokości kilkuset dolarów. Nie zapowiadało się na deszcz, także zdecydowałem się na spanie bez namiotu i oczywiście wieczór bez ogniska. Znaleźliśmy spory dywan pięknego, czerwonego mchu, osłonięty skałą od zawsze wiejącego tu wiatru. Przebrałem się w suche ubranie i nastawiłem wodę na kurczaka

w sosie curry z ryżem i warzywami. Byłem głodny jak pies i to mój własny pies, który bez litości rozszarpał woreczek z żarciem. Okazało się, że niepotrzebnie nieśliśmy aż tyle wody, bo Uchy znalazł głęboką na pół metra szczelinę skalną pełną deszczówki. Z przyjemnością obmyłem spocone ciało i uśmiełem się serdecznie, kiedy wielki pies wpasowywał się w szczelinę tak, żeby się jak najbardziej zamoczyć. Ta sztuczka nadawałaby się do cyrku, może... takiego tańszego cyrku. Po kolacji i herbatce zapaliłem cygaro, oglądając spektakl pod tytułem *Słońce zachodzi nad Georgian Bay*.

Nasze legowisko z mchu było tak miękkie i wygodne, że bez oporów zrezygnowałem z dmuchanej maty. Ułożyłem się w ciepłym śpiworze, z przytulonym do siebie, dodatkowo grzejącym Uchym.

To niesamowite, ale w te zimne kanadyjskie jesienne noce wielki pies, jak mój, podnosi temperaturę w namiocie o kilka stopni. Druga część cudownego przedstawienia skończyła się około siódmej następnego ranka. Słońce wzeszło nad nieskończonym obszarem zamglonego lasu po drugiej stronie szczytu. Ranek był chłodny, co przyspieszyło śniadanie bez ogniska i pakowanie.

Następny dzień był chyba najdłuższy podczas tej wyprawy. Przeszliśmy ponad dwadzieścia dwa kilometry i pod wieczór, patrząc na mojego towarzysza wędrówki, zrozumiałem, że chyba przesadzam. Prawie już ośmioletni Uchy był naprawdę wyczerpany. Zjadł i padł koło ogniska. Dodatkową trudnością tego dnia była na oko stumetrowa ściana, którą trzeba było pokonywać wspinając się z półki na półkę i wciągając plecaki na linie. Stosunkowo niskie, do półtora metra stopnie były trudną przeszkodą dla psa, który nie mógł wziąć rozbiegu na wąskich półkach skalnych. Na pytanie, które niejeden ze znajomych chętnie by zadał: „Co byś zrobił, gdyby pies złamał łapę w tak trudnych warunkach?” odpowiadam – nie wiem! Wolę o tym nie myśleć.

Noc spędzaliśmy nad jeziorem-studnią, otoczonym ze wszystkich stron stromymi skałami. Dodatkowo musiałem natrudzić się, żeby dostać się do wody i napełnić butelki, jedną ręką praktycznie wisząc na linie. Uchy tym razem pił z mojego garnka. Po takim dniu byłem pewien, że będę spał jak dziecko. Już o dziewiątej wlałem do śpiwora. Niestety i tu czekała mnie niespodzianka. Po wschodzie księżyca, na dodatek w pełni, zrobiło się jasno i para bobrów w jeziorze rozpoczęła kilkugodzinną zabawę w strzelanie ogonami o taflę wody. Był to huk, jakby ktoś wrzucał do wody półtonową skałę z dużej wysokości. Dodatkowo, echo wzmacniało nocne hałasy, potęgując każdy plusk i odgłos godowych harców. Nie wiem, ile czasu udało mi się przespać, ale był to ten moment, kiedy miałem tej przyrody trochę dosyć.

Następnego dnia spokojnie spacerowaliśmy po jednolitej skalnej grani z pięknymi widokami południowej strony parku. Z daleka, po drugiej stronie rozległej doliny, widziałem czarnego niedźwiedzia szukającego resztek jagód. Był na tyle daleko, że nawet pies nie okazywał zaniepokojenia. Spacer jak po chodniku. Trasa oznaczona pojedynczymi stożkami kamieni. Dużo odpoczywaliśmy – ja i pies. To był krótki dzień. Około godziny drugiej dotarliśmy na miejsce. Jak zwykle zjedliśmy obiad, kąpiel i relaks... nawet poobiednia drzemka po słabo przespanej nocy. Wieczorem ognisko i łyk szkockiej przed snem. Zasnąłem szybko i śniłem.

Sen był bardzo wyraźny, jak film. Szedłem plażą. Zupełnie nieznana plaża, nie ta z młodości i dzieciństwa w Gdyni. Było spokojnie i bezwietrznie. Drobne fale rozlewały się po mokrym piasku. Powietrze przesycalo poczucie spokoju i harmonii. Absolutna cisza. Nie słychać nawet ptaków, szumu fal... niczego... jak w niemym filmie. Atmosfera studyjno-surrealistyczna. W oddali widać było jakieś zabudowania. Zbliżałem się i widziałem budynki z czerwonej cegły stojące na piasku. Jak wieloryby na piasku, leżały w rzędzie, dnem do góry żółto-zielone łodzie rybackie. Podeszedłem bliżej do przystani rybackiej i dostrzegłem mężczyznę pochylonego w skupieniu nad piaskiem. Mężczyzna podniósł głowę, kiwnął w geście powitania, ale nie patrzył w moim kierunku. Minąłem go bardzo blisko i czułem niepokój, jakby wokół niego w tej dobrej przestrzeni była czarna dziura. Uśmiechnął się, ale znowu jakby nie do mnie... Pokazał gestem odrapane drzwi w ścianie pierwszego z budynków. Popchnąłem je do środka. Odezwało się skrzypnięcie – pierwszy i dziwnie realny dźwięk w tym śnie. Drugie drzwi, a na nich wypisany długi rząd nic nieznaczących liter i cyfr, jakby szyfr czy kod. Trzecie drzwi zardzewiały. Nie było już tej dobrej poświaty, tylko ciemność, wilgoć i zimno. Na betonowej posadzce stały kałuże wody, miejscami różowej. Po ścianach spływały wąskie stróżki, tworząc na podłodze kałuże... krwi. Spojrzałem do góry. Pod pleśnią sufitu przebiegała od ściany do ściany zardzewiała szyna, z której zwisały zardzewiałe haki. Jak w rzeźni. Szedłem dalej. Szyna była również w następnym pomieszczeniu. Tutaj, na hakach, głowami w dół, wisały ogromne ryby, ociekające wodą i krwią. Haki przebijały ich ogony. Mój wzrok przesunął się powoli w dół. Od połowy ryba już nie miała łusek... dalej pokryta była skórą... ludzką skórą: brzuch, piersi kobiece, szyja, ludzka twarz, półotwarte, martwe oczy i długie, ciemne włosy, rozplływające się w kałuży czerwonej wody na podłodze. – O Boże! To syreny! Całe rzędy wiszących, martwych syren... – Krzyk zadławił mi krtań. Zerwałem się z ogłuszającym łomotem serca. Spanikowany siedziałem w zupełnej ciemności namiotu, oddalony od najbliższej osady o co najmniej czterdzieści kilometrów. Rękami, po omacku, szukałem latarki.

Przestraszony moim krzykiem pies miotał się, szukając wyjścia na zewnątrz. Wreszcie wpadło do namiotu światło. Odetchnąłem, jak po maratonie. Pogłaskałem psa uspakajająco. Dopiero po chwili odnalazłem się w czasie i przestrzeni. „Boże! Syreny?!”, powracają szokujące obrazy, „co to może znaczyć? Syreny, symbole... Wypatroszone na rzeźniczych hakach, martwe, jak mięso w rzeźni przeznaczone na handel. O co tu chodzi? Syrena to przecież bardziej człowiek niż ryba”. Pot powoli ostygła na czole, puls wracał poniżej stu pięćdziesięciu. Lubię malarstwo surrealistyczne, ale analiza mojego snu przekraczała granicę mojej wyobraźni. „Wypatroszone ludzkie życie... za pieniądze?” Nabrałem przekonania, że jeśli jest to sen proroczy, to w ciągu najbliższych pięciu minut wściekły niedźwiedź rozszarpie mój namiot, a potem mnie, i na to wszystko spadnie zabłąkany meteor. Nie spałem już do rana.

Na ekranie małego laptopa ukazała się mapa nawigacyjna. O 7:45 czerwony punkt ruszył z pozycji oznaczonej L-R DEL i powoli przesuwiał się w kierunku miejsca, w którym znajdował się Vincent.

Barlington to niewielkie miasteczko. Już po kilku minutach biały Land Rover LR3 minął stojącą na poboczu toyotę Vincenta i powoli skręcił na brukowany podjazd przed domem. Drzwi wejściowe otworzyły się natychmiast i starszy mężczyzna wyszedł szybkim krokiem w kierunku auta.

Zniecierpliwionym gestem prawie wyrwał kluczyki z ręki niskiego Chińczyka, który wysiadł z auta i próbował nawiązać konwersację. Nie zwracając więcej uwagi na przybysza, mężczyzna-podmiot wyniósł z domu duży plecak, torbę podróżną i parę butów. Otworzył bagażnik i wrzucił bagaż. Następnie, za pomocą pilota, zamknął dom i prawdopodobnie uruchomił system alarmowy. Nad drzwiami zamrugało niebieskie światełko. Chińczyk z ukłonem wycofał się w stronę ulicy, a land rover szybko ruszył z miejsca i zniknął za pierwszym zakrętem.

Vincent nie ruszył za nim od razu. Wysiadł z samochodu, zrobił kilka przysiadów i skłonów, po czym powoli podszedł do auta. Dopiero, kiedy czerwony punkt na ekranie wjechał na rampę autostrady 15 na północ, włączył silnik toyoty. Vincent znał się na swojej pracy, był profesjonalistą. Na autostradzie zaprogramował system na odległość od dwóch do trzech kilometrów od czerwonego punktu. Za marne kilka dolarów chłopak z Land Rovera zainstalował bardzo silny sygnalizator satelitarny, co powinno bardzo ułatwić zadanie. Po przejechaniu granicy kanadyjskiej podmiot

zjechał z autostrady w centrum Montrealu i zatrzymał się na pobliskim parkingu sklepowym. Vincent zaparkował dwie ulice przed parkingiem, wysiadł ubrany w czarny strój sportowy i buty do biegania. Machając rękami, lekkim truchtem pobiegł w stronę parkingu. Bez trudu zlokalizował białego land rovera. Podmiot właśnie wyszedł z Tima Hortonsa z papierowym kubkiem kawy w ręku, podszedł na chwilę do auta, otworzył drzwi, zostawił kawę i ruszył w stronę banku. Na trawniku przed kawiarnią Vincent robił przysiady i rozciągał się – był po prostu zwykłym porannym biegaczem w wielkim mieście. Ciemne okulary przeciwsłoneczne pozwalały na wnikliwą obserwację terenu bez odwracania głowy w kierunku zainteresowania. Po osiemnastu minutach podmiot – A.S. – wyszedł z banku. Czas raczej w normie, nie wymaga specjalnego zainteresowania. Po powrocie do toyoty, Vincent w mgnieniu oka zmienił magnetyczne tablice rejestracyjne na niebieskie – prowincji Ontario.

Czerwony punkt zatrzymał się jeszcze tylko raz, na siedem minut, na stacji benzynowej koło Toronto, po czym kontynuował podróż dalej na północ autostradą 400 i 69. O zmierzchu, około sto kilometrów od miasta Sadbury, land rover zjechał na parking przydrożnego motelu na nocleg.

Vincent odczekał pół godziny przy zjeździe na polną drogę, po czym powoli wjechał na parking i zaparkował pod napisem: „Motel-Restauracja”. W polu widzenia nie było białego land rovera. Parkując toyotę, najwyżej pięć metrów od okna restauracji, światła padły prosto na postać siedzącą za szybą, przy pierwszym stoliku. Podmiot – A.S. – patrzył prosto w lampy toyoty, jak zając nocą na drodze. Patrzył prosto w tablicę rejestracyjną – na szczęście na zmienioną tablicę rejestracyjną.

To nie było ani potrzebne, ani profesjonalne. Nagle pojawił się ten zniechęcony błysk niepewności. Jak bólu, nie cierpiał tego uczucia, tych sekund bez kontroli sytuacji. Następna myśl: „co byłoby, gdyby nie zmienił tablic?”. Wycofał auto i wrócił na polną drogę. Z dala od szosy znalazł zaciszne miejsce na skraju lasu i wyłączył silnik. Narzucił na plecy czarną kurtkę, wyjął z plecaka małą lornetkę i zniknął w lesie. Czarne ubranie w dzień nikogo nie dziwi, a w nocy nikt go nie widzi. Tym razem bez trudu odnalazł białego SUV-a zaparkowanego przed drzwiami małej, drewnianej kabiny nad jeziorem, na tyłach motelu. Z bezpiecznej odległości widział na półzasłonięte okno i mężczyznę wychodzącego spod prysznica. Za chwilę światła zgasły. Z liści i suchej trawy Vinc zbudował legowisko, gdzie spędził następną noc w półśnie, obserwując kabinę. „Nic się nie wydarzyło. Wszystko było pod kontrolą”.

Wcześniej niż się spodziewał, jeszcze po ciemku, podmiot wrzucił bagaż do

samochodu i ruszył na drogę numer 69. Zmarznięty, po całej nocy bez ruchu, Vincent z ulgą pobiegł w stronę swojej toyoty. Ciepło wracało wraz z krążeniem krwi. W porannej mgle z daleka zauważył duży biały prostokąt na przedniej szybie auta. Zwolnił, rozejrzał się wokoło. Na brudnej tekturze widniał napis: „Jeszcze raz tu zobaczę tę kupę gówna, to ją spalę – teren prywatny”.

„Auto miało być ukryte i niezauważone przez noc!”. Ze złością cisnął tekturę w krzaki i ruszył wyboistą drogą. „Co ja do cholery robię?” – skarcił się sam, tym razem uderzając pięścią w prawy policzek. Zabolało. Był to mocny cios. Wysiadł, pobiegł w krzaki, zabrał tekturę i ponownie ruszył na drogę 69.

„Spokojnie”, pomyślał, „kontroluj sytuację”. Nieoczekiwanie czerwona kropka stanęła w miejscu, nie zjeżdżając jednak z autostrady. Przejechał szczyt wzniesienia i na drodze prowadzącej dosyć stromo w dół, aż do żelaznego mostu, ujrzał nieruchomą, czerwoną linię światła stopu. W przeciwnym kierunku, na południe, nie było ruchu w ogóle. Autostrada stała.

– Kurwa, tego już za wiele jak na jeden ranek! – zaklął głośno, wiedząc dokładnie, że przekleństwo oznacza zdenerwowanie i utratę kontroli. Ekran laptopa dalej pokazywał nieruchomą kropkę około pięćset metrów w górę za mostem. Powoli zjechał na zwirowe pobocze, mijając kilkanaście stojących aut. Niestety, udało mu się dojechać tylko do mostu, gdzie pobocze zamieniło się w chodnik dla pieszych. Po chwili, jakby znikąd, pojawiła się pani policjant na motorze i z daleka pogroziła mu palcem.

– Oj, bo będzie mandat! Cierpliwości. Dwa kilometry przed wami leży w poprzek drogi ciężarówka z drzewem. Już zaczęli pracować nad uprzątnięciem bałaganu. Proszę wyłączyć silniki i cierpliwie czekać – odjechała szybko w stronę wypadku.

„Mandat”, przemknęło mu przez myśl, „tablica ma oczywiście fałszywe numery!”. Vincent popełnił trzy idiotyczne błędy w ciągu dwudziestu czterech godzin. To niedopuszczalne. „Myśl, co robisz! Skup się!”

Czerwony punkcik powoli zaczął się przesuwać.

Musiały minąć całe dwa dni wędrówki, zanim Alister zaczął odczuwać radość z bycia na trasie. Cały czas Julia była tuż obok. Prowadził długie rozmowy z żoną, wyobrażając sobie, co i jak by odpowiedziała. W jakimś sensie byli razem, ale i tak czuł się bardzo samotny. Oczywiście, są ludzie, którzy pokonują tysiące kilometrów na samotnych wypadach i nie potrzebują towarzystwa – wręcz nie potrafią

dostosować swojego tempa, jadłospisu czy też innych kaprysów do wymogów grupy. Alister przez cały czas małżeństwa nigdy nie był w lesie czy w górach bez Julii. Za kawalerskich czasów pewnie tylko raz albo dwa zdarzyło mu się być gdzieś samemu, ale nie były to specjalnie miłe wydarzenia. Bardzo tęsknił za małżonką i wspominał wspólne wypady. Nie był nawiedzonym wdowcem nalewającym zupę do miski zmarłej żony. Nie. Po prostu bardzo tęsknił, duszą i ciałem. Wiedział na sto procent, że jego ukochana nie wyjdzie nagle zza skały, że nie wyciągnie ręki, aby uchronić go przed upadkiem, nie ukaże mu się lewitująca nad wodą... To wiedział, bo był naukowcem. Zdawał sobie sprawę, czym jest śmierć i że jest nieodwracalna. Wiedza naukowa i lata spędzone w laboratoriach, w których nie wierzono w istnienie jakiegokolwiek Boga, nie powstrzymywały go jednak przed nagłym odwróceniem głowy w kierunku, gdzie delikatny, znajomy zapach czasami owiewał mu twarz. Po całym życiu poświęconym nauce, trudno jest się przyznać samemu przed sobą, że niby niekończąca się moc wiedzy ludzkiej niestety kończy się w momencie śmierci.

Trzeciego dnia rano Alister mijał boczną ścieżkę odchodzącą w kierunku zachodnim na Silver Peak. Przerzucił linkę przez gałąź sosny, wciągnął swój plecak wysoko, poza zasięg głodnych zwierząt i uzbrojony tylko w butelkę wody i mapę, ruszył ostro pod górę. Wysilek przesiąkniętej potem wspinaczki na pewno się opłacał. Tutaj, po raz pierwszy od wielu miesięcy, poczuł namiastkę „starego” szczęścia. Zachwyty, podziw i uwielbienie, ale stłumione i przytłoczone bólem. Oszałamiający widok błękitnego nieba połączonego z prawie niewidzialną linią wód Georgian Bay i odbijającego się w dziesiątkach pomniejszych jezior, przypominał ten znajomy, ale dawno nieodczuwany dreszcz. Zagubione gdzieś niedawno życie próbowało wrócić i, na razie koślawo, stanąć na nogach. Myśli ciągle uciekały do niej, do ukochanej kobiety. Podobno czas leczy rany, ale czy jest w stanie wygoić aż tak bolesne? Wspomnienie wielkiej miłości, tęsknota, nieustające wizje pięknych, wspólnie przeżytych chwil – czy to można nazwać bolesnymi ranami? To nie ból. To raczej niewypowiedziany, bezgraniczny ŻAL, że to się skończyło. Czy jest sens iść dalej, zejść z tej góry, szukać tego, czego się nie odnajdzie? Z każdą chwilą pokonywania pięknej okolicy tęsknota rosła, a zachwyty przemieniały się w obojętność.

Pierwsza, poważniejsza próba powrotu do życia bez Julii nie powiodła się. Po policzkach płynęły te same łzy, tyle że tutaj... zabrał je wiatr, zanim upadły na białą skałę. Dalsza droga nie miała sensu. Potrzebował jak najszybciej zakończyć swoje sprawy i ruszyć w ślad za przyjaźnią i miłością życia... choć zgodnie z naukowym poglądem jest to absurdalne. Smutek na chwilę ustąpił następnego dnia na postoju noclegowym. Dotarł na miejsce wieczorem, rozbił namiot i, jak co dzień, zjadł obiad

i zaparzył duży garnek ziołowej, cytrynowo-miodowej herbaty. Zaraz za namiotem przepływał niewielki strumień, może na pół metra szeroki. Spragniony Alister wstawił do wolno płynącej wody garnek herbaty i usiadł na pniu zwalonej sosny, czekając, aż napój wystygnie. W odległości skoku w dal, zza krzaków wyszła nagle olbrzymia łosica. Popatrzyła na siedzącą postać bez zainteresowania, po czym odwróciła się i chrząknęła. Za chwilę pojawiło się jej młode. Cielak podążył drobnymi krokami za matką. Przekraczając strumień tuż obok Alistera, niezdarny malec kopnął tylnym kopytem w garnek, wylewając wytęsknioną herbatę. Niespodziewani goście zniknęli tak szybko, jak się pojawili. Strumień zmienił barwę na chwilę. Zdziwiony człowiek nie mógł uwierzyć, że coś o tak niskim prawdopodobieństwie mogło się zdarzyć.

– Jestem chyba jedynym człowiekiem na świecie, któremu łos kopnął w garnek...
– roześmiał się w głos Alister. Gdyby Julia to widziała... Powrócił nagle jej śmiech, usłyszał ten jedyny, prawdziwy, z głębi duszy śmiech... Nastawił drugi garnek wody na herbatę. Przygotował jeden kubek.

Nawet gdyby agencja przewidziała kilka oczywistych faktów przed zleceniem zadania na bezdrożach Kanady i podstawiała na lotnisko SUV-a z prawdziwego zdarzenia, to i tak Vincent nie mógłby dotrzeć do bocznej drogi leśnej, w której zniknął czerwony punkt na ekranie. Wąski stalowy most bez poboczy blokował drogę, uniemożliwiając wyprzedzenie kilkusetmetrowego korka na drodze numer 69. Chociaż na drogach Ameryki jest już bardzo dużo mocnych, terenowych maszyn o napędzie na cztery koła, to nadal znacznie bardziej rzucają się w oczy niż zwykłe samochody osobowe. Nie ma pośpiechu, chociaż poczucie „odciętej drogi” – niemożności wykonania następnego ruchu, budziły rozdrażnienie.

Prawie dwie godziny po czerwonym punkcie toyota Vincenta przetoczyła się powoli przez bramę Parku Prowincjonalnego Killarney, ominęła bokiem biuro i zjechała w dół, nad jezioro, gdzie znajdował się parking nocny.

Bez trudu odnalazł białego land rovera. Zaparkował w pobliżu, wysiadł i, nie wyłączając silnika, pod pozorem rozciągania się po podróży, odczytał daty na różowym pozwoleniu za przednią szybą auta Alistera. Od 25 września do 1 października. Daty były przesunięte o jeden dzień w porównaniu z wcześniejszą rezerwacją. Alister Swan spóźnił się o jeden dzień przez czekanie na swój samochód, ale liczba dni zgadzała się z nagraniem telefonicznej rezerwacji – miejsca noclegowe

na trasie powinny więc pozostać bez zmian. Pokiwał głową, jakby potwierdzając swoje założenie. Całe sześć dni i tylko jedna stukilometrowa trasa, na której miał znaleźć cel i wykonać zadanie. Szybkim ruchem zmienił tablice rejestracyjne na oryginalne z wypożyczalni, po czym wsiadł i podjechał ponownie pod biuro rezerwacji. Po dyskusji na temat krajobrazu i piękna parku, wybrał sugerowaną przez strażniczkę trzydniową trasę do jeziora Topaz i z powrotem, tłumacząc się, że nie ma czasu na przejście całej pętli.

Tym razem zaparkował toyotę na drugim parkingu, daleko od land rovera. Przebrał się w nowe, terenowe spodnie z odpinanymi nogawkami, t-shirt z mikrofibry i buty górskie. Z głębi bagażnika wysunął jedną z trzech stalowych skrzynek, wyglądającą jak pudełko na narzędzia. Ustawił cyfrowy kod i do małego szklanego okienka przyłożył kciuk lewej ręki. Zamek cicho odskoczył. Po kolei przełożył do plecaka: ciężki podłużny przedmiot w pokrowcu, plastikowe pudełko zawierające strzykawkę i dwie ampułki, mały spray, wyglądający jak dezodorant oraz skórzany futerał z malutkim SIG P229 Magnum. Po chwili, podniecony, prawie biegnąc, posuwał się przez pierwsze kilometry lasu. Vincent minął cztery nieduże jeziora oraz sześć wolnych miejsc noclegowych docierając do Topaz Lake, gdzie miał według rezerwacji spędzić pierwszą noc. Nad błękitnym oczkiem jeziora (rzeczywiście w kolorze topazu) rozbił swoją nową jedynekę. Wypił pół litra wody i zjadł batona energetycznego. Po krótkim odpoczynku, godzinę przed zmierzchem, spakował potrzebne mu przedmioty do kieszeni kamizelki militarnej i ruszył w kierunku miejsca kempingowego numer osiem. Tym razem trasa była trudniejsza. Ścieżka wspinała się stromo po wielkich kamieniach wzdłuż stuletniej drogi, po której firmy brytyjskie, rabując te ziemie, ściągały liczące sześćdziesiąt metrów pnie sosen z jeziora Three Narrows w stronę McGregor Bay nad jeziorem Huron. Kiedy dotarł nad stromy klif nad Kirk Creek, rzekę prawie wyschniętą o tej porze roku, położył się w krzakach jagód i wnikliwie rozejrzał się wokoło przez lornetkę, szukając śladów dymu ogniska. Nie znalazłszy nic, ruszył w dół, brodząc po kolana w wodzie. Trzysta metrów dalej znalazł palenisko, miejsce wygniecione przez namioty poprzedników, stary zardzewiały garnek, grill... i ani śladu Alistera Swana. Zaczęło się ściemniać. Ruszył lekkim biegiem w stronę następnego miejsca oddalonego o prawie cztery kilometry. Pozostała jedyna myśl dzieląca spokój i opanowanie przed nowym atakiem niepewności... Na pewno podmiot doszedł do celu za wcześniej i zdecydował się iść dalej, do miejsca numer dziewięć. Było już ciemno i skradając się z małą, punktową latarką na czole Vincent z uśmiechem obserwował płonące ognisko po drugiej stronie małej zatoczki. „Jest”. Rozgarnął liście na ziemi i rozłożył to, czego będzie

potrzebował. Odłamał czubek szklanej ampułki i napełnił strzykawkę jasnożółtym płynem. Na dwóch paskach przypiął pistolet do łydki. W lewej ręce ukrył mały spray, a za pasek na plecach włożył teleskopowo rozkładaną, półmetrową łapę niedźwiedzia zrobioną z ciężkiego, brązowego tworzywa ze stalowymi, zakrzywionymi pazurami.

Zgasił latarkę, schował ją do kieszeni i powoli, cicho zaczął posuwać się w stronę ogniska.

– Hej! Ruszcie dupy! Ja nie będę sam ściągał drzewa na ognisko – rozległ się krzyk zaledwie o kilka metrów od Vincenta. – OK, OK – odezwał się piskliwy kobiecy głos. – Zaraz ci pomożemy, tylko że twój kochany braciszek zasnął jak kamień.

Vincent zamarł bez ruchu, leżąc płasko na mchu.

– Obudź skurczybyka kopniakiem – rozległo się niebezpiecznie blisko...

Mężczyzna ciągnący wielką gałąź minął kryjówkę Vincenta dosłownie o kilka metrów.

„To nie Alister” – dotarła do jego świadomości szokująca informacja. Upewnił się, że nie został zauważony i wycofał na bezpieczną odległość. „Błąd, kurwa, gdzieś popełniłem błąd. Przecież to niemożliwe, żeby stary zdążył dotrzeć jeszcze pięć kilometrów dalej, do dziesiątki”. Założył z powrotem latarkę i ruszył w stronę Topaz Lake. Czuł się, jakby jakaś nieznaną siłą podstawiła mu nogę prawie od początku tej akcji. „Co tu się, do cholery, dzieje?!”

W namiocie został plecak i laptop. Jeżeli włączy go i miejsce czerwonego punktu na parkingu będzie puste, to... Jeszcze bardziej przyspieszył kroku, nie biegnąc jednak po ciemku. Jeszcze przed północą dotarł nad czarne, już nie błękitne jezioro Topaz. Land rover był na miejscu. „Czyżby stary poszedł w odwrotnym kierunku? A może w ogóle pozwolił wyminąć się, po czym opuścił park autostopem?”. Nie zasnął przez całą noc, leżąc bez śpiwora na gołej podłodze namiotu. Kara za pewność siebie. Był zmęczony, ale żeby nie spać ostrzem noża myśliwskiego rozciął głęboko skórę na prawym udzie. Kara za arogancję. Rano ruszył z powrotem na parking. Kiedy stwierdził, że biuro jest już otwarte, wyjął satelitarny telefon komórkowy i wykręcił numer widniejący na odwrocie biletu parkowego. Powinien to zrobić wczoraj rano! Ścisnął piekącą ranę.

– Dzień dobry. Miałem się spotkać z moim przyjacielem – mówił, udając obcy akcent. – Nazywa się Alister Swan. Chciałem dowiedzieć się, kiedy ma skończyć swoją wycieczkę i czy udało mu się zarezerwować trasę zgodnie z planem? Próbowałem się do niego dodzwonić, ale chyba w głębi parku jego telefon nie odbiera sygnału.

– Zaraz, proszę poczekać – odezwał się męski głos. – Tak, jest taki pan na trasie... Zaczął wczoraj rano i ma zaplanowany powrót w sobotę. Zaraz... zaraz, wtorek, środa, czwartek, piątek... Wie Pan co? Ja osobiście myślę, że pewnie skończy w niedzielę, ponieważ idzie w trudniejszą stronę, ze wschodu na zachód.

– OK, czyli w sobotę lub niedzielę. W porządku, dziękuję. Zaczekam na niego w zajeździe w wiosce. Do widzenia.

Sukinsyn... w ostatniej chwili, podczas rezerwacji zmienił kierunek trasy. Vincent uśmiechnął się z ulgą. Jednak był w parku i poza kilkudniowym opóźnieniem niewiele się zmieniło.

Była środa. Miał kilka dni na obserwację parku i samochodu. W piątek rano, tym razem już nieoficjalnie, postanowił wrócić na ścieżkę i czekać na spotkanie. Na ekraniku telefonu satelitarnego zamigotało niebieskie logo agencji. Już upominają się o raport. Ścisnął mocno piekącą ranę na udzie. Ból! Nigdy jeszcze nie składał raportu o opóźnieniu wykonania zadania.

Codziennie życie, i to w jakimkolwiek miejscu na tej planecie, jest rozdarte pomiędzy małymi myślami i zmartwieniami. Już rano, przy pierwszej, aromatycznej kawie pojawia się ten pierwszy niepokój – myśl o korku na autostradzie w drodze do pracy. Potem, w pracy, włamują się setki drobnych, nieistotnych trosk-włamywaczy. Gra między personelem, przepychanki o awans, o mniej pracy, o więcej pieniędzy, o cokolwiek, byleby człowiek parł gdzieś tam, niby do przodu. Dni wypełniają się szybko, jak szklanki piwa, i mijają jeden za drugim też szybko jak... szklanki piwa. Patrzę w lustro przy porannym goleniu, a tam w tle, za moimi plecami, właśnie przeleciało wiele pustych tygodni, których nikt nigdy nie będzie pamiętał i nie będzie potrafił opowiedzieć. Może to nadmierna ilość tlenu przetaczająca się przez mój biedny mózg nakłaniała mnie do tej chłopskiej filozofii? Tu i teraz, pod tą olbrzymią sosną, której pień mogłyby objąć co najmniej dwie osoby, mój dzień, jak ten pies, otrząsnął z siebie setki kropli-trosk. Popatrzyłem na niebo myśląc o pogodzie. Popatrzyłem na słońce i jako że nigdy na trasie nie mam zegarka, myślę, ile czasu mi jeszcze zostało do zmierzchu. Byłem głodny, myślałem o dzisiejszym obiedzie i o tym, co jeszcze zostało w plecaku do jedzenia. Spragniony, pocąc się pod ciężarem plecaka, patrzę na mapę, kiedy będzie następny strumień. Zmęczony, marzyłem o ciepłym, przytulnym śpiworze i o śnie.

Pierwsze dni na ścieżce są atakowane przez echa tego, co zostało za mną w domu

i w mieście. Ataki słabną, aż wreszcie ustają. Długie wyprawy pozwalają osiągnąć właśnie ten stan, który niektórzy osiągają w kościele lub świątyni, w czasie modlitwy czy medytacji. Góry i lasy wokół mnie są moją świątynią, a każdy krok na ścieżce jest słowem modlitwy jakby wielkiego stukilometrowego różańca, na który nawleczono jeziora, drzewa, szczyty górskie. Kiedy słońce już zniżyło się nad lasem, dotarłem do bocznej ścieżki prowadzącej na ostatni nocleg tej wyprawy.

– Jeszcze czterysta metrów i będziemy na miejscu, Uchy. Dzisiaj zielona noc – poklepałem czarny łeb.

Pies patrzył w głąb ścieżki, nie odrywając wzroku. Podniósł łeb i węszył swoim niezawodnym nochem. Coś tam jest...

Po czterech dniach drzewa, woda, skały i zmęczenie wielogodzinnym marszem zaczynały oddziaływać uzdrawiająco na obolałe ciało Alistera. Jeszcze przeraźliwie tęsknił, ale już jakby inaczej, jeszcze wewnątrz płakał... ale już jakby innym płaczem. Wiedział, że Julia zostanie z nim do końca życia. Teraz żal i smutek zaczęły przeistaczać się w poszukiwanie innej formy miłości, nowej formy bycia razem.

Lasy, chmury, słońce i zmęczenie wędrówką zaczynały remont duszy, budowanie nowego życia według nowego porządku. Samotne ciało jeszcze ciągle było obolałe brakiem dotyku, zapachu i przytulenia kochanej osoby, i chyba wolniej od duszy przyzwyczajało się do otaczającej, chłodnej pustki. Po tej pierwszej próbie wiedział już, że nie przestanie chodzić na te długie, samotne, wielodniowe wyprawy. To właśnie tu, znacznie bardziej niż w domu czy w mieście pełnym ludzi i zgiełku, Julia była z nim. Tak, i to właśnie tu rodziło się nowe wcielenie miłości, o którym nigdy wcześniej nie wiedział. Po powrocie, jak najszybciej, w sposób prawny lub też bezprawny ureguluje sprawę Pharmaticusa. Nikt już nie będzie go straszył, śledził i prześladował. Przed samym wyjazdem wysłał Robertowi Taylorowi dwuzdaniową poprawkę do swojego testamentu. Teraz zmieni cały testament. Sprzeda dom w Vermont i posiadłość w Oregon, zatrzymując tylko mieszkanie w Bostonie jako bazę wypadową w świat. Więcej podróży i wyjazdów oznacza statystycznie większą szansę na spotkanie jakiegoś człowieka, którego zaciekawi to, co Alister wie o świecie biznesu farmaceutycznego. Zrezygnuje z tchórzliwej asekuracji. Dlaczego dokumenty miałyby być opublikowane po jego śmierci? NIE. Świat otworzy oczy szybciej i on, Alister, będzie tego świadkiem. Może z dyskiem w kieszeni po prostu wejść do centralnego biura CNN w Atlancie i zażądać ochrony osobistej i publikacji

danych? On, Alister, przestanie się bać i spowoduje lawinę w mediach... a potem w sądach, po której dziesiątki skurwysynów „znikną z powierzchni” biznesu.

Pośrednictwo przekupnych, przestraszonych prawników nie wchodzi już w grę. Po ujawnieniu konspiracji setki firm prawniczych nabierze nagle odwagi i chęci do reprezentowania go jako świadka przysięgłego. Kumar nie żyje. On, Alister, żyje. Kumar po akcie desperackiej odwagi już niczego nie może. On, Alister musi być rozważnym i doprowadzić do końca to, za co oddał życie przyjaciel. Późno, po trzydziestu siedmiu latach, ale lepiej, niż gdyby miało to nigdy nie nastąpić. NIGDY to w tym przypadku straszne dla ludzkości słowo.

Wracała energia i chęć działania. Tylko wytrwać.

Był piątek, następnego dnia popołudniu powinien być na parkingu przy samochodzie. Czytał gdzieś w lokalnej ulotce, że wioska rybacka Killarney jest całkiem przyjemnym i ładnie położonym miejscem. Postanowił tam spędzić sobotni wieczór. Zjeść smażoną rybę, przespać się w jakimś małym hoteliku i w niedzielę rano być gotowym do drogi powrotnej. Tak, niedziela wydawała się najlepszym dniem na przejazd przez Toronto, a później przez Montreal bez codziennych korków. Szedł dość powoli, robiąc dużo przerw na posiedzenie i pomyślenie. Zamyślał się i nagle łapał się na głośno wypowiedzianych zdaniach. W ciągu ostatnich dni zamienił kilka zdań z dziewczyną w parkowym biurze, z trójką młodych ludzi na trasie i z dwiema starszymi paniami. Takie spotkania z obcymi ludźmi na ścieżce zawsze są pretekstem, żeby na chwilę zrzucić plecak, usiąść i pogadać. Jakże było to inne od spotkania obcych w dużym mieście. Wczoraj Alister przeżył wzruszający moment. Spotkał dwie panie koło siedemdziesiątki, z plecakami, ubrane w stare mundurki jakiegoś pewnie już nieistniejącego klubu turystycznego, które to, jak powiedziała jedna z nich, robią te piękne sto kilometrów po raz ostatni. Młodsza z pań niedawno miała wylew. Niedowład lewej ręki, częściowy paraliż twarzy i fakt, że nie mogła mówić, nie stanęły na przeszkodzie, żeby wyruszyć na ścieżkę, jeszcze jeden raz.

Ostatnią noc w parku, według rezerwacji, powinien spędzić na miejscu kempingowym numer pięć. Dzień zbliżał się już do końca, kiedy poczuł znużenie. „Sprawdzę, jeśli nie będzie nikogo na szóstce o tej porze... i będzie ładnie, to może zostanę tu na noc?” – pomyślał głośno. Niedługo, boczna ścieżka zaprowadziła go na piękny cypel na jeziorze Cave. Oparł plecak o kamienny stolik koło paleniska, zdjął buty i z radością rozprostował nogi.

„Nie ma takiej siły, która zmusiłaby mnie do dalszego marszu. Zostaję. Te dodatkowe dwa-trzy kilometry jutro nie zrobią różnicy” – ciągnął dalej

samousprawiedliwiająco. Tak mało ludzi spotkał do tej pory, także jest bardzo prawdopodobne, iż owo miejsce będzie dzisiaj wolne. Zamknął oczy. Zachodzące słońce jeszcze grzało zmęczone wędrówką ciało. Kojącą ciszę przerwał dochodzący z niedaleka męski głos. Po chwili w miejscu, gdzie kończy się rozległa skała cypla, ukazał się wielki czarny łeb. Zanim jednak myśl o niedźwiedziu poderwała go na nogi, zobaczył zielony plecak na grzbiecie... a potem resztę wielkiego psa. Przyjazne zwierzę bez oporu podeszło prosto do odpoczywającego Alistera, machając wielkim jak mop ogonem.

Dwie minuty później ukazał się wołający swojego psa łysawy mężczyzna koło czterdziestki.

E-mail tej samej treści pojawił się na siedmiu ekranach, w różnych miejscach budynku agencji. Zebranie w biurze u Salvatora miało się odbyć natychmiast. Albert Weiss, z racji wieku i funkcji, usiadł w fotelu naprzeciw wielkiego, czarnego biurka, a sześciu młodszych agentów przypisanych do teczki z symbolem „A.S. 70” stanęło wzdłuż ściany i okna, opierając się, o co się dało.

– Jak to jest możliwe? – szef rozpoczął zebranie, wolno cedząc słowa, co nie wróżyło nic dobrego. – Jak to możliwe, że po wnikliwej obserwacji prowadzonej przez sześciu agentów, nasz człowiek w terenie otrzymuje niepełne i niewłaściwe dane? Vincent podążał zgodnie z wytycznymi z GPS przez trzydzieści kilometrów kanadyjskiej dziczy po to tylko, żeby znaleźć puste miejsca kempingowe i ani śladu podmiotu A.S.?

Młoda atrakcyjna kobieta w ciemnej garsonce i w grubych, czarnych okularach podniosła rękę.

– Dnia 28 sierpnia bieżącego roku, A.S. próbował znaleźć stronę internetową rezerwacji miejsc w głębi Parku Prowincjonalnego Killarney. Strona taka nie istnieje, więc podmiot wykonał telefon tego samego dnia i zarezerwował miejsca noclegowe: 8, 17, 23, 28, 33, 47, zaczynając od nocy 24 września na miejscu numer osiem. Start wędrówki opóźnił się o jeden dzień.

– Według raportu otrzymanego wczoraj, nocy z 25 na 26 września podmiot nie spędził na żadnym z miejsc noclegowych od jeden do dziewięć. Następne miejsce, numer dziesięć, leży już poza zasięgiem dziennego marszu – tym samym bardzo oficjalnym tonem dodał Sal.

– Land rover należący do A.S. od przedwczoraj rana nadal stoi w tym samym

miejscu na parkingu i nie był ruszany – rzucił mężczyzna przy oknie.

– Zgadza się – tym razem zabrał głos Albert. – Wszystko wskazuje na to, że mamy pełną kontrolę nad stojącym autem i nikt nie wie, gdzie znajduje się kierowca! Tak?

– Gerald! – zwrócił się do wysportowanego młodzieńca – Ile razy albo... ile godzin spędziłeś w domu podmiotu po 28 sierpnia i co tam robiłeś?

– W sumie byłem tam trzy razy, razem jakieś dziewięć godzin. Centymetr po centymetrze przeczesałem cały dom w poszukiwaniu poleconych dokumentów. Skopiowałem twarde dyski komputera i laptopa. Byłem na strychu, w garażu i w ogrodzie. Niczego nie znalazłem.

Salvatore wstał zza biurka, wolno podszedł do okna i patrzył się nieruchomo gdzieś tam, w błyszczące wieżowce Bostonu.

– No i właśnie! To, co jest w tej chwili najważniejsze to, żeby wszyscy tu obecni zrozumieli i zapamiętali, do czego prowadzi brak komunikacji pomiędzy agentami. Pracujecie nie tylko połączeni elektronicznie, ale także siedzicie na dupach za biurkami oddalonymi od siebie czasem tylko o pięć metrów... I co? Wygląda na to, że każdy zrobił tu swoją robotę. Gdyby tak zastosować tu trochę wyobraźni... Gdyby Jeremy i Monica, odpowiedzialni za dane związane z lokalizacją podmiotu, skontaktowali się z Geraldem, który, jak już wiemy, spędził dziewięć godzin w domu A.S. i zlecili mu wszycie satelitarnego przekaźnika w klapę plecaka, kołnierz kurtki czy też w słupek namiotu to nigdy... i to powtarzam: NIGDY nie doszłoby do tego, że cały zespół nie ma zielonego pojęcia, gdzie znajduje się człowiek, za informacje o którym klient płaci nam grube pieniądze od trzydziestu lat.

W biurze zapanowała martwa cisza... Niestety nie był to jeszcze koniec.

– Pytam się was... Czy byłoby możliwe, że A.S. zaparkowałby auto na parkingu parku, przeczekał w pobliskich krzakach do zmierzchu, po czym, na przykład autostopem, opuścił teren obserwacji, wyjeżdżając z prowincji, z Kanady? W ciągu pięciu dni, kiedy wy myśleliście, że on łązi gdzieś po zadupiu kanadyjskim, A.S. mógłby zwołać konferencję prasową gdzieś w Australii czy w Japonii. Czy wy ludzie traktujecie swoje zadania wystarczająco poważnie? Tu nie ma miejsca na takie jaja! To jak przeniesione na mikroskalę wydarzenia z jedenastego września... Każdy coś tam wiedział... ale ludzie ze sobą nie rozmawiali i BUUUM. Przypomnij nam, ile lat ma sprawa A.S., Albercie? – Sal zwrócił się do siedzącego cicho prawie-emeryta.

– Trzydzieści siedem – padła krótka odpowiedź.

– Trzydzieści siedem lat i co agencja, według was, miałyby odpowiedzieć klientowi? Przepraszamy, daliśmy dupy, to się więcej nie powtórzy! Przypominam tu

obecnym, my nie pracujemy w instytucie meteorologii i nie przepowiadamy pogody, która może być taka czy inna. MY mamy płacone za bardzo konkretne badania, dane i ich rezultaty. MY nie możemy robić takich błędów!

Tym razem nastąpiła dłuższa przerwa, zwiastująca możliwy koniec burzy.

– Niepotrzebnie ryzykując, V. wykonał telefon do parku i dowiedział się, że A.S. ot tak, bez powodu zmienił kierunek wycieczki. Zamiast z zachodu na wschód, idzie ze wschodu na zachód. Jest dalej na terenie parku i za trzy dni ma wrócić do land rovera.

Cisza była już podparta odprężeniem.

– Wracamy do pracy... Do bardzo dokładnej pracy w zgranym zespole. To na razie tyle. Aha, proszę o pozostanie na chwilę: Alberta, Geralda i Monicę.

Reszta w milczeniu ruszyła w stronę drzwi. Albert podszedł do okna i tym razem on zapatrzył się gdzieś daleko.

– Przez następne kilka dni jesteście parą turystów – Sal zaczął najpierw od młodej dwójki – tu są bilety do Toronto na dzisiaj wieczór. Wynajmijcie auto i zaopatrzenie się w potrzebny sprzęt. Wasze główne zadanie to obserwacja oraz fotografowanie. Chcę znać nazwiska i adresy wszystkich, z którymi ewentualnie podmiot mógłby się kontaktować podczas swojej wędrówki. Od jutra macie być tam na miejscu i kontrolować sytuację. Oczekuję raportu co dwie godziny. Powodzenia.

Kiedy zostali sami, Albert miał tylko jedno zdanie do powiedzenia:

– Myślę, że w obecnej sytuacji przełożę o kilka tygodni moje uroczyste przejście w stan spoczynku.

– Dziękuję – odpowiedział Salvatore.

Szliśmy powoli do przodu, robiąc trochę więcej hałasu niż zwykle. Wołałem Uchego głośno, gwizdałem, klaskałem, żeby na przykład niedźwiedź poszedł sobie zanim wejdziemy mu na talerz. Z daleka, przez gałęzie, zamigotało słońce odbijające się w jeziorze. Kiedy już chciałem tradycyjnie krzyknąć: „Jesteśmy na miejscu, Uchy”, pies ruszył znacznie szybciej i zniknął z pola widzenia. „Pewnie znowu bandyta wlezie do wody z plecakiem na grzbiecie”, pomyślałem.

Miejsce to znałem już z poprzednich lat: zajmowało czubek cypla, oddzielającego małą, porośniętą trzciną zatokę od wód jeziora o nazwie Cave. Samo jezioro nie było zbyt wielkie. Kilka lat temu przepłynąłem je w poprzek w pół godziny. Od strony otwartej wody wielka, łysa skała wyłaniała się z pod mchu i korzeni sosen,

i delikatnie zniką w ciemnej, głębokiej wodzie.

Na skale było spore palenisko, a raczej – kominek zbudowany przez znużonego wędrowca. „Salon” składał się z trzech pni sosnowych, leżących wokół kominka i ze stołu – wielkiego, płaskiego kamienia. Wszystko było na miejscu jak w poprzednich latach, oprócz tego, że o stół oparty stał jeden z tych drogich plecaków w kolorze błękitnym, a na pniu sosny siedział sobie starszy mężczyzna, przyjaźnie drapiąc Uchego za uchem. Zanim podszedłem bliżej, zacząłem zastanawiać się, czy nie pomyliłem miejsc. Gość miał dawno strzyżone, siwe włosy, na ramiona narzuconą kurtkę i siedział bosy, z wyprostowanymi przed siebie nogami.

– Witaj – wstał na mój widok – nazywam się Alister. – Jeśli pozwolisz, to wytłumaczę ci moją nieproszoną obecność w twoim pokoju hotelowym – zaczął z uśmiechem obcy.

– Hej, jestem Janek – wyciągnąłem dłoń na przywitanie. – A to Uchy, mój syn z pierwszego małżeństwa – również odpowiedziałem z humorem.

– Aha – uśmiechnął się szeroko i dwoma rękami pogłaskał przyjaźnie psa po głowie.

– Miałem nadzieję, że to miejsce będzie dzisiaj wolne. Jest to ostatni dzień mojego spaceru, idę ze wschodu, czyli jak to mówią... pod prąd i muszę przyznać, już nie chciało mi się iść dalej do miejsca numer pięć.

– Aha – potwierdziłem bez entuzjazmu.

– Jesteś pełnoprawnym właścicielem tego miejsca na dzisiejszą noc i masz prawo mnie wykopać – zaczął z tej politycznie mądrej strony. – Ale, jeśli nie zakłóciłoby to twojej samotności pierwszego dnia, to zostałbym tu na noc. Ten cypel jest dość duży, także pewnie byś mnie nie widział ani nie słyszał. Co ty na to?

– To też jest moja ostatnia noc, idziemy w tę sama stronę – odpowiedziałem przyjaznym tonem.

Nawet spodobał mi się ten facet w wieku mniej więcej mojego ojca. Twarz miał przyjazną, dobre oczy, może trochę smutne. Miał w sobie to „coś” – coś, co bezbłędnie potwierdza przy pierwszym spotkaniu, że jest człowiekiem szlaku, że widział dużo lasów, gór i jezior. Nie wiem, czy to „coś” jest w oczach czy też w całej twarzy, ogorzałej wiatrem i słońcem?

– Kiedyś też mnie coś takiego spotkało. Ominąłem jedno miejsce i właściciele bez problemu pozwolili mi zostać. Tyle tylko, że żeby się wkupić, musiałem nazbierać drzewa i zrobić ognisko – dodałem z przebiegłą miną.

– Aaa! Cwaniaku... oczywiście, że się zgadzam i rozumiem, że mamy dzisiaj wspólne ognisko.

– Wszystko na to wskazuje. Po sześciu dniach rozmowy z psem nawet nie mam nic przeciwko ludzkiemu towarzystwu. Tylko się trochę obmyję, przebiorę i urządzę dom... Powiedzmy... Za godzinę przy kominku?

– OK. Ja się rozbiję nad zatoczką – tam nie ma wiatru, a o tej porze roku również komarów.

Całkiem młodym ruchem schylił się i prawie bez wysiłku poderwał plecak z ziemi, wziął buty do ręki i na bosą pomaszerował po ściółce leśnej. Ciekawy facet. Jak co wieczór, rozwiesiłem spocone ubranie, umyłem się w chłodnej wodzie i z przyjemnością przebrałem się w strój wieczorowy, czyli bawełniane spodnie, t-shirt i flanelową koszulę. Namiot rozstawiłem pomiędzy korzeniami pachnących cedrów, wystającymi jak szpony dinozaura z lewej strony cypla. Z psiego plecaka wyjąłem ostatni worek chrupek i dodałem sos z mięsem. Uchy, czekając, obślinił się nieziemsko, po czym rzucił się na żarcie jak... pies. Tak długo i namiętnie walczył z pustym, a jeszcze pachnącym workiem, że zostały z niego tylko strzępy. „Bestia” już dawno nauczyła się jeść z worka, dzięki czemu nie musiała nosić miski w swoim plecaku. Po jedzeniu uwalil się koło paleniska, czekając na ogień i ciepło.

Kończyłem właśnie moją ostatnią zupkę grzybową marki Winiary z polskiego sklepu, kiedy z lasu wyszedł Alister – tak się chyba przedstawił – ciągnąc dwie olbrzymie gałęzie załadowane profesjonalnie górą drewna na ognisko. Zrobiło mi się trochę głupio. Starając się nie dać po sobie tego poznać, rzuciłem:

– Dobra robota, usiądź chwilę i zjedz coś, ja doniosę resztę.

– Aha, teraz ci wstyd, młody człowieku, jak niedołężny starzec zbiera dla ciebie drzewo! A ty siedzisz sobie i jesz, co? – tym razem udało mu się ze mnie pośmiać.

– Tak, dlatego mówię: stary człowieku usiądź i posil się, zanim ci jakaś żyłka pęknie – zaśmialiśmy się razem.

Alister też przebrany w luźne, wygodne spodnie i wełnianą bluzę przyniósł mały woreczek z jedzeniem. – Dzisiaj już niewiele zostanie do wciągnięcia na drzewo, właśnie dojadam resztki.

– I nasze zapasy dobiegają końca, ale... – wyciągnąłem z torby małą, 330-mililitrową, srebrną piersiówkę ze stali nierdzewnej, z wygrawerowanym orłem w koronie. – Mam jeszcze trochę szkockiej i chętnie podzielę się z zabłąkanym starcem.

– Zazwyczaj nie biorę ze sobą alkoholu na trasę... Ale skoro już jest, to chyba byłoby mi trudno odmówić.

I tak dalej żartobliwie ciągnęliśmy sobie rozmowę, nie znając się zupełnie, będąc tu razem przez czyste zrządzenie losu. Po jedzeniu zaparzyłem garnek ziołowej

herbaty, a zanim przestygła, stuknęliśmy się metalowymi kubkami ze szkocką. Tak jak plecak, tak i kubek mojego towarzysza był z tej najwyższej półki cenowej. Na wystawie sprzętu w Toronto widziałem takie naczynia i sztucce zrobione z jakiegoś kosmicznego stopu włókien węglowych i czegoś tam jeszcze. Jest to tak nienaturalnie lekki materiał, że dłoń z garnkiem unosiła się sama do góry.

Alister miał siwe włosy, jak przystało na pana koło siedemdziesiątki. „Emerytowany milioner na wycieczce” – pomyślałem. Był w jakiś sposób eleganckim dżentelmenem, czysto i schludnie ubranym jak na szósty dzień w buszu, a jednocześnie nieostrzyżonym i nieogolonym, w głębi duszy smutnym staruszkiem, którego już dawno przestał obchodzić wygląd. Miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, był dobrze zbudowany i w dobrej, jak na swój wiek, formie.

Szkocka smakowała bardzo, choć niewiele jej było, za to mój gość poczęstował mnie całkiem niezłym i nietanym cygarem.

W piątek rano Vincent spakował mały plecak i zostawiając samochód przed hotelikiem w miasteczku Killarney, ruszył szosą w stronę parku. Po pół godzinie marszobiegu dotarł do tablicy stanowiącej granicę terytorialną parku prowincjonalnego. Niezauważony przez nikogo, zszedł z szosy w kierunku północnym. Nie było tu dróg ani nawet ścieżek. Przedzierał się przez niski las i krzewy. Dwa razy szerokim łukiem musiał obejść bagna i rozlewiska koło bobrowych tam.

Poruszał się bardzo powoli po bezdrożach, które okazały się dużo trudniejsze, niż wyglądało to na zbliżeniu satelitarnym. Tylko cztery kilometry w linii prostej dzieliły szosę od brzegu jeziora Lumsden. Przeprowa trwała prawie dwie godziny. Dwudziestometrowy klif na południowym brzegu jeziora stanowił doskonały punkt obserwacyjny. Obydwa miejsca kempingowe były puste.

Idąc brzegiem, dotarł do miejsca numer jeden, obmył się z błota i kurzu, odpoczął chwilę i ruszył dalej, tym razem już po szlaku La Cloche. Vincent był uważny. Szedł powoli, intensywnie nasłuchując. Był na terenie parku nielegalnie i nie miał ochoty na spotkanie z patrolem strażników... czy też na jakiegokolwiek inne spotkanie. Po minięciu miejsca numer dwa, znalazł idealny punkt obserwacyjny.

Ze skały oddalonej o jakieś sto metrów od szlaku mógł, niewidziany, obserwować spory odcinek ścieżki biegnącej tu przez nieodrzwione przewężenie skalne pomiędzy dwoma jeziorami. Zdjął plecak, ustawił małą, precyzyjną lunetę i wygodnie umieścił

się na posłaniu z liści pomiędzy krzakami jałowca. Był znowu pewny siebie. Wiedział dokładnie, co do niego należy.

Teraz pozostało tylko cierpliwie czekać.

Mój nowy znajomy rzeczywiście okazał się człowiekiem szlaku i to szlaku na skalę światową. Wraz ze swoją niedawno zmarłą żoną przeszedł setki kilometrów na wielu kontynentach. Pykając cygaro rozgadał się o trasach Nowej Zelandii, Argentyny, Kazachstanu... „Mam nadzieję, że jak dożyję jego wieku, to też gdzieś kiedyś uda mi się zauroczyć jakiegoś młodszego wędrowca opowieściami o moich wyczynach”.

– Mówisz bardzo dobrym angielskim, ale nie jesteś Kanadyjczykiem – rozpoczął otwarte śledztwo. – Masz na imię Janek i słyszę akcent jakby gdzieś z Europy Wschodniej... hmm, jesteś Czechem? Zgadza się?

– W NHL był taki sławny hokeista, Czech z pochodzenia, i też miał na imię Janek, dlatego wiele osób robi ten sam błąd. Niestety, nie zgadłeś. Urodziłem się i pierwsze dwadzieścia lat przeżyłem w Gdyni, w Polsce.

– Hej! Byłem nad Bałtykiem, w Gdańsku... jeśli dobrze pamiętam. To był rok 1978. Gdańsk to piękne miasto, tylko że wtedy było bardzo zaniedbane.

– Sam jestem ciekaw, jak wygląda teraz. Nie widziałem tych okolic od dwudziestu lat.

– To znaczy, że część swojego dorosłego, świadomego życia przeżyłeś w ustroju komunistycznym? – zapytał z nieukrywaną ciekawością. – Powiedz, czym był ten system? Jak po latach go oceniasz?

– Nie wiem, jak głębokiej analizy oczekujesz, ale ten system autorytatywnie i bezprawnie dawał odpowiedzi na wszystkie ludzkie pytania. Nie pozwalał na wolność wyboru.

– Co na przykład?

– Na przykład twierdził, że Boga nie ma... to znaczy, jeżeli osoba twierdzi, że nie wierzy w żadnego Boga, to wydaje się to normalne, ale w przypadku komunizmu, to instytucja państwa zarządziła, że Bóg nie istnieje na danym terenie. Okazało się to samobójstwem.

– Bóg nie istnieje na danym terenie – powtórzył Alister, śmiejąc się szczerze. – Dobre, ale co z tą wolnością wyboru?

– Myślę, że współczesny człowiek jest istotą dynamiczną. W ciągłym ruchu notuje, analizuje, wybiera. Żyje zmianami. Komunizm natomiast zamknął ludzi we

własnych krajach, bez możliwości podróży. Do wyboru dał im jedną parę butów, jeden płaszcz, jedną partię polityczną z jednym programem na przyszłość. Ruch i różnorodność były wrogami systemu.

– Amerykanie uwielbiają podróże, szczególnie do krajów biedy i desperacji. Po powrocie do swojego kraju czują się jak w niezaprzeczalnym raju – dodał Alister.

– Brak ruchu, to tak jakbyś założył plecak i zamiast iść te sto kilometrów, chodziłbyś przez tydzień wkoło drzewa. Tak wyglądałaby nasza wycieczka w wydaniu komunistycznym.

– Wracając do kwestii wyboru, to pamiętam, że kiedyś do sklepu obuwniczego w Nowym Jorku weszła mama z pięcioletnią córeczką. Wraz z natrętnym sprzedawcą posadzili dziewczynkę przed półką z co najmniej setką różnych butów: „No, to które słodziutka podobają ci się najbardziej?” – spytał sprzedawca. Dziecko dostało hysterii. Darło się, jakby ten wolny wybór był najgorszą męczarnią – z nutką przekory ciągnął dalej starszy człowiek.

– To prawda, że współczesny Amerykanin ma zbyt wiele możliwości, czego my w komunistycznej Polsce mieliśmy za mało. Ciekawe, gdzie znajduje się balans w kwestii wyboru?

Alister wstał, przeciągnął się i dorzucił kilka grubszych kawałków brzozy do ognia. Od dawna było ciemno i wystarczyło odejść trzy kroki od ognia, żeby ujrzeć najpiękniejsze na świecie gwieździste niebo. Gwiazdy w wielu miejscach po prostu zlewały się w jedną świetlistą masę. Uchy leniwie podniósł łeb, kiedy poszliśmy na czubek cypla. Każda gwiazda, galaktyka, luna światła odbijała się dokładnie w nienaruszonym zmarszczkami fali lustrze jeziora. Wokół nas powstała otwarta przestrzeń światła. Gwiazdy były wszędzie. Patrzyliśmy w milczeniu.

– Komunizm, więc – wrócił do tematu Alister – przykładał człowiekowi pistolet do głowy, stawiał go pod ścianą braku wyboru. Człowiek się buntował. Walczył z systemem. Cała sztuka współczesnego systemu demokracji polegała na tym, żeby nie straszyć pistoletem, żeby człowiek nie buntował się, żeby myślał, że ma wybór, i że tak naprawdę sam o wszystkim decyduje.

– I tak dochodzimy do filozoficznej różnicy pomiędzy brakiem wyboru a *pseudowyborem* – wtrąciłem.

– Dobrze to ująłeś. W Ameryce istnieje możliwość wyboru, możliwość edukacji, możliwość dobrobytu czy też możliwość szczęścia. Jednostka musi jednak być świadoma tej możliwości, żeby zamienić ją w rzeczywistość.

– A to zdarza się coraz rzadziej.

– Dokładnie. Osoba nieświadoma poddana jest bardzo silnej perswazji przez

reklamę, propagandę polityczną, presję zwyczajową.

– Natomiast w systemie komunistycznym jednostka mogła wygodnie stwierdzić: „jestem, kim jestem, robię, co robię, bo nie mam wyboru”. Wybór ciągnie za sobą niewygodną odpowiedzialność.

– Chciałbym, żebyś mnie dobrze zrozumiał – nagle luźna rozmowa przybrała ton poważniejszy. – Istnieją bardzo duże podobieństwa obydwu systemów. Jeden straszył, szantażował, żeby człowiek potwierdził wybór zdarzenia X. Drugi system stwarzał możliwość wyboru pomiędzy X, Y, Z, po czym włączał precyzyjną maszynę perswazji, aby nieświadoma większość demokratycznie wybrała zdarzenie X. Dwie różne metody, jeden cel, jeden rezultat.

– To prawda. Człowiek jednak woli żyć w świecie wolnym od strachu i szantażu.

– Słyszałeś na pewno dyskusję moralną na temat eutanazji. Otóż, są już pierwsze przypadki, kiedy nieuleczalnie chory człowiek, pomimo instynktownego dążenia do przetrwania, twierdzi, że jest ciężarem dla bliskich i obciążeniem finansowym dla opieki zdrowotnej i państwa. Nawet nie cierpiąc bólu, prosi o śmierć. To może osiągnąć presja psychiczna.

– To bardzo smutne...

– Albo inny przykład... homoseksualizm.

– O chwileczkę, dopiero się spotkaliśmy, jesteśmy sami w głębi lasu, zaczynam się niepokoić – chciałem troszkę odprężyć poważny ton wykładu. Nie udało się. Bez cienia uśmiechu, jakby nie słysząc żartu, Alister ciągnął dalej:

– Powiedz, czy kiedykolwiek słyszałeś o homoseksualiście czy lesbijce nieszczęśliwych z powodu braku rodziny, dzieci, prawdziwego małżeństwa? Czy jest możliwe, że 100% homoseksualistów jest dumnych ze stanu swojej rzeczywistości? Czy jest możliwe, że wszyscy oni uważają związek, jaki oferują im niektóre systemy prawne, za prawdziwe małżeństwo? Jest to piękny, dojrzały owoc drzewa skrajnej propagandy... – zatrzymał się na chwilę, ale w świetle ogniska widać było zmienione, podekscytowane oczy.

– Jaki cel może mieć tak intensywne kreowanie szczęśliwego świata? Po co? – wyrwałem go z zamyślenia.

– To już inna i bardzo długa historia, której wnikliwe studiowanie może być nawet niebezpieczne. – I tu doprawdy zdziwił mnie, rozglądając się wokoło, jakby w obawie, że ktoś nas usłyszy. – Powiedz lepiej coś o sobie – nagle przerwał temat.

Przez chwilę nie mogłem zebrać myśli. „Czy on powiedział, że NIEBEZPIECZNE może być interesowanie się sytuacją homoseksualistów we współczesnym świecie?”

Opowieść zacząłem od studiów na fakultecie matematyki i logiki na Uniwersytecie Gdańskim. Wspomniałem o Alicji, mojej wielkiej miłości, dzięki której spędziłem równo sto dni w komunistycznym więzieniu, co też zakończyło moje studia po pięciu semestrach. Wyjazd do Włoch, potem do Kanady. Kurs prywatnych detektywów, dalsza kariera, aż na szczyt. Do tego stopnia otworzyłem się przed tym obcym człowiekiem, że opowiedziałem mu o Vicky i Tomku, i o tym, jak nie mogę podjąć decyzji. Słuchał bardzo uważnie. Nie ziewnął ani razu, jak na późną godzinę i nudne wynurzenia przypadkowo spotkanego człowieka. Zadawał pytania, jakby przeprowadzał rozmowę o pracę na bardzo wymagające stanowisko.

– Vicky bardzo cię kocha – nagle podsumował moją opowieść. – Kocha cię i boi się o ciebie, kiedy codziennie idziesz do swojej niebezpiecznej pracy. Może spróbuj czegoś bezpiecznego. Na przykład, z twoim doświadczeniem możesz otworzyć szkołę dla detektywów?

– Dzięki matematyce i logice jestem już na szczycie kariery detektywistycznej. Prowadzę sprawy tylko dotyczące wyższej klasy tego bezklasowego społeczeństwa. Pracuję mało, zarabiam stosunkowo nieźle, mam dużo czasu, żeby łązić po lasach. Niełatwo jest zrezygnować... Tu jednak masz rację: ona się o mnie boi i pewnie odeszła z powodu długo narastającego stresu.

Otwarcie duchowe tego typu jest nie do pomyślenia w moim zawodzie. To chyba ten niekończący się las wokoło tak szybko zbudował atmosferę przyjaźni pomiędzy dwoma odizolowanymi od świata ludźmi.

Teraz przyszła kolej na starego Alistera, żeby odkrył swoje sekrety przed obcym. Widać, że niełatwo mu to przyszło. Gdzieś w głębi kłócił się sam z sobą, co ma mi opowiedzieć. Streścił bardzo krótko historię swojej kariery na polu badań genetycznych, dużo opowiadając o miłości do Julii. Nie raz głos załamywał mu się w czasie wspomnień o ukochanej żonie. Zazdrościłem temu człowiekowi. Zazdrościłem głównie tego, że znalazł partnerkę życia, która czuła i rozumiała, czym jest szlak i plecak. Zazdrościłem też tych już pewnie tysięcy kilometrów, za każdym razem w innej części świata. Ja pewnie piąty raz byłem na La Cloche, a w Algonquin byłem niezliczoną ilość razy. Nasza grupa, która kiedyś na jedno hasło była gotowa na wyprawę w góry British Columbi, na Yukon czy do Colorado – rozpadła się. Każdy ma zawsze akurat coś pilnego, poza tym są bardzo chętni, tylko nie w tej chwili. Ostatni z moich partnerów trzy lata temu miał rozległy zawał, po którym zakończył karierę wędrowca.

Mój nowy znajomy znalazł miłość i partnerkę wypraw w jednej osobie. To jest szczęście. Jeżeli po ślubie nadal nie uda mi się namówić Vicky, żeby zmęczyła swoje zgrabne nogi pod ciężarem plecaka, to może znajdę gdzieś kogoś takiego jak Alister. Widać, tacy ludzie gdzieś tam jeszcze istnieją. Kiedy jednak napomknąłem o ewentualnej wymianie adresów e-mailowych czy numerów telefonów – zignorował mnie i mówił o czymś innym. Już dogasał blask ogniska... jak w tej polskiej piosence – około trzeciej nad ranem. Poszliśmy spać, życząc sobie dobrej nocy i spotkania rano przy kawie.

Zimnym rankiem Alister z rozkoszą zawiązał się w puchowy śpiwór. Nie zasnął od razu. Myśli skakały mu po głowie, analizował to, czego dowiedział się w ciągu ostatnich kilku godzin o życiu i postaci nowo poznanego Polaka. „Ta sprawa już zabrała życie jednego, dobrego człowieka. Jakie mam prawo naprawiać błędy własnego tchórzostwa za pomocą czyjegoś życia?” – zadawał sobie pytanie. „A z drugiej strony, czy zdarzy się jeszcze moment, że będę mógł swobodnie rozmawiać z prywatnym detektywem, dla którego zabawa w policjantów i złodziei czy też w kotka i myszkę jest sprawą codziennej pracy?”

Spał najwyżej dwie godziny. O brzasku, jeszcze przy świetle latarki, napisał krótki list na odwrocie rezerwacji parkowej. Zwinął namiot, spakował się i w porannej mgłę ruszył w drogę powrotną do cywilizacji. Kiedy mijał namiot śpiącego jeszcze Polaka, jego wielki pies wstał, wypychając wszystkie ściany namiotu naraz. Alister uśmiechnął się na ten widok i po cichu włożył złożoną kartkę do garnka stojącego przy palenisku. Doszedł do skraju cypla, obejrzał się na zamglone jezioro. „Stało się... życzę powodzenia!”

Szedł równym, spokojnym krokiem, myślami zatopiony już w sprawach czekających go po powrocie. Mgła uniosła się dopiero koło dziewiątej i jeszcze raz mógł nacieszyć oczy ostatnimi pięknymi widokami. Zatrzymał się na chwilę na łysej skale, patrząc w dół na wąski przesmyk, jakby kamienny most pomiędzy dwoma małymi jeziorkami. Pięknie... Wyjął mapę.

Została najwyżej godzina marszu.

– Dzień dobry.

Alister aż podskoczył. Na ścieżce przed nim stał mężczyzna z małym dziennym plecakiem.

– Dzień dobry, aleś mnie przestraszył... nie zauważyłem, kiedy podszedłeś.

– Ładny dzień.

– Jak wszystkie dni w ładnym miejscu – odpowiedział Alister tonem kończącym krótką konwersację. Poczł się nieswojo. – Miłej wycieczki – rzucił na pożegnanie, robiąc krok w prawo i próbując go wyminąć, ponieważ stał na środku wąskiej w tym miejscu ścieżki. Mężczyzna dalej stał w miejscu i ciągle patrzył nieruchomo przed siebie.

– Miłej podróży – odpowiedział nieprzyjemny głos i w tym samym momencie, tuż przed twarzą, Alister zobaczył dłoń w skórzanej rękawiczce i mały żółto-czarny przedmiot. Syk. Dziwny zapach. Eksplozja łez... Co się dzieje? Chciał krzyknąć, zaprotestować... Głos nie wydostał się z gardła. Chciał podnieść rękę, bronić się... ręka nie była już częścią jego ciała. Krok do tyłu... nogi słabły, znikwały spod ciała. Leciał powoli w dół. Cisza. Odrętwiała twarz. Dłonie nie słuchały panicznych poleceń mózgu.

Mijały chwile. Powoli wracał obraz. Widział tylko jedno nieruchome zbliżenie kilku kolorowych liści klonu, złamana gałązka. Nie mógł ruszyć się z miejsca. Panika narastała. Ukłucie gdzieś w okolicy ucha. Jesienią nie ma już komarów! Twarz kobiety. Znajoma, spokojna twarz. Obok ciemna twarz hindusa. Znał ją. Brakuje powietrza. Olbrzymim wysiłkiem Alister wziął potężny oddech. Wracała mgła, twarz... przestrzeń. Panika nagle ustąpiła spokojowi. Błysk... zrobiło się jasno, ciepło... cisza.

Vincent uważnie schował strzykawkę. Po chwilowym zamieszaniu do lasu wracała cisza. Obok ścieżki, na dywanie kolorowych jesiennych liści, leżał mężczyzna. Nieskoordynowane, przerywane drgawki kończyn stopniowo robiły się coraz rzadsze.

Na prawą rękę założył długą aż do łokcia rękawicę, zrobioną z ciężkiego tworzywa, z palcami zakończonymi stalowymi pazurami. Pierwszym mocnym ciosem rozerwał plecak, ciągle jeszcze przypięty do martwego już ciała. Vincent był bardzo podniecony... i bardzo spokojny.

Następne ciosy wyrwały puch z rozerwanego śpiwora i rozrzuciły po ścieżce ubrania. Sprawny ruch niedźwiedziej łapy zmasakrował okolice ucha, gdzie poprzednio widniała kropelka krwi po zastrzyku. Kilka szybkich uderzeń po całym ciele, kilka odcisków łapy na glinie, pomiędzy kamieniami. Wystarczy. Spojrzał na zegarek ustawiony na cykl stopera. Od spotkania minęły dwie minuty i czterdzieści siedem sekund. Spakował narzędzia zbrodni oraz rękawiczki do płóciennego worka

w plecaku, a potem zatarł gałęzią jedyny, nieopatrznie zostawiony ślad swojego buta. Trzy minuty i Vincent zniknął w gęstym lesie. Zatrzymał się tylko jeden raz nad niedużym jeziorkiem, nawet nienazwanym na mapie. Od północnej strony woda zamieniała się w rozległe zarośnięte bagno.

Obmył spoconą twarz w zimnej wodzie, wyjął z plecaka worek. Mocny zamach i jedyne dowody rzeczowe poszybowały na środek jeziora. Powoli zabrała je tajemnicza, czarna woda.

Wyjął telefon satelitarny, przez który przesłał krótką wiadomość: „TCT+”. Po południu w hoteliku we wiosce wziął gorący prysznic, ogolił się i przebrał. W recepcji uregulował rachunki, wypił, jak to nazwał, zasłużony dzin z tonikiem i ruszył w drogę powrotną do Bostonu. Przejeżdżając przed bramą parku, musiał się zatrzymać. Właśnie na parkingu przed biurem lądował helikopter ministerstwa środowiska naturalnego. Na poboczu stały ambulans, straż pożarna, policja i inne nieoznakowane SUV-y. „Szybko go ktoś znalazł” – pomyślał i pomachał na stojącego przy bramie policjanta:

– Co tu się stało? Kręcicie film?

– Na terenie parku miał miejsce atak niedźwiedzia na turystę. Przeprowadzamy ewakuację, proszę nie blokować drogi! – krzyknął tłustawy policjant.

„Atak niedźwiedzia” – uśmiechnął się, odjeżdżając. Ta akcja nie była nadzwyczaj wyrefinowana, ale od samego początku potykał się o nieistotne, idiotyczne drobiazgi. Jeszcze nie nadszedł czas na analizę szczegółów. Teraz należał mu się dobry obiad i spokojna podróż przy muzyce klasycznej.

Uchy wstawał i kręcił się wcześniej o świcie. Mało nie podarł naszego domku. Zasnąłem jeszcze raz. Obudziło mnie słońce, kiedy było już dość wysoko na niebie i świeciło prosto w uchylone drzwi.

Pies, jak zwykle rano, nie leżał już na swoim kocu. Stopniowo przesuwał się w ciągu nocy, dotarł do wysokości mojej twarzy, a wspaniały poranny psi oddech przyspieszył moment wstawania z ciepłego śpiwora. Na pożegnanie rozpoczynał się cudowny, ciepły dzień. Zupełnie bez wiatru i ani jednej zmarszczki na tafli wody. Przed namiotem porozciągałem się chwilę i wbiegłem na skałę nad zatoczką. Namiot Alistera zniknął. Stary spakował się wcześniej, pewnie wtedy, gdy pies tak się wiercił. „Nic to, sam wypiję kawę.” Nadchodził moment ostatniego w tym sezonie pakowania obozowiska, ostatnie śniadanie pod chmurką. Rozwiesiłem rzeczy na słońcu, żeby

straciły nocną wilgoć. Kiedy wyjeżdżam z miasta, jestem bardzo szczęśliwy, natomiast powrót z lasu pozostawia uczucia łamano-szarpano-niepewne. Z jednej strony mam trochę dosyć żarcia z torebek, jedzenia w kucki, mycia się jedną ręką... Z drugiej – czeka mnie praca, tłumy, decyzje, problemy polityki światowej. Prysznic, tłum, dobre jedzenie, praca – coś za coś, jak to często w życiu bywa. Tym razem było jednak inaczej. Decyzja podjęta przed wyjazdem zaczynała docierać wyraźniej do mojej świadomości i o dziwo... cieszyć. Wyglądało na to, że muszę kupić pierścionek. Sięgnąłem po garnek, żeby ugotować wodę na ostatnią kawę. Na dnie garnka leżała złożona, różowa rezerwacja. Na odwrocie był list do mnie.

Bank of Nova Scotia, Montreal, Boulevard St. Jean Baptiste 748, skrzynka depozytowa na okaziciela – hasło RL7764VOR88IA. Wszystko, co tam znajdziesz, należy do ciebie. Wszystko, co z tym zrobisz, zależy od ciebie. Bądź bardzo ostrożny, najbardziej, jak tylko potrafisz, wykorzystując całe swoje doświadczenie zawodowe. Duże niebezpieczeństwo. Powodzenia. A.

Zanim woda na kawę zagotowała się, znałem treść karteczki na pamięć. Co to może być? Co to może znaczyć? Poznałem faceta kilkanaście godzin temu. „Duże niebezpieczeństwo? Czy ja się znowu w coś pakuję?”. Wepchnąłem karteczkę w dymiący jeszcze, wczorajszy popiół ogniska. Papier zwinął się, zżółkł i rozbłysnął jasnym płomykiem. „Może to jednak żart albo jakaś bzdura?”. Widziałem jego oczy w nocy, podczas rozmowy – to nie jest żart, chyba że Alister jest świetnym aktorem. Spakowałem bałagan i jakoś niemrawo zebrałem się do drogi. Niby niewiele się stało, ale to uczucie odnowy duchowej i cielesnej, które zawsze towarzyszy ostatnim godzinom, zostało zaburzone. Było jeszcze inne wyjście: po prostu zapomnieć. Zjechać do wioski na piwo i rybę, wyrzucić z pamięci te trzynaście symboli... i po prostu olać to z góry. Akurat. Zaczynałem być bardziej ciekawy niż zdziwiony.

Swoją drogą, jakie jest prawdopodobieństwo, że na tak wielkim obszarze lasu spotkasz właściwie jednego człowieka i to właśnie on, po kilku zdaniach, zabierze ci spokój?

Przez całą drogę powrotną miałem przygotowywać się do oficjalnego zaproponowania Vicky małżeństwa. Nie mogłem jednak nawet oderwać myśli od tego, co mówił Alister, jak zadawał mi szczegółowe pytania o moje życie, o pracę... tego nie spotyka się na tym kontynencie. Może jednak pozytywnie przeszedłem rozmowę kwalifikacyjną na jakieś bardzo niebezpieczne zadanie? Gdybym tak mógł chociaż zadać mu kilka pytań, zanim się w coś wplączę!

„Wszystko, co z tym zrobisz, zależy od ciebie...”. By to szlag trafił! Miałem za

mało danych, żeby dalej o tym myśleć. Zaczynało mnie to irytować. Zszedłem piękną kolorową doliną, żółtą jesiennymi brzoźami i czerwoną cukrowym klonem. Oprócz uczyty dla oczu, otoczył mnie ten zawsze rozpoznawalny, cudowny zapach.... suszone grzyby. Koniec lata był tego roku wyjątkowo suchy i, jako że w Kanadzie prawie nikt nie zbiera grzybów, to setki borowików i kozaków wyschniętych i robaczywych napełniły powietrze tym znajomym z dzieciństwa zapachem. Jak u babci w kuchni po powrocie całej rodziny z porannego grzybobrania. Tu ludzie nie znajdują się na grzybach. Popularne jest twierdzenie, że jeśli ktoś bierze do ręki grzyby, to prawie na pewno umrze w męczarniach, a jeśli już widzisz kogoś w lesie z koszykiem, to na pewno jest to Ukrainiec, Polak... a bez koszyka to czarny niedźwiedź. Nagle i niespodziewanie, zanim zdążyłem zapiąć psa na smycz, moje rozważania zapachowe przerwało dwóch strażników w mundurach, uzbrojonych w karabiny Winchester Magnum. Zaskoczyli mnie podwójnie.

– Czy pan Jan Barski? – zapytał mniejszy, trzymając jakiś papier w ręce.

– Tak, to ja. O co chodzi?

– Niestety musimy przerwać panu wycieczkę, ewakuujemy wszystkich turystów z tej części parku.

– To coś nowego. Co się stało?

– Dziś rano na tej trasie miał miejsce śmiertelny atak czarnego niedźwiedzia.

Ciągle trwają poszukiwania zwierzęcia. Mamy za zadanie odprowadzić pana bezpiecznie na parking.

– Dziękuję, moja wycieczka już i tak dobiega końca.

– Ostatniej nocy spałeś na szóstce, prawda? Czy mijając wczoraj lub dzisiaj jakichś ludzi? – Tak, nocowałem na szóstce – zawahałem się chwilę – ale nikogo nie widziałem od trzech dni.

Większy strażnik przez krótkofalówkę potwierdził, że mnie znaleźli, po czym w milczeniu doszliśmy do miejsca, gdzie ścieżkę zamykała pajęczyna żółtej taśmy policyjnej.

– Musimy ominąć ten odcinek. To tu zginął ten nieszczęśnik. Pokazał ręką miejsce gdzie pracowało na kolanach kilka osób w białych fartuchach. Obok ścieżki leżał podarty plecak.

Jeden z tych droższych, z górnej półki cenowej... „Boże! Alister nie żyje!”

Wstrzymałem silny napór emocji.

– W którą stronę szedł ten człowiek? To mógłbym być ja.

– Szedł w tę samą stronę, co ty, dlatego go nie spotkałeś.

Salvatore Rodriguez wziął do ręki wibrujący telefon. W rogu ekranu migало niebieskie "S" oznaczające połączenie satelitarne. Wiadomość: „TCT+”. Odwrócił się na krześle w stronę komputera i od razu wysłał e-mail do każdego z członków zespołu. Po piętnastu minutach wszyscy stali wokół wielkiego biurka.

– Dzisiaj rano – zaczął poważnym, ale nie agresywnym tonem – Alister Swan zginął śmiercią tragiczną podczas ataku czarnego niedźwiedzia w Ontario, w Kanadzie. Jutro przeczytacie o tym w gazetach. Od tej pory zmieniamy cel i cały zespół będzie pracował nad analizą danych wszystkich ludzi, z którymi A.S. mógł wejść w kontakt przez ostatnie tygodnie, a przede wszystkim przez ostatnie dni w parku. Chociaż kontakt taki jest mało prawdopodobny, ostrzegam przed osłabieniem uwagi. Jeszcze nie czas na relaks. Ta sprawa nie jest jeszcze skończona. Nadal istnieje możliwość, że udało mu się pozostawić gdzieś polecenie pośmiertnej publikacji utajonych dokumentów. Wiemy, że próbował. Uruchamiamy grupę, która będzie w ścisłym kontakcie z gazetami i stacjami TV na terenie USA.

– Oto lista ludzi, o których chcę wiedzieć wszystko – rozdał kartki.

Nikt nie zdołał powiedzieć słowa, kiedy zebranie dobiegło końca. Albert wyszedł z resztą zespołu.

Doszliśmy razem aż do mostku łączącego trasę ze stacjonarnym kempingiem i parkingiem. Strażnicy pożegnali się i ruszyli z powrotem w poszukiwaniu turystów. Tydzień temu to miejsce było puste i ciche. Dzisiaj wrzało. Kilkanaście samochodów, policja, ambulans, straż pożarna, samochody ministerstwa środowiska naturalnego i lokalna telewizja z Sadbury. Nad głowami z hukiem zawisł helikopter zniżający się do lądowania. Na platformie holownika drogowego, migającego żółtymi światłami, stał oblepiony błotem biały land rover z tablicą rejestracyjną stanu Vermont. Na pewno należał do Alistera.

– Proszę opuścić teren parku! – szybkim krokiem szedł w moim kierunku człowiek w mundurze.

Przyciągnąłem psa bliżej nogi.

– Właśnie mam zamiar to zrobić i próbuję się dostać do mojego auta, to ten żółty nissan.

Kilka osób spośród stojącej grupy odwróciło się w naszą stronę.

– Proszę zaczekać przy samochodzie – burknął mundurowy i zaczął konwersację przez krótkofalówkę.

Uchy ulokował się wygodnie na swoim miejscu. Zanim zdążyłem się przebrać przed podróżą, ustawiła się kolejka „zadawaczy” pytań. Pytali o wszystko: jak długo, z kim i kogo widziałem, czy spotkałem, czy rozmawiałem... czy widziałem niedźwiedzia...

Moją uwagę zwróciła para z kamerą telewizyjną filmująca moje krótkie i ogólne odpowiedzi. Oboje mieli dość dokładnie ukryte rysy twarzy: okulary słoneczne, chustka na włosach, czapka z daszkiem, makijaż i wąsy, być może prawdziwe. W moim zawodzie takie szczegóły od razu zwracają uwagę. Analiza twarzy to choroba zawodowa.

Przejeżdżając przed biurem musiałem zwolnić i ominąć helikopter z wolno obracającym się śmigłem, zajmującym prawie cały parking. Przy bramie więcej aut. Ciekawscy. Włączam cicho muzykę z pieśniami z mszy Taizé, którą dostałem od Vicky. Teraz dopiero zaczyna docierać do mnie to, co się naprawdę stało. Jeszcze kilka godzin temu zazdrościłem nowopoznanemu facetowi życia, pieniędzy, setek wypraw po świecie, doświadczenia. Teraz nagle go nie ma. Jego ciało zmasakrowane przez niedźwiedzia leży gdzieś tam w czarnym plastikowym worku. Cicha modlitwa płynąca z płyty pogłębia żal i uzmysławia tę nie do końca akceptowalną skończoność ludzkiej egzystencji. Powoli zaczynam analizę nowej rzeczywistości. Lawina pytań: „Czy naprawdę zabił go niedźwiedź? Czy ktoś mógł słyszeć naszą rozmowę? Na przykład dobry punktowy mikrofon bez problemu ściągnąłby głos z drugiej strony małego jeziora. Czy ktoś mnie z nim kojarzy? Kto stoi za słowem «niebezpieczeństwo»? Co dalej robić? Zapomnieć czy jechać do Montrealu? Co będzie w skrzynce? A Vicky?” Coś nagle wtargnęło w moje życie, kopiąc brutalnie w drzwi spokojnej rzeczywistości. Nie rejestrowałem już więcej widoków za oknem, nie słyszałem pięknej muzyki z radia. Już gdzieś tam, w tej nieświadomej głębi, wiedziałem, że nie mogę zapomnieć tego rzędu cyfr i liter z różowej kartki Alistera. Czy coś miało się zacząć? Czy coś się już zaczęło?

Niedziela mijala powoli, czas upływał na ciągłych rozważaniach o tym, co się wydarzyło. W ogrodzie za domem rozwiesiłem namiot i śpiwór, zrobiłem pranie. W południe byłem w kościele. Po stukilometrowej wycieczce ani pies, ani ja nie mieliśmy ochoty na dłuższe spacer. Idąc moją ulicą, zauważyłem, że sprzed domu

starego Joe zniknęła tablica „na sprzedaż”. „Ciekawe, czy zrezygnował z próby sprzedaży czy może udało mu się tak szybko pozbyć nieruchomości?”

Po południu zadzwoniłem do Vicky i Tomka. Nie było ich w domu. Zaparzyłem kubek pachnącej kawy kolumbijskiej i otworzyłem niedzielne wydanie Toronto Sun.

Wczoraj rano, na terenie Parku Prowincjonalnego Killarney, około sto kilometrów na południe od miasta Sadbury, znaleziono zwłoki obywatela USA, będącego na tygodniowej wycieczce pieszej.

Wstępne śledztwo i autopsja wykazały, że turysta zmarł na atak serca podczas spotkania z dużym, czarnym niedźwiedziem. obrażenia ciała, jakich doznała ofiara, nie zostały uznane za śmiertelne i być może zostały zadane już po zgonie. Jak dotąd pracownikom Ministerstwa Środowiska Naturalnego nie udało się zlokalizować niedźwiedzia. Akcja poszukiwawcza trwa nadal. Park pozostaje zamknięty, a wszystkich turystów chwilowo ewakuowano.

To ciekawe: „nie udało się zlokalizować...”. Co roku w Kanadzie zdarzają się dwa, trzy ataki niedźwiedzi. Nie zawsze są one śmiertelne dla ludzi, ale zawsze są śmiertelne dla niedźwiedzi. Misie są od razu lokalizowane przez władze i usypiane.

Odłożyłem gazetę. Widocznie tym razem mamy do czynienia z bardzo przebiegłym niedźwiedziem, którego ofiara, zaledwie kilka godzin wcześniej, dała mi do zrozumienia, że jest w niebezpieczeństwie.

Wczoraj, czyli w piątek, w południe miało się odbyć uroczyste pożegnanie Alberta Weissa po czterdziestu latach pełnej poświęcenia służby, bo zatrudnienie w agencji trudno nazwać po prostu pracą. Wiele lat temu, kiedy jego koledzy z uniwersytetu zakładali rodziny, rodziły im się dzieci, szukali domu na przedmieściach – on służył wytrwale i bez wytchnienia.

Była sobota wieczór, późny wieczór. O takiej porze większa część populacji amerykańskich miast spędza czas w restauracjach i barach, nie mówiąc już o tych, co powinni celebrować pierwszą sobotę na emeryturze. Nie było tortu, wyprawki i uścisków uśmiechniętych kolegów, walczących już od jakiegoś czasu o jego stanowisko. Dalej musiał służyć... jeszcze kilka tygodni. Albert poczuł się jak maratończyk, któremu tuż przed metą przesunięto taśmę dalej... tylko o kilometr, ale właśnie ten kilometr wydaje się dłuższy niż cały wyścig.

Po południu, wraz z Salvatore, dokonali selekcji ludzi wchodzących z dniem dzisiejszym pod obserwację. Mimo wielu lat cichej współpracy, na pierwszym

miejscu był Rob Taylor, prawnik Alistera Swana. Dokładnie nie było wiadomo, czym skończyły się rozmowy obydwu panów podczas ich ostatniego spotkania. Należało pamiętać, że bilans finansów zmarłego wskazywał na to, że gdzieś w nieznanym banku lub w puszcze po kawie zakopanej w ogrodzie, leżało około pięciu milionów dolarów, których nie można się doliczyć z oficjalnych rachunków. Jeśli byłoby to konto oprocentowane, to mogła być to suma już dwukrotnie większa. Alister na pewno nie wiedział, że ktoś podążał jego śladem do Kanady. Vincent jechał zgodnie z instrukcją, daleko od celu, kierowany tylko sygnałem GPS. Teoretycznie podmiot nie miał też możliwości umówienia się z kimkolwiek po drodze czy też w parku. Zatrzymał się w małym oddziale Bank Of Nova Scotia w centrum Montrealu. Spędził tam niecałe osiemnaście minut i pobrał pięćset dolarów, którymi później płacił za paliwo, motel i noclegi w parku. Pozostawały pytania: dlaczego nagle, w ostatniej chwili, zmienił kierunek marszu, wybierając trudniejszą drogę oraz czy komunikował się z kimś spotkanym przypadkowo?

Wiedzieli o Neverly i Susan Radke, dwóch samotnych siostrach po sześćdziesiątce, z których młodsza niedawno miała wylew. Emocjonalną, ostatnią wyprawę dwóch starszerek można było śmiało wykreślić. Trójka młodych Kanadyjczyków: chłopak z dziewczyną i bratem, alkohol i marihuana na postojach – odpadali. Grupa studentów, w sumie z nauczycielem, czternaście osób z klubu turystycznego przy szkole w North Bay. Prawdopodobieństwo rzędu pięciu procent, kontakt personalny z dużą, przypadkowo spotkaną grupą jest bardzo trudny do nawiązania. Małżeństwo lekarzy z Toronto, Glen i Gloria Barry, wyczynowcy biorący udział w tych zwariowanych, wielodniowych biegach terenowych na wytrzymałość. Sto kilometrów pokonali w niecałe trzy dni i nie mieli czasu na pogadanki z przypadkowym starcem – pięć procent.

Ostatnia osoba, i jedyna podkreślona na żółto przez Salvatora, to Jan Barski – imigrant z Polski z początku lat osiemdziesiątych. Wiek czterdzieści lat. Jako jedyny szedł tym szlakiem, w tą samą stronę, co Alister. Zaczął trasę wcześniej, w poniedziałek rano, a skończył w kilka godzin po odkryciu zwłok. Musieli więc się gdzieś minąć, a zachodziło też duże prawdopodobieństwo, że szli razem przez jakiś odcinek. Zawód – podkreślony podwójnie – pracownik firmy detektywistycznej zlokalizowanej w Toronto.

Polecenie: „100/100”, czyli sto procent obserwacji przez sto dni.

Albert wstał z fotela, którego nie pozwalał wymienić przez co najmniej dwadzieścia ostatnich lat swojej kariery. „Na starość zaczynam robić się sentymentalny” – pomyślał, czule dotykając wytartego, skórzanego oparcia. Zgasił

światło. Na piętrze pracowało jeszcze dwóch młodych agentów rozpracowujących Barskiego.

– Jak leci, są jakieś nowości? – zapytał, wchodząc do ciemnego pokoju.

Przebudzony z półsnu mężczyzna podskoczył w fotelu, po czym zerwał się na równe nogi, strącając z biurka kilka papierowych kubków po kawie ze Starbucksa.

– Nie wiedziałem, że jeszcze ktoś tu jest o tej porze... – wyszczeakał zmieszany, jękając się.

– Co się wydarzyło w ciągu ostatnich czterech godzin? – ostro powtórzył pytanie Albert. Jako młody agent nigdy nie pozwoliłby sobie na przysypianie na służbie. Ci młodzi byli tu po prostu w pracy... jak na poczcie czy na nocnej zmianie w piekarni.

– OK, więc Monica i Gerald, jako małżeństwo, wynajęli dom naprzeciwko Barskiego... to znaczy niezupełnie, ale bardzo blisko, na tej samej ulicy. Pracują nad podłączeniami. Vincent pozostaje w hotelu w Toronto. Barski mieszka sam, to znaczy z psem... z dużym psem. Jutro Gerald ma przeszukać cały dom i zapluskwić, co się da, łącznie z kamerą przy drzwiach i podsłuchem pomieszczeń.

– Ten facet jest prywatnym detektywem. Napisz to dużymi literami i wyślij do Geralda. Niech będzie bardzo uważny. Aha... I, kurwa, nie śpij na służbie! Rozumiesz! To nie praca... To służba!!

Albert zjechał windą do pustego o tej porze garażu. „Jeszcze może ze dwa tygodnie – jeśli Barski nie ma z tym nic wspólnego, a Taylor jest czysty”. Jadąc Memorial Drive, patrzył na oświetlone miasto po drugiej stronie Charles River, miasto budzące się do nocnego życia po tygodniu pracy... po tygodniu służby.

Tym razem powrót do codziennej pracy wyglądał inaczej niż zwykle. Zamiast spokojnego wyciszenia i energii, było skupienie i ciągła, nieustająca analiza zdarzeń i sytuacji. W nocy spałem najwyżej trzy godziny. Było możliwe, że Alister został zamordowany, jak również to, że ktoś na tablicy schematowej właśnie łączył czerwoną linią tę sprawę z moim imieniem. „Odczekać jakiś czas, zanim zrobię następny krok, sprawdzić, czy jestem «pod opieką»”.

Moje biuro mieściło się na trzecim piętrze pięciopiętrowego budynku z czerwonej cegły, stojącego skromnie pomiędzy kilkoma fabrykami. Zszedłem do magazynu w piwnicy i wypisałem kwit na dwie mikrokamery i elektroniczny wykrywacz podsłuchu telefonicznego. „To tyle na początek”. Uśmiechnąłem się, bardziej sam do siebie niż do dziewczyny za biurkiem. „Może to po prostu paranoja zawodowa,

nabyta przez lata pracy śledczej?”

Na moim biurku leżała teczka i dyski „sprawy hokejowej”. Sławny hokeista, grający w NHL, razem z bratem przekupili radnych Toronto i sprzedali miastu sieć komputerową po, lekko licząc, siedmiokrotnej wartości rynkowej. Szykowało się dużo pracy, ale na razie sprawa była wstrzymana i czekała na końcowe zatwierdzenie przez policję. Nie bardzo lubię współpracę z policją: dwuletni staż daje młodemu gliniarzowi wyższość nad dwudziestoletnim stażem detektywa-prywaciarza.

Wszedłem na chwilę do mojego szefa. Sekretarka uśmiechnęła się powabnie i od razu wpuściła mnie dalej.

– No, jak tam wycieczka..? Czekaj, czy ty byłeś tam, gdzie niedźwiedź zabił tego Amerykanina?

– Tak, to ten sam park.

– Podobno chłop tak się wystraszył misia, że aż dostał ataku serca. A jak wycieczka?

– Dziękuję, udana. Jestem wypoczęty i pełen energii do pracy... jeśli o to ci chodzi.

– To świetnie! Oprócz hokeistów wykluwa się znacznie ciekawsza afera z młodymi muzułmańskimi terrorystami w roli głównej. Bardzo staramy się chociaż o część sprawy, to duża kasa.

– Jakież konkrety?

– Jeszcze nie, ale bądź w pogotowiu. To może być jeden z tych wielotygodniowych maratonów bez weekendów.

– Jesień tego roku jest taka piękna. Może by jeszcze wyskoczyć na *canoe*, na kilka dni?

– Tylko wróc przed weekendem i weź ze sobą telefon satelitarny.

– OK, będziemy w kontakcie.

W czasie lunchu w Timie Hortonsie, po drugiej stronie ulicy, dopadł mnie mój kolega z pracy, Jimmy. Zadawał dziesiątki dramatycznych pytań w sprawie ataku niedźwiedzia, był przerażony. Jak ja mogę tak sam łązić tam daleko, gdzie jest tak niebezpiecznie?

– Jeździsz po autostradach? – zapytałem.

– Tak, oczywiście.

– Widzisz, to jest dopiero niebezpieczne! Rocznie w Stanach ginie ponad czterdzieści tysięcy ludzi na autostradach, a tylko trzy osoby są zabijane przez niedźwiedzie. Ja bym na twoim miejscu siedział w domu.

Nie wiem, czy się obraził, ale w każdym razie przestał głupio pytać.

Po lunchu zamiast do biura poszedłem prosto na parking. Chciałem zdążyć przed korkiem do domu i wziąć psa do lasu na godzinę. Podjechałem pod dom. Wyłączyłem silnik. Coś było nie tak! Zawsze w tym momencie czekał pies.

Zawsze!

Rozejrzałem się dokładnie, niby zawiązując but. W domu starego Joe poruszyła się firanka. Otworzyłem drzwi, wszedłem przez korytarzyk, pokój gościnny... otworzyłem wewnętrzne drzwi do garażu. „UCHYYYY! Kurwa, zabili mi psa!”

Dopałem leżącego psa. Na betonowej posadzce widziałem wydrapane ślady pazurów. Oczy miał półotwarte, całe ciało wyprężone i sztywne. W kącie wielkiej psiej paszczy widać było zaschniętą smugę żółtej piany. Odsunąłem psa na bok. W miejscu, gdzie leżała głowa, została duża żółta plama. Skurwysyny go otruli! Łzy cisnęły mi się do oczu. Przytuliłem psi łeb, klęcząc na betonie. Ludzie kupują psy, ludzie narzekają na dodatkowe obowiązki, ludzie usypiają psy albo oddają je do przytułku. Ja miałem przyjaciela. Tyle wspólnych wielodniowych wypraw, codziennych spacerów przez te osiem lat! Tyle godzin spędziłem, gadając do psa, że czasem wydawało mi się, że zaraz usłyszę odpowiedź. Duże psy nie są długowieczne i wiedziałem, że kiedyś ten moment nastąpi, lecz nie przepuszczałem, że jakiś sukinsyn z premedytacją zabije Uchego.

Otarłem łzy. Wracala kontrola sytuacji... musiała wrócić. Sprawa stała się jasna. Ktoś przyszedł przeszukać dom i pozakładać podsłuch. Uchy potrafił narobić hałasu tym swoim donośnym tenorem, to go otruli. „Mam nadzieję, że ktoś mi kiedyś za to zapłaci”.

Czas mijał. Siedząc na betonie w garażu, głaskałem łeb mojego martwego przyjaciela.

„OK, więc w domu są kamery, może mikrofony. Jest więc okazja odegrać małą komedię pod tytułem: *Niczego się nie domyślam*”.

Wszedłem z powrotem do domu, trzymając twarz w rękach. Nie musiałem specjalnie grać, bo naprawdę było mi cholernie smutno. Otworzyłem barek, nalałem dużą whisky i jednym haustem wypilem prawie pół szklanki. Podeszedłem do telefonu.

– Dzień dobry, czy jest Vicky Van Daren?

– Proszę poczekać.

– Hej, cześć, jak tam było? Widziałam, że wczoraj dzwoniłeś, chciałam...

– Uchy nie żyje – głos mi się załamywał.

– Co? Coś się stało na wycieczce?

– Nie. W lesie było wszystko w porządku. Wróciłem z pracy, a pies leżał martwy w garażu.

– O Boże, jak my to powiemy Tomkowi? Mały się załamał.

– Nie mam pojęcia, co się stało. Był w świetnej formie, jadł dobrze, biegał, pływał...

– Może zżarł coś w parku?

– To już ponad czterdzieści osiem godzin od powrotu... zachorowałby wcześniej.

– Co teraz? Chcesz zrobić autopsję u weterynarza?

– Chyba nie. Po prostu zakopię go gdzieś w Kortright. Sam nie wiem, jest strasznie ciężki.

– Tak mi smutno.

– Mnie też. Nigdy nie myślałem, że będę tak płakał po psie.

– Oj, Janek. Trzymaj się dzielnie.

– Zadzwoń do was, może w środę, jak wymyślę, co powiedzieć małemu. Na razie. Cześć.

– Pa.

Podjechałem nissanem pod same drzwi garażu. O tylny schodek oparłem dwie trzymetrowe deski i przy pomocy koca z psiego posłania wciągnąłem Uchego do bagażnika. Wrzuciłem też łopatę, materac i miskę. Obroża i smycz zostały na pamiątkę.

Minąłem rezerwat i wjechałem w boczną drogę żwirową, zamkniętą dla ruchu i stanowiącą północną granicę terenu. Jakies trzydzieści metrów od drogi znalazłem małą polankę pomiędzy modrzewiami i wykopałem głęboką na półtora metra dziurę... grób. Zakopałem przyjaciela. Kiedy spocony usiadłem obok psiej mogiły, przypomniała mi się jedna z naszych wspólnych wypraw.

Było to ze dwa lata temu. Krótki trzydniowy spacer wzdłuż Rain Lake, przy zachodniej granicy Algonquin Park. Miałem parę wolnych dni i tak bardzo chciało mi się iść do lasu, że nawet nie sprawdziłem prognozy pogody. Dzień wcześniej nad Pensylwanią i stanem Nowy Jork przewaliła się resztką huraganu tropikalnego znad Florydy, która podczas tej krótkiej wyprawy dotarła nad nasze głowy. Nigdy wcześniej nie widziałem tak czarnych i tak nisko opadających chmur, że aż zakrywały szczyty sosen. Takiej ulewy też jeszcze nie widziałem. Jako doświadczony wędrowiec okryłem się peleryną i maszerowałem prawie po ciemku, ścieżkami zamienionymi w rwące potoki.

Niedaleko miejsca noclegowego, przekraczając wezbraną teraz rzeczkę, poślizgnąłem się na mokrym pniu sosny i wpadłem do wody po pachy. Pamiętam...

byłem załamany. Po południu przejaśniło się i deszcz przestał padać. Rozwiesiłem na drzewach to, co miałem mokrego... czyli wszystko. Kiedy tak siedziałem i rozmyślałem o nocy w mokrym śpiworze, nagle coś zaczęło szarpać mnie za sweter.

– Uchy! – krzyknąłem. – Odczep się, czyś ty zwariował?!

Pies, równie mokry i poczochrany jak okoliczny las po sztormie, nadal szarpał mnie i warczał w jakiś dziwny, żartobliwy i rozweselający sposób. Uchy, na psi sposób, dodawał mi otuchy i próbował wymusić na mojej twarzy uśmiech. Było to niesamowite i wzruszające uczucie, którego nigdy nie zapomnę.

„Do widzenia, przyjacielu”.

Jeśli twój wróg zadał ci cios i jest pewien, że jesteś załamany, to masz nad nim chwilową przewagę. Wiesz, co on wie i czego od ciebie oczekuje. Wykorzystaj to.

W drodze powrotnej z psiego pogrzebu podjechałem do sklepu z alkoholem. W Ontario alkohol można kupić tylko w specjalnych rządowych sklepach – jak w komunizmie. Kupiłem litrową butelkę szkockiej Glenfiddich Whisky. W domu wzięłem prysznic i na środku pokoju gościnnego wypłem dużą szklanę... przed mikrokamerą ukrytą w niepodłączonym systemie alarmowym. Wiem, bo sam bym ją tam zainstalował. Kiedy razem z Vicky i Tomkiem w brzuchu wprowadziliśmy się do tego domu, przyszedł facet z firmy montującej alarmy, popatrzył na ośmiomiesięcznego Uchego, ważącego już wtedy ze dwadzieścia pięć kilo, i stwierdził, że nie potrzebujemy alarmu. W całym domu zostały niepopodłączone detektory ruchu i każdy z mojej branży właśnie tam zainstalowałby mikrokamery i mikrofony. Znalazłem cztery, wszystkie na parterze.

Zadzwoiłem do pracy i nagrałem krótką informację, że mój pies zachorował i zdechł, i że nie będzie mnie jutro w biurze. Szef pewnie się nie zdziwił, bo i tak nie miałem się pojawić. Całą noc spędziłem na kanapie w piwnicy, przed głośno nastawionym telewizorem, czasem tylko chodziłem do ubikacji na parterze, ostro zataczając się przed kamerą. Korzystając z półmroku i z możliwości bezkarnego zataczania się, wpiąłem jedną z mikrokamer przyniesionych z pracy w kołnierz kurtki wojskowej wiszącej na wieszaku, na przeciwko drzwi wejściowych. Drugą po prostu położyłem na gzymsie kominka z czerwonej cegły i przycisnąłem pogrzebaczem. Zasnąłem najwyżej na dwie godziny.

Godzina czwarta, czas na działanie. Powoli, po cichu i po ciemku spakowałem jakieś lepsze ubranie i skórzane buty do małego plecaka. Założyłem czarne dresy

i buty do biegania. Wyjąłem z szyn rozsuwane okienko i ostrożnie wyczołgałem się do ciemnego ogrodu za domem. Bez problemu pokonałem szybkim skokiem płot, pomiędzy pożółkłymi już pnączami winogron. Przeczolgałem się wzdłuż domu sąsiada i pojawiłem się na sąsiedniej ulicy.

Lekkim truchtem porannego biegacza, z wymachami rąk nad głową, dobiegłem do stacji benzynowej i kawiarni. Kupiłem kawę w papierowym kubku i z telefonu za ćwierćdolarówkę – nie pamiętam, kiedy ostatni raz używałem tego wynalazku – zadzwoniłem po Yellow Taxi. Elegancko przebrany w toalecie dworca centralnego Toronto, wsiadłem do ekspresu do Montrealu, odjeżdżającego o szóstej piętnaście. Podczas czterogodzinnej podróży byłem czujny. Sprawdziłem szew po szwie, każdą część ubrania i plecaka. Byłem czysty. Od dworca centralnego w Montrealu do Banku na Rue St. Joseph taksówka jechała tylko siedem minut. Kazałem kierowcy poczekać. W banku uprzejma pani zaprowadziła mnie do pomieszczenia ze skrzynkami depozytowymi, pokazała na pulpit komputera i poszła.

RL7764VOR881A – wpisałem z nadzieją, że pamięć mnie nie zawodziła. ENTER. Nic się nie działo. Tylko ciepły dreszcz, oznaczający początki paniki. Spokojnie. Wziąłem kartkę papieru i ołówek leżący obok komputera i napisałem hasło jeszcze raz... Może „O” to zero albo „1” to duże i. Zostawiłem „O” i zmieniłem jedynekę na „I”. „Ciekawe, ile nieudanych prób jest dozwolonych w tym systemie, zanim włączy się alarm?” Czekałem...

„JEST. Hurra.” Za drugim razem. Ściana przede mną składała się z mniej więcej setki, różnej wielkości drzwiczek zrobionych z błyszczącej stali. Na ekranie komputera wyświetliło się polecenie: „Proszę czekać na dalsze instrukcje”. Cichy, metaliczny klik i jedno z mniejszych drzwiczek otworzyły się, ukazując uchwyt szufladki. Pewnym już ruchem wyjąłem podłużną, stalową skrzynkę i położyłem na stole.

Wyjąłem po kolei: zwykły tekturowy folder, w nim list na dwanaście stron i wklejony taśmą niebieski pendrive, taki ze sznureczkiem na szyję, paszport amerykański na nazwisko Alister Swan (bez zdjęcia i roku urodzenia), plik dolarów amerykańskich, setki i pięćdziesiątki – w sumie ponad sto tysięcy dolarów. Uśmiechnąłem się, jak to robią ludzie na widok większej kasy... „to już wycieczka się zwróciła”, jak kiedyś za komuny mówili handlarze jeżdżący turystycznie do Turcji czy do NRD.

Wrzuciłem wszystko do plecaka. Na kartce obok szyfru napisałem krótki list, dołączyłem banknot pięćdziesięciodolarowy i położyłem na dnie. Szuflada na miejsce. „Dziękuję. Do widzenia”. Na wszelki wypadek pojechałem czekającą

taksówką na stare miasto. Nie było to takie stare „stare miasto” jak w Europie, ale miało swój charakter i urok. Szedłem szybko i bez sensu. Nikt za mną nie chodził. Tramwajem pojechałem z powrotem na dworzec, a o jedenastej trzydzieści miałem powrotny pociąg do Toronto.

– Jest raport.

– Słucham...

– Dom czysty, zrobione kopie pamięci komputera i laptopa. Nic specjalnego, chociaż sporo ciekawych rzeczy z pracy detektywa...

– OK, nie zajmuj się pierdołami. Co dalej?

– Trzeba było usunąć psa, strasznie hałaśliwy. Barski się załamał. Płakał przez telefon, potem zakopał zwierzę w lesie i upił się w trzy dupy. Nie poszedł do pracy i wstał dopiero po piątej, spał cały dzień.

– Skąd wiadomo, że spał cały dzień?

– Mamy dwie kamery na parterze i dwa miki, upił się i spał...

– Mam nadzieję, że to pewne.

– Gdybyś wypił tyle co on, to byś chyba umarł... Pewne.

– Czy kontaktował się z kimś, oprócz pracy?

– Biuro sprawdza Monica. Tak, dzwonił do kobiety, z którą ma dziecko, ośmioletniego syna. Mówił jej o psie i płakał. Sprawdzamy ją.

– OK, do usłyszenia.

Wszystko poszło sprawnie i gładko, a najtrudniejszą chwilę stanowił chyba skok przez płot w biały dzień, w drodze powrotnej. Z nadzieją, że nikt z sąsiadów mnie nie widział, wlałem przez to samo okienko, nurkując głową w dół, prosto na stojącą pod oknem kanapę. Przebrałem się we wczorajsze ciuchy, poczochrąłem resztkę włosów i wyszedłem na ganek na cygaro i zimne piwo na „kaca”.

Nie odważyłem się na czytanie papierów w pociągu czy w taksówce. Zżerała mnie ciekawość. Wziąłem prysznic, ogoliłem się i zadzwoniłem po pizzę. Czekając na dostawę, zszedłem do małej komórki na tyłach pralni, gdzie zazwyczaj trzymałem zapasy piwa i innych napojów chłodzących... na przykład piwa. Zamknąłem za sobą drzwi i przy latarce otworzyłem list Alistera do człowieka, który otworzy skrzynkę depozytową. Nie wiedziałem, że mogę przeczytać trzy strony rękopisu bez oddechu.

Satysfakcja z udanego skoku do Montrealu nagle zamieniła się w zwykły ludzki strach. Mówiąc po ludzku i po polsku, zrozumiałem, że wpierdoliłem się w niezłe bagno. Alister, po trzydziestu siedmiu latach bycia pod obserwacją, nawet nie domyślał się, kto może za tym stać.

Przeciwnikiem w tej grze była jakaś potężna międzynarodowa organizacja w stylu CIA czy FBI, która była w stanie śledzić jego i jego żonę na wycieczkach w Himalajach i w Australii. Zabili jego współpracownika z laboratorium w Kalifornii, a jemu samemu pozwolili żyć, kupując milczenie awansami, premiami i podwyżkami w pracy. Opisanie w prostym skrócie, zrozumiałym językiem, wyniki badań z lat siedemdziesiątych wprowiły mnie w szok i odrętwienie. „To dotyczy tysięcy ludzi...”.

Zadzwoił dzwonek do drzwi. Pies nie zaszczekał... To pizza. Wyrwany z osłupienia wbiegłem na górę, zapłaciłem i zjadłem trzy kawałki. Kiedy Alister, po blisko czterdziestu latach, myślał, że może dali mu spokój na starość i spróbował gdzieś ulokować dokumentację naukową, okazało się, że dalej był pod obserwacją. Tyle czasu, tyle lat... Przeczuwał niebezpieczeństwo.

Trzymałem w ręku małego, błękitnego pendrive'a – kawałek plastiku zawierający informacje, przez które zginęło już dwoje ludzi... no i pies. Strach sięgnął jeszcze głębiej – na liście z pewnością pojawiło się moje imię i automatycznie imiona osób mi bliskich – Vicky i Tomka. Moi ukochani ludzie mogli zostać zakładnikami, jeżeli ja zniknąłbym nagle z pola widzenia. Spociłem się, choć w tej chłodnej spiżarni pod schodami zrobiło się zimno. „Może należy zniszczyć wszystko... oprócz tych banknotów i zapomnieć. Poobserwują mnie przez miesiąc lub dwa i sobie pójdą w cholerę. Czy mam tyle cierpliwości, żeby czekać? Czy mam odwagę patrzeć na rozwój wydarzeń i nie spać, myśląc o Vicky i Tomku? Muszę jeszcze dziś odpowiedzieć na trzy pytania: co robić? co robić? i... co robić?”

Pendrive zmieścił się bez problemu w małej, plastikowej buteleczce na mydło w płynie, która zawsze jeździła ze mną na wyprawy. „Co dalej?” Popatrzyłem na spływ do wody w podłodze w pralni. „Nie, to zbyt oczywiste”. Kilka pomysłów skakało mi naraz po głowie, aż mój wzrok padł na duży słoik z marynowaną, żółtą papryką. Buteleczka zniknęła we wnętrzu nieprzekrojonej, dużej papryki i utonęła w zalewie octowej z przyprawami.

Paszport i większą część pieniędzy zawinałem w woreczek plastikowy. Trzymając się tematu kulinarnego... ta paczuszka powędrowała do wnętrza dużego, zamrożonego kurczaka i z powrotem do zamrażarki. „Muszę pamiętać, żeby go nie upiec” – pomyślałem z uśmiechem – byłby to najdroższy kurczak na świecie. List i resztę pieniędzy włożyłem do kieszeni i, pijąc następne piwo przed kamerą, jak przystało na

kaca, zadzwoniłem do Vicky.

– Cześć, myślę, że jestem gotowy na tę smutną rozmowę z małym, jeśli taka gotowość w ogóle istnieje.

– Nic mu jeszcze nie mówiłam, nie wiem, jak zacząć. Dzwoniłam do ciebie do pracy i na komórkę, ale nie odbierałeś.

– W pracy nie byłem... chyba wczoraj trochę za dużo wypłem, właściwie to wypłem wszystko, co miałem w domu, a dzisiaj spałem cały dzień. Słuchaj Vicky, jutro, jak odbierzesz Tomka ze szkoły, spotkajmy się na samolotach. Pamiętasz?

– O tak, tam na Dixon Road, gdzie pas startowy dotyka prawie do ulicy... Dawno tam nie byliśmy.

– No właśnie, a malec bardzo to kiedyś lubił. Może lądujące jumbojety i boeingi chociaż trochę złagodzą sytuację?

– On będzie strasznie płakał, ale to chyba dobry pomysł.

– Nie chcę być tanim filozofem, ale życie to też smutne chwile, kształtujące człowieka.

Rzeczywiście, nie zabrzmiało to zbyt głęboko. Poczułem nieśmiało powracające poczucie humoru.

– OK, Janek, to jutro, koło czwartej, w Starbucksie na Dixon, koło lotniska.

– Będę na czas.

Jimmy był samotnym facetem. Niezbyt przystojnym, niewysokim, z lekko czerwonawą gębą od zimnych zakąsek. Pochodził z Irlandii i na dodatek stawiał stopy lekko pod kątem, do środka. Krótko mówiąc, był typem zazwyczaj ignorowanym przez kobiety i niestety życie erotyczne Jimmiego kosztowało. We wtorek, jak codziennie, wyskoczył z biura na godzinny lunch. Kupił dużą sałatę z wędzonym indykiem i usiadł przy stoliku. Nie było specjalnie tłoczno i na początku rozmowy nie mógł zrozumieć, dlaczego młoda i bardzo ładna kobieta zapytała, czy może przy jego stoliku zjeść lunch.

– Oczywiście, proszę bardzo – tak rzadko w jego życiu coś takiego zdarzało się, że prawie się zaczerwienił. Rozmowa zaczęła się o typowym niczym: pogoda, korki na drogach, aż zaczęła powoli schodzić na tematy pracy:

– Pracujesz w tej agencji detektywistycznej po drugiej stronie Steels Avenue? – zapytała bezpośrednio.

– Tak, a można wiedzieć, skąd wiesz? Nie przypominam sobie, żebyśmy mieli

wielkie reklamy na budynku.

– Mam do ciebie prośbę. Zarobisz kilka tysięcy zielonych w kilka minut, jak się sprawdzisz. Sprawa jest prosta: potrzebuję kopię wszystkiego, co Barski miał w rękach w poniedziałek, łącznie z zapisem aktywności jego komputera i informacjami o wszystkim, co robił tego dnia w biurze. Dziesięć tysięcy gotówką. Będę tu o trzeciej, a jak się spiszesz, to możemy pogadać o kolacji – wstała, niby niechcący odsłaniając uda, aż po seledynowe majteczki. – Do zobaczenia.

Jimmy, nieśmiały jak zwykle, nie zdążył się nawet odezwać. Była naprawdę bardzo atrakcyjną kobietą... plus dziesięć tysięcy za piętnaście minut pracy – to trzy tygodnie luksusowego pobytu w pięciogwiazdkowym ośrodku na wyspie St. Lucia.

O trzeciej czekał przy tym samym stoliku. Wymienili koperty, przy czym jego koperta była prawie pusta. Barski wczoraj nie robił prawie nic, poza wymądrzaniem się, jaki to on jest odważny i że nie boi się niedźwiedzi. Dyskretnie odsłonił brzeg koperty – rzeczywiście było w niej sporo setek. Kiedy skończył liczenie, kobiety już nie było.

„A kolacja?”

Całą noc, przy małej latarce, uczyłem się listu na pamięć. Kiedy obudziłem się po krótkiej drzemce, znałem treść tam i z powrotem i na wrywyki. Ubrałem się w dres. Spakowałem rzeczy na basen i do siłowni. Ośrodek sportowy był niedaleko – dwadzieścia minut rozgrzewającego marszu od domu.

– Cześć Linda, jak tam forma? – zagadałem przyjaźnie do instruktorki siłowni, bardzo fajnej dziewczyny.

– OK, Janek! Dawno cię tu nie było. Wyglądasz całkiem nieźle...

Pokrótce opowiedziałem jej o wyprawie, o ataku niedźwiedzia, o Uchym. Zacząłem ćwiczyć, a Linda zajęła się gimnastyką rehabilitacyjną faceta po wypadku. Kiedy zajęła się ustawianiem „wioślarza”, wślizgnąłem się do jej biura. Komputer był włączony.

Drogi Piotrze, jeśli do twych drzwi zapuka obcojęzyczna kobieta z synem, ukryj ich przed światem. To bardzo poważne. Broda.

Do: Oj.piotr@wigry.pl.

„Wyślij”.

Dawno nie pisałem po polsku.

Na studiach jako jedyny z naszej grupy zapuściłem długą i nawet gęstą brodę.

Przez jakieś dwa, trzy lata chodziło za mną to przezwisko i jestem pewien, że po latach nawet Google by tego nie odszyfrował.

Po naszych wspólnych przeżyciach, wypadkach i więzieniu ja wyjechałem do Kanady, a mój przyjaciel Piotr uciekł do zakonu i został mnichem w klasztorze Kamedułów w Wigrach, na Suwalszczyźnie. Kontaktowaliśmy się sporadycznie, ale nie widziałem go, jak i zresztą całej Polski, już dwadzieścia lat.

Adres e-mailowy był aktywny. Poszło. Wróciłem na siłownię i spociłem się, ostro ćwicząc. Potem pół godziny basenu i sauna. Byłem trochę niedospany, ale formę fizyczną miałem niezłą. Jeszcze ciągle brałem pod uwagę możliwość, że dostałem jakiejś tymczasowej szajby, że Alister zginął naprawdę zaatakowany przez niedźwiedzia, a Uchy zdechł, bo psy zdychają. Reszta to moja spaczona wyobraźnia. „Zanim zrobię następny krok, taki jak e-mail do Piotra, muszę upewnić się, że rzeczy naprawdę dzieją się poza moją głową”.

W domu rzuciłem niezbyt ładnie pachnącą torbę z ciuchami z siłowni i, wieszając bluzę, wyjąłem maleńką kamerę z kołnierza wiszącej kurtki. Za tym, że jednak jestem normalny, przemawiały kamery i mikrofony zainstalowane w moim domu. W spiżarni słoik z papryką stał na miejscu, mrożony kurczak nadal w zamrażarce. Jeszcze raz sprawdziłem ściany, półki, sufit – czysto. Do spiżarki przyniosłem laptopa i podłączyłem moją mikrokamerę. Kamery zainstalowane przez moich nowych wielbicieli były inne, dwadzieścia cztery godziny na dobę przekazywały sygnał do odbiorcy. Moja nagrywała około trzysta sekund akcji od momentu automatycznego włączenia ruchem przed obiektywem.

Pierwsze ujęcie – ruch otwieranych drzwi. Sekundę potem miałem z bliska twarz faceta wchodzącego szybko do środka. Przez uchylone drzwi mignął bok ciężarówki blokującej widok mojego domu od ulicy. Wróciłem do ujęcia twarzy. „Nie znam skurwysyna... ale kiedyś poznam, i to jemu będzie przykro”. Moja chora, jakby nie patrzeć, wyobraźnia jednak się nie myliła i należało od tamtej pory przestać bawić się w filmowanie i zabrać się za rzeczy ważne. Zniszczyłem kamerę, po czym wrzuciłem do spływu w podłódze.

Miałem jeszcze ze dwie godziny do spotkania z Vicky. Nie zamierzałem ryzykować opowiadania. Znałem sposoby, żeby słuchać dowolnej osoby, w dowolnym miejscu. Zacząłem pisać list. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz napisałem list na trzy strony, i to w dodatku jeszcze długopisem. Okazało się to niełatwe. W kilku zdaniach próbowałem opowiedzieć o Alisterze, dokumentach i niebezpieczeństwie, jakie od tej pory wisi nade mną i pośrednio nad nią i Tomkiem. „To wszystko przypadek...” – napisałem z nadzieją, że jeszcze kiedyś moja ukochana

kobieta wybaczy mi to... jeżeli przeżyjemy. Próbowałem znaleźć słowa, które przekonają Vicky, że to jest bardzo poważne, i że w tej sytuacji musimy jakoś przedostać się do Polski i może tam uda się gdzieś zniknąć. Napisałem o Piotrze i klasztorze w Wigrach. Bałem się, że jeśli użyję niewłaściwych słów, pomyśli, że dostałem pierdolca od pracy w branży, której z całego serca nienawidzi. Dopisałem, że bardzo ich kocham, i że jak to się skończy – przysięgam, że zrezygnuję raz na zawsze z przygód detektywa. Napisałem prawie to, co miałem jej powiedzieć przy oświadczeniach, tylko okoliczności miały być zupełnie inne. Miałem pomysł, ryzykowny... ale wszystko było już ryzykowne.

Zrobiłem kopię listu Alistera na małej, domowej kopiarce, spiąłem razem z moim listem i dołączyłem dwadzieścia tysięcy dolarów. Wszystko razem zwinięte ledwo zmieściło się w puszcze po coca-coli.

Trzecia trzydzieści. Czas jechać na spotkanie.

Jan Barski. Dzień czwarty od powrotu do miejsca zamieszkania. Żadnych podejrzanych czynności. Dom sprawdzony. Miejsce pracy, komputery, telefony, komórka sprawdzona. Oznaki depresji po śmierci psa. Ponad normę spożycie alkoholu. Wyjścia: sklep spożywczy, biuro, pobliski las – zakopanie psa, sklep z alkoholem, sklep spożywczy (ponownie), siłownia, basen, bieg po ulicy. Kontakty: dziewczyna – Victoria Van Daren (w separacji), w biurze – Terry Gottart szef firmy, Jimmy Kollard – pracownik, bank danych firmy, dostawca pizzy, Linda Wist – instruktor siłowni, inne osoby w ośrodku sportu. Z ostatniej chwili – telefon do biura rezerwacji Algonquin Park, na północy Ontario z pytaniem o wolne miejsca na trzech jeziorach na 3, 4, 5 października, dostęp... tylko canoe. Dziś po południu: spotkanie z Victorią Van Daren i synem Tomaszem. Starbucks Coffee, Dixon Road, Mississauga Ontario – przy Pearson's International Airport.

„Oby tak dalej”. Albert wstał ze swojego ulubionego fotela i przeciągnął się, otwierając jednocześnie drzwi do pokoju Elli.

– Czy moja najlepsza pod słońcem sekretarka będzie łaskawa towarzyszyć mi w czasie posiłku dziś wieczorem? – zapytał żartobliwo-oficjalnym tonem.

Minęła spora chwila, zanim Ella wyszła z osłupienia i zdołała wycedzić, podtrzymując tę samą linię żartu:

– Tak, oczywiście, jak Pan sobie życzy.

– Tak więc pozwolę sobie zabrać ją z miejsca pracy o godzinie szóstej. Dziękuję.

Wrócił do siebie, zamykając drzwi. Przez tyle lat w agencji tego typu poufałości przeszłyby czyjąkolwiek wyobraźnię. Po przeczytaniu raportu, małe przymglone światelko znowu ukazało się na końcu tunelu. Albert miał wielką nadzieję, że nie jest to następny, nadjeżdżający pociąg i że ta sprawa nareszcie dobiega końca.

Znacznie się już ochłodziło, a najwyższe temperatury w południe sięgały piętnastu stopni Celsjusza. Kanadyjski system miar przechodzi okres rozdzielenia osobowości: szkoły i instytucje rządowe posługują się od wielu lat systemem metrycznym i stopniami Celsjusza, w sklepach wagę podaje się w funtach i zaraz obok w kilogramach, w domu i prywatnych firmach dalej występują cale, stopy i stopnie Farenheita, a jak nowy imigrant tu przyjedzie, to posługuje się systemem swojej ojczyzny. Jednym słowem: burdel.

Październikowe słońce stawało się już słabsze, ale nadal usprawiedliwia noszenie okularów przeciwsłonecznych. W Starbucksie usiadłem koło okna i, czekając na Vicky i Tomka przy pustym stoliku, obserwowałem otoczenie. Grałem znudzonego, smutnego faceta. Od kilku dni nawet we własnym domu byłem aktorem. Mój atut stanowił fakt, że ci, którzy mnie obserwowali, nie znali mnie przed 29 września – przed sobotą, kiedy zginął Alister – tak, że nie byli w stanie zaobserwować zmian w moim zachowaniu. Ja natomiast byłem weteranem obserwacji. Teraz, po analizie tego, co widziałem, wiedząc, że nie noszę na sobie żadnego mikrofonu, i że na pewno są bardzo ciekawi, co będę miał do powiedzenia Vicky, założyłem, że wycelowali już we mnie mocny, punktowy mikrofon. Pozostawało tylko zlokalizowanie kierunku i mogą mnie serdecznie ucałować...

W jednym momencie otoczyło mnie około trzydziestu osób, w różnym wieku, różnej płci i różnej rasy. Dwóch mężczyzn z tej grupy – jeden czarny, przy stoliku, a drugi na parkingu – trzymali w rękach zwinięte magazyny. „Cóż to za tajemnicza akcja!” Na dodatek ten na parkingu miał coś na kształt transparentu z napisem: „Jestem szpiegiem” – zdradzała go ta sama gęba, która nieproszona dzisiaj rano przekraczała próg mojego domu, tylko teraz miał na sobie czerwoną czapkę z daszkiem. „Jak bardzo by się zdziwił ten sukinsyn, gdybym podszedł nagle do niego i bez żadnej próby dyskusji złamał mu kręgosłup tuż nad dupą, zapewniając tym samym wózek inwalidzki na resztę życia... Poczekamy...” Na razie nieświadomy „superszpieg” robił mi wielką przysługę swoją obecnością. Znałem dokładnie rozkład figur na szachownicy.

Podjechali na parking. Tomek, jak zwykle bardzo wylewny, rzucił mi się na szyję z rozpędu, a jako że rósł bardzo szybko, to jego kolano niechcący wylądowało na zamku błyskawicznym mojego rozporka. Łza bólu zakreśliła mi się w oku, dodając dramatu sytuacji. Przywitałem się z Vicky. Miała trochę zmieszana minę, ale jakby mniej chłodno-oficjalną niż przez ostatnie tygodnie.

– Jak tam w szkole, zbóju?

– Dobrze – na to pytanie padła ta sama, co zazwyczaj, krótka odpowiedź.

– Witam panią Victorię! – wyciągnąłem rękę, próbując wykrzesać z siebie odrobinę poczucia humoru.

– Witam pana Jana! – próbowała podtrzymać mój wysiłek przed nadchodzącym trudnym momentem.

Odprowadziłem ich do stolika i podszedłem do lady po dwie kawy latte, napój ananasowy i ciastko marchewkowe.

– Kiedy idziemy na dwór pod pas samolotowy? – zapytał Tomek.

W tym momencie rozległ się bardzo głośny huk i cień wielkiego boeinga przemknął po parkingu. Małec podbiegł do okna. Kilka metrów od szyby pojawiło się koło samolotu. To naprawdę niesamowity widok, i to nie tylko dla dzieci.

Przez ładne kilka sekund nie dało się rozmawiać... czyli też nikt nie mógł mnie słyszeć.

– Tomek! – zawołałem. – Chodź i usiądź tu na chwilę, zjedz ciastko.

Mały podszedł.

– Muszę ci powiedzieć coś bardzo smutnego... – zacząłem niemrawo. – Nasz kochany Uchy bardzo zachorował... i umarł, nie ma naszego Uchego... – moje wysiłki były beznadziejne.

Tomek spoważniał.

– Co to znaczy? Co ty mówisz? Gdzie jest Uchy?

„O Boże! Vicky na pomoc! Nie siedź tak!” – telepatycznie przesłałem jej paniczne wezwanie.

– To znaczy... Tomku, wiesz... wszystko, co żyje, kiedyś musi umrzeć... – nareszcie wkroczyła do akcji mama, która bez przekonania zaczęła tłumaczyć i wkrótce zamilkła, nie znajdując słów pocieszenia. Nie widząc innego wyjścia, przytuliłem malca mocno do siebie i na ucho wyszeptałem bardzo dużo słów naraz:

– Uchy zachorował i bardzo go bolało coś w brzuchu, i doktor nie mógł go uratować. Był bardzo smutny, że ciebie nie ma blisko i tak jakby mówił, że będzie zawsze tęsknił i pamiętał, jak się z tobą bawił. Bardzo by nie chciał, żebyś mocno płakał i był smutny... – poczułem łzy kapiące na szyję ponad kołnierzem kurtki. Nic

nie mówiliśmy przez długą chwilę. Małym ciałkiem wstrząsał cichy płacz.

Miałem nadzieję, że ten skurwysyn z mikrofonem w zwiniętej gazecie i słuchawką w uchu słyszy ten płacz. Nie sądziłem jednak, by się specjalnie wzruszył.

– Gdzie teraz jest Uchy? – „OK, to jeszcze nie koniec.” – To znaczy, gdzie jest jego grób?

– Tam, gdzie najbardziej lubił z tobą chodzić na wyprawy. No, zgadnij gdzie?

– W Kortright... w rezerwacie?

– Tak. To było jego ukochane miejsce i jak chcesz, to pójdziemy tam prosto stąd.

– Możemy? Mamo?

Vicky od dłuższej chwili patrzyła na mnie z podziwem, milcząc.

– Oczywiście Tomku. Obejrzymy kilka samolotów i pojedziemy do Uchego.

Wzięliśmy kubki do rąk i wyszliśmy przed kawiarnię, odchodząc kawałek od parkingu. Usiedliśmy na trawie. Mały blisko mamy i ja też. Czekaliśmy na samolot. Powoli narastał huk, coraz bliżej i bliżej... Niczego nie słychać. Podniecony Tomek zerwał się na nogi i podniósł ręce do góry. Przysunąłem usta jak najbliżej do ucha Vicky, jednocześnie będąc tyłem do faceta stojącego ciągle przy srebrnej toyocie camry.

– Uśmiechaj się i nie daj po sobie poznać emocji – próbuję krzyczeć szeptem, i to bardzo szybkim szeptem. Huk samolotu trwa najwyżej dwadzieścia sekund z powodu zjawiska Dopplera.

– Jesteśmy na podsłuchu. Uchy został otruty. Ty i Tomek musicie wyjechać do Polski. Do plecaka włożyłem małemu puszkę coca-coli, tam są informacje.

Musiałem kończyć, huk gwałtownie słabł. Bałem się spojrzeć w kierunku Vicky. Ku mojemu zdziwieniu, wstała i z podnieconą miną podniosła ręce do góry, krzycząc prawie tak głośno, jak Tomek. Zrozumiała. Grała już swoją rolę. Przy lądowaniu następnego samolotu, chyba airbusa, zdołałem jej tylko powiedzieć, że ją kocham.

– OK, musimy jechać na grób Uchego, bo zaraz się ściemni. Tomek, chodźmy do ubikacji, a tata tu na nas poczeka. – Malec złapał swój plecak i zniknęli w środku. Powiedziała o mnie „tata”, dawno tak nie mówiła.

Tomek zażyczył sobie, że pojedzie moim nissanem. Przy wsiadaniu na niebie pojawił się następny, wielki brzuch z kołami. Tym razem ona stanęła blisko mnie.

– Przeczytałam twój list szybko w ubikacji i zniszczyłam. List tego faceta mam w kieszeni. Rozumiem. Zadzwoń dzisiaj wieczorem.

W najśmielszych marzeniach nie spodziewałem się po Vicky takiej i tak szybkiej reakcji. Chyba na kilometry promieniowała ze mnie powaga sytuacji.

Ściemniało się, kiedy wjechaliśmy na żwirówkę obok rezerwatu. Tomek wysiadł

powoli, bez swojego zwykłego entuzjazmu. Vicky szła blisko za nami. Doszliśmy do zagajnika.

– Czy teraz...

– Nie! – krzyknąłem głośno, a potem powiedziałem ciszej: – Nie mam, Tomek jest dzielny i nie będzie bardzo płakał... tylko troszkę.

Popatrzyłem na Vicky i zrobiłem lekko przeczący ruch głową, patrząc jej w oczy. Zrozumiała.

– Dlaczego grób Uchego nie ma krzyża?

– Proszę bardzo, mama odpowiada na to pytanie – wyjąłem z kieszeni obrożę Uchego. – A to jest dla ciebie, żebyś zawsze pamiętał swego psiego przyjaciela.

Mały wziął do ręki czerwoną obrozę z medalikiem.

– A czy jak ja umrę, to będę miał krzyż na grobie?

– Oczywiście, ludzie mają krzyże, a pieski nie – niezbyt jasno wytłumaczyła mama.

– A czemu?

– Dobrzy ludzie mają krzyże...

Późnym wieczorem zadzwonił telefon. Bardzo czekałem na głos Vicky. Miała czas, aby przemyśleć sytuację i już z pierwszych słów spodziewałem się wyczuć, co będzie dalej.

– Cześć, to ja. Przed snem mały przypomniał sobie, że wszystkie psy idą do nieba i pomodlił się za Uchego. Próbuje być dzielny, ale bardzo mu smutno.

– Mnie też. I jeszcze dręczy mnie pytanie, co się stało tak nagle ze zdrowym psem?

– Przypomniałam sobie naszą rozmowę sprzed dwóch tygodni... wiesz, o wyjeździe do Polski. Teraz byłby bardzo dobry moment, może wszystkim nam byłoby weselej.

Moja Vicky szybko uczyła się sztuki aktorskiej. Byłem z niej dumny.

– Bardzo dobry pomysł! W październiku nie powinno być kłopotów z biletami, a i pogoda jeszcze nie najgorsza.

– Sprawdziłam bilety w internecie i od razu zarezerwowałam trzy na jutro, na czwartek... Mają dobre ceny.

– Hej, hej, ale się pospieszyłaś. Poczekaj... praca, urlop... Pomysł jest super, ale obawiam się, że muszę jeszcze załatwić kilka spraw przed wyjazdem.

– O tym nie pomyślałam. Ja właśnie skończyłam duży projekt w biurze i mam czas.

– Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś. OK, Vicky wiesz co – wy jedźcie w czwartek, a ja dojadę w sobotę, najpóźniej w niedzielę. W międzyczasie zwiedzicie Warszawę, a w poniedziałek pojedziemy do Gdańska, Sopotu i Gdyni. Zaraz idę poszukać biletu.

– Mam sama lecieć do twojego kraju? Po polsku umiem tylko: dzień dobry, dziękuję i... jak to było? Spyrdala czy coś takiego...

– Nie martw się. Podobno w Warszawie wszyscy już gadają po angielsku. To tylko jedna sobota, a ja w niedzielę rano postaram się tam być. Jutro zawiozę was na lotnisko... Aha, i nie używaj tego spyrdalaj za często.

Śmiała się, tym starym, dobrym, przyjaznym śmiechem. I zrozum tu kobietę – pakowałam ją i dziecko w bardzo niebezpieczną aferę, a ona... śmiała się bardziej niż kiedyś.

– OK, dzwoniemy się jutro. Idź szukać biletu, a ja kupię dwa na jutro. Pa.

– Do jutra... Może po powrocie przeprowadzicie się z powrotem do domu?

Nie wiem, czy słyszała to ostatnie pytanie. Odłożyła słuchawkę. Kamień spadł mi z serca. Może nie ten największy, ale w sercu leżało mi w tamtej chwili sporo różnego rozmiaru kamieni i głazów. Nie chciałem nawet myśleć, co byłoby, gdyby Vicky nagle odwróciła się i powiedziała, że to wszystko to moja sprawa i moja wina.

Po krótkim stukaniu w klawiaturę znalazłem bilet na niedzielę – co prawda z przesiadką w Londynie, ale za to w bardzo dobrej cenie. Następnie zacząłem sporządzać szczegółowe instrukcje, co mają robić w Polsce. Pierwsza wersja, to czekać na mój przyjazd... ta optymistyczna wersja. Druga, ta bardziej realna i skomplikowana, zaczynała się już od soboty rano. Pozostawała tylko druga wersja.

Wziąłem prysznic, zgasilem światła i w szlafroku, z piwem w ręku paradowałem przed kamerą moich wielbicieli. Zszedłem do piwnicy, włączyłem głośno telewizor i wraz z moim laptopem znikam w spiżarni. Wyłowiłem z zalewy octowej mój skarb i po raz pierwszy sprawdziłem, co na nim było. Miałem cichą nadzieję, że ukaże się jakaś rysunkowa historia z podpisem „To był tylko żart”.

Nic z tego. Zamiast myszki Miki pojawiają się strony obcego mi języka naukowego, wykresy, schematy. Głównym bohaterem wydaje się chromosom X, jego deformacje i ich dziedziczność. Na rysunku odręcznym – końcówka chromosomu zaznaczona jest na czerwono i podpisana Xq28. Wraz z Y, X stanowi tak zwaną parę chromosomów określającą płęć i funkcje seksualne u ssaków. Samica posiada układ XX, a samiec XY. Tylko chromosom X zawiera 153 miliony par podstawowych

składników DNA. Funkcje i skutki uboczne obecności syntetycznego estrogenu w organizmie kobiety. Miałem szczerzy zamiar nauczenia się tego wszystkiego na pamięć, ale następne strony, zawierające formy dewiacji genetycznej, powstającej na skutek zetknięcia się genu Xg28 z bardzo długimi wzorami chemicznymi, były dla mnie po prostu obcym językiem. Nie rozumiałem niczego. Pierwszy stopień przy próbie zapamiętania to zrozumienie, a moja wiedza chemiczna skończyła się w dniu matury, ponad dwadzieścia dwa lata temu.

Pozostawało tylko kopiowanie. Wyczyściłem jeden z moich starych pendrive'ów. Nasze zdjęcia... No cóż, szkoda. Teraz miałem dwa skarby. Ślad kopiowania pozostał na twardym dysku laptopa. Za pomocą scyzoryka otworzyłem tył komputera i wyjąłem twardy dysk. Musiałem go zniszczyć. Stare, antyczne żelazko spełniło zadanie.

Rano po śniadaniu z kubkiem kawy w rękę, usiadłem na leżaku za domem. Kamienne patio i chodnik otaczający dom z jednej strony to powód mojej męskiej dumy. Kilka lat temu postanowiłem, że to wszystko sam ułożę z nieregularnych kamieni rzecznych. Kiedy ciężarówka przywiozła cztery palety z ośmioma tonami kamieni, Vicky wybuchła śmiechem.

– Urwiesz sobie plecy, wyrwiesz ręce i czego nie zapłacisz firmie kamieniarskiej, zapłacisz fizykoterapeucie... albo i gorzej.

– Jeszcze zobaczymy – stanąłem w pozycji kulturysty na pokazie.

Prawdą jest, że trwało to prawie miesiąc, ale dokonałem tego własnymi rękami, zatrzymując w kieszeni około dziesięciu tysięcy dolców.

Tak sobie siedząc, pijąc kawę i zerkając na gazetę, wydłubałem prawą ręką średniej wielkości kamień. Pendrive, zawinięty szczelnie wraz z kopią listu w folię aluminiową i plastikową, zniknął pod kamieniem, jak w grobowcu. Zdecydowałem, że drugiej kopii nie dam Vicky – niech martwi się tylko o siebie i Tomka.

Odebrałem ich z domu przed trzecią i odstawiłem na nowooddany terminal numer jeden lotniska międzynarodowego w Toronto. Zaparkowaliśmy nissana na czwartym piętrze nadziemnego garażu i ruchomymi chodnikami i schodami przemierzaliśmy się do hali odpraw międzynarodowych. Rzeczywiście, było tu przestronnie, jasno i bardzo nowoczesnie. Szklane ściany – wielkie akwaria z setkami pływających i wirujących kolorowych wstążek, kostek, kulek – robią wrażenie i łagodzą stresy podrózne. „Ciekawe, jak wygląda Okęcie po tylu latach i po rozbudowie?” Tomek,

jak pewnie wszystkie dzieci przed podróżą, skakał podniecony. Vicky na pożegnanie przytuliła się do mnie na ułamek sekundy. Poczułem się cudownie. Proste, jakby codzienne muśnięcie, którego nie doceniałem przez ostatnie lata, przeszło mnie przyjemnym dreszczem i dało możliwość włożenia jej do kieszeni listu z instrukcjami. Biorąc pod uwagę, że pewnie byliśmy obserwowani, to przytulanie się ludzi żyjących w separacji nie powinno nastąpić. Nagle ogarnęła mnie złość. Miałem to w dupie, niech myślą, co chcą... zaczynało to być wkurwiające. Obejrzałem się. Moja kochana dwójka jeszcze raz machała do mnie z drugiej strony szyby. Bałem się o nich. Ze strachu coś w środku kurczyło się, a puls przyspieszał i obraz całości stawał się nieostry i chaotyczny. Musiałem szybko zebrać myśli, nie miałem czasu na lęki i rozterki, a każda minuta bałaganu w mojej głowie zwiększała niebezpieczeństwo, na które narażałem Vicky i Tomka.

– Dzień dobry, tu mówi Jim... Jim Kollard, jedliśmy razem lunch kilka dni temu.

– O, cześć, pamiętam, Jimmy. Co tam słyszeć nowego?

– Nie wiem nawet, jak masz na imię. Dzwonię, bo zostawiłaś ten numer na kopercie...

– Na imię mam Jane. Czy wszystko się zgadza w kopercie?

– O tak, oczywiście. Przypomniałem sobie, że wspominałaś coś o wspólnej kolacji...

– A tak, rzeczywiście. Czy coś się wydarzyło? Chcesz coś dodać?

– Właściwie tak. Przypomniałem sobie jedną rzecz... to jest... nie przypomniałem, bo tak naprawdę, to dowiedziałem się dopiero potem, po spotkaniu z tobą. Odeszłaś tak szybko, że nie zdążyłem się zapytać o kontakt z tobą. Dzisiaj dopiero zobaczyłem...

– OK, co to za jedna rzecz, Jimmy, możesz mi powiedzieć?

– Myślę, że lepiej nie przez telefon... to znaczy nie bardzo mogę teraz rozmawiać. Spotkajmy się, na przykład jutro, na tej obiecanej kolacji, to porozmawiamy.

– Dlaczego nie dzisiaj? Jesteś zajęty?

– O tak, dzisiaj nie mogę... Nie, dzisiaj nie wchodzi w grę. Jutro wieczorem, na przykład w Smith Bar w Old Mill. Tam w piątki można posłuchać nastrojowego jazzu i coś zjeść.

– Old Mill, gdzie to jest?

– To cały kompleks: restauracja, hotel, sala bankietowa, spa, a Smith Bar znajduje

się w lewym skrzydle starego, odrestaurowanego młyna na południu Etobicoke. To jest minutę od stacji metra Old Mill.

- Dobrze, myślę, że znajdę. To jutro o...
- Siódma, ósma. Gdzieś tak koło dziewiątej zaczynają grać jazz.
- Więc do zobaczenia.
- Do zobaczenia.

Wszystko przebiegało według planu. Jimmy przemyślał sytuację dokładnie i nie miał najmniejszego zamiaru przegapić takiej okazji. Ta kobieta, Jane zrobiła na nim olbrzymie wrażenie, napromieniowała go fantazjami seksualnymi do tego stopnia, że od czasu tego krótkiego spotkania nie mógł się skupić i myśleć o niczym innym. Sobotnia randka ze znajomą prostytutką wyglądała przy tym jak frytki z ketchupem przy czterodaniowym obiedzie z szampanem. Oczywiście ją odwołał.

Teraz pozostawało się dobrze przygotować. Prosto z pracy pojechał na zakupy do Yorkdale, gdzie pod jednym dachem znajduje się ponad dwieście sklepów. Ta kobieta... postanowił zrobić na niej wielkie wrażenie, które może zatrze wspomnienia ich pierwszego spotkania. Wyglądał wtedy jak typowy biurowy gównojad. Danier Leather, marynarka skórzana – prawie 500 dolarów, Urban Outfitters, džinsy przetarte na zielono – 220, Monaco, ciemno zielony golf – 130 i buty z modnym szpicem z Massimo Dutti – 320. Wracając, zaliczył jeszcze fryzjera, solarium, masaż, manicure i mycie samochodu – nawet wewnątrz.

Chciał, żeby Jane zapamiętała ten wieczór.

Wieczór spędziłem na pakowaniu plecaka, zwijaniu namiotu w małą paczkę i kompletowaniu tym razem odmiennej garderoby. Spuściłem moje pomarańczowe *canoe*, podwieszono w garażu i zamontowałem je na bagażniku dachowym nissana. Wiosło, kapok... a na haczyku, tuż obok, wisiał plecak Uchego... Odkąd Uchy skończył dziesięć tygodni, nigdy nie byłem na wyprawie w Ontario bez niego. Jeśli myślisz: „to tylko pies”, to niczego nie rozumiesz.

Prowiant zaimprovizowałem z tego, co miałem w domu, a najwięcej czasu spędziłem nad mapą Algonquin Park i okolic. Po Killarney to następny „numer jeden” park w Ontario. „Algonquin” to po prostu nazwa plemienia Indian zamieszkujących niegdyś ten teren. Tak samo, jak ich sławniejsi sąsiedzi: Irokezi i Ojibwa. Nie ma może tylu skał, gór i widoków z lotu ptaka, ale za to Algonquin to las, las, las... i woda. 760 tysięcy hektarów jezior, rzek, bagien i lasów, lasów, lasów... Kiedyś

z ciekawości sprawdziłem – ma pięć razy większy obszar niż cała Puszcza Białowieska, po polskiej i białoruskiej stronie.

Powstał w mojej głowie plan. Musiałem jeszcze przed nocą popracować nad moim nowym paszportem i odpocząć, nabrać sił. Próbowałem zasnąć. Nie wiedziałem, która to już noc z rzędu przespana na wyrrywki i poszarpana galopującymi myślami. Chyba od tej nocy w Killarney, kiedy obudziłem się z krzykiem, przerywając ten straszny sen z pomordowanymi syrenami wiszącymi na hakach rzeźniczych, nie spałem normalnie. Ponad tydzień. Mój organizm zaczynał powoli odczuwać potrzebę snu, chociaż kilku godzin nieprzerwanego snu. Zastanawiałem się, kiedy nadarzy się taka okazja. Kręcenie się w łóżku nie miało sensu. Wstałem, wypłem kawę, łąziłem po domu, oglądając stare kąty. Mieszkałem w nim dopiero osiem lat, ale był to mój pierwszy, tak naprawdę własny dom. Zanim poznałem Vicky, wynajmowałem mieszkania w różnych częściach Toronto. Była dopiero czwarta trzydzieści. Wszystko miałem spakowane i gotowe do drogi. Tym razem jednak nie wiedziałem, do jakiej drogi. Początek, może pierwsze dwa-trzy dni, wiadomo, a dalej?

Vicky i Tomek wylądowali już w Warszawie, w Polsce była dziesiąta rano... pewnie spali sobie w hotelu po całej nocy w samolocie. „Ciekawe, czy i kiedy wrócę do tego domu? Może zabrać ze sobą kilka pamiątek, starych zdjęć rodzinnych? Nie, wszystko, co zabiorę, może ulec zniszczeniu...”. Czułem nadchodzącą falę melancholii i wiedziałem, że właśnie teraz należy zatamować miękkość myśli, obniżyć temperaturę rozterki, aż do stwardnienia postawy.

Sporo po szóstej zaczęło się przejaśniać i nadszedł czas do działania. Wrzuciłem plecak do bagażnika na rozścielony koc Uchego. Bez oglądania się za siebie wyjechałem, jak przed dwoma tygodniami, na autostradę numer 400, w kierunku północnym. Tym razem nie towarzyszyła mi tęsknota za pięknem kanadyjskiej przyrody i za relaksem w samotności. „Chyba właśnie z takim uczuciem wyjeżdża się na wojnę?” Włączyłem CD z marszami Wagnera. Z *canoe* na dachu jechałem trochę wolniej niż zwykle, około sto dziesięć kilometrów na godzinę. Było pochmurno, zapowiadali tylko dwanaście stopni Celsjusza. Facet w radio próbował jakoś określić dzisiejszą pogodę, ale z tego, co mówił, wynikało że będzie wszystkiego po trochu, a tak naprawdę to niczego nie wiadomo na pewno. Po godzinie jazdy odbiłem na północny-wschód, na drogę numer 11. Przejechałem przez Huntsville, uroczne, niegdyś małe miasteczko, gdzie zawsze zatrzymywaliśmy się na lunch i duże piwo, wracając po tygodniu w buszu. Przez ostatnie lata powstało tu spore miasto i wszystko rośnie tak, jak i w całej Kanadzie. Bum gospodarczy.

Drogą numer 60 przekroczyłem bramę zachodnią, nie zatrzymując się. Formalności załatwiłem w małym biurze nad Canoe Lake. Na parkingu przy bramie zaczynał się tłok i ruch. Przełom września i października, czas kolorowej jesieni, to najbardziej zwariowane tygodnie w kalendarzu Parku Algonquin. Plakaty reklamowe z kolorowymi liśćmi wiszą w biurach podróży Niemiec, Belgii, Holandii, Anglii i oczywiście Japonii, a teraz właśnie następuje spełnienie marzeń turystów i autobusy zajmują większość dużego parkingu. Około miliona ludzi odwiedza to miejsce rocznie.

Sześćdziesiątka, jako jedyna droga, przecina ten olbrzymi teren ruchem samochodowym i wzdłuż niej zlokalizowane są atrakcje: galeria sztuki, restauracje, muzeum leśnictwa i dziesięć kempingów stacjonarnych, na które można wjechać własnym autem aż pod namiot. Bardzo dawno nie korzystałem z tych luksusowych miejsc z gorącym prysznicem, stolikiem i ławeczkami. Od lat znikam w głębi parku na moim *canoe*. Znajduje się tu też kilka tras pieszych, które znam już na pamięć z tytułu bliskości od domu, ale najślawniejsze są tutejsze szlaki wodne.

Narodziny samego parku nie były piękne. Najpierw, przez cały dziewiętnasty wiek, wielkie koncerny drzewne wycięły w pień okolice, niszcząc prawie do końca cały ekosystem dziewiczego lasu kanadyjskiego z charakterystyczną, olbrzymią, białą sosną rosnącą do czterdziestu metrów wysokości. Potem jakieś wyrzuty sumienia spowodowały utworzenie rezerwatu w roku 1893. W latach dwudziestych Algonquin Park był połączony pasażerską linią kolejową z Toronto i powstało kilka luksusowych ośrodków wypoczynkowych, z Murzynami w białych rękawiczkach podającymi do stołu. Teraz jest to po prostu cudowne miejsce na naszej planecie: ponad dwa tysiące jezior i stawów różnego rozmiaru, połączonych tysiącem kilometrów rzek i strumieni. Trzeba jednak wiedzieć, jak z tego piękna pić, żeby ukoić pragnienie, a niczego nie rozlać. Ja zazwyczaj znikam na trzydzieści-czterdzieści kilometrów w głąb parku, gdzie cały dzień może minąć bez spotkania z człowiekiem.

Po dwudziestu kilometrach byłem nad Canoe Lake. Podjechałem pod pomosty wypożyczalni sprzętu, zjąłem *canoe* z dachu, wyrzuciłem wszystko, co potrzebne z bagażnika i zaparkowałem nissana na końcu parkingu. O dziewiątej rano formalności trwały minutę. Z kawą w ręku jeszcze raz przyjrzałem się wielkiej, trójwymiarowej mapie przestrzennej. Ostatnia próba przed występem, także musiałem przyjrzeć się scenie.

Przy wszelkich niedoskonałościach pogody, pocieszenie stanowił brak wiatru. Wiosłowanie we dwóch, czyli na dwa wiosła, bywa bardzo trudne przy bocznym wietrze, a samemu jest to po prostu podwójne piekło do kwadratu. *Canoe* kręci się

i nawet klęcząc na środku trudno utrzymać kurs na dużej, otwartej przestrzeni, takiej jak Canoe Lake. Na zawsze zapamiętam wyprawę na French River, gdzie przez trzy dni płynęliśmy z prądem, ale za to pod wiatr wiejący od Georgia Bay. Zwężenie rzeki przy wyspie, zwanej Sowią Głową, nie było dłuższe niż dwieście metrów, a potrzeba było prawie godziny na pokonanie wiatru i fali. Wyprawa zakończyła się tym, że spaliśmy w dzień, a wiosłowaliśmy w nocy, bo po zachodzie słońca dzikie wiatry słabły, zmęczone całym dniem pracy. Znacznie większą radość sprawia wiosłowanie po szybkich, rwących rzekach z białą falą i wieloma kataraktami.

Moim zadaniem było A: dopłynąć na Timberwolf Lake, gdzie chciałem spędzić pierwszą noc, B: pamiętać, po co tam jestem. *Canoe* na wodę przy pomocy, plecak i rzeczy na dziób, a ja – na początek, póki nie było wiatru – na tylne krzeselko. Na starcie ruchu miałem trochę sztywne, plecy nie ruszały się jeszcze po dwóch godzinach siedzenia w samochodzie. Powoli rozgrzewałem się. Minąłem pierwszą wysepkę z małym drewnianym domkiem, naprzeciw cypla z miniaturową latarnią morską. Historia parku mówi, że to tu, w 1917 roku, utonął sławny malarz, członek Grupy Siedmiu malujący zawzięcie pejzaże kanadyjskie, Tom Thomson. Zginął w tajemniczych okolicznościach, a legendy o jego śmierci mają różne wersje: od zwykłego utonięcia po pijaku, ofiary morderstwa za długi, aż po romantyczne samobójstwo z miłości.

Mijając drugą wysepkę obejrzałem się... jeszcze widziałem przystań. Przerwa. Zostawiłem jaskrawe *canoe* po niewidocznej z przystani stronie wyspy i znalazłem zaciszne miejsce wśród nadbrzeżnych krzewów. Duża i nieporęczna lornetka w tej sytuacji spełniała swoje zadanie – przystań i parking widać było jak na dłoni. Ciekawe, jak daleko za mną jechał jeden z tych sukinsynów? Bo na pewno jechał. Bardzo wątpliwe, żeby pozwolili mi na taką wycieczkę, polegając tylko na GPS-ie i bez personalnej opieki. Słuchając rozmów telefonicznych wiedzieli, że okłamałem Vicky, ale nie wiedzieli, w jakim celu.

Zrobiło mi się chłodno. Założyłem kurtkę. Na nabrzeżu ruch wzrastał się. Pojawił się pierwszy autobus i tłum Japończyków robiących zdjęcia przeciwnej stronie jeziora, odbijającej się kolorowym lasem w wodzie. Na scenę wjechał czarny jeep. Wysiadł z niego jeden facet i od razu popatrzył na jezioro przez lornetkę. „Dzień dobry panu... ja pana widzę, a pan mnie nie”. Jeżeli mój nowy „przyjaciel” może pozwolić sobie na takie opóźnienie, mając przed sobą tysiąc jezior i tysiąc korytarzy wodnych, w których mogłem zniknąć, to było oczywiste, że... miałem na sobie pluskwę GPS.

Jeszcze w domu wszystko dokładnie przejrzałem i dotykałem. Musiałem coś

przegapić. Szew po szwie, guzik po guziku – to żmudna praca, ale postanowiłem nie rezygnować, dopóki nie znajdę. Facet wrócił do jeepa i, gdybym miał jeszcze jakieś wątpliwości, w otwartych drzwiach popatrzył na ekran laptopa leżącego na siedzeniu pasażera. Czas mijał i niczego nie mogłem znaleźć. Sprawdziłem buty, szwy namiotu, kuchenkę i całą ramę *canoe* i jego zakamarki. Nic. W międzyczasie mój „kolega” przeprowadził rozmowę przez telefon satelitarny, bo sieć zwykłych komórek nie pokrywa jeszcze tego terenu, po czym wszedł do wypożyczalni sprzętu. Zacząłem rozbierać się, macając wszystko, co mam na sobie. Kurtka od wiatru miała podszewkę z cienkiego flisu i kaptur chowany w kieszeni, w kołnierzu. Rozwinąłem kaptur, dłubiąc wskazującym palcem w niedostępnych kątach kieszeni pod kołnierzem. JEST. Lata praktyki robią swoje. Trzeba przyznać, że skurczybyki mieli dużo bardziej zaawansowany sprzęt od mojego pracodawcy. Pluskwa była mała i płaska, trudna do wyczucia. W pierwszym, niezbyt mądrym odruchu podniosłem rękę, żeby wyrzucić znalezisko do wody. Po zastanowieniu włożyłem jednak przekaźnik do kieszeni spodni. W tym czasie na przystani Dick – tak dałem mu właśnie na imię, Dick – zaczął pakować rzeczy do aluminiowego *canoe*, które chłopak z wypożyczalni rzucił na wodę koło pomostu. Tu już zaczynałem wygrywać, bo moje *canoe* było o połowę lżejsze od aluminiaka, a jakie to ważne, to okazało się już wkrótce na pierwszym przeniesieniu z Canoe Lake na Joe Lake. Dick zachowywał się bardzo spokojnie.

Dwukrotnie przeczesali dom i niczego nie znaleźli. Nie próbowałem żadnych tajemniczych kontaktów. Piłem prawie codziennie, także nie mieli powodu do wielkiego podniecenia. Mógł ich jedynie zastanawiać ten nagły wyjazd do Polski. Wrzuciłem rzeczy na łajbę i zniknąłem w zwężeniu kończącym jezioro czterystumetrowym przeniesieniem. Wiosłowałem mocno, aż od dziobu utworzyła się mała fala – jak przed motorówką.

– W ciągu pierwszego tygodnia udało się nam wyeliminować prawie wszystkie osoby z listy kontaktów Alistera Swana. Nasz przedstawiciel przeprowadził rzeczowe rozmowy z Robertem Taylorem w sprawie testamentu i dokumentów pozostających pod opieką biura prawnego. Podobno nie było to łatwe, ale osiągnięto porozumienie w sprawie niepublikowania niczego: całości, fragmentów lub poleceń zawartych w testamencie zmarłego. Za jakieś dwa-trzy tygodnie ma się odbyć oficjalne otwarcie dokumentów spadkowych w siedzibie Taylor & Taylor Law Office w Bostonie. Negocjacje uwzględniły obecność na sali naszego przedstawiciela i, co bardzo ważne,

nieobecność na tej samej sali przedstawiciele jakichkolwiek mediów. Wchodzimy tu prawdopodobnie w fazę końcową długiej sprawy. Tak jak poprzednio, proszę wszystkich o dalszą wyteżoną uwagę. Trzymajcie ręce na pulsie i miejcie wszystko pod kontrolą. A co tam słycać w Kanadzie? – zakończył pytaniem Salvatore Rodriguez.

– Te kilka osób, które weszły w jakikolwiek kontakt z Alisterem, zostało sprawdzonych i można powiedzieć, że wszyscy, oprócz jednej osoby, nie podlegają naszemu zainteresowaniu. Pozostający pod obserwacją Jan Barski nie jest szczególnie podejrzany z powodu kontaktów czy niepokojących ruchów. Raczej chodzi tu o jego profesję... Jak wiemy, jest z zawodu prywatnym detektywem. Również jego dom, kontakty i cała komunikacja była i jest sprawdzana... Trzymamy rękę na pulsie, chociaż wszystko wskazuje na brak podstaw. Jedynie fakt, że była partnerka Barskiego, wraz z dzieckiem wyjechała wczoraj na wycieczkę do Polski, a sam Barski ma bilet na lot Air Canada na niedzielny wieczór, jest dziwny. Victoria Van Daren zarezerwowała pokój w Holiday Inn na ulicy Złotej w Warszawie i tam też ma do nich dołączyć Barski. Na razie, co ciekawe, to Barski wyjechał na dwudniowy spływ kajakowy w Algonquin Park, około trzy godziny na północny-wchód od Toronto.

– To piękne miejsce, byłem tam dwa razy – przerwał Albertowi młody Alex, pochylony nad mapą Kanady.

– Tak... to prawda. Vincent podróżuje blisko Barskiego. Tak na wszelki wypadek, ma go na GPS-ie. Monica zajęła się trochę bardziej szczegółowo biurem detektywistycznym, gdzie pracuje Barski. Decom, zdaje się, że tak nazywa się ta agencja, i w tym celu dzisiaj wieczorem ma randkę z jednym ze współpracowników Barskiego – Albert przerwał na chwilę, stukając w klawiaturę laptopa, po czym odwrócił komputer w stronę reszty zespołu. Na ekranie ukazała się tłuścawa gęba, z ostro przeredzoną fryzurą, zaczesaną do przodu, dla zakrycia łysiejących zakoli. – Aha... i proszę jeszcze zwrócić uwagę na kolor nosa i woreczków pod oczami tego szczęśliwca, który spędzi dzisiejszy wieczór w towarzystwie naszej Monici.

– Uuuu, cha! – wszyscy wybuchli serdecznym śmiechem.

Monica była definitywnie najlepiej wyglądającą i najzgrabniejszą dziewczyną, nie tylko w zespole. Śmiało można by jej przyznać tytuł Miss Agencji.

– Randka z takim ryyyjem... cha, cha – rozlegało się jeszcze przez chwilę w pokoju.

Albert wstał, zamykając laptopa i przerywając dalsze śmiechy.

– Aha... Poza tym jeszcze dla pewności i ciągłej kontroli sytuacji uruchomiliśmy mały zespół, dwie osoby na terenie Polski. Muszę przyznać, że nawet nie wiedziałem,

że mamy już tam swoich ludzi. Podjąłem decyzje o obserwacji GPS i osobistej w czasie całego ich pobytu w Polsce. Znowu... chcę zaznaczyć, jest to na wszelki wypadek, chociaż jest tu kilka dziwnych szczegółów. Na przykład od czterech miesięcy Barski i Van Daren są w separacji, jednak żadne z nich nie śpi z nowym partnerem, odzywają się do siebie przyjaźnie, mieszkając jednak oddzielnie. Razem podjęli szybką decyzję o wycieczce do ojczystego kraju Barskiego, po czym Barski okłamał dziewczynę, że jest zajęty w biurze i dojedzie później, a wyjechał na samotny spływ kajakowy.

– Poczekaście, zaraz się okaże, że dołączy do niego jakaś laska albo kolega... Może Barski jest pedałem? – rzucił interesujące pytanie ten sam młodzieniec, co wtrącił się poprzednio.

– OK! Na kiedy jest planowany powrót tej dwójki, przepraszam trójki do Kanady? – zapytał Sal.

– Mają bilety powrotne na sobotę, dziewiętnastego października.

– Jest więc szansa, że do końca października będzie można zamknąć tę długą sprawę, a jeśli tak, to muszę wam zakomunikować, że odezwał się nasz anonimowy klient z obietnicą premii dla całej grupy.

– Brawo! – rozległy się oklaski kilku par rąk.

– Coś się nam, kurwa, należy po czterdziestu latach ciężkiej pracy, no nie? – odezwał się po raz trzeci dwudziestoczteroletni Alex.

Ponowna fala śmiechu i poklepywania się po plecach podkreślała dobre samopoczucie zespołu. Albert uśmiechnął się z cichą nadzieją.

Gerald i Monica wsiedli do srebrnej toyoty camry, którą zostawił im Vincent, zabierając ich jeepa.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Gerald.

– Old Mill. Wybrałam to już w GPS-ie, zaraz ci się pokaże.

– Dzisiaj rano wysłałem raport do Bostonu. Odpowiedzieli, że robimy dobrą robotę.

– Czy coś jeszcze... Jakieś nowe instrukcje, wiadomości?

– Nie, chyba nie. Aha, napisali, że podoba im się twój nowy chłopak, z którym spędzisz dzisiejszy wieczór. Wysłałem im zdjęcie z komórki – uśmiechnął się Gerald.

– A, zamknij się – spokojnie odparła Monica.

Lot minął spokojnie. Krótkie turbulencje nad Grenlandią nawet nie obudziły Tomka. Większość lotów z Toronto do Europy – tych lotów w dostępnych cenach – startuje wieczorem, trwa około ośmiu godzin, plus sześć godzin różnicy czasu i... lądowanie wypada rankiem następnego dnia.

Samolot KLM, którym leciała Vicky i Tomek, wylądował w Monachium o szóstej trzydzięci, planowo, bez opóźnień. Ciągnąc lekko nieprzytomnego malca – jako, że w domu była dopiero druga w nocy – Vicky odnalazła terminal B, z którego o ósmej miał odlecieć samolot Polskich Linii Lotniczych do Warszawy.

W ciągu ośmiu godzin nad ciemnym nocą Atlantykiem miała dużo czasu na dokładne przestudiowanie listu z instrukcjami od Janka. Naprawdę trudno jej było uwierzyć, że mężczyzna, którego tak bardzo kocha, ma wbudowany gdzieś, chyba w swoją duszę, magnes do tego typu zamieszania i kłopotów. Wyjechał do lasu, gdzie prawie nie ma ludzi i ten właściwie jedyny spotkany człowiek, z którym rozmawiał na trasie, wprowadza potworne zamieszanie i niebezpieczeństwo w jego spokojne do tej pory i w miarę ustabilizowane życie. Powróciła też jeszcze raz do kopii listu od nieżyjącego już Alistera Swana. Prawdą jest, zakładając, że cała ta historia jest prawdą, że nie można było po prostu zniszczyć otrzymanych informacji i zapomnieć. Ważność całej kwestii dodatkowo przypieczętowała śmierć autora tego całego zamieszania i fakt, że nie ma już kogo pytać o szczegóły i nie wiadomo, gdzie szukać dalszych informacji. Trzeba po prostu działać. Tego typu akcje jakoś nie zdarzały się w życiu Vicky, jak i nie zdarzają się w życiu 99,9% populacji naszej cywilizacji. Może tylko prywatni detektywi ściągają na siebie tego wątpliwego typu przygody? Podobno gdzieś w Stanach żył człowiek, którego piorun strzelił aż jedenaście razy w ciągu życia... ten ostatni, jedenasty raz, był śmiertelny.

„Mam cichą nadzieję, że Janka «piorun» poprzestanie na jednym razie”, pomyślała z uśmiechem. Rozważając na wszystkie sposoby swoją nową sytuację, Vicky wcale nie czuła się pewnie. Za chwilę samolot LOT-u lądował w zupełnie obcym jej kraju. Dodatkowo, nie znała języka, a ktoś o bardzo złych zamiarach być może ją obserwował, być może miał zamiar porwać jej dziecko, być może... ? Za dużo niewiadomych.

Lotnisko w Warszawie było zatłoczone i ciasne. Czekając w kolejce, aż żołnierz z kamienną twarzą obejrzy ich paszporty, Tomkowi zachciało się do ubikacji.

– Nie ma ubikacji – w miarę zrozumiałym angielskim odpowiedziała kobieta z naszywką LOT.

– Jak to nie ma?

– Jest tam – pokazała ręką znak WC, po drugiej stronie długiej kolejki do odprawy paszportowej. – Trzeba poczekać.

Na całe szczęście Tomek wytrzymał.

– Taxi! Taxi! Może taxi? Dokąd jedzie? Może taxi? – podobnie śmiesznym angielskim krzyczała grupa młodych mężczyzn, łapiąc ludzi za rękawy.

– Nie, dziękuję – nagle, chyba po polsku, krzyknął Tomek.

– Umiesz mówić po polsku, Tomku?

– Tylko kilka słów, ale myślę, że szybko się nauczę, to fajny język – z dumą rzucił malec.

– Witamy w Polsce! – tym razem całkiem poprawnym angielskim przywitała ich dziewczyna w kolorowym, ludowym stroju. – Czy jesteście pierwszy raz w naszym kraju?

– Tak, pierwszy.

– To dla pani. Witamy! – wręczyła Vicky dwa goździki: biały i czerwony.

– A to dla ciebie – nachyliła się i wpięła w klapę kurtki Tomka orzełka w koronie, na biało-czerwonym tle.

– Dziękuję – mały jeszcze raz się popisał.

– Życzymy miłego pobytu.

Taksówkarz nie bardzo umiał mówić po angielsku, ale zawiózł ich do hotelu Holiday Inn, na ulicę Żółtą, w pół godziny, omijając setki rozkopów i robót drogowych.

Nie ma niczego lepszego jak gorący prysznic po podróży. Wypili po szklance soku marchewkowego i niczego nie rozumiejąc z programu w telewizji, zasnęli na trzy godziny, z obietnicą zwiedzania miasta jeszcze tego dnia wieczorem.

Ubrany we wszystko, co wczoraj kupił w Yorkdale, Jim zjechał z Bloor Street na duży parking, rozciągający się nad rzeką Humber. Był za wcześnie – dopiero koło siódmej. Spokojnym krokiem, nie śpiesząc się, szedł powoli pod górę, w stronę przepięknie podświetlonego o zmierzchu kompleksu Old Mill. Przed głównym wejściem, na brukowym dziedzińcu, skręcił w stronę lewego skrzydła. Smith Bar to niewielkie pomieszczenie, nie ma tam sceny z prawdziwego zdarzenia, a miejsce pod oknem, gdzie zazwyczaj grają muzycy jazzowi, może pomieścić najwyżej trio i to bez fortepianu. Wzdłuż lewej ściany muru zbudowanego z wielkich kamieni ciągnie się

bar z wysokimi stołkami. Po prawej stronie jest kamienny kominek, a we wnętrzu najwyżej dziesięć stolików otoczonych wygodnymi fotelami. Na podłodze perskie dywany, na suficie stare żyrandole zwisające z drewnianych bali, na ścianach kilka starych obrazów. Całość wypełnia taka specyficzna antycznie-luksusowa atmosfera, bardzo brytyjska. Jest tu przyjemnie, wygodnie i bardzo kameralnie.

Jimmy zamówił rum z sokiem imbirowym i cytryną, usiadł w pokoju „z dymkiem” i wyjął paczkę drogich cygar kupionych specjalnie na dzisiejszy wieczór. Kobiety zawsze się spóźniają, tak, że bez pośpiechu planował zdążyć wypalić aromatyczne cygaro. Tym razem się mylił. Nie zdążył skończyć pierwszego drinka, kiedy Jane pojawiła się przy barze.

Zapukał w szybę, pomachał i pokazał na cygaro. Jane odmachnęła, weszła, przywitali się i sama też wyciągnęła papierosa.

– Bardzo tu ładnie i elegancko.

– Cieszę się, że ci się podoba. Ty też wyglądasz dzisiaj bardzo ładnie – przećwiczył tę partię jeszcze w domu. – Czego się napijesz?

– Poproszę białe wino. Zanim zamówimy coś do jedzenia... Czy mógłbyś mi powiedzieć, czego takiego dowiedziałeś się w biurze? To może być ważne.

– Myślę, że możemy to przełożyć na... po obiedzie. Swoją drogą to i ja jestem ciekaw, dlaczego jesteś tak bardzo zainteresowana Barskim.

Jim zgasił cygaro i wstał, kierując się do głównej sali, po dżentelmeńsku puszczając Jane pierwszą.

– Ten stolik przy kominku z dwoma fotelami wygląda bardzo romantycznie.

– Posłuchaj, dlaczego nie skończyć ze sprawami zawodowymi od razu i więcej do tego nie wracać? Powiedz mi, po co do mnie zadzwoniłeś?

– Cały wieczór jeszcze przed nami. Co jest takiego pilnego, że warto wydać takie pieniądze za zwykłą informację?

Kelner przyniósł kieliszek białego chardonnay.

– Po prostu muszę wiedzieć, czy twój kolega zaczął pracować nad pewną sprawą, czy nie. Mogę powiedzieć ci tylko, że chodzi tu o moją sprawę rozwodową.

Jimmy usłyszał to, o czym mógł tylko marzyć – Jane była rozwiedziona.

– To może mieć coś wspólnego z tym, czego się dowiedziałem. Zjemy obiad i przejdziemy w jakieś zaciszne miejsce i wszystko ci powiem. Obiecuję.

– OK, zaraz wrócę. Gdzie jest toaleta?

Jimmy zamówił drugiego drinka, tym razem z podwójnym rumem. Po chwili „Jane” wróciła do stolika.

– Co za pech. Zostawiłam szminkę w samochodzie. Chodź ze mną, boję się

trochę. Tam jest tak ciemno i pusto.

– Oczywiście. Nie ma sprawy.

„Nie martw się mała, jesteś pod moją opieką” – pomyślał. Wychodząc, pokazał kelnerowi stolik i powiedział, że zaraz wróca. Na dworze było już zupełnie ciemno.

– To ta srebrna toyota, tam w rogu.

– Rzeczywiście, zaparkowałaś w najdalszym rogu parkingu. Jakbym wiedział, zamówiłbym taksówkę.

– Słuchaj Jimmy – Monica-Jane nagle zatrzymała się. – Powiedz mi teraz, co chciałeś mi opowiedzieć. Wykonam jeden telefon i zapomnimy o temacie. OK?

– Cierpliwości mała, wszystko po kolei. Tak, żeby wszyscy byli zadowoleni.

– Ja będę zadowolony, jak tylko wyksztusisz ze swojej tłustej gęby te kilka zdań – odezwał się zza stojącego obok SUV-a ostry męski głos. Jimmy cofnął się niepewnie.

– Jane, co to ma... Kto to jest?

– Chcesz nam coś powiedzieć, czy nie? Hej, a może ty po prostu myślałeś, że sobie popierdolisz, co?

Nagle pogadanka skończyła się i Jimmy usłyszał głośne chrupnięcie i poczuł ból z tyłu głowy. Na całe szczęście nie był to jeszcze odgłos pękającej czaszki, tylko rozsypująca się boczna szyba w SUV-ie. Jimmy wstał powoli, trzymając się za głowę. Teraz dopiero popatrzył na swojego przeciwnika. Był bez szans.

– Szybciej Jimmy... trzykrotnie prosiłam cię grzecznie i zacznym tracić cierpliwość.

Wiedząc, że nie ma szans na romans, Jim wykonał jeszcze niefortunną próbę zarobienia kilku groszy.

– Pięć tysięcy. Pięć tysięcy i już mówię.

Silne kopnięcie w krocze powaliło go na asfalt. Nie mógł złapać oddechu.

– Myślisz, że wytrzymasz..? Zostały jeszcze cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

– No więc... – Monica złapała go za zielony golf i z zaskakującą siłą sprawnie postawiła na nogi. – Powtarzaj za mną: przypomniałem sobie, że Barski... no, dalej Jimmy!

– OK, OK – cichym, zbitym głosem Jim zrezygnował z dalszych prób. – Barski tego dnia, czyli w poniedziałek, zabrał bez pokwitowania z magazynu w piwnicy dwie mikrokamery włączane czujnikiem ruchu przed obiektywem. Powiedział, że tylko coś sprawdzi i odniesie.

Głos Jimmiego załamał się z bólu.

– Odniosł?

– Nie. Nie ma ich też w jego biurku.

– To wszystko?

– Tak. Wszystko.

– Pamiętaj Jimmy, gdyby przyszło ci do głowy zrobić coś głupiego, to ja cię znajdę i będzie ci wtedy bardzo smutno.

Silna ręka złapała go za włosy, a druga za pasek, powyżej końca kręgosłupa.

– To pa.

Jimmy poszybował nad niskim żywopłotem i wylądował na błotnistej skarpie. Brzeg był śliski, stromy i nic na nim nie rosło. Najpierw powoli, potem coraz szybciej, zsuwał się w dół.

W październiku woda w Humber River jest bardzo zimna.

– Widziałeś, jak ten pajac się ubrał? On naprawdę myślał, że mnie dzisiaj zaliczy.

– Nie ma to jak zimna kąpiel...

– Po co Barskiemu te kamery? Jedziemy do jego domu.

Tym razem bez większych ceregieli zaparkowali samochód na podjeździe domu Jana Barskiego. Oboje powoli podeszli pod drzwi i Gerald zrobił gest jakby naciskając dzwonek. W tym samym czasie Monica szybkim ruchem przekręciła w zamku elektroniczny superklucz. Weszli, zapalając światła. Cała akcja wyglądała z daleka, jakby zostali wpuszczeni do domu przez właściciela.

– Jeśli wziął tylko dwie kamery, muszą być gdzieś na parterze. Sprawdź w pobliżu drzwi wejściowych.

Sama ruszyła prosto na tył domu, gdzie znajdowały się szklane, rozsuwane drzwi ogrodowe.

Wyjęła z torebki przedmiot wielkości małej latarki i niewidzialnym strumieniem przesuwiała cal po calu, wokół siebie. Na wysokości kominka błysnęła niebieska dioda. Wróciła, powoli i uważnie sprawdzając kominek. Na ceglanej półce leżał zardzewiały, antyczny pogrzebacz. Niebieska dioda paliła się teraz ciągłym światłem. Monica delikatnie, przez zwinięty rękaw, uniosła żelastwo.

– Jest. Mam jedną.

– U mnie czysto. Jest tylko nasza kamera pod sufitem.

Wyszli do auta i przejechali po dzielnicy, wracając pod swój dom. Tam Gerald od razu podłączył kamerę Barskiego do komputera.

– Kurwa! To twarz Vincenta. To było wtedy, jak sprawdzaliśmy dom po raz

drugi. A to ja, we własnej osobie.

– Mamy problem, to nie są żarty. Wysłałam alarm, a ty zacznij się pakować, Geraldzie. My już tu nie mieszkamy – Monica wyjęła z kieszeni telefon.

Wiosłowałem aż do późnego popołudnia. Chciałem wykorzystać przewagę i to, że na pewno byłem lepszy w tej sztuce od mojego towarzysza... to znaczy od Dicka. Szkoda, że przez lornetkę nie udało mi się dostrzec jego twarzy. Ciekawe, czy to ten sam nieproszony gość, który sprawdzał mój dom. Zapomniałem o drugiej kamerze na kominku... zostanie tam pewnie na zawsze.

Minąłem małe jeziora, Teper i Littledoe, i dotarłem do malowniczego Tom Thomson Lake. Koło wyspy dostrzegłem grupę na czterech czerwonych *canoe*. Ich właściciele chyba odpoczywali, bo nie widziałem namiotów.

- Cześć, jak leci odpoczynek po pracy?
- Piękny dzień na wiosłowanie. Dokąd płyniesz?
- Mam rezerwację na Timberwolf...
- Przeniesienie dwa i pół kilometra... gratuluję.
- A wy co? Nie nosicie?
- Nosimy, nosimy i to nie raz...

Gaworząc z grupą młodych ludzi, podpłynąłem na małą plażę i wysiadłem na chwilę, żeby rozprostować kości. Od razu dopadł mnie golden retriever, cały mokry od kąpieli. Brakowało mi psiego towarzystwa i wyglądało na to, że pies to wyczuł, bo dokładnie mnie oblizwał.

- Chodź tu, chodź tu! – wołali go młodzi.
- Nie przejmujcie się, bardzo lubię psy. Niestety mojego pochowałem kilka dni temu.

Kiedy z nimi rozmawiałem i drapałem psa po mokrej sierści, znalazłem małe zagłębienie w obroży, tam, gdzie przyczepia się medalik informacyjny. Nikt nie zauważył, jak wepchnąłem tam moją pluskwę i pożegnałem się z grupą.

Przeniesienie było dość długie, ale niezbyt trudne i całkiem przyjemne. Dla odmiany postanowiłem popracować nogami. Prawie o zmierzchu rozbiłem namiot na zachodnim brzegu Timberwolf Lake. Nie bawiąc się w ognisko i relaks, przepakowałem rzeczy, rozpinając plecak na dwie części. Do mniejszego plecaka spakowałem wodoszczelną torbę z normalnym, miejskim ubraniem, skórzane buty, paszporty, list i plik banknotów pięćdziesięciodolarowych. Dołożyłem trzy batony

i kawałek suchego kabanosa. Zjadłem resztę zapasów i, leżąc na wznak na śpiworze, oczekiwałem na noc.

Sprawy miały się całkiem nieźle. Zebranie zespołu przebiegło w atmosferze nieczęsto zdarzającej się w tym budynku. Obiad w zeszłą środę w ekskluzywnej japońskiej restauracji był prawdziwie udanym wieczorem. Pracując zaledwie kilka metrów od biurka Elli, Albert nie miał zielonego pojęcia, jakim wspaniałym i wesołym towarzystwem gardził przez lata.

Zadzwoił telefon satelitarny.

– Halo, tak, tu Albert. Co się dzieje? – ten sygnał z błyskającym pomarańczowym ekranem nie wróżył nic dobrego. – Co takiego?! U Barskiego w domu? Sama to sprawdziłaś? Dobra robota. Zaraz będzie zebranie. Bądźcie w zasięgu po dalsze instrukcje.

Momentalnie pojawiły się pierwsze kropelki potu na czole, kiedy włączył grupowy alarm satelitarny zespołu. Plany na piątkowy wieczór szlag trafił. Zadzwoił do Elli i odwołał wieczorne wyjście do teatru. Miała smutny głos. „Czy ta firma puści mnie w końcu, po tylu latach?” Czterdziestoletnia cierpliwość dobiegała końca.

Dziesięć minut później niewiele brakowało, a zderzyłby się z mercedesem Salvatora, wjeżdżającego do podziemnego garażu. Pozostałe auta były już na miejscu. Minęło zaledwie kilka godzin od ostatniego zebrania i ...

– Co się dzieje, Albercie? Coś z Barskim?

– Niestety tak. Wygląda na to, że zostaliśmy wystrychnięci. Chodź na górę, zaraz wszystko opowiem.

– Uwaga, proszę zająć miejsca – prawie z krzykiem zaczynał Albert, wchodząc do sali zebrań. – Przed paroma minutami dostałem informacje z Toronto. W domu Barskiego znaleźli mikrokamerę zainstalowaną w zeszły poniedziałek, już po pierwszym sprawdzeniu domu... ale jeszcze przed drugim. Barski wziął z biura dwie takie kamery. Znaleźli tylko jedną.

– Czy używali detektora?

– Tak. Kamera czytała ruch wzdłuż drzwi ogrodowych. Logicznie, druga kamera musiała być koło drzwi wejściowych, którymi Vincent i Gerald weszli za drugim razem. Nie znaleźli jej. To może oznaczać, że Barski doskonale o nas wie i nie jest na wycieczce, tylko po prostu ucieka.

– Ogłaszam alarm! – Salvatore wstał z fotela i podszedł do telefonu.

– Nikt nie idzie do domu. Zaraz dzwonię do Vincenta. Ty – pokazał na Alberta – skontaktuj się z tymi ludźmi w Polsce i dowiedz się, czy mają kobietę Barskiego pod ścisłą obserwacją. Gerald i Monica muszą przystąpić do akcji. Niech oboje natychmiast jadą na północ w stronę tego parku... jak on tam się nazywa. Vincent może potrzebować pomocy.

– Barski ma bilet lotniczy na lot 064, Air Canada do Frankfurtu. Odłot osiemnasta czterdzieści pięć w niedzielę – zaraportował młody Alex.

Salvatore wziął telefon satelitarny i wyszedł do sąsiedniego pokoju.

– Halo, Vincent... mamy problem. Wiem, że już jest noc, ale musisz wyruszyć natychmiast. Jak najszybciej masz unieruchomić Barskiego. Użyj C2H16 albo, jak nie będziesz miał wyjścia, to kuli PAR4. Barski ma żyć, ale musi być unieruchomiony. Gerald już jedzie w twoją stronę. Bądźcie w kontakcie i przywieźcie mi Barskiego... najlepiej tu, do Bostonu. Koniec żartów Vincent. Czas na działanie... co, co? Jak to nie wiesz? Skąd nagle dwa? Czekaj zaraz zadzwonię – Salvatore przerwał połączenie i wrócił do zespołu:

– W Kanadzie, w parku, jest ciemna bezksiężycowa noc. Vincent odpłynął na jakieś dwa kilometry do punktu, gdzie dwa lokalizatory satelitarne rozdzieliły się... Czy ktoś może mi wytłumaczyć, jak to, kurwa, możliwe?

– Gerald rozmieścił pięć pluskw: w nissanie, w słupku namiotu, w kuchence, w jednym ze śpiworów i w kołnierzu kurtki. Taki raport otrzymałem we wtorek.

– Dajcie podgląd na ekran – Salvatore podszedł i włączył pięćdziesięciocalowy monitor wiszący na ścianie.

Alex chwilę stukał po klawiszach komputera, aż ukazała się mapa centralnego Ontario. Na zbliżeniu, zgodnie z tym, co powiedziała Sofie, ukazało się pięć czerwonych punktów: dwa razem, pod adresem domowym Barskiego, jeden na parkingu w parku – to SUV Barskiego, jeden nad Timberwolf Lake około piętnaście kilometrów na północ, w głębi lasu i ostatni nad Bunt Island Lake, około siedem kilometrów na wschód od Timberwolf.

– Niech mi ktoś to wytłumaczy, proszę – ostrym, nieprzyjemnym tonem rzucił Sal.

Alex podszedł do mapy, jak profesor na wykładzie, podnosząc do góry wskaźnik i zaczął: – Dwie z czterech rzeczy z pluskwami zostały w domu. – pokazał na podwójny punkt. – Nissan Barskiego na parkingu, to jedno jest pewne na sto procent. Niestety, trudno powiedzieć, co stało się dalej... Może Barski na przykład dał komuś kurtkę lub kuchenkę? Mało prawdopodobne, żeby był to śpiwór czy namiot. Może to przypadek?

– Dosyć tych pierdolonych przypadków... Barski jest mądrzejszy niż wy wszyscy razem wzięci i to nie przypadek, że niczego nie rozumiecie. Znalazł już dawno nasze kamery w domu, teraz jedną pluskwę i podrzucił komuś do *canoe*. Pytanie, który punkt to on, a który to ktoś inny – Salvatore wyszedł ponownie z telefonem w rękę. – Vincent! Z mapy wynika, że Bunt Island Lake leży jakby na dużej pętli wracającej z powrotem do punktu wyjścia, na Canoe Lake. Sprawdź to najpierw i daj znać. Może Barski chce wrócić do samochodu? – Vincent nie odezwał się słowem.

Przez uchylone drzwi namiotu widziałem cały zarys jeziora w szybko zmieniających się odcieniach szarości i czerni. Lornetka była coraz mniej użyteczna. Gdybym był bardziej przewidujący, to miałbym teraz w rękach noktowizor. Jezioro zasypiało w bezruchu, a jedyny punkt wskazujący na istnienie życia na tej planecie to ognisko płonące daleko na przeciwległym brzegu. Włożyłem plecak, a raczej pół plecaka, do *canoe* ciągle jeszcze stojącego na wodzie. Nadszedł czas na następne pożegnanie. Najpierw, tydzień temu, pożegnałem się nad ranem z Alisterem, potem w garażu z Uchym, na lotnisku z Vicky i Tomkiem. Rano pożegnałem się z własnym domem, potem z samochodem i nadchodził czas pożegnania z namiotem. Zostawało jeszcze wysłużone *canoe*, wiosło i te pół plecaka.

Wiosłowanie nocą to wielka przyjemność – jakby ciche przesuwanie się po nieruchomej tafli. Płynąłem blisko brzegu, żeby nie ominąć oznakowanej ścieżki przeniesienia na następne jezioro. Niesienie czterdziestopięciofuntowego *canoe* na głowie, po ciemku, idąc między drzewami i po kamieniach to już zdecydowanie mniejsza frajda... Z jednym upadkiem na koncie i zbitym łokciem dotarłem nad ostatnie większe jezioro na mojej trasie – Misty Lake. Nie polecam nocnego przenoszenia, nawet tym bardziej zaawansowanym turystom. Potem było małe jeziorko bez nazwy, strumień, przeniesienie, następny strumień i jeziorko. Miałem nadzieję, że niczego nie pomieszałem, ponieważ mogłoby mnie to dużo kosztować. Małej punktowej latarki używałem tylko wtedy, gdy patrzyłem na mapę, lecz nawet przez to traciłem czas, przyzwyczajając znowu wzrok do bezwzględnej, bezksiężycowej ciemności...

Chmury na chwilę rozrzedziły się i księżyc w drugiej fazie oświetlił okolicę. Zamiast następnej rzeczki widocznej na mapie, ujrzałem wąski pas zarośniętego bagna, ciągnący się pomiędzy stromymi skarpami. Piękne lato i stosunkowo słabe opady deszczu jesienią obniżyły poziom wody w wyżej położonych zbiornikach

w całym Ontario. Szedłem powoli po unoszącym się na bagnie kożuchu pływającej trawy, ciągnąc *canoe* za sobą na linie. „Jeszcze będę potrzebował tego mojego okrętu wojennego”. Nieostrożny krok skończył się po pas w wodzie nieznanego koloru. Na twarzy czułem poprzyklejane wodorosty i pewnie jakieś inne przysmaki... łosie bardzo lubią lilie wodne. Księżyc znowu się schował. Mimo intensywnego wysiłku, zaczynało mi być chłodno po „kąpieli”. Temperatura powietrza spadła chyba poniżej zera, para buchała ze mnie jak z konia zimą. Wyschnięty strumień kończył się wysoką trzcina i nareszcie... zatoka ostatniego jeziora. Wiosłowałem przez następne minuty i dopłynąłem do żółtego znaku „Portage”. Potrzebowałem odpoczynku. Położyłem się na dnio *canoe*, napiłem wody i zjadłem kawałek czekolady. Trząśłem się z zimna. Droga ciągnęła się przez prawie trzy kilometry i po drodze przecinała Western Uplands Trail – szlak pieszy, który znałem prawie na pamięć. Po przejściu kilometra z *canoe* na barkach, skręciłem w bok ze ścieżki. Tu, pod warstwą liści i gałęzi, zostawiłem *canoe* i wiosło, których już nie potrzebowałem. Następne pożegnanie... i wtedy dopiero zaczęło się iść lekko.

Algonquin Park to wielki obszar i oprócz drogi numer 60 i głównych bram wjazdowych, jest jeszcze kilkanaście tak zwanych *access points*, czyli miejsc, gdzie można dojechać samochodem i kupić bilet wstępu. Szlak miał mnie doprowadzić do jednego z nich. Rain Lake Access Point leżał zaledwie jedenaście kilometrów stąd, łatwych kilometrów, bo ścieżka biegła na podłożu starej linii kolejowej, łączącej Ottawę z Hudson Bay. Tu właśnie leżały szyny, po których toczyły się wagony wiozące miliony martwych sosen kanadyjskich. Ociosane pnie wywożono masowo do Europy. Kończyły ostatnią podróż na budowach, w stolarniach i stocznjach Anglii i Francji. Było jeszcze ciemno, ale w dzień można wciąż znaleźć drewniane podkłady obrosnięte mchem albo zardzewiały gwóźdź.

Dla rozgrzewki szedłem szybko, tak szybko, jak wzrok pozwalał. W międzyczasie pękła ta bezwzględna, czarna skorupa i w pierwszym odcieniu szarości zaczął się świt. No i niespodzianka – zaczął prószyć mokry śnieg, na szczęście nie akumulował się – nagrzana latem ziemia topiła płatki natychmiast.

Przeszedłem przez stary, trzeszczący most kolejowy nad rzeką wpływającą do Rain Lake, niedaleko od celu. Na parkingu stały trzy samochody. Podszedłem powoli do starej, drewnianej kabiny traperów, przerobionej nie tak dawno przez klub przyjaciół parku i wystawionej do wynajęcia – sto dolarów za weekend. Zapukałem mocno do drzwi... i jeszcze raz. Cisza. Fachowy wytrych, który nosiłem jako breloczek do kluczy, otworzył tani zamek bez kłopotów. Była wprawdzie sobota rano, ale widać nie było chętnych na weekendowy wypad. Kabina miała dwie piętrowe

prycze, stół, krzesła, lodówkę i kuchenkę na propan. Pamiętam, jak bardzo mnie kiedyś zdziwiło istnienie lodówki na propan, a nie na prąd, i że można nawet robić w niej lód. Była łazienka z ciepłą wodą i oświetlenie – też na propan. Nie zapalając świateł, umyłem twarz i przebrałem się w suche ubranie. Gorąca herbata i puszka gorącej fasoli w sosie pomidorowym zmieniły marny obraz świata. Na stole zostawiłem banknot z dopiskiem:

Pięćdziesiąt dolarów – dotacja dla przyjaciół Algonquin Park. Dziękuję za gościnę.

Na parkingu stał w miarę nowy jeep – honda i stary, porzewiały pickup marki Ford F-150, z metalowym stelażem na pace do przewozu sześciu *canoe*. Drzwi od strony pasażera miał zamknięte na haczyk z drutu, a wszystkie kable pod kierownicą wisiały luzem. Trudno było prosić o więcej ułatwień. Ford zapalił za pierwszym razem. Do wioski Emsdale, leżącej przy drodze numer 11, miałem ponad czterdzieści kilometrów. Nie wiem, czy tłumaczy to mnie z kradzieży, ale po prostu nie miałem czasu na takie spacery.

Jechałem dość szybko jak na wąską żwirówkę... i jak na słabą przy tym stopniu porannej szarości widoczność. Niespodziewanie, zza skarpy po lewej stronie drogi, coś wielkiego i czarnego wyskoczyło na drogę, nie dalej niż dziesięć metrów przed zderzakiem samochodu. Noga odruchowo wcisnęła hamulec w podłogę. Błoto pośniegowe nie stanowiło najlepszego podłoża do hamowania i moja maszyna powoli zaczynała jechać bokiem... i powoli zbliżałem się do krawędzi rumowiska schodzącego kilka metrów w dół do strumienia. W ostatniej chwili puściłem hamulec i odbiłem kierownicą mocno w prawo, patrząc rozpaczliwie w kierunku jazdy. Podobno w takiej sytuacji jedziesz tam, gdzie patrzysz, jednak okazało się, że nie zawsze. Udało mi się nie zjechać do rzeczki, lecz niestety zanim zdążyłem ponownie skontrolować, wyrósł przede mną polodowcowy głaz, leżący po drugiej stronie drogi. Trzask. Przysłuchałem się uważnie. Silnik dalej pracował, a to dobry znak, bo przejechałem najwyżej pół drogi. Szanse na złapanie autostopu w tym miejscu są takie, jak na ożenienie się z piękną, bogatą kobietą, dla której wszystkim, czego pragnie w życiu jest bycie przy tobie, gotowanie i wykonywanie twoich poleceń.

Wysiadłem, żeby oszacować zniszczenia. Błotnik po stronie kierowcy wisiał niezdecydowany, czy ma zostać, czy odpaść. Reflektor rozsypał się, a maski silnika nie dawało się domknąć. Nie było źle. Czuję się jednak dziwnie, jakbym nie był sam. Obejrzałem się i w okamgnieniu wsiałem z powrotem na siedzenie, i w panice zatrzasnąłem drzwi. Na środku drogi, najwyżej pięć metrów od mojego wraka, stała duża samica czarnego niedźwiedzia. Ruszyłem na wsteczny, zostawiając

niezdecydowany błotnik na drodze. Niedźwiedzica stała dalej. Powoli podjechałem w jej kierunku. Stała dalej, sztuczna czy co? Popatrzyłem w lusterko i dopiero pojąłem, o co tu chodzi. Niedźwiedź nie był sztuczny, ani nie był to przebrany policjant. Z tyłu, za moim fordem, na środku żwirówki stał kilkumiesięczny niedźwiedzi dzieciak, a ja, stojąc w poprzek drogi, blokowałem matce dostęp do malca. Zjechałem powoli pod rumowisko. Dostojna matka również powoli podeszła do drzwi kierowcy, stanęła na tylnych łapach i popatrzyła mi prosto w oczy, dotykając łbem lusterka. To wszystko działo się zgodnie z niezaprzeczalnym prawem natury, które mówi: „Zwierzęta robią różne jaja wtedy i tylko wtedy, gdy nie masz przy sobie aparatu fotograficznego”. Mama poszła do malca a ja, już trochę ostrożniej, dojechałem na wzgórze, za którym jest wioska.

Tu pożegnałem się z fordem. Napisałem list na kawałku papieru, który znalazłem wśród niedopałków i puszek po piwie, zakrywających wąskie, tylne siedzenie.

Musiałem pożyczyć tego grata. Przepraszam za zniszczenia. Zostawiam 500 dolarów, za które kupisz sobie ze trzy takie wraki. Miłego dnia.

Papier i banknoty wcisnąłem w wyłamane radio. Na razie pokrywałem rachunki bez zarzutów. Z daleka słyszałem ruch na autostradzie. Pamiętałem, że gdzieś tu była stacja benzynowa i kawa z Tima Hortonsa.

Vincent złożył telefon satelitarny i schował go do kieszeni kurtki. Jak zwykle, i tym razem okazywało się, że musi pracować z bandą nieopierzonych nowicjuszy. Poważne zadania są zlecane dzieciakom na szkoleniu, a potem oczekuje się szybkich i precyzyjnie wykonanych zadań. Poprzedni facet w ogóle nie miał lokalizatorów satelitarnych na sobie, tylko jeden w samochodzie, a ten teraz ma ich za dużo. Na dodatek szef, siedzący za biurkiem w Bostonie, mówi mu, co i jak ma robić. „«Sprawdź najpierw Bunt Island», «użyj C2H16», «użyj PAR4». Nie ma cię tu, skurwysynie, to się nie wtrącaj. To moja sprawa”. Z jednej strony był zły, ale z drugiej – szykowała się ciekawa akcja.

Wiosłował mocno, szybko poruszając się po tafli wody i zbliżając się do nieruchomego już punktu na jednej z wysp jeziora. Dopłynął do długiego cypla oddzielonego od wysepki stumetrowym przesmykiem. Na wyspie płonęło ognisko i słychać było głosy. Barski był sam, ale może dla bezpieczeństwa dołączył do jakiejś grupy. Przez lornetkę z noktowizorem doliczył się sześciu osób i trzech *canoe*. Podpłynął bliżej, aż pies zaczął szczekać. „Znowu szczękający pies...”

– Dobry wieczór, szukam przyjaciela. Mieliśmy się tu spotkać wieczorem, ale spóźniłem się i jest już ciemno. Czy widzieliście może samotnego faceta na pomarańczowym *canoe*?

– Hej. Spotkaliśmy twojego kumpla, ale dość dawno, na Tom Thompson Lake. Wydaje mi się, że mówił coś o Timberwolf Lake... chyba.

Młodzi ludzie przez chwilę dyskutowali między sobą.

– Tak spotkaliśmy samotnego gościa na pomarańczowym *canoe*, ale, jak mówię, nie płynął w tamtą stronę.

– Chyba nastąpił błąd w komunikacji... Dzięki za informacje. – Vincent zawrócił *canoe*.

Cały czas istniała możliwość, że mówią, co im kazał Barski. Wziął na kolana laptopa i zbliżył maksymalnie do wyspy. Punkt nie był teraz zupełnie nieruchomy – przesuwiał się wzdłuż lewego brzegu, oddalając się od miejsca, w którym był. Vincent wyjął z torby karabinek Beretta CX4 z najlepszym teleskopem nocnym Nikona, załadował kulę z substancją wywołującą sześciogodzinny paraliż mięśni i ruszył wzdłuż brzegu w kierunku punktu na mapie.

Ruch w trzcinach przy brzegu. Vincent sięgnął po broń. Głośny plusk wody i z trzcin wystartował nagle wystraszony błękitny żuraw – majestatyczny ptak o rozpiętości skrzydeł dochodzącej do dwóch metrów. Wzbił się w powietrze, bijąc o wodę olbrzymimi skrzydłami, a w ślad za nim płynął ten cholerny pies, który przed chwilą zdradził obecność Vincenta. Opuścił broń. „Z tego wynika, że to pies ma na sobie pluskwę”. Jeszcze raz podpłynął w pobliże ogniska:

– Żeby się tylko upewnić, że to na pewno był mój przyjaciel... czy głąskał waszego psa?

– Hej, skąd wiesz? Tak, głąskał i mówił, że niedawno zdechł jego pies.

– To musiał być on. Bardzo tęskni za swoim czworonogiem i ostatnio bawi się z każdym napotkanym psem. Dzięki... dobrej wycieczki.

Teraz już bez wahania, wiedząc, że stracił sporo czasu, skierował *canoe* w stronę, z której przypłynął. Drugi punkt siedział nieruchomo na zachodnim brzegu Timberwolf Lake. Po czterech kilometrach wiosłowania bez przerwy Vincent zaczął szukać oznaczenia szlaku, przeczesując brzeg światłem mocnej, punktowej latarki. Aluminiowe *canoe* ważyło lekko ponad siedemdziesiąt funtów, także dwukilometrowe przeniesienie go na barkach dało się we znaki. Dyszał ciężko, odpoczywając nad płytkim strumieniem. Przed następnym przeniesieniem zza chmur pojawił się księżyc i rozjaśnił nieco mrok. Jeszcze godzina i, tym razem bez latarki i hałasu, Vincent delikatnie postawił swoje *canoe* na wodzie jeziora Timberwolf.

Wiosłował bezgłośnie wzdłuż nadbrzeżnych zarośli.

Penetrując zachodni brzeg, przez noktowizor zobaczył kopułowy kształt namiotu, który stał pod cedrami, z dziesięć metrów od brzegu. „Śpij spokojnie, a obudzisz się w Bostonie”. Z goglami na głowie i karabinkiem w dłoni Vincent wyszedł na brzeg. Z pewnej odległości podniósł broń i strzelił w boczną ścianę tropiku, w miejsce, gdzie powinny być nogi śpiącego. Brak reakcji, brak ruchu. Ranny podskoczyłby do góry z bólu. Drugi strzał... i trzeci. Namiot był pusty. Dopiero teraz zauważył, że na brzegu nie było *canoe*. „Barski zniknął!” Vincent odnalazł obydwaj przekaźniki punktowe – jeden na psie należącym do grupy młodych ludzi obozujących na Bunt Island Lake, a drugi w opuszczonym namiocie Barskiego na brzegu Timberwolf Lake.

– Co mam przekazać Vincentowi? Co ma dalej robić? Mówi, że nie potrafi odczytywać śladów na wodzie... robi się niemiły i sarkastyczny.

– Każ mu czekać i obserwować namiot z bezpiecznego miejsca. Niech ma okolice na oku do wschodu słońca. Może wróci do swojego namiotu, myśląc, że miał tylko jedną pluskwę? Oczywiście, jeżeli on sam nie obserwuje Vincenta gdzieś z drzewa. Aha! Zróbcie mi jak najszybciej topograficzną mapę sztabową parku i okolic, w skali co najmniej 1 do 300000. Jak będzie gotowa, zbierz cały zespół. Musimy przeanalizować możliwe kroki Barskiego.

– Myślę, że należy wysłać więcej ludzi do Kanady.

– Zgadza się, i to jak najszybciej. Pięciu najlepszych w biegach terenowych.

I niech wezmą samolot agencji. Dzwoń na lotnisko sportowe pod Bostonem, niech się szykują do lotu.

– Kobieta Barskiego, Victoria, jak jej tam, Van Daren i dzieciak. Zawiadomić Polskę. Niech delikatnie, ale zdecydowanie ulokują tę dwójkę gdzieś w bezpiecznym miejscu i niech czekają na dalsze instrukcje. Włos ma z głowy im nie spaść, są obywatelami Kanady. Wykonać natychmiast. Tam jest teraz szósta rano.

– Mapa, mapa satelitarna jest gotowa. Włączyć duży ekran na kanał szesnasty.

– Uwaga, wszyscy pracownicy zespołu Alberta Weissa proszeni są o natychmiastowe stawienie się do studia numer dwa – odezwał się głos przez głośniki biurowe na całym piętrze. Liczba ludzi zaangażowanych w sprawę o nowym symbolu AS/JB 40 rosła z godziny na godzinę. Chwilowy, pozorny chaos zapowiadał nadchodzącą burzę mózgów. Studio numer dwa wyposażone było w monitor projekcyjny obejmujący praktycznie całą jedną ścianę. Po chwili migotania

i błyskania ukazał się w dużym powiększeniu labirynt setek różnej wielkości jezior, jeziorzek i bagien, połączonych cienkimi niebieskimi liniami rzek i strumyków. Pozostały obszar wypełniony był czerwono-żółtym kolorem nieskończonego jesiennego lasu, widocznego nawet z satelity, który krąży wokół Ziemi w odległości sześciuset trzydziestu kilometrów.

– Tam gdzieś jest Barski – rozpoczął analizę Salvatore.

Musiałem zebrać myśli, a gorąca kawa bardzo temu sprzyjała. Za oknem rozpoczynał się ruch na stacji benzynowej PetroCanada. Miałem dobry punkt obserwacyjny. Z autostrady zjeżdżała wielka osiemnastokołowa ciężarówka, z długą na pięćdziesiąt trzy stopy naczepą, załadowaną jakimiś nieregularnymi kształtami, przykrytymi niebieską plandeką. Kierowca to typowy *redneck*, czyli przedstawiciel rasy anglosaskiej, w dżinsach, koszuli w kratę i w czapce baseballowej, spędzający cały wolny czas na rybach i przy piwie. Dzięki temu ma spalony słońcem na czerwono kark i szyję – czerwona szyja, czyli „red neck”. Przyjechał z południa, więc jedzie na północ. Szybko musiałem zdecydować: zagadać i załatwić stopa, a może po prostu obejść naczepę i pojechać na gapę pod plandeką?

– Cześć... trochę wcześniej na pierwszy śnieg, co? – zagadałem tubylca. Jeśli kiedykolwiek, ktokolwiek będzie chciał nawiązać kontakt z nieznanym Kanadyjczykiem, to należy pamiętać to jedno słowo-klucz: pogoda.

– To prawda, na całe szczęście nie leży jeszcze na drogach.

– Im dalej na północ, tym może być bielej.

– Ja jadę tylko do North Bay, a dalej to mnie nie obchodzi – z typowym grymasem rzucił kierowca.

– Podwiózłbyś mnie do North Bay? Mam tam dzisiaj odebrać samochód z naprawy, z serwisu Hondy.

– To gdzieś tak będzie z półtorej godziny jazdy – rzucił, oczekując dalszej oferty.

– Stawiam lunch, OK? Trochę mi się spieszy, a autobus jest dopiero za godzinę.

– OK, umowa stoi. To ta czerwona szoferka. Dopiję kawę i jedziemy.

Od momentu, kiedy usłyszał słowo lunch, został moim przyjacielem. Większość drogi gadał o pogodzie i swojej byłej żonie, na szczęście nie zadając mi pytań, bo – muszę przyznać – nie bardzo słuchałem, myśląc już o dalszej podróży i o tym, jaką mam przewagę nad Dickiem i innymi, którzy bardzo chcieliby ze mną pogadać.

Najważniejsze pytanie, które wstrzymywało oddech to: czy Vicky i Tomek zdążyli

zniknąć, zanim Dick włączył alarm, nie mogąc mnie zlokalizować? Jeśli nie, gra była skończona. Nie zamierzałem ryzykować życiem tej dwójki. Następne pytanie: jak to sprawdzić? Nie mogłem przecież zadzwonić do domu i nagrać im wiadomości, że chcę pogadać. Wszystko było dalej na podsłuchu.

– A moja była podała mnie do sądu, że niby biję dzieci i jestem pijakiem i w ogóle. A ja na to: jak kurwa mogę być pijakiem, jeśli jestem zawodowym kierowcą i nigdy w życiu nie zatrzymali mnie pijanego? Kto ma rację w tym kraju, panie? To nieważne. Musiałem płacić tysiąc pięćset dolarów miesięcznie na nią i bachory, a ona dawała dupy jakiemuś fagasowi, który na dodatek pił piwo z mojej lodówki.

Na szczęście dojechaliśmy na miejsce. Wyciągnąłem dwudziestkę z portfela:

– Życie nie jest fair, wiem coś o tym. Zjedz dobry lunch i wypij piwo, ale po pracy. Dzięki za podwiezienie.

Powoli, na piechotę, ruszyłem w stronę lotniska. North Bay to średniej wielkości miasto, jak każde w tym kraju, miasteczko. Leży na północnym brzegu całkiem dużego jeziora, o indiańskiej nazwie Nippissing. Jezioro Śniardwy na Mazurach jest ośmiokrotnie mniejsze od Nippissing. Tak naprawdę ta okolica rozwinęła się dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku, kiedy dotarła tu kolej i, oprócz wycięcia lasów, otwarto w okolicy kilka kopalni. Dziś żyje tu już ponad pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Jack Garland Airport ma jeden pas startowy, mogący przyjmować średniej wielkości samoloty, kursujące tylko na liniach krajowych. Po dwudziestu minutach byłem na miejscu.

– Jeszcze dzisiaj rano muszę dostać się do Toronto.

– Najbliższy samolot jest o jedenastej dziesiątej. Czy chce Pan kupić bilet?

– Tak, proszę w obydwie strony, z przylotem w poniedziałek po południu.

– Imię i nazwisko, proszę.

– Alister Swansky, jestem obywatelem USA – położyłem dumnie paszport na ladzie.

Tomek po przedpołudniowej drzemce nie bardzo wiedział, gdzie się obudził. Szybko jednak przypomniał sobie lot samolotem, lotnisko i poranny przejazd taksówką przez Warszawę. Vicky właśnie wyszła spod prysznicy i rozczesywała długie, czarne włosy.

– Co będziemy robić? – padło pierwsze pytanie, zadane jeszcze przy zamkniętych oczach. – Kiedy przyjedzie tata? – padło drugie, jeszcze przed odpowiedzią na

pierwsze.

– Jestem już trochę głodna. Pójdziemy pozwiedzać stare miasto i tam zjemy co dobrego. Co ty na to?

Dobry plan przyspieszył znacznie proces wstawania i ubierania się. Vicky była już dwukrotnie w Europie. Zwiedziła Grecję, Anglię i Holandię. Wyobrażenia o kraju zniszczonym przez wojnę i czterdzieści pięć lat komunizmu mile ją rozczarowały. Stare miasto zachwyliło ich oboje. Chodzili po rynku wśród pięknie odrestaurowanych kamienic, przejechali się dorożką z „prawdziwym koniem”, jak to zauważył Tomek, aż pod Barbakan i dalej na Plac Zamkowy. Obiad zjedli w restauracji Bazyliszek ze strasznym smokiem nad drzwiami. Wokół było czysto, kolorowo. Okna, ściany oraz tarasy małych kawiarenek i barów, przyozdobione masą kwiatów, pełne były życzliwych i uśmiechniętych ludzi, pijących piwo pod tęczowymi parasolami. Nie tak to sobie wyobrażała po opowieściach Janka, ale on sam przecież nie był tu od dwudziestu lat. Niestety, pogodną atmosferę otoczenia przysłaniała ciągle czarna chmura, przypominająca o celu tej wycieczki: „musicie zniknąć!”. Czas wrócić do rzeczywistości.

Do tej pory świetnie grali – i nie grali – zadowolonych turystów i jeżeli ktokolwiek ich obserwował, to na pewno nie przyszło mu do głowy, że jest za tym wszystkim jakiś plan. Pod wieczór, zmęczeni, wsiedli do taksówki i wrócili do hotelu.

– Czy mówisz po angielsku – zapytała Vicky.

– Oczywiście, a skąd jesteście? – całkiem płynnie odpowiedział taksówkarz.

– Z Kanady – z dumą wyprzedził mamę Tomek.

– Naprawdę? Byłem w Kanadzie i to tam zarobiłem na tę taksówkę. Pracowałem na budowie w Mississauga, tam mieszka moje wujostwo – z nieukrywaną radością opowiadał kierowca.

– Czy pojechałbyś w dalszą trasę poza Warszawę? – zapytała Vicky.

– Wie pani to zależy: jak daleko, kiedy i za ile? Wie pani, jak to jest.

Podala mu kartkę z nazwą miejscowości, nie ryzykując nawet próby jej wymówienia.

– Wigry, to dosyć daleko, ze trzysta pięćdziesiąt kilometrów. A kiedy chciałaby Pani jechać?

– Dzisiaj w nocy, powiedzmy o drugiej, zapłacę tysiąc złotych.

– Ale bez licznika. Tysiąc gotówką. OK?

Zrozumiała, o co chodzi, bo pokazał ręką cyferki na elektronicznej skrzynce.

– OK. To o drugiej dziś w nocy, ale nie przed frontem hotelu, tylko z tyłu, tam, gdzie stoją kontenery na śmieci.

– O nic nie pytam. Będę tam punktualnie.

I rzeczywiście był. Vicky zostawiła zaspanego malca na schodach przy wyjściu serwisowym i wyszła po cichu na mały parking dostawczy. Pod drzewem stała taksówka z wygaszonymi światłami.

– Tomek, idziemy.

– Mamo, ale gdzie my idziemy tak w nocy, czy nie możemy...?

– Ciiiicho, zaraz pójdziesz spać w taksówce.

Taksówkarz, jakby rozumiał o co chodzi, przejechał kilkaset metrów po ulicy Złotej, zanim włączył światła.

– Pojedziemy drogą E67, przez Białystok i Augustów. Tak będzie najszybciej – po cichu i bardzo konspiracyjnym głosem oznajmił taksówkarz. – Powinniśmy być na miejscu przed siódmą.

Tomek zasnął jeszcze przed wyjazdem z Warszawy, a Vicky studiowała mapę i próbowała uczyć się zwrotów grzecznościowych po polsku.

– Dzień dobry, dziękuję, baco doprze, jak się masz.

– Całkiem dobrze – pochwalił ją kierowca. – Zanim tam dojedziemy, będziesz mówić po polsku.

– Spirdala... – niepewnie dodała Vicky.

– A, to... nie jest zwrot grzecznościowy.

Albert Weiss powoli odłożył telefon i z kamienną twarzą otworzył szklane drzwi studia numer dwa. Wrzawa kilkunastu osób mówiących naraz i analizujących sytuację na mapie stopniowo ucichła. Wymowa ciała i wyraz twarzy idącego Alberta wskazywały na nieuchronną eksplozję. Ciśnienie dochodziło do granicy wytrzymałości. Stał przed zespołem, oparł się o ścianę i przez chwilę patrzył przed siebie w milczeniu. Wziął głęboki oddech.

– Właśnie rozmawiałem z Mirosławem Piotrkowskim. To nasz pracownik w Warszawie. Wydałem polecenie, żeby wraz ze swoją partnerką odizolowali i unieruchomili Victorię Van Daren i jej dziecko.

Cedził słowa powoli, jakby szedł po lodzie, chcąc uniknąć pęknięcia.

– Na lotnisku oba podmioty zostały oznakowane przekaźnikami GPS i muszą przyznać, że zostało to zrobione w bardzo interesujący sposób. Piotrowski ich śledził. Całe popołudnie i wieczór zwiedzali Warszawę, po czym wrócili do hotelu i poszli spać. Od prawie pięciu lat Piotrowski i jego koleżanka Alicja Iwańska są naszymi

pracownikami. Byli na półrocznym szkoleniu w USA i od prawie pięciu lat płacimy im co miesiąc. W ciągu tych pięciu lat jest to zaledwie trzecie zadanie zlecone tym ludziom. Dwie minuty po naszej rozmowie Piotrowski zadzwonił do mnie z informacją, że właśnie włączył swój komputer i nie wie, jak to możliwe... ale Van Daren i dziecko według mapy satelitarnej są w drodze, jakieś trzysta kilometrów na północny wschód od stolicy i jadą w kierunku granicy litewskiej.

W studio nikt nie odważył się na oddech.

– Zostałem zapewniony, że ich odnajdą i jak najszybciej przywiozą do naszego służbowego mieszkania pod Warszawą, do Józefowa.

Przerwał. Cisza. Bezruch.

– Obecna sytuacja przedstawia się następująco: A: Barski jest gdzieś na terenie setek tysięcy hektarów lasu w Kanadzie. B: Van Daren zaraz przejedzie granicę Litwy. C: Nasz zespół traktuje swoją pracę jak w biurze rządowym... Jest zrelaksowany i patrzy na zegarek, kiedy skończy się zmiana i będzie można iść do domu. Następne trzy osoby lecą do Polski jeszcze dzisiaj, a każda droga żwirowa i każda ścieżka przecinająca granice kanadyjskiego parku ma być pod obserwacją. Jako że nawet kobieta z dzieckiem jest w stanie wywieźć nas w pole, żarty się skończyły. Chcę widzieć całą trójkę pod kluczem w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Nie trzasnął drzwiami, kiedy wychodził. Utrata zimnej krwi, według starej szkoły, to pierwsza oznaka paniki.

Samolot do Toronto leciał częściowo nad Algonquin Park. Niestety tym razem było pochmurnie i mglisto. Mokry śnieg przestał padać jeszcze rano, temperatura podniosła się i wszystko zaczęło parować, zasłaniając jesienne kolory. Po czterdziestu minutach wylądowaliśmy na terminalu drugim lotniska międzynarodowego, obsługującym loty krajowe. Nadszedł czas na odrobinę fantazji. Od razu udałem się do kasy biletowej linii Westjet.

– Bardzo mi zależy, żeby jeszcze dzisiaj dostać się do Vancouver. Czy znajdzie pani jeszcze jakieś miejsce?

Ciemnoskóra dziewczyna wyszczerzyła kontrastujące białe zęby.

– Proszę poczekać, zaraz sprawdzę.

„Jak znam życie, to zaproponuje mi ostatni bilet w klasie biznesowej, za trzy razy więcej pieniędzy, a potem okaże się, że pół samolotu będzie puste”.

– Tak, są jeszcze miejsca na czwartą trzydzięci. Pięćset trzydzięci dolarów.

„Nie znam życia”. Położyłem na ladzie kartę kredytową American Express i mój kanadyjski paszport. Następnie, w skórzanym kapeluszu i słonecznych okularach przejechałem kolejką nadziemną w dziesięć minut na terminal trzeci. Powtórzyłem formułkę, tym razem przy ladzie KLM.

– Dzień dobry. Bardzo mi zależy, żeby jak najszybciej dostać się do Amsterdamu. Czy może mi Pani pomóc? – zapytałem, siląc się na południowy akcent.

– Może być kłopot. Jest tylko jeden samolot dzisiaj po południu, o szóstej siedem. Zaraz sprawdzę.

Zaczekałem cierpliwie.

– Jest tylko jedno, drogie miejsce w klasie biznesowej, za dwa tysiące osiemset dolarów plus podatek.

– Niech będzie, zapłacę gotówką, jeśli mam tyle przy sobie.

Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę. To prawda, że to spora suma i dość dziwnie taka kupa banknotów wygląda na ladzie. Cierpliwie przepuściła banknoty przez skaner wyłapujący fałszywki.

– Przepraszam, że narobiłem pani tyle kłopotu, ale banki już nie chcą dawać mi kart kredytowych. Ha, ha, ha – zaśmiałem się idiotycznie, grając tępawego Amerykanina. Udawanie durnia zawsze wychodziło mi lepiej niż udawanie inteligenta.

Do odlotu miałem cztery i pół godziny. Wyszedłem przed terminal i złapałem taksówkę. Taksówkarz, jak można było przewidzieć, miał na głowie turban.

– Woodbridge, ulica świętej Weroniki.

– Proszę bardzo sir, do usług sir, już jedziemy sir.

Kiedy dojeżdżaliśmy do mojej ulicy, poprosiłem kierowcę, żeby przejechał kawałek dalej i zawrócił. Przed domem Joe’ego nie było samochodów, pewnie wszyscy byli już w Algonquin i mnie szukali. Teraz najlepszym schronieniem na świecie byłby mój własny dom, ostatnie miejsce, w którym by mnie szukali.

– Zatrzymaj się tutaj. Masz pięćdziesiąt dolarów za drogę, a tu drugie pięćdziesiąt. Podejź i zapukaj pod numer sześćdziesiąt cztery, to ten dom z dużym świerkiem. Jeżeli ktoś otworzy, to grzecznie zapytaj, czy zamawiali taksówkę. Jak powiedzą, że nie, to udawaj, że niczego nie rozumiesz i przeproś. OK?

– Dobrze sir. Mam nadzieję, że to bezpieczne...

– Nie bój się, nic ci nie grozi, nie ukradnę taksówki.

Po chwili Hindus wrócił szybkim krokiem i z wyraźną ulgą oznajmił:

– Nie ma nikogo sir, nikt nie otwiera, sir.

– To dobrze. Słuchaj uważnie. Tu masz następne pięćdziesiąt dolarów. Pojedź na plac na końcu sąsiedniej ulicy, wypij kawę i dokładnie za dwadzieścia minut wróć tu po mnie. Rozumiesz?

– Tak, sir. Za dwadzieścia minut, sir – kiwał głową jak tygrysek bengalski za szybą taksówek w PRL-u.

Wytrych otworzył drzwi bez kłopotu. Po cichu, bez butów, sprawdziłem szybko cały pusty dół domu. Mieszkali na piętrze. W sypialniach nadal leżały ich rzeczy, a pokój od strony mojego domu był centrum obserwacji i działania. Dwie lornetki stały na statywach, a przy bocznym okienku potężny mikrofon punktowy wycelowany w moje drzwi. Kable, laptop, kamera fotograficzna i coś jakby mała centralka telefoniczna. Oczywiście, że stać ich było na sprzęt znacznie wyższej klasy niż moją agencję detektywistyczną.

Włączyłem laptopa pozostawionego w stanie czuwania. Ekran zamigał i system załadował się. Ukazała się poczta satelitarna moich prześladowców. Niestety, nie był to żaden znany mi program, a Hindus miał podjechać pod dom za czternaście minut. Nie miałem czasu na studiowanie. Spróbowałem raz jeszcze: „Poczta” – „Wyślij” – „Do wszystkich”: lista adresów połączonych jednym kodem cyfrowym i literami AS/JB. „Czyżby to były inicjały Alistera i moje?”. „Poczta” – „Otwórz” – „Alarm do wszystkich”. Wszystkie kroki były blokowane pytaniem o hasło. Nic z tego. Nie mogłem dowiedzieć się, co dzieje się w Polsce.

Miałem w planie wysłanie im e-maila. Lecąc samolotem ułożyłem tajemniczy wierszyk, żeby mieli o czym myśleć. Wśród papierów na stole znalazłem czarny pisak i na białej ścianie, dużymi, krzywymi literami napisałem dwie zwrotki. „Jaki podpis pomieszałyby im zmysły? Wiem.” Podpisałem małymi literami: „Julia Swan”. Podszedłem do okna, zza zakrętu wyjechał mój Hindus. Musiałem kończyć, ale miałem jeszcze jeden pomysł. Szybkim ruchem wyrwałem laptopa z kabli i wrzuciłem do czarnej torby leżącej pod oknem. Zgarnąłem ze stołu jakieś dyski i papiery. Nie miałem czasu na otwarcie, ale dysk twardy na pewno zawierał ciekawe informacje. „Czy to nie byłoby jak splunięcie w twarz, gdybym teraz ukrył ten komputer w moim własnym, wielokrotnie przeszukanym domu?” Zawsze doceniaj przeciwnika i nie rób niepotrzebnych gestów, które oprócz dobrego samopoczucia przynoszą tylko niepotrzebne ryzyko. Stare prawdy nie rdzewieją. Wyszedłem przed dom i machnąłem na taksówkę. Obejrzałem się jeszcze raz na mój dom. „A może...”.

– Jedziemy z powrotem na terminal trzeci.

– Tak, sir. Jedziemy sir.

– Tu masz kolejne pięćdziesiąt dolarów. Czy chciałbyś zarobić jeszcze tysiąc?

– Dziękuję, sir. Nie wiem, sir. A co mam zrobić, sir?

– Nic wielkiego. Przechowasz mi tylko tę torbę. Jest w niej komputer, którego nie mogę zabrać ze sobą. Zostawisz mi swój numer telefonu. Zadzwoń za tydzień, jak wrócę i go odbiorę.

– Dobrze sir, to mogę zrobić, bo już się bałem, że to będzie coś złego, sir.

– Coś złego? Myślałeś, że mam w tej torbie trupa? Co?

– Nie, sir. Ha, ha, ha, nie, sir. Nie trupa.

– Jak się nazywasz?

– Indrapoul, sir.

– OK. Może się zdarzyć, że sam będę zajęty i wyślę kogoś, żeby odebrał torbę, wtedy zadzwonię do ciebie.

Wysiadając, znałem na pamięć jego telefon wraz z numerem taksówki i tablicy rejestracyjnej.

– Jak nie będziesz kombinował z tym komputerem, to zarobisz więcej niż przez miesiąc jeżdżenia taksówką. OK?

– Tak, sir. Nikt nie ruszy torby, sir. Moje słowo, sir.

Nie wiedziałem, ile warte było jego słowo, ale chyba dolary przemówiły do jego wyobraźni. Miałem jeszcze trochę czasu do odlotu. Żeby nie kręcić się przy odlotach za długo, kupiłem różę i zjechałem ruchomymi schodami na piętro przylotów międzynarodowych. W barze wypłem podwójną szkocką. Napięcie opadło, pozwalając mi trochę odpocząć. Muszę przyznać, że bałem się tej wizyty na mojej ulicy. Jakakolwiek konfrontacja fizyczna z tymi ludźmi... i byłoby po mnie.

Na godzinę przed odlotem przeszedłem przez bramkę numer siedemnaście. Nie działo się nic podejrzanego. Nikt nie kręcił się po poczekalni bez celu. Przy wejściu do samolotu wręczyłem różę zaskoczonej stewardesie. Nigdy nie leciałem pierwszą klasą. „Może uda mi się wyciągnąć nogi na dwie godziny i zasnąć?” Lot do Amsterdamu trwał siedem godzin.

Było ciemno, kiedy przejechali przez puste w sobotni ranek ulice Suwałk. Kierowca taksówki był bardzo dyskretny i nie zadawał za dużo pytań, co pozwoliło Tomkowi spać spokojnie, a Vicky przemyśleć dalsze kroki. Z mapy wynikało, że przejeżdżali przez naprawdę piękną okolicę, tyle że nie była to wycieczka krajoznawcza.

Odruchowo jednak Vicky czytała zakupiony w Warszawie przewodnik, w którym napisano, że nazwa Wigry pojawiła się już w zapisach Jana Długosza z 1418 roku

i oznacza „kręty”, „zawiły” i odnosi się do kształtu jeziora polodowcowego. Czytając historię o polowaniach polskich i litewskich królów w puszczy nad jeziorem Wigry i o powstaniu klasztoru Kamedułów w siedemnastym wieku, Vicky zapomniała na krótką chwilę o niebezpieczeństwie, o tym, że jest w zupełnie obcym kraju i o tym, że zupełnie nie potrafi powiedzieć własnemu dziecku, co będzie jutro. Bardzo chciałaby wrócić tu w innych okolicznościach, przejść się po polskich miastach, trzymając Janka za rękę i słuchając, jak opowiada Tomkowi historię swojego kraju. Nigdy nie przyznała się nawet sama przed sobą, że gdzieś tam w podświadomości, i nie tylko, zazdrościła Jankowi jego pracy. Sama, od ukończenia uniwersytetu w Toronto, uwiązała się w dobrze płatnej, ale nudnej pracy w biurze wielkiego koncernu telekomunikacyjnego. Janek, co często było widać, po prostu żył swoimi zadaniami. Myślał o następnych krokach, nawet wtedy, kiedy nie powinien. Bardzo ją denerwowało, gdy odpływał myślami przy obiedzie, w restauracji czy w sobotni wieczór we dwoje. Wówczas gotowa była wstać i wyjść. Cztery dni temu, „Boże, to było tylko cztery dni temu”, wyszeptał wiadomość o Uchym, i o tym, że muszą się ukryć. Wiedziała, że bał się jej reakcji chyba bardziej niż nowego przeciwnika. Chęć włączenia się do jednej z jego akcji od razu wzięła górę nad innymi emocjami, zanim Vicky uświadomiła sobie, że wraz z nią występuje tu ośmioletni Tomek. Chłopak jeszcze spał, ale niedługo miał zadać wiele pytań, na które ona sama nie zna odpowiedzi. Najgorszy w tej sytuacji okazuje się zakaz komunikacji i to, że nie wie, gdzie jest i co robi teraz Janek, i co będzie dalej.

O świcie zjechali na drogę numer 653, prowadzącą na wschód od Suwałk. Odłożyła przewodnik i nareszcie, przy pierwszym świetle zamglonego poranka oglądała okolice. Jesień szybciej zabrała liście z drzew. Kojarzyła, że Suwałki są jakieś dwa tysiące kilometrów dalej na północ niż Toronto. Jeśli jej pamięć nie myliła, to Toronto leży na szerokości geograficznej Wenecji. Mijali kilka sporych jezior otoczonych lasami. Prawie jak w południowym Ontario, tylko trochę więcej wiosek i oznak życia. Po następnym zjeździe w prawo zaczęli jechać dużo wolniej.

– Już prawie jesteśmy na miejscu. Muszę zwolnić, bo straszne dziury w tej bocznej drodze – odezwał się taksówkarz. – Gdzie w Wigrach chcecie wysiąść?

– To niewielka wioska. Podobno mieszka tu tylko trzydzieści osób. Zatrzymaj się gdziekolwiek, na przykład tam, koło sklepu. Ma tu ktoś po nas wyjść – skłamała.

Do miejsca na kubek włożyła umówione tysiąc plus dwieście złotych.

– Dziękuję i powodzenia. Jakby kiedyś była pani w Warszawie, to tu jest mój numer telefonu – podał jej wizytówkę.

– Dowiczenia – spróbowała po polsku Vicky, delikatnie budząc Tomka. Mały

przeciągnął się, wyraźnie zdrewniał po spaniu w pozycji pólężącej.

– Gdzie jesteśmy? Czy tu jest tata? Która godzina?

– Idziemy, idziemy. To jest chyba niedaleko.

Vicky uśmiechnęła się i pomachała w kierunku taksówki, która zawróciła i zniknęła za mostem. Z torbą na ramieniu, trzymając mocno dłoń zaspanego chłopca, ruszyła drogą wzdłuż jeziora w stronę wzgórza klasztornego. Było dosyć ciepło, ale nieprzespana noc i wilgoć w powietrzu, którą oddycha wiele okolicznych jezior, przeszywały dreszczem zimna.

Okazało się, że klasztor leży dziesięć minut drogi za wioską. Poranny spacer dobrze im zrobił, a Vicky bardzo marzyła o niedostępnej tu i o tej porze kawie. Już z daleka, za murem widzieli pięknie odnowiony budynek klasztorny, z białymi ścianami i czerwono-rudym dachem z glinianej dachówki. Podeszli do pierwszych bocznych drzwi, niedaleko parkingu, i z duszą na ramieniu Vicky nacisnęła czerwony guzik domofonu.

Ośmioosobowy samolot Sonata Turbo 850 wylądował na lotnisku na wyspie na jeziorze Ontario. Albert Weiss pożegnał się z pilotem i pięcioma mężczyznami ubranymi jak na polowanie:

– Panowie! Mam nadzieję, że dokładnie wiecie, co macie robić po wylądowaniu w North Bay. Jeszcze raz zaczynacie intensywne przeszukiwanie korytarza wzdłuż autostrady numer 11 i wszystkich dróg dojazdowych z terenu Algonquin Park do jedenastki. Mam nadzieję, że wszystko jest jasne. Powodzenia. Będziemy w kontakcie.

Zabrał czarną skórzaną torbę i schylając się pod skrzydłem samolotu ruszył w kierunku zabudowań lotniska. Przy hangarze stała Monica, machając z daleka i pokazując na boczną bramę, prowadząca do terminalu promów, które łączą wyspę z centrum Toronto.

– Jakież nowości?

– Nic, cisza. Barski się oczywiście nie pojawił. Vincent odczekał do rana, spakował wszystko, co na miejscu noclegowym zostawił podmiot i zatopił w jeziorze. Gerald zabrał nissana z parkingu i teraz jest gdzieś na jedenastce. Ma pytać po okolicy. Nie chcieliśmy zostawiać śladów na terenie parku, które mogłyby zwrócić uwagę władz. Nieodebrany na czas samochód często daje sygnał do akcji poszukiwawczej. Powiedz, dlaczego zdecydowałeś się przyjechać?

– Od zeszłego piątku, czyli od tygodnia, miałem być na emeryturze. Kilka dni, zamykamy sprawę i już. Popełniono tyle błędów przez ten tydzień, że jest to przerażające. Od dzisiaj mam zamiar zabrać się za to wszystko osobiście, bo widzę, że mój wyczekany dzień szlag trafi i już chyba będę musiał pracować do końca życia – Albert brzmiał na bardzo niezadowolonego. – Zaraz Vincent i Gerald dostaną posiłki. Pięciu facetów z oddziału terenowego. Boston sprawdzi dokładnie listy pasażerów opuszczających Kanadę, operacje kredytowo-debetowe wszystkich banków i wypożyczalnie samochodów. Od wczoraj akcja otrzymała otwarty budżet i musi w końcu dać jakiś wynik, do cholery.

Prom do Toronto płynął niespełna dwadzieścia minut. Na parkingu terminalu wsiedli do wypożyczonego czarnego lincolna.

– Zatrzymasz się w hotelu czy jedziemy do naszego domu na ulicy Barskiego?

– Przenocuję u was. Mam nadzieję, że masz wolną sypialnię dla starego człowieka.

– Wiesz, że możesz nawet spać ze mną. Nie jestem zainteresowana mężczyznami ani starymi, ani młodymi – próbując rozładować napiętą atmosferę, rzuciła Monica.

Wszyscy w agencji wiedzieli, że zgodnie z zasadami paradoksu życiowego Monica, będąc najzgrabniejszą i najładniejszą kobietą w zespole, była niestety niedostępną dla facetów lesbijką. Z trzydziestu dwóch lat swojego życia pewnie dwadzieścia spędziła w siłowni i na macie walk wschodnich. Była potwornie silna i szybka. Na treningach radziła sobie z czterema facetami, posyłając ich jak najbliżej parkietu. Pozycję, którą zajmowała w agencji, zawdzięczała jednak nie sprawności fizycznej ani osobistym wdziękom, ale inteligencji i szybkości łączenia faktów. Biurowa poczta plotkarska roznosiła wiadomości, że to właśnie ona miała niedługo zastąpić Alberta.

– Ładnie tu – zauważył Albert, kiedy wjechali na podjazd przed domem. – Ładne miejsce na emeryturę.

Zanim Monica przekręciła klucz w zamku, drzwi otworzyły się same.

– Zostawiłaś drzwi otwarte?

– Ależ skąd! – Monica cofnęła się o parę kroków, rozglądając się po oknach domu.

Wypracowanym odruchem, Albert odpiął swoją nieodłączną Berettę 92G Elite z kabury pod pachą.

Powoli weszli do środka i zaczęli przeszukiwanie domu.

– Jesteś pewna, że zamknęłaś te drzwi? Nie wygląda na to, żeby tu ktoś był.

Zdjął rękę z pistoletu.

– Albert! – zawołała z piętra Monica. – Chodź tu szybko!

Pokój na górze był w nieładzie, na podłodze leżały porozrzucane papiery, kable i przewrócona lornetka ze statywem.

– Na tym stole leżał mój laptop, kiedy wyjeżdżałam po ciebie na lotnisko. Gerald swojego zabrał razem z jedną kamerą.

– Mówisz, że w rękach kogoś nieznanego jest nasz komputer, z pełnym twardym dyskiem?

Albert osunął się na skórzaną kanapę, stojącą pod oknem, zdjął okulary i otarł zmęczone oczy.

– To chyba nie wszystko. – Monica zrobiła gest ręką w kierunku ściany.

Oboje zamilkli, czytając:

*Gonisz uciekającego
Ucieka, bo jest goniony
Szukasz nie tego
Trop jest zgubiony*

*Mija cenny czas
Biegiesz w złą stronę
Nie za morza i nie w las
Na zachodzie góry strome*

Kiedyś... goniący będzie gonionym

Julia Swan

– Julia Swan, jeśli się nie mylę, to żona Alistera, która zmarła pół roku temu. To zaczyna być ciekawe.

– Myślę, że mamy do czynienia z większą grupą ludzi. Barski fizycznie nie mógłby w tak krótkim czasie wydostać się z tego kanadyjskiego buszu, dotrzeć tu, odczekać, aż wyjdiesz z domu i nas podejść w ten sposób.

– Ma nasz komputer, a trop jest zgubiony.

Monica przyniosła dwa piwa z lodówki. Tak naprawdę to nie poczuła ani paniki, ani porażki. Wyzwanie – to było właściwe słowo. Nareszcie pojawił się ktoś, kto na tej intelektualnej pustyni rzucał w jej stronę rękawicę i stawał do pojedynku. Kiedy potężna agencja, pełna przeszkolonych psów myśliwskich, ma za zadanie pilnować zająca, a potem go złapać, okazuje się, że zając zjada żarcie z psich misek. To dobre.

W kieszeni Alberta zadzwonił telefon.

– Tak. Tak. Rozumiem. Dzisiaj około pierwszej po południu. Gdzie? W Toronto?
OK.

Albert bez słowa wyjaśnienia wybrał następny numer.

– Cześć, Seattle. Ilu macie ludzi gotowych do akcji? OK, to wystarczy. Masz natychmiast wysłać trzech agentów na lotnisko do Vancouver, do Kanady. Otwórz konto Bostonu – tam znajdziesz zdjęcia i informacje. Facet nazywa się Jan Barski i przyleci samolotem Westjet, z Toronto o siódmej dwadzieścia waszego czasu. Tak, macie go zatrzymać i odizolować, aż do mojego przyjazdu.

Albert odłożył telefon i wstał na równe nogi, jakby otrzymał zastrzyk nowej energii, gdzieś z kosmosu.

– Nareszcie się coś dzieje, w inną stronę, *na zachodzie góry strome...*

– Może mnie poinformujesz, w którą stronę się dzieje?

– Dziś po południu Barski użył swojej karty kredytowej, kupując bilet lotniczy do Vancouver. Popatrz tu – pokazał okularami trzymanymi w ręce na drugą zwrotkę wiersza na ścianie.

– W tej chwili jest gdzieś nad Saskatchewan, to połowa drogi. Nie wygląda, żebyśmy jednak spali razem tej nocy, droga Monico. Może uda mi się ściągnąć naszego pilota, który mnie tu przywiózł.

Sięgnął znowu po telefon.

– Hej, poczekaj Albercie – tym razem dziewczyna wstała z krzesła na swoje długie nogi. – Poczekaj. Powoli, zanim się nalatasz po całym kontynencie, zastanów się. Ja wiem, chociaż nie z własnego doświadczenia, jak bardzo chciałbyś odstawić Barskiego do Bostonu i odejść na zasłużoną emeryturę, ale zastanów się. Ten facet, który nie dał znać po sobie, że cokolwiek wie, facet, który wyprowadził w pole twojego ulubionego psa gończego, Vincenta, facet, który przed chwilą, chyba po raz pierwszy w historii naszej agencji, ukradł komputer pełen adresów i informacji, nagle, jak idiota, kupuje bilet, używając karty kredytowej na własne nazwisko. Tak?

– Myślisz, że...?

– Myślę, że albo się jest idiotą albo nie. Nie można być geniuszem przez tydzień i nagle zrobić taki błąd.

– Chodź, idziemy.

Monica ruszyła w stronę drzwi, szukając czegoś po kieszeniach kamizelki. Stary, bez słowa i bez poprzedniego entuzjazmu, ruszył za nią.

– Jest szansa, że zaraz uda nam się odzyskać naszego laptopa i obiecasz mi, że nikt się o tej całej sytuacji nie dowie. Masz broń?

– Tak – odpowiedział szef z pozycji podwładnego. – Już chyba czas, żeby młodzi przejęli dowództwo.

Przeszli przez ulicę, rozglądając się dyskretnie na wszystkie strony. Monica otworzyła drzwi do domu Jana. W myślach zaczęła nazywać go po imieniu. Na błyszczących kafkach koło drzwi był nienaruszony od kilku dni cieniutki kurz. Z pistoletami w rękach przeszukali cały dom. Nic. Pusto. Nie było śladu, żeby tu ktoś był.

– Byłam pewna, że sprawi mu to radość, jeżeli ukryje się pod samym naszym nosem. Niestety, jest za mądry na taką zabawę.

Wrócili do pokoju na piętrze i Monica zadzwoniła do japońskiej restauracji po obiad z dostawą do domu.

– Czy masz w torbie swojego laptopa, Albercie? Bez komputera czuję się, jak bez ręki.

Po chwili, przez satelitarne połączenie, odtworzyła obraz z obydwóch kamer, pozostających w domu po drugiej stronie ulicy. Jedyne ruch to ona i Albert biegnący z wyciągniętą bronią. Znowu nic.

– Jak myślisz, czy Barski kupił ten bilet w kasie na lotnisku, przez internet czy w jakimś biurze podróży?

– W kasie Westjet na terminalu drugim Pearson International. Poczekaj, niedługo powinniśmy dostać jakąś wiadomość z Vancouver. Może jednak się mylisz i uda nam się odzyskać komputer i zatrzymać Barskiego za jednym zamachem.

„Tak, tak, i stary Albert pojedzie sobie łowić ryby i będzie happy” – tym razem już tylko pomyślała Monica.

Zjedli sushi, popijając japońskim piwem Sapporo i Albert zapalił małe cygaro o zapachu waniliowym, stojąc przy otwartym oknie. Atmosfera nie była świąteczna. Przed północą odezwał się telefon.

– Przykro nam bardzo, szefie, ale tego kolesia nie było w samolocie. To znaczy bilet był wykupiony, ale facet nie pojawił się na lotnisku w Toronto przed odlotem. Macie go więc ciągle u siebie.

Nie byłem ubogim człowiekiem i Vicky też zawsze nieźle zarabiała, ale nigdy nie lataliśmy pierwszą klasą. Cena za wyciągnięcie nóg i trochę lepszy posiłek jest po prostu dwu- albo i trzykrotnie wyższa. Pomnożyć to razy troje członków rodziny i te „drobne” zamieniają się w grube tysiące. Po ostatniej nocy szarpania się przez busz

i bagna, kradzieży cudzych samochodów, jeżdżenia autostopem i kolejnej kradzieży – tym razem komputerów – nie mogłem jednak narzekać na wyciągnięte wysoko nogi i butelkę dobrego chardonnay po równie dobrym posiłku. Jeśli chodzi o zaśnięcie, to już inna sprawa. Próbowałem zmrużyć oczy i od razu dziesięć tysięcy myśli, jak armia niemiecka w 1939 roku, głośno tupiąc, maszerowała przez moją biedną głowę.

Spytałem stewardesę, czy jest połączenie internetowe na pokładzie i czy można wypożyczyć laptopa. W pierwszej klasie okazało się, że można. Znałem e-mail Piotra w zakonie w Wigrach. Od razu pojawiło się pierwsze pytanie: czy Vicky i Tomek dotarli szczęśliwie, nieśledzeni, do klasztoru? Jeśli byli obserwowani i znane było ich miejsce pobytu, to łączność budynków zakonnych ze światem była już pod kontrolą. Zlokalizowaliby punkt wysłania wiadomości – samolot KLM, lecący do Amsterdamu – i dupa zimna, jak to się popularnie mówiło, zazwyczaj po egzaminach na studiach. Popatrzyłem na zegarek i policzyłem godziny. Było bardzo mało prawdopodobne, żeby już dotarli. Na początku mieli trochę pozwiedzać Warszawę, uspić ewentualnych obserwatorów i, najlepiej nocą, zniknąć z hotelu. Teraz jest prawie jedenasta, dodać sześć godzin i wychodzi piąta rano. Powinno być OK.

Użyłem skrzynki e-mailowej mojej drogiej firmy z Toronto, która na pewno martwiła się już o mnie.

Drogi Piotrze! Jestem w drodze do was. Wszystko w porządku. Schowaj ich dobrze, tak żeby nikt, nawet ktoś podający się za mojego przyjaciela, nie miał do nich dostępu. Jak się spotkacie, to sprawdź dokładnie ich rzeczy, czy nie są „brudne i zarobaczone”. Bądź ostrożny, to nie są żarty. Dziękuję Ci. Broda.

„Wyślij.”

„Ciekawe, jak teraz, po dwudziestu latach, wygląda mój przyjaciel Piotr” – pomyślałem – „może tak, jak przystało na mnicha z obrazka, ma okrągły brzusek i kolistą łysinkę na czubku głowy?”

Zamknąłem oczy i nie mogąc zasnąć, zacząłem przypominać sobie, strona po stronie, list i dokumenty Alistera. Było to nie mniej szokujące niż za pierwszym razem, kiedy czytałem to w spizarce pod schodami po powrocie z Montrealu. Nie do wiary, że to było zaledwie pięć dni wcześniej.

Uciekanie i kluczenie po świecie szło mi nieźle, ale przypominając sobie treść dokumentów, wyłoniło się pytanie: co ja mam z tym wszystkim zrobić? Jeśli, powiedzmy, miałyby nam się udać wykołować ścigającą nas bandę i znaleźć się w bezpiecznym, cichym miejscu, to co dalej? Zadzwoić do papieża? A może do Dalaj Lamy? Albo do BBC? Kompletnie nie miałem pojęcia. Jeśli powierzyłbym tego niebieskiego pendrive’a, którego miałem w kieszeni, niewłaściwej osobie, to cała

nasza trójka zginęłaby w jakimś tragicznym wypadku lotniczym albo zniknęlibyśmy porwani przez UFO. Przez prawie czterdzieści lat Alister nie wiedział, co z tym zrobić, a ja miałem przed sobą godziny, najwyżej dni. OK, powiedzmy, że i to miało się jakoś udać i znalazłbym sposób podania treści tych kilku stron do publicznej wiadomości. My od tamtej pory powinniśmy być bezpieczni, ale – następne ale – na świecie powstałaby grupa kilku milionów nieszczęśliwych ludzi, którzy zamiast cieszyć się i paradować, spędziliby resztę życia w sądzie, na niekończącej się walce z prawnikami koncernów farmaceutycznych. Nic nie zmieni stanu, w którym się znaleźli. Czy ja miałem prawo do takiego kroku? Miałem w rękach informacje, które mogły spowodować miliardowe, grupowe pozwy, bankructwa wielkich firm, utratę pracy przez setki tysięcy ludzi. Z drugiej strony – czy istniało inne wyjście? Tysiące, a nawet miliony ludzi zostało skrzywdzonych i nawet o tym nie wiedziało. Było całkiem możliwe, że byli krzywdzeni dalej, że rodzili się nowi ludzie z tym samym defektem, nad którym nie wolno było nawet prowadzić oficjalnych badań.

„Jeśli nie doprowadzę tego do jakiegoś sensownego końca, to przede wszystkim będzie to mój koniec. Nie ma takiej siły, żeby ci, którzy mnie ścigali z takim zapałem, pozwolili mi żyć dalej z taką tajemnicą. Może powiedzą: «OK! Tylko nikomu nie mów. Obiecujesz?» A ja odpowiem: «Obiecuję.» I każdy pójdzie do domu, zapomni o całym zamieszaniu i będzie żył długo i szczęśliwie. Kropka”.

Przez przypadek połączył mnie z moimi prześladowcami wspólny los. Oni, jak i ja, nie mieli innego wyjścia, jak doprowadzić sprawę do końca. Jeśli by mnie złapali, byłoby po mnie. Jeśli nie, to mogło być po nich. Miałem wielką ochotę dobrać się do tego zdobycznego laptopa i dołączyć do dokumentów Alistera listy nazwisk płatnych morderców, ich e-maile, schematy działania, kontakty. Miałem nadzieję, że bardzo ich rozzłościłem włamaniem do siedziby firmy. Zły popełnia dużo błędów. Ciekawe, jak często się zdarzało, że tego rodzaju organizacja zostawała okradziona? W końcu to oni zaczęli. Włamali się do mojego domu i zabili mi psa. Niezależnie od tego, co miało być dalej, w tamtej chwili mieli piekło. Na pocieszenie mogli sobie poczytać poezję. Uspokojony na chwilę, zasnąłem na resztę lotu.

– Mister Alister, mister Alister, przepraszam, że pana budzę, ale...

Obudziła mnie stewardesa pytaniem, czy może już zabrać laptopa, bo zaraz będziemy lądować. Przez dłuższą chwilę nie mogłem skojarzyć, o co chodzi. Za chwilę dotarło do mnie moje nowe imię, widniejące na karcie pokładowej. Ogoliłem się i uporządkowałem trochę wygląd. Duża kawa i ciepły croissant nastroiły mnie pozytywnie do dalszej akcji na nowym kontynencie. Miałem tylko mały plecak (a właściwie to część dużego plecaka, który został w Algonquin), dzięki czemu nie

musiałem czekać na odbiór bagażu. Z międzynarodowego lotniska Schiphol pojechałem pociągiem do centrum Amsterdamu.

Wcześniej byłem tu stosunkowo niedawno, bo dwa lata wstecz. Włoszka po czterdziestce zatrudniła naszą firmę do śledzenia męża, właściciela magazynów budowlanych z Toronto. Była pewna, że stary nie oprze się pokusom pańienek z okienka z dzielnicy pod czerwoną latarnią. Włoch nawet nie spojrzął na lokalne dziewczyny, bo sekretarka (nawiasem mówiąc, koleżanka żony) nie pozostawiała mu ani chwili wolnego czasu.

Miasto dopiero się budziło. Była siódma trzydzieści rano, będąc tam dopiero pół godziny już ze sto rowerów próbowało mnie przejechać. Nie miałem w planie zwiedzania miasta, ale musiałem zrobić zakupy pod kątem zmiany wyglądu. Najbardziej maskujące byłoby przebranie się za zardzewiały rower i przypięcie się równie zardzewiałym łańcuchem do latarni. Nikt by mnie nie rozpoznał pomiędzy tysiącami podobnych rowerów przypiętych do czego się da.

„Może najlepiej będzie, jeżeli zacznę od znalezienia małego pokoju gdzieś na poddaszu hotelu? Pamiętam kilka miejsc na starym mieście”.

Życie współczesnego mnicha różni się znacznie od średniowiecznego stereotypu, który wszyscy mają zakodowany w wyobraźni. Piotr, jak codziennie, był na nogach już o piątej trzydzieści. Poranne ćwiczenia – bardzo ważne koło czterdziestki – śniadanie i półgodzinna modlitwa mogą przypominać szesnasty wiek, ale zwykle koło siódmej Piotr sprawdza i odpowiada na maile, czego kiedyś nie robiono. Każdy człowiek – mężczyzna czy kobieta – w służbie zakonnej ma swoją własną, niepowtarzalną historię wstąpienia w szeregi ludzi oddanych Bogu. Jednych prowadzi tam wrodzone powołanie, innych brak wyjścia, a jeszcze innych jakieś jednorazowe, dramatyczne przeżycie. Ojciec Piotra był wysoko postawionym oficerem Służby Bezpieczeństwa w czasach komunizmu, a matka – niepracującą, głęboko wierzącą katoliczką. W dużym domu pod Gdańskiem, zbudowanym za czerwone pieniądze, urządziła małą kapliczkę, o której wiedział tylko Piotr, czujący się jak dziecko diabła i anioła. W maju 1984 roku cała grupa stanowiąca trzon Niezależnego Związku Studentów Uniwersytetu Gdańskiego została zaareztowana i osadzona w więzieniu w Stargardzie Gdańskim. Matka Piotra, nieproszona o pomoc, wyprosiła u bardzo rozgniewanego towarzysza-ojca prawie natychmiastowe wyciągnięcie syna zza krat. Cała afera była skutkiem tego, że ktoś w grupie sypnął i oczywiście podejrzenie padło

od razu na tego, któremu udało się wyjść trzeciego dnia. Cała reszta odsiedziała prawie pół roku. Bez podziękowania, bez pożegnania i bez ukończenia studiów matematycznych Piotr zniknął z powierzchni gdańskiej ziemi. Po 1986 roku okazało się, że to nie on był wtyczką. Przyjaciele odnaleźli go w zakonie Kamedułów w Wigrach. Wszyscy pogodzili się i wybaczyli sobie, ale nie zmieniło to wiele w życiu Piotra. Postanowił pozostać w zakonie do końca życia.

Tamtego ranka, przeglądając pocztę, otworzył drugą już w ciągu tygodnia bardzo dziwną wiadomość od Janka Barskiego, zwanego Brodą. Kiedy po raz trzeci czytał te kilka niejasnych zdań, zadzwoniła siostra Małgorzata, pełniąca służbę w bramie budynku głównego.

– Ojciec Piotrze, przepraszam, że przeszkadzam tak rano, ale ma ojciec gości. Próbowałam prosić, żeby przyszli później, nie tak rano, ale wygląda, że nie bardzo mówią po polsku.

– Niech siostra ich wpuści, już idę.

Piotr wybiegł ze swojego eremu, czyli jednego z siedemnastu domków-pustelni, zbudowanych na terenie klasztoru pod koniec siedemnastego wieku. Przy drzwiach stała wysoka, bardzo ładna brunetka, trzymając w jednej ręce torbę podróżną, a w drugiej – kilkuletniego chłopca.

„Ładna kobieta z dzieckiem poszukuje zakonnika. Niezły początek dnia”.

– Nazywam się Piotr. W czym mogę wam pomóc?

– Czy możemy rozmawiać po angielsku? Nasz polski jest... prawie go nie ma – zaczęła nieśmiało kobieta.

– Nie ma najmniejszego problemu, proszę za mną – rzucił niezłym angielskim ojciec Piotr, pokazując na kamienne schody prowadzące do góry. Siostra Małgorzata odprowadziła ich ciekawskim wzrokiem, podpierając się pod boki i kiwając głową.

– Niech się siostrzyczka za dużo nie zastanawia – odchodząc ze śmiechem pomachał.

W biurze na piętrze Piotr bez pytania nastawił ekspres na kawę, co wywołało uśmiech na twarzy nowoprzybyłej.

– Widzę, że mój wygląd niewątpliwie wskazuje na brak kawy w organizmie.

– Wygląda pani bardzo dobrze – nieśmiało, jak przystało na zakonnika, odparł Piotr. – Rano wszyscy potrzebujemy czegoś na wystartowanie.

– Myśmy wystartowali jeszcze wczoraj. Czy ojciec zna Jana Barskiego?

– To mój tata! – z dumą dodał Tomek.

– Tak też myślałem, że to wy. Dostałem dwa niejasne e-maile od Janka. Ten ostatni otworzyłem dzisiaj rano i muszę się przyznać, że niczego nie rozumiem.

– Czy ma ojciec...

– Proszę mi mówić Piotr... W towarzystwie reszty zakonników może być ojciec, ale tak po prostu mam na imię Piotr.

– Vicky – wstała z wyciągniętą ręką. – A to Tomek.

– Bardzo mi miło was poznać.

– Czy masz tu komputer lub coś, czym Tomek mógłby się zająć przez chwilę?

Musimy porozmawiać, a...

– Chodź – Piotr wyciągnął rękę w stronę malca. Przeszli do drugiego pomieszczenia biurowego, gdzie na dużym, drewnianym stole leżały puzzle – mapa Polski.

– To powinno go zająć na długo. Ja sam nie mogę ich ułożyć.

– Co napisał do ciebie Janek? Czy wszystko w porządku?

– Wygląda na to, że tak – Piotr postukał chwilę po klawiszach komputera i odwrócił monitor w stronę Vicky. – O przepraszam cię, to jest po polsku – odwrócił monitor z powrotem. – Pisz, że mam was ukryć, że próbuje jechać w naszą stronę i że mam sprawdzić, czy wasze ubrania i bagaże są czyste. Musisz mi wytłumaczyć, o co chodzi. Pisz też o poważnym niebezpieczeństwie.

Piotr wstał i nalał dwa duże kubki pachnącej kawy.

– Ja sama, muszę przyznać, że niewiele wiem i nawet nie mam pojęcia, przed czym i przed kim trzeba się ukryć. Janek przez przypadek wszedł w posiadanie jakichś dokumentów, badań naukowych, na których komuś bardzo zależy. Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Nie było czasu. Był bardzo ostrożny, bał się podsłuchu i napisał do mnie list o całej tej sytuacji. Podobno już dwie osoby zostały zabite, ktoś przeszukiwał nasz, Janka dom i otruł naszego psa.

– Nie bardzo nadążam.

– OK. Od początku. Znam Janka od mniej więcej dziesięciu lat. Kupiliśmy razem dom pod Toronto i urodził nam się Tomek. Od czterech miesięcy jesteśmy jakby w separacji, nie mogliśmy się dogadać w kilku sprawach... nieważne. Janek jest zakochany bez granic w kanadyjskiej przyrodzie, spędza w lesie, w górach czy na wodzie każdą wolną chwilę. Kanada to piękny kraj.

– Chciałbym kiedyś tam pojechać. Pamiętam, że i tu w Polsce łąził z plecakiem po Bieszczadach i Tatrach. To nasze piękne góry.

– Tak, opowiadał mi. Tydzień temu był na trasie w północnym Ontario i jakoś przez przypadek dowiedział się o tych tajemniczych dokumentach.

– Myślałem, że to ma coś wspólnego z jego pracą. Słyszałem, że jest prywatnym detektywem.

– Tak. Ta sprawa podobno nie ma nic wspólnego z pracą. Pisał, że to czysty przypadek.

– O jakiego rodzaju dokumenty tu chodzi?

– Szczegółów nie znam. Coś tam było o genetycznym uszkodzeniu, spowodowanym lekarstwami, o wielkich koncernach farmaceutycznych i o spisku milczenia.

– Janek ucieka sam, a o was się po prostu bardzo boi, prawda?

– Tak to w skrócie wygląda. Mówił mi kiedyś o tobie. O tym, że byliście przyjaciółmi i pewnie skojarzył sobie, że nie może być bardziej ukrytego miejsca na świecie niż klasztor we wschodniej Polsce.

– To prawda, że jest to ciche odludzie, szczególnie poza sezonem letnim. Latem część klasztoru, kościół i stare budynki gospodarcze są otwarte dla turystów. Oprowadzamy kilka wycieczek dziennie i można nawet wynająć domek pustelniczy na kilka nocy. Teraz po sezonie rzeczywiście jest tu odludzie.

– Czy będziemy mogli się tu zatrzymać? Czy nie będziemy przeszkadzać?

– Wygląda to na poważną sprawę i myślę, że nie warto ryzykować. Trzeba przeczekać w cichym kącie. Pytanie tylko, co powiedzieć reszcie zakonników? Jest tu jeszcze jeden brat i siedem siostr.

– Może na razie po prostu wynajmiemy jedną z tych pustelni, a ty poprosisz ich o dyskrecję.

– Myślisz, że ktoś mógł jechać za wami, aż tutaj? Że ci źli wiedzą, że jesteście w Polsce? Czy w ogóle zauważyłaś, że ktokolwiek się wami interesuje?

– Nie widziałam żadnego podejrzanego ruchu wokół nas, ale z tego, co Janek opowiadał, to nowoczesne metody nie polegają już na chodzeniu za kimś krok w krok.

– W porządku. Na razie umieścimy was w jednej z tych gościnnych pustelni. Jedzenie, pościel i środki czystości macie zapewnione. Nie będziecie wychodzić poza mury, aż coś się wyjaśni.

– Oczywiście za wszystko zapłacę.

– Możesz zrobić dotację na rzecz zakonu Kamedułów, ale to jest najmniejszy problem. Ja wymyślę jakąś historię dla reszty moich współpracowników. Aha, co Janek pisał o sprawdzeniu? Czy jesteście czyści?

– To może chodzić o jakieś czujniki satelitarne, GPS, pewnie takie, jak przypinają psom, żeby się nie zgubiły. Ja już przejrzałam nasz bagaż w Warszawie i nic nowego nie rzuciło mi się w oczy.

Na poręczu krzesła wisiała kurtka Tomka. Piotr podszedł i podniósł ją do góry,

potrząsając tak, jakby chciał opróżnić kieszenie.

– Nawet nie wiem, czego szukać. Czy ktoś mógł podejść do ciebie na ulicy lub w samolocie i przypiąć coś tak, żebyś tego nie zauważyła?

– Przypiąć? O Jezu! Przepraszam, zapomniałam się – Vicky prawie wyrwała kurtkę z rąk Piotra. – Na lotnisku młoda dziewczyna w stroju ludowym przypięła nam te znaczki. – Odpięła orła w koronie na tle biało-czerwonej flagi. – Ja też mam taki podobny, przy bluzie schowanej w torbie.

Piotr wziął do ręki orzełka i przyglądał mu się uważnie. „Tak jakby był trochę grubszy, jakby podwójny, zaraz, gdzie moja lupa?” Otworzył szufladę, znalazł lupę, mały scyzoryk i nachylił lampę nisko nad biurkiem. Orzełek wyraźnie składał się z dwóch części połączonych małą śrubką. Po chwili zabawy na biurko wypadła mała elektroniczna płytką z wystającym czerwonym drucikiem.

– Ktokolwiek wam to przypiął, to już wie, że tu jesteście.

Vicky opadła na fotel, załamana swoją beztroską.

– Zaczekaj tu. Zobacz, co robi twój syn, a ja zaraz wrócę.

Idąc w stronę jadalni, gdzie wszyscy powinni jeść o tej porze śniadanie, myślał intensywnie o tym, co ma im powiedzieć. Najlepiej nie kłamać, a już na pewno nie kłamać w klasztorze, bo to przynosi pecha. Powiedział im prawdę, jednocześnie błagając o zachowanie tajemnicy:

– Ta kobieta z synem mogą zginąć, jak mafia się dowie.

Mafia czy nie mafia, na pewno jest to podobna organizacja, a brzmi bardziej dramatycznie. Wszyscy słuchali w osłupieniu, kiwając głowami. Piotr był tu szefem, a reszta po prostu miała nadzieję, że on wie, co robi. Jeszcze kiedy rozmawiali, rozległ się dzwonek domofonu od głównej bramy. Siostra Małgorzata wstała z miejsca.

– Pamiętaj – nie było tu żadnej kobiety z dzieckiem, ktokolwiek by się pytał.

– Będę pamiętać – odpowiedziała niepewnym głosem i ruszyła w stronę bramy.

Po chwili wróciła.

– To tylko jakaś para. Pytali się, o której otwieramy klasztor do zwiedzania. Powiedzieli, że wrócą o dziesiątej.

– Czy kiedykolwiek w październikową sobotę rano, przed dziesiątą, ktoś pytał siostrę o zwiedzanie klasztoru? Jak wyglądali ci ludzie?

Nie czekając na opis, Piotr wybiegł z jadalni i przez środkowy dziedziniec pomiędzy eremami dobiegł do kościoła. Skacząc po kilka stromych schodów, dotarł zdyszany na dzwonnice. Parking przed bramą klasztoru był pusty. Od strony wjazdu na wyspę połączonej groblą z lądem, na poboczu, stał czarny volkswagen passat. Była

to jedyna droga wyjścia z wyspy klasztornej. W drodze powrotnej złapał ze swojego eremu parę ciepłych śpiworów, latarkę, poduszki i koce.

– Weź Tomka. Idziemy – wydał krótki rozkaz.

Vicky zerwała się na nogi, mało nie rozlewając resztek kawy.

– Co się dzieje?

– Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że już obserwują klasztor od strony, jak to jest po angielsku... przejazdu. Stoi tam samochód, a to dziwne o tej porze. Chodźcie za mną.

Wyszli na dziedziniec i pod ścianami przeszli do ciężkich, drewnianych drzwi. Takiego wielkiego klucza to Tomek jeszcze nie widział. Weszli do ciemnego korytarza, minęli kilka pomieszczeń gospodarczych, pralnię, składzik narzędzi, pomieszczenie na węgiel i drewno. Ściany spiżarni od kamiennej podłogi po sufit wypełniały półki zastawione setkami kolorowych słoików różnej wielkości. Na podłodze stały drewniane beczki, a całe wnętrze pachniało wędzonym mięsem i kiszoną kapustą. Piotr sprawnym ruchem przetoczył po krawędzi kilka beczek, odsłaniając drewnianą część podłogi. Pociągnął grubą linę przewieszoną przez zardzewiałe koło pod sufitem i drewniana podłoga częściowo uniosła się do góry.

– Powoli i ostrożnie chodźcie za mną – wyszeptał, zapalając latarkę i oświetlając kamienne schody znikające w ciemności. Kiedy odwrócił się i popatrzył na ich twarze, zrozumiał, że są przerażeni. Uśmiechnął się, poklepał Tomka po plecach i beznadziejnie szukał w myślach słów dodających odwagi.

– Nic się nie bój – usłyszał własny, sztucznie brzmiący głos, taki głos, który raczej nie dodawał odwagi.

– Ja się nie boję – prawie tym samym tonem odparł dzieciak.

Wszyscy troje wybuchli tłumionym śmiechem i napięcie momentalnie pękło.

– Lochy te uznane są za od dawna zaginione. W czasie budowy barokowego kościoła w 1694 roku wykopano sieć piwnic do składowania win przywożonych z południa. Ściany, wiele razy burzone w czasie wojen, zasypały dostęp do podziemi. To jest taka nasza mała tajemnica. Prowadzimy wykopaliska na własną rękę, bez zezwolenia, szukając ponad dwustuletniego wina, które, jeśli nie zamieniło się w ocet, to może być warte wypicia... albo kilka tysięcy euro.

– Czy bardzo jest tam zimno?

– Nie martw się, urządzimy wam przytulną norkę w jednej z odkopanych sal. Zaraz pociągniemy kabel i podłączymy elektryczny piecyk i światło. To tylko na razie, aż ci z volkswagena nie pojedą. Aha, Vicky, daj mi jeszcze znaczek, który dostałaś na lotnisku.

– Zostawiłam go na biurku, razem z orzełkiem.

Tomek w milczeniu rozglądał się po niskich ścianach, połączonych kamiennymi filarami podtrzymującymi łuki sklepienia sufitu. W Kanadzie takiego czegoś nie widział.

– Są listy pasażerów, nareszcie – przez ekran laptopa powoli przesuwała się niemająca końca lista nazwisk.

– Ponad jedenaście tysięcy, tylko z wczorajszą datą.

Było już po północy, kiedy Monica zabrała się do analizy listy. Jeżeli wiesz, czego szukasz, to trwa to sekundy. Nazwisko Barski pojawiło się tylko raz, pod numerem lotu do Vancouver. W tym czasie Albert Weiss odbierał telefony od ludzi w terenie.

– Myślę, że można ich ściągnąć z powrotem. Barskiego już dawno nie ma w tym lesie.

– Też tak myślę. Chyba że jest kilku Barskich, w różnych miejscach.

– Raczej jest jeden, ale bardzo sprytny, sprytny za trzech – z uznaniem w głosie odpowiedziała Monica.

Mijały godziny i kubki kawy. Albert zasnął w fotelu.

– Alister Swansky, Alister Swansky! – Monica stała na środku pokoju.

– Co takiego? Co ty bredzisz? Alister Barski? – przebudzony nie wiedział, czy go słuch nie myli.

– Alister Swansky. Czy to możliwe, taki zbieg nazwisk i imion? Zaczekaj – wróciła do komputera.

– Jest! Lot KLM numer 069, Toronto – Amsterdam i Air Canada lot 333, z North Bay do Toronto. To on. Alister Swansky. Jan Barski. Sto procent. Jest. Wyszedł z lasu, dostał się na autostradę 11, dojechał do North Bay, przyleciał do Toronto.

– Poczekaj...

– Wiem, że jako detektyw może mieć dostęp do fałszywych paszportów. Wiem, ale może nie miał czasu tego dograć? Nieważne, to musi być on. Używa przerobionego paszportu Alistera Swana. To tylko dopisane trzy litery. Znajdź mi lot na rano do Amsterdamu.

Monica wstała od laptopa.

– Idę poszperać w jego domu. Ten facet zaczyna mnie fascynować.

Albert nie zdążył nawet wyrazić swojej opinii, kiedy drzwi na dole trzasnęły.

Tym razem Monica patrzyła na meble i przedmioty w domu Barskiego w inny sposób. Szukała wskazówek. Czytała tytuły książek na półkach, znalazła albumy ze zdjęciami i kalendarz z notatkami. Na jednym ze zdjęć Jan stał uśmiechnięty na tle fontanny w kształcie wielkiego penisa. Taka fontanna jest właśnie w Amsterdamie, w centrum sławnej dzielnicy pod czerwoną latarnią. Był już w tym mieście wcześniej, jest więc prawdopodobne, że skorzysta z hotelu w tej samej okolicy albo nawet z tego samego hotelu. Jeśli masz dobre wspomnienia z obcego miasta, to prawdopodobieństwo, że w czasie drugiej wizyty odwiedzisz te same miejsca wynosi ponad siedemdziesiąt pięć procent. To już było coś na początek, zakładając, że ten facet w ogóle zatrzymał się w tym mieście. Włączyła komputer, otwierała szuflady z rachunkami i starymi wydrukami. Znalazła pudełko z grubym plikiem wizytówek. Pracowała szybko i w skupieniu, przewracając kartki palcami i, jak komputerowy skaner, szukając wskazówek i śladów. Zrobiła kopie wszystkich adresów e-mailowych z poczty Barskiego i otworzyła śmietnik ze starą korespondencją. Mimo czwartej nad ranem, nie czuła znużenia. Wyzwanie podnosiło poziom adrenaliny i szybkość myślenia. Znalazła wizytówkę hotelu w Amsterdamie na Langstraat i rachunek z restauracji. W kieszeni zawibrował telefon.

– Wracaj, są nowe wiadomości – rzucił krótko Albert.

Wyłączyła komputer.

– Ten Polak, Mirosław, i jego partnerka zlokalizowali Van Daren. Na całe szczęście mieli na nich pluskwy, a tamci się nie zorientowali. Razem z dzieckiem opuściła hotel między pierwszą a drugą nad ranem, myśląc, że się wymyka spod ewentualnej kontroli. Pewnie tak jej przykazał Barski.

– Zdaje się, że to już wiemy.

– Punkt na mapie zatrzymał się we wiosce Wigry, w północnowschodniej Polsce, stosunkowo niedaleko od granicy litewskiej. Dogonili ich dosyć szybko. Na miejscu okazało się, że kobieta z dzieckiem są na terenie klasztoru znajdującego się na wyspie połączonej ze stałym lądem jakimś nasypem czy czymś w tym rodzaju.

– Grobla. To się nazywa grobla.

– Niech będzie. Klasztor i kościół są częściowo udostępnione dla ruchu turystycznego. Mirosław obejrzał, co się dało, sfotografował, co mógł, a w nocy mają przeszukać cały kompleks.

– Masz dla mnie lot do Amsterdamu?

– Za trzy godziny, z przesiadką w Londynie. Czy ty na pewno mnie słuchasz?

– OK. Teraz ty posłuchaj, Albercie. Ja wiem, że to ty tu jesteś szefem i twoja polska załoga może przeszukiwać klasztor, jeśli chcesz. Ważniejsze w tej chwili jest to, żeby Van Daren poczuła się bezpiecznie. Może nawiąże kontakt z Barskim, jeśli ten Mirosław jej nie wystraszy. Niech jak najszybciej założą monitoring na całą łączność klasztoru ze światem: e-maile, telefon, komórki zakonników, wszystko. Czasem naprawdę spieszysz się za bardzo, a wygląda na to, że potrzeba będzie czasu i mądrych posunięć, aby ich złapać i dowiedzieć się czegoś od Barskiego.

Albert milczał dłuższą chwilę. Struktura i hierarchia agencji nie pozwalała na tego typu krytykę posunięć przełożonych i bez wahania mógłby odesłać każdego członka zespołu z powrotem do Bostonu. Jednak Monica miała stuprocentową rację. Jeśli Van Daren nie ruszała się z miejsca, to nie należało jej straszyć i prowokować do dalszej ucieczki. Lepiej było czekać, aż będzie potrzebna.

– Zobaczymy. Na razie przygotuj się do podróży. Możesz wziąć mojego laptopa. Założysz słuchawkę do ucha i będziemy w ciągłym kontakcie. Jeśli masz jakiś plan, to proszę...

– Jestem gotowa.

Na parterze kamienicy mieściła się galeria sztuki. Boczne schody prowadziły na piętro, do recepcji małego, sześciopokojowego hotelu Artis. Zapłaciłem z góry za dwie noce i schodami tak stromymi, że można by je nazwać drabiną, wspiąłem się na poddasze, gdzie znajdował się mój pokój z łazienką. Ani gorący prysznic, ani plany zmiany wyglądu nie mogły oderwać moich myśli od Vicky i Tomka. Narastało we mnie poczucie winy. Jeszcze tydzień temu jednym ruchem mogłem zmienić przyszłość. W sobotnie popołudnie może poszlibyśmy na wycieczkę gdzieś do lasu i nie byłoby myśli o żadnym niebezpieczeństwie. Nie uciekalibyśmy, jak zaszczute króliki, w panice szukające nory w ziemi. Odpowiedzialność, jak plecak, wydawała się coraz cięższa, im dłużej trwała ta „wycieczka”.

Tak naprawdę, to bardzo by mnie wtedy uspokoiła jakakolwiek wiadomość od Vicky. „Jak mam to zrobić, żeby ich dodatkowo nie narażać?” Zamiast leżeć i odpoczywać po tych kilku ostatnich dniach, nosiło mnie po małym pokoju, od ściany do ściany. Wyszedłem na powietrze. Ranek był mglisty, ale słabe słońce zaczynało odbijać się blado w wodzie kanału przebiegającego prawie pod moim hotelem. Szedłem wzdłuż Kerkstraat, do Amstel i wzdłuż jakiegoś szerokiego kanału

skierowałem się do starego centrum. Po drodze zacząłem zakupy.

Pierwszą, prawdopodobnie zupełnie niepotrzebną rzeczą, jaką kupiłem, był nóż sprężynowy z ośmiocalowym ostrzem. Byłem gotowy do walki... z całą armią nieznanego przeciwnika. Przyrządy do golenia – jeszcze wieczorem chciałem być zupełnie łyсы. Kurtka skórzana nabijana miedziakami za marne dwieście pięćdziesiąt euro. Biała bandana na łyсы głowę (miałem nadzieję, że nie był to kolor jakiegoś lokalnego gangu). Czarne dżinsy, okulary przeciwsłoneczne i wysokie, skórzane buty za kostkę. „Od dzisiaj golę głowę, ale nie golę brody. Tomek jak mnie zobaczy, to się rozplącze i rzuci się mamie na szyję.”

Szedłem wzdłuż ulic przecinających kanały i kanałów przecinających ulice. Mijałem zaparkowane samochody i rowery, a potem łodzie i barki zacumowane przy nabrzeżach. Na starym mieście unosił się znajomy zapach marihuany, palonej oficjalnie w barach i na patiach. Byłby to bardzo piękny i spokojny dzień. W sklepie z telefonami kupiłem komórkę z kartą na jedną godzinę rozmowy. Miałem w głowie numer telefonu zakonu w Wigrach i nie wiedziałem, czy wytrzymam, żeby nie zadzwonić. Tłumaczyłem sobie, że nie warto. Ryzyko, podsłuch, i tak dalej. Tak jak alkoholik, który tłumaczy sobie, „że to szkodzi”, siedząc przed zamkniętą flaszką. Nie byłem pewien, czy mi się uda. Alkoholikowi zazwyczaj nie wychodzi. Na kanale stały, bujając się na fali od przepływającego stateczku, barki do wynajęcia. To takie jakby hotele z tarasem i restauracją, przyozdobione pelargoniami w doniczkach i kołyszące się w takt muzyki saksofonu. Samotny saksofonista grał, stojąc na moście. Nie znając go ani jego życia, zazdrościłem mu. „Kiedyś, jak to wszystko się dobrze skończy, muszę koniecznie przyjechać tu z Vicky. Wynajmiemy hotel-barłę i spędzimy tu beztrudnie czas”. Wypiłem piwo o trudnej do wypowiedzenia nazwie i wróciłem do rzeczywistości.

Oryginalny pendrive leżał bezpiecznie pod kamieniem w moim ogródku. Kopię miałem w kieszeni. „Jeżeli i to dobrze schowam, a – powiedzmy – mnie zabiją, to długo tego nikt nie znajdzie. Nie wiem, co Vicky zrobiła z kopią listu, którą jej dałem. Jeden zestaw miałem przy sobie. Może jednak mnie nie zabiją? Bardziej zależałoby im na rozmowie z żywym Barskim niż na satysfakcji zabicia go... mam nadzieję. Także, jeżeli mnie nie złapią, to wystarczy im zamiar na ukryte dokumenty. Jeżeli mnie złapią, to na pewno lepiej byłoby ich przy sobie nie mieć. Kiedy położą łapę na tym skarbie, wartość naszego życia spadnie, jak wartość akcji w czarny wtorek na giełdzie. Depozyt w banku na hasło – chyba nie. Szukanie nowych, zaufanych ludzi też nie. Nie ma czasu”.

Pamiętam, że kiedyś siedziałem przy ognisku gdzieś w parku i obserwowałem

pracę czarnej wiewiórki przed nadchodzącą zimą. Najpierw biegała po sosnach nad moją głową i odgryzała duże, pachnące żywicą szyszki, które, jak bomby spadały na mnie i na Uchego. Potem zbiegała na ziemię i szyszkę po szyszce zakopywała w różnych miejscach. Nie wszystkie w jednej dziurce, ale właśnie każdą szyszkę w innej spizarce. Ucząc się od mądrzejszych, postanowiłem zrobić więcej kopii „moich szyszek” i pochować je w różnych krajach.

Poszedłem w stronę Vondelpark, bardzo pięknego, jak na miejski park: stawy połączone kanałami, łąki, drzewa... nie zamierzam jednak porównywać ich z moją Kanadą. Panowała cisza i spokój mimo dużej ilości ludzi w sobotnie popołudnie. Obok muzeum filmu był kawiarnio-bar Vertigo. Kupiłem dużą butelkę piwa i paczkę małych cygar. Znalazłem zaciszne miejsce pod drzewem z miedzianą tabliczką pamiątkową. W Kanadzie też się zdarza, że po śmierci bliskiej osoby sadzone jest drzewko na pamiątkę. Anneke Daan umarła w 1969 roku, nie napisano, ile miała lat. Położyłem się na mojej nowej, skórzanej kurtce, w której, prawdę mówiąc, wyglądałem jak palant. Łyk piwa i dymek cygara – miałem nadzieję, że wyglądam jak człowiek na „superluzie”. Prawą ręką, pod lewą pachą wbiłem nowy nóż w trawę. Spośród wielu obecnych ludzi, nikt nie patrzył na mnie. Niby drzemałem, ale okulary słoneczne pozwalały mi dokładnie obserwować otoczenie.

Wyciąłem dosyć głęboko kwadrat trawy i drugi pendrive, z kopią listu i dziesięcioma tysiącami dolarów powędrowały jak szyszka do wiewiórczej norki. Była to moja nowa skrzynka depozytowa w banku Vondelpark na hasło Anneke Daan, dokładnie metr na południe od drzewa. Ryzykowne? Wszystko ostatnio było ryzykowne. Zostało mi jeszcze prawie pięćdziesiąt tysięcy zielonych i jedna kopia listu. Miałem niezły pomysł na wieczór.

Małe pomieszczenie, w rogu niedawno odkopanej sali spichlerzowej, nagrzało się dość szybko i zniknęło uczucie piwnicznej wilgoci. Dwie prycze drewniane z materacami, mały stolik i dwa krzesła stanowiły całe wyposażenie kryjówki. „Uchodźcy” mogli dysponować również wielką górą koców i poduszek przyniesionych z niewynajętych o tej porze roku eremów.

– Wygląda bardzo przytulnie – pochwaliła Vicky, głęboko ukrywając stan szoku na widok swojego nowego lokum, oświetlonego gołą żarówką, zwisającą z niskiego sufitu na drucie.

Szeroko otwarte oczy chłopca nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do tego,

co czuł – strachu. Kiedy ojciec Piotr, brat Andrzej i dwie siostry próbowali jak mogli podtrzymać na duchu mamę z synem, siostra Małgorzata oprowadzała po kościele dwuosobową wycieczkę. Mężczyzna i kobieta, oboje koło czterdziestki, zadawali wiele szczegółowych pytań, fotografując dziedziniec, eremy, drzwi i okna, mury i bramy. Pytali o wynajęcie eremów, o liczbę sióstr i braci mieszkających na terenie klasztoru, ilość obecnie wynajętych eremów. Wigry to nie Watykan i zwiedzanie zwykle kończy się w ciągu godziny. Ta para potrzebowała dwóch godzin, aby zaspokoić swoją ciekawość. Dopiero po południu ciekawscy poszli. Czarny passat zniknął z pola widzenia. Vicky i Tomek zjedli pyszny, gorący obiad: prawdziwe polskie pierogi i „dziwną zupę” zrobioną z ogórków. Żeby uniknąć zbierających się od przeszło doby pytań, Vicky zaczęła czytać Tomkowi stare magazyny National Geographic, jedyny druk w języku angielskim na terenie klasztoru. Na górze, we wspólnej jadalni, panowała inna, trochę nerwowa atmosfera.

– Z tego, co rozumiem – zaczęła temat jedna z sióstr – to jest żona twojego przyjaciela z dawnych lat, którego nie widziałeś od czasów komunizmu, ojciec Piotrze? Czy dowiemy się czegoś więcej? Jeżeli ktoś ucieka i ukrywa się w twoim domu, to miałbyś ochotę wiedzieć, dlaczego.

– Ważniejsze pytanie, czy nie chodzi tu o jakiś kłopot z prawem? – zapytała druga siostra.

– Kim byli ci turyści, na których kazałeś nam uważać?

O całej tej sytuacji Piotr sam wiedział najwyżej kilka zdań. Uczucie niepokoju stanowiło zupełną normę.

– Sam wiem niewiele. Mojemu przyjacielowi, jak i jego rodzinie, grozi niebezpieczeństwo. Mieszkają w Kanadzie. Janek jest detektywem i przypadkowo odnalazł dokumenty zawierające dane o jakimś środku farmakologicznym, którego skutki uboczne są bardzo szkodliwe i skrzywdziły już dużą grupę ludzi na całym świecie. Podobno ci, którzy szukają tych dokumentów, są bardzo zdesperowani i gotowi na wszystko. Dwie osoby już straciły życie, próbując ujawnić tajemnice. Ja... czuję, że trzeba im pomóc. Jeżeli ta kobieta czy dziecko wpadnie w ręce tej firmy, czy jak ich tam nazwać, to mój przyjaciel, Janek podda się i odda wszystko. Ludzie nigdy nie dowiedzą się prawdy i może następną będą cierpieć.

– Ja to wszystko rozumiem, ale...

– Zaraz, jeszcze siostrze przerwę. Oczywiście, że przypadkowo znaleźliśmy się w niebezpiecznej sytuacji i myślę, że należy to otwarcie przyznać. Przyjmuję na siebie odpowiedzialność. Jeżeli jest wśród nas ktoś, kto na jakiś czas chciałby opuścić klasztor i powiedzmy wyjechać do rodziny na kilka dni, to proszę. Nie mam prawa

zmuszać nikogo do podjęcia ryzyka. Jednak z całego serca proszę o zachowanie ścisłej tajemnicy. Chodzi tu, jak powiedziałem, o życie ludzkie. Tych, co zdecydują się pozostać, również proszę o pomoc i milczenie.

Przemowa zrobiła wrażenie. W jadalni zapanowała cisza.

Samolot z Toronto wylądował na lotnisku w Bostonie. Albert Weiss odebrał swój samochód z długoterminowego parkingu i pustymi w niedzielę rano ulicami pojechał do biura. Tak, jak się umówili przez telefon, Salvatore Rodriguez przyjechał chwilę później.

– Ciągłe nie mogę tego pojąć, jak taka na pozór prosta sprawa, może tak nagle wymknąć się spod kontroli – po krótkim przywitaniu gorzkawym tonem zaczął Sal.

– W tej chwili prowadzimy szeroko zakrojone działania po omacku. Monica jest w Amsterdamie. Na jednej z list znalazła pasażera o nazwisku Alister Swansky, który tego dnia przyleciał do Toronto z North Bay i odleciał do Amsterdamu. Jesteśmy w stałym kontakcie.

– Czy ona jest sama w Holandii? I wszystko, co ma do dyspozycji to nazwisko?

– Już wysłałem jej do pomocy Vincenta. Monica chce czegoś spróbować, spędziła w domu Barskiego wiele godzin i prosi, żeby dać jej szansę.

– Czy my mamy czas na eksperymenty, Albercie? Każda godzina, kiedy Barski pozostaje poza naszą kontrolą, podnosi niebezpieczeństwo, że skontaktuje się z jakimś prawnikiem, gazetą czy nawet organizacją praw człowieka.

– Doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Widzisz jakieś inne wyjście?

– To mówisz, że masz zaufanie do tej dziewczyny? – pytaniem na pytanie odpowiedział Sal.

– To bardzo bystra i ładna kobieta, na dodatek obdarzona super intuicją. Zobaczysz, ona zajdzie kiedyś bardzo wysoko. Poczekajmy na następny krok Barskiego.

– Co słyhać na froncie polskim?

– Ostatniej nocy Mirosław i jego partnerka Alicja przeszukali nieoficjalnie zabudowania klasztorne we wsi Wigry, gdzie zatrzymał się sygnał GPS. Niestety, nie znaleźli śladu Van Daren ani dziecka. Postanowiłem, że dopóki nie będą próbowali opuścić tej kryjówki, dopóty nie należy ich straszyć – pewnym siebie tonem powiedział Albert.

– Czy to miejsce jest na tyle zabezpieczone, że nie uda im się uciec?

– Klasztor jest na wyspie połączonej mostem i jedną drogą ze stałym lądem. Najważniejsze w tej chwili jest to, że cała komunikacja mnichów ze światem zewnętrznym przechodzi przez naszą cenzurę. Być może Barski będzie próbował nawiązać kontakt? Oczywiście, wszystkie rozmowy są w języku polskim. Centrala tłumaczy wszystko od razu i przesyła do nas.

– Masz rację Albercie. Tak długo, jak matka z dzieckiem będą przebywać na miejscu pod naszą kontrolą, tak długo możemy liczyć na pojawienie się Barskiego albo co najmniej na próbę kontaktu. Lata twojego doświadczenia robią swoje – z nieudawanym szacunkiem pokiwał głową Salvatore.

Albert wysilił się na pewną siebie minę. Świadomość, że przedstawił cały plan Monici jako własny nie dawała satysfakcji. Doświadczenie to jedno, a bystrość młodego umysłu i szybkość kojarzenia faktów to drugi, często wygrywający atut. Gdyby nie świadomość „ostatniego zadania”, które na dodatek nie chce się skończyć, on sam działałby na zupełnie innym poziomie energii.

– Czy nie myślisz, że młoda generacja powinna przejąć dalsze prowadzenie tej sprawy?

– Myślę Albercie, że bez twojego doświadczenia nie byłoby nam łatwo doprowadzić ten bałagan do jakiegoś sensownego końca. Pułapka jest zastawiona. Czekajmy cierpliwie.

– Aha. Dotarła do mnie jeszcze jedna ciekawostka w sprawie tragicznie zmarłego Alistera Swana.

– Coś nowego?

– W piwnicy jego domu znaleziono dziewięć dużych akwariów i terrariów, w których hodował ryby i gady. Wyglądało to podobno raczej na laboratorium niż na hobby.

Wieczorem zorganizowałem sobie trochę rozrywki. Nad jednym z kanałów Amsterdamu słuchałem, jak młodzi ludzie całkiem nieźle grają i śpiewają stare piosenki Cohena i przyszedł mi do głowy pomysł. Za całe trzysta euro wypożyczyłem zardzewiałą barcę ze starym, zjedzonym przez alkohol sternikiem. Wyposażona była jedynie w kilka ławek, dwie skrzynki piwa i koło ratunkowe. Zaprosiłem tę całą grupę młodych Holendrów na mój okręt w zamian za dobrą muzykę. Strasznie im się ten pomysł spodobał. Tańczyliśmy, śpiewaliśmy, pływaliliśmy tańcząc i śpiewaliśmy, płynąc po malowniczych kanałach i pod pięknymi mostami, wyglądającymi jeszcze

lepiej przez obiektyw butelki piwa. W ten sobotni wieczór nad miastem unosiła się chmura znajomego dymu. Około drugiej nad ranem, kiedy nasz kapitan zaczął się powoli przechylać na jedną stronę burty i nadszedł czas pożegnania, jedna z dziewczyn zapytała, dlaczego właściwie zafundowałem im taką fajną wycieczkę.

– Mam w tym swój perfidny plan – odpowiedziałem żartobliwie, przechodząc do tonu poważniejszego. – Mam do was prośbę. Tu jest pięć kopert, z adresami pięciu gazet holenderskich. Bez otwierania i czytania chciałbym, żebyście w poniedziałek rano dostarczyli koperty pod podane adresy.

– To wszystko?

– Najzupełniej.

Wcześniej, w kawiarni komputerowej, napisałem list, w którym użyłem fragmentów listu Alistera. Z tej samej kawiarni wysłałem też e-mail do kanadyjskiej policji królewskiej w Sadbury w Ontario, informujący, że atak niedźwiedzia na turystę amerykańskiego w parku Killarney został upozorowany i że było to morderstwo.

Następnego dnia, w poniedziałek, już mnie miało tam nie być. Jeszcze wieczorem chciałem wsiąść do pociągu do Berlina lub Frankfurtu. „Będę o krok bliżej” – pomyślałem, udając, że mam plan. „Może przed wyjazdem spróbuję jednak zadzwonić?”

Siostra Weronika, pełniąca dyżur w niedzielę rano, obudziła ojca Piotra. Kiedy wyszła przygotować kościół do mszy niedzielnej, Burek, pies podwórkowy, nie przybiegł do niej jak zwykle. Pierwsze, co jej przyszło do głowy to to, że zapomniano spuścić Burka z łańcucha na noc. Cały dzień zazwyczaj spędzał przy budzie, na kilkumetrowym łańcuchu, a w nocy spełniał rolę stróża, biegając po całej posesji ogrodzonej murem. Niestety, nie było go przy budzie, a chwilę później siostra znalazła martwego psa koło muru zachodniego. Wraz z Piotrem i bratem Andrzejem sprawdzili kościół i biura klasztoru, gdzie ewentualnie byłoby coś do ukradzenia. Nie było śladów włamania. Vicky i Tomek spali spokojnie w piwnicy. Możliwe, że stary Burek po prostu zdechł. Zakopali psa pod jabłonią, pod którą lubił wylegiwać się latem.

– Dzisiaj odprawicie mszę beze mnie. Odwiozę siostry, Katarzynę i Joannę, na dworzec w Suwałkach. Chcą wyjechać na tydzień do rodziny. W drodze powrotnej zajadę do naszego weterynarza, może ma jakiegoś szczeniaka czekającego na

adopcję. Damy mu na imię Burek Drugi.

– Czy nasi goście mogą wyjść trochę na powietrze? Może po mszy? Żal mi trochę tego dzieciaka, tam w piwnicy – zapytała Weronika.

– Jeszcze nie. Myślę, że to za wcześnie. Dajcie im jeść, a wieczorem zabierzemy ich do łaźni na gorący prysznic. Całkiem możliwe, że ktoś otruł Burka, szukając nocą naszych gości. Zachowajmy jednak tego typu domysły dla siebie. Nie chcę tu wprowadzać atmosfery horroru.

Po śniadaniu Piotr podjechał swoim starym oplem pod drzwi eremu, w którym mieszkały siostry Katarzyna i Joanna. Kiedy pakowały torby do bagażnika, przypomniał sobie o dwóch znaczkach z orzełkiem zawiniętych w chustkę w szufladzie biurka. Wrócił i zabrał je z sobą.

– Powiniennem wrócić koło pierwszej. Czy ktoś potrzebuje czegoś z miasta?

– Jedź ostrożnie i szybko wracaj.

– Aha, Andrzej. Mam do ciebie prośbę – objął przyjaciela i odeszli na chwilę na bok. – Jak już powiedziałem, nie chcę wprowadzać niezdrowej atmosfery, ale gdyby coś, to ty tu jesteś szefem. Trzymaj tę dwójkę w piwnicy i dobrze ich pilnuj.

– Ale, co ty? Piotrze.

– Ja tylko tak, na wszelki wypadek, gdyby coś. Rozumiesz?

– W porządku, jedź już i szybko wracaj.

Siostry wysiadły przed dworcem w Suwałkach i obiecały zadzwonić przed powrotem. Przy pożegnaniu, ojciec Piotr jeszcze raz poprosił o zachowanie tajemnicy. Kiedy rozmawiali, stojąc na chodniku na rondzie, po drugiej stronie rzędu małych sklepików zatrzymał się czarny passat z przyciemnianymi szybami.

W drodze powrotnej, jeszcze przed zjazdem z drogi numer 653 do wsi Stary Folwark, gdzie mieszkał znajomy weterynarz, Piotr znowu zauważył czarnego volkswagena. Tym razem samochód jechał za nim, zbliżając się z dużą prędkością. Podjechał bardzo blisko tylnego zderzaka opla. Kierunkowskazem dał sygnał, że będzie wyprzedzał. Kiedy obydwa auta zrównały się na szosie, passat gwałtownym skrętem przeciął drogę opla, spychając go na żwirowe pobocze. Nie było czasu na ruch kierownicą pomiędzy czarnym autem a przydrożnym drzewem. Obrót, głuchy huk, syk płynu z chłodnicy, para, drobno rozsypane kosteczki przedniej szyby i ból, straszny ból w nogach. Lewą ręką Piotr otworzył drzwi. Nogi nie chcą ruszyć z miejsca i stanąć na piasku. Od czarnego volkswagena w jego kierunku szli jacyś ludzie. Mgła. Piotr wyciągnął rękę po pomoc, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Kobieta podeszła do drzwi kierowcy, pochyliła się i za pomocą dźwigni w podłodze otworzyła bagażnik. Zajrzała do środka, na tylne siedzenie. Mężczyzna podniósł

klapę bagażnika. Po chwili trzasnął zamykany bagażnik i oboje odeszli w stronę swojego auta. Szok złagodził ból na chwilę. Piotr, starając się zebrać myśli, wyjął z kieszeni zwiniętą chustkę i rzucił ją przed siebie, chyba do rowu z wodą. Powinien był to zrobić dużo wcześniej. Został sam. Ocknął się po jakimś czasie, widząc przez mgłę bólu hamujący autobus.

W biurze klasztoru w Wigrach zadzwonił telefon.

– Dzień dobry. Czy mogę rozmawiać z ojcem Piotrem?

– Nie ma go w tej chwili, pojechał do Suwałk. A kto mówi?

– Jestem przyjacielem Piotra. Mieszkam w Kanadzie. Chciałem się dowiedzieć, czy wszystko jest w porządku? Przyjechali?

– Wszystko jest w porządku, do widzenia – zakończyła szybko siostra dyżurna i, zaniepokojona, odłożyła słuchawkę. Ręce jej drżały, nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć i czy w ogóle dobrze zrobiła, nie odkładając natychmiast słuchawki.

Znowu odezwał się telefon. Zanim siostra Weronika podniosła słuchawkę, zdecydowała, że będzie udawać, że nic nie rozumie i każe mu zadzwonić wieczorem.

– Dzień dobry. Czy to biuro klasztoru w Wigrach?

– Tak, proszę pana, ojca Piotra nie ma...

– Halo, siostro! Tu mówi sierżant Anioł z posterunku w Suwałkach. Wiem, że go nie ma. Ojciec Piotr miał wypadek na drodze koło Starego Folwarku. Leży w poważnym stanie w szpitalu miejskim w Suwałkach. Lekarz mówi, że może z tego wyjdzie.

Ocierając łzy z policzka, siostra Weronika odłożyła powoli słuchawkę.

Po raz pierwszy od trzech praktycznie nieprzespanych nocy Monica poczuła zmęczenie. Kiedy w samolocie wygaszono światła, zasnęła na dwie godziny. Krótki sen i mocna kawa wystarczyły, żeby wrócić do pracy. Po raz kolejny przeglądała zdjęcia Barskiego. Ponownie na ekranie laptopa przyglądała się ruchom jego ciała i sposobie stawiania kroków: Barski pił piwo zawsze z butelki, zawsze dużymi łykami, chodził lekko pochylony do przodu, kołysząc się na boki. Jeżeli w ogóle jeszcze był w Amsterdamie, to te cechy charakterystyczne zawężyły pole poszukiwań do jakichś stu tysięcy spośród trzech czwartych miliona stałych obywateli. Na urywkach filmu Barski często palił cygara przed domem. Trzymał cygaro w prawej

dłoni, śmiesznie obwinięte palcem wskazującym i środkowym, nie używając kciuka. Tak palących mężczyzn mogło tam być pewnie kilka tysięcy. Jednym słowem – sytuacja w momencie lądowania na lotnisku Schiphol wyglądała beznadziejnie.

Zarezerwowanym przez Alberta audi A6 Monica dojechała na stare miasto. Slalom po wąskich, jednokierunkowych ulicach, pomiędzy kanałami, był większą sztuką niż kierowanie po Nowym Yorku. Na szczęście, w niedzielne przedpołudnie liczba aut i rowerów na ulicach pozwalała na orientację i zerkanie na ekranik nawigacji GPS. Zaparkowała samochód w wąskiej, bocznej uliczce dochodzącej do Langstraat – to jedyna nazwa, jaka pojawiła się w notatkach w domu Barskiego. Wypiła następną kawę i rozpoczęła spacer po pięknych uliczkach Amsterdamu, przyglądając się mijającym ludziom. „Co dalej? Brak planu? A może położyć na chodniku sznurek zakończony pętlą i cierpliwie czekać, aż Barski złapie się w pułapkę? Można nad pętlą powiesić cygaro, na przynętę.” Mijały godziny. Mijały następne kawy. Nikt i nic szczególnego nie przyciągnęło uwagi.

W sklepie firmowym Adidas Monica zakupiła cały zestaw do biegania: buty, spodnie, bluzę, dwa wełniane t-shirty i kurtkę od wiatru. Zjadła wczesny lunch i znalazła wolny pokój, w hotelu Astoria na Rozenstraat. Wzięła gorący prysznic i przebrana w nowy strój sportowy wyszła na stare miasto. Z rozwianymi włosami Monica wyglądała bardzo ładnie i wielu mężczyzn zwracało na nią uwagę. Wszystkie próby współżycia z mężczyzną w jej życiu kończyły się fiaskiem. Niestety, stosunki z kobietami nie wyglądały dużo lepiej, chociaż wśród znajomych Monica uchodziła za lesbijkę. Nie miała nic przeciwko temu, jako, że w biurze otaczali ją głównie mężczyźni. Praca dwadzieścia cztery godziny na dobę nie pozwalała na życie z jakimkolwiek partnerem, nawet najbardziej tolerancyjnym.

– Co tam się dzieje? – odezwał się głos Alberta w słuchawce ukrytej pod długimi włosami.

– Nic, kompletnie. Chodzę, obserwuję i myślę – usiadła na ławce.

– I za to ci płacą? – żartobliwie ciągnął szef.

– Co tam w Polsce?

– Nic. Dalej są gdzieś na terenie klasztoru. Czekamy na dalsze kroki. Pytanie...

– Wiem. Wiem. Jak długo można bezpiecznie czekać? Kto nie tropi, ten nie wytropi, powiedział traper.

– To nazwisko, Swansky, nie pojawiło się już więcej na żadnej liście i w żadnym z dużych hoteli. Bądź ostrożna.

– Na razie.

Krótką rozmowa dobiegła końca. Minęła minuta ciszy i w słuchawce znowu

odezwał się głos.

– Monica! Włącz natychmiast swój telefon satelitarny i otwórz e-mail o temacie „Mapa”.

– Jest, mam to na ekranie.

– Punkt na zbliżeniu, skrzyżowanie, most nad kanałem na Bethovenstraat, widzisz?

Chwila milczenia. Szukanie. Napięcie.

– Widzę, mam to.

– Około dwieście sekund temu z tego miejsca ktoś połączył się z klasztorem w Wigrach. Telefon komórkowy w okolicach mostu. Powodzenia!

Monica zerwała się na nogi. To już nie był typowy uliczny jogging. Biegając szybko, w sportowym stroju, nie zwracała na siebie uwagi. W ciągu kilku sekund dopadła do zaparkowanego obok hotelu samochodu. Według GPS-a do Bethovenstraat miała zaledwie półtora kilometra. Z piskiem opon ruszyła z miejsca, pozostawiając w powietrzu zapach spalonej gumy.

– Zwolnij! Zwracasz na siebie uwagę! – powiedziała do siebie głośno.

Była bardzo blisko, ale odcinała ją od kanału sieć ulic jednokierunkowych. Skręciła w lewo, pod prąd i jadąc dwoma kołami po drodze dla rowerów, minęła wygrażającą pięścią kobietę, która zeskoczyła z roweru i spisała na dłoni numer samochodu. Z trudem znalazła miejsce do zaparkowania. „Spokojnie. Zabierz to, czego możesz potrzebować”. Lekkim truchtem, już dużo wolniej rozpoczęła penetrację okolicy. „Wzrost, pierwsza selekcja według wzrostu. Barski jest dosyć wysoki, ponad sześć stóp.” Zawróciła. Przebiegła przez most na drugą stronę kanału. Ciemne okulary pozwalały patrzeć ludziom w oczy. Na razie nic. Albo wzrost się nie zgadzał, albo wiek lub waga. Barski mógł dzwonić z jadącego auta lub tramwaju, mogło już go tam nie być od kilku minut.

Z daleka Monica zobaczyła wysokiego mężczyznę w kapturze naciągniętym na głowę. Wyprzedziła, zerknęła w odbicie szyby wystawowej. Niestety, Bliski Wschód – czarna, długa broda. Pobiegnęła z powrotem, zaglądając do sklepów i barów. Następna podobna sylwetka miała powyżej sześćdziesiątki. Mijały cenne sekundy. Po drugiej stronie Kesstraat od strony Beatrixpark szła wysoka postać, kołysząca się lekko na boki. Nitowana, skórzana kurtka, bandana na głowie i ciemne okulary – ten zestaw wyglądał na typowy kamuflaż albo na strój podstarzałego rockmana. Ciekawe i podejrzane. Czy ten supercwany Barski mógł przesadzić ze zmianą wyglądu aż do tego stopnia, że zaczął rzucać się w oczy? To tak, jakby w dżungli pomalować się na jaskrawozielony kolor, widoczny z daleka. Trzeba było sprawdzić tego typu.

Pobiegła. Rysy nieosłoniętej części twarzy, mimo kilkudniowego zarostu, bardzo podobne!

Monica zatrzymała się za rogiem budynku. Facet zwolnił, wrzucił coś do śmietnika i wszedł do małego pubu z patiem wychodzącym na kanał. Monica zwolniła bieg. Stała, opierając stopę na krawędzi śmietnika i zawiązywała sznurowadło. Wśród śmieci leżał telefon komórkowy. „Coraz cieplej, prawie gorąco”.

Facet w skórzanej kurtce siedział na wysokim taborecie przy barze. Mimo półmroku nie zdjął okularów słonecznych. Monica po francusku spytała o toaletę. W kabinie uszykowała samoprzylepny przekaźnik satelitarny w kształcie czarnego guzika. Zamówiła wodę mineralną. Pomiedzy dwoma facetami siedzącymi przy barze, przepaszając po francusku, sięgnęła po butelkę. Kiedy lewą ręką położyła na ladzie pięć euro, palce prawej dłoni ścisnęły dolny szew skórzanej kurtki faceta w bandanie. „Udało się!”

Kilka łyków wody i Monica biegła po ulicy przed siebie.

Tak, jak przewidziałem – nie wytrzymałem. Po sprawdzeniu rozkładu odjazdów pociągów do Frankfurtu łąziłem jakiś czas wzdłuż kanałów i ulic. Po południu nie wytrzymałem... pękłem. Na ławce, przy wejściu do Beatrixpark, wyjąłem z kieszeni telefon komórkowy. Rozmowa trwała dwanaście sekund. Kobięcy głos potwierdził tylko, że wszystko w porządku i zakończył rozmowę. Piotra nie było w klasztorze. Tak, jakby pojawił się promyk spokoju, przebijający się przez ciemną ścianę braku informacji. „Wszystko w porządku...”.

Może to właśnie stary konspirator Piotr tak kazał przeprowadzić rozmowę i skończyć w ciągu sekund, uniemożliwiając prześledzenie źródła połączenia? Przypomniała mi się nasza grupa, ukrywająca ludzi przed internowaniem w styczniu 1982 roku. „Rozmowa będzie kontrolowana” – komunistyczna esbecja przynajmniej była otwartym wrogiem, wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia. Nigdy bym nie uwierzył, że będę kiedyś uciekał jak zaszczuty królik i to nie przed psem myśliwskim, ale przed cieniem jego cienia. Komunistycznej bestii patrzyliśmy wtedy wyzywająco prosto w pysk. Teraz miałem prześladowcę bez twarzy. Bez cienia. Podobało mi się to nowe określenie, ale nie podobała mi się moja słabość wobec niego.

Chyba potrzebowałem się napić. Przed wejściem do małego baru wyrzuciłem telefon do śmieci. Więcej nie zamierzałem ryzykować, nie chciałem, żeby mnie kusilo. Zamówiłem dużego Guinnessa i szkocką w kieliszku wzmocniłem piwo.

Przyjemnie zawirowało mi w głowie, ale poprzestałem na jednym. Jakiś czas siedziałem bezmyślnie. Wyszedłem i wróciłem do hotelu po moje rzeczy. Spoza moich przeciwsłonecznych okularów patrzyłem na ludzi. Wydawało mi się, że niektóre osoby już dzisiaj lub wczoraj mijalem na ulicach. Na przykład ta bardzo ładna kobieta, biegająca w dresach... „Może w mojej biednej głowie wszyscy już mnie śledzą? Panie doktorze, psychiatro!”. Prawie wszystko, co przyjechało tam ze mną, już wyrzuciłem albo zagrzebałem w ziemi jak wiewiórka. Miałem jeszcze pieniądze, obydwie paszporty i kilka ciuchów spakowanych w nowy skórzany plecak. Niebieski tramwaj zawiózł mnie na dworzec Amsterdam Główny. Kupiłem bilet do Frankfurtu na godzinę siódmą pięćdziesiąt wieczorem. „Koło północy powinienem być na miejscu. Jeśli będzie dalsze połączenie, to jeszcze tej nocy zrobię następny skok do Wrocławia, do Pragi albo do Berlina. Byle na wschód.”

Pociągi, muszę przyznać, nadal kojarzyły mi się ze smrodem i brudem PKP w PRL-u. Tłok, brak wody i papieru toaletowego, padlina serwowana w „Warsie” i ten nie do wywietrzenia smród kolejowej popielniczki były nierozzerwalną częścią corocznej podróży w polskie góry. Przez dwadzieścia lat życia w Kanadzie jeszcze nigdy nie jechałem pociągiem pozamiejskim, także nie miałem opinii, jeżeli chodzi o koleje kanadyjskie.

Pociąg, którym jechałem – Intercity Express z Amsterdamu do Frankfurtu – przeszedł moje oczekiwania, i to z bardzo dużą prędkością, bo stu osiemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Czysto, cicho, z kulturalną dostawą kawy i drinków, monitory podające prędkości i odległości – podróżując po Europie wybrałbym chyba ten środek lokomocji. W niedzielny wieczór pociąg był prawie pusty. W moim czteroosobowym przedziale byłem sam...

– Dzień dobry. Czy mogę się przysiąść? – młoda, wysoka brunetka w stroju biznesowym i w okularach, uczesana w niemodny kok, zajęła miejsce naprzeciwko, po drugiej stronie stolika. Niezaprzeczalnie ładna i zgrabna kobieta w dziwny i niepotrzebny sposób oszpecona była zbędnymi dodatkami.

– Proszę bardzo – odpowiedziałem. „Czy we współczesnym świecie można odpowiedzieć: «Nie. Idź sobie.»? Nawet jak jest pełno miejsca?”

Ze skórzanej aktówki wyjęła laptopa i podłączyła go do gniazdka pod siedzeniem. Stukała w klawiaturę, wydając się być bardzo zajęta. Za oknami pędzącego pociągu było już zupełnie ciemno. Nie mając nic do czytania, po prostu zamknąłem oczy i udawałem drzemkę. Moja współpasażerka skończyła pracę na komputerze i schowała laptopa.

– Jeśli nie przeszkadzam... Dokąd jedziesz?

„Ten głos... ten akcent. Niedawno gdzieś słyszałem ten głos”. Zacząłem szybko przewracać strony pamięci.

– Jadę do Frankfurtu. Powinniśmy tam być przed północą – odpowiedziałem ostrożnie, ciągle szukając kobiecych głosów z niedalekiej przeszłości.

– Ja wysiadam w Kolonii – odpowiedziała brunetka, zajęta teraz poprawianiem swojego koka. – Nienawidzę tych formalnych uczesań i ubiorów, to takie bezosobowe i męczące – rozpuszczone włosy opadły jej na ramiona.

– Nawet w niedzielny wieczór jesteś w pracy?

– Tak. Od kilku dni jestem w pracy, praktycznie bez przerwy, dzień i noc.

Zaczynam odczuwać zmęczenie.

Oparła się wygodnie i przykryła kolana złożonym płaszczem.

– Cóż to za praca, która nigdy nie daje spokoju? – wysiliłem się na żartobliwy ton. Ciągle miałem pewność, że słyszałem ten głos i to może nawet dzisiaj.

– Jestem, hmm, można powiedzieć, że jestem traperem. Polowanie, to moje powołanie.

„Wiem. To głos kobiety kupującej wodę w barze, tyle że wtedy nie przyjrzałem jej się uważnie, zajęty myślami i piwem. Czy ona powiedziała «polowanie»?”

– Co, przepraszam? Powiedziałaś polowanie? To chyba niezbyt odpowiednie miejsce i strój na polowanie?

– Jest to inny, bardzo specyficzny rodzaj polowania, panie Barski. To sztuka. Wstałem na dźwięk mojego nazwiska.

– Spokojnie, panie Barski! Niech pan usiądzie i nie robi takich gwałtownych, niespodziewanych ruchów, bo będę musiała pana zastrzelić, a zapewniam, że nie na tym polega sztuka mojego polowania.

Dokończyła zdanie spokojnym głosem, unosząc płaszcz i zamiast ładnych kolan ukazała lufę pistoletu małokalibrowego.

– Obok w przedziale jedzie jeszcze mój kolega. Uprzedzam, on nawet nie próbuje być taki miły i kulturalny, jak ja. Jak już powiedziałam, polowanie to moje powołanie, to sztuka. To coś, jak malowanie obrazu składającego się z tysięcy malutkich detali. Polowanie kolegi to raczej rodzaj sztuki pozbawionej tej wyrafinowanej finezji, toporna, brutalna, bezduszna szkoła, także proszę, nie rób niczego nierozważnego.

Nie udało mi się zachować kamiennej twarzy. Byłem w szoku. Wpadłem i nie miałem pojęcia, jak. Milczałem, patrząc w migające za oknem, w ciemności, światła. Zbierałem resztki myśli, jak po wybuchu bomby.

– To twoje? – wyjęła z bocznej kieszeni teczki telefon komórkowy i rzuciła go

w moim kierunku.

Złapałem. To ta sama jednorazówka, którą wyrzuciłem do śmietnika przed barem i to ta sama kobieta, która biegła w dresach i spocona kupowała wodę przy barze. Połączyłem fakty, „hurra!”, szkoda, że tak późno. Milczałem dalej, dogłębnie na siebie wkurwiony.

– Wsiądziemy w Kolonii. Pamiętaj, jesteś pod lufami co najmniej trzech strzelców wyborowych i wszyscy otrzymali rozkaz, aby nie dopuścić do twojego ponownego zniknięcia... żywym. Pójdziemy razem pod rękę, jak zgodna para. Na parkingu grzecznie wsiądziesz na tylne siedzenie wskazanego samochodu. Zrozumiałeś?

Kiwałem tylko głową, chyba przed obawą, że jak się odezwę, to rozplączę się ze złości. Panienska miała przygotowane każde zdanie, jak przemówienie. Pławiła się w swoim sukcesie i w każdym jej słowie słyszałem tę delikatną nutkę marszu triumfalnego.

– Nie będziesz się już do mnie odzywał? Obraziłeś się, czy po prostu w ciszy chcesz polizać rany?

Milczałem dalej, nie patrząc na nią. Nie szukałem nawet sposobu ucieczki. Szukałem jakiegoś zarysu planu, pomysłu, jak wykorzystać porażkę. Mijały minuty, pewnie kwadrans. Popatrzyłem na jeden z monitorów. Uśmiechnąłem się, też próbując być miły.

– Niedługo będziemy na miejscu. Czy wolno mi zabrać moje rzeczy?

– Powoli podaj mi swój plecak – pokazała ręką na półkę nad głową.

Grzecznie położyłem plecak na siedzeniu obok panienski. Jedną rękę trzymając ciągle pod płaszczem, powoli otworzyła klapę plecaka i patrząc na mnie, wysypała zawartość na siedzenie.

– Tego nie będziesz potrzebował – wrzuciła mój nowy nóż sprężynowy do pojemnika na śmieci. – Spakuj resztę.

Delikatny głos w trzech językach zapowiedział, że zbliżamy się do stacji w Kolonii. Wyszliśmy na korytarz. Pod oknem, koło drzwi stoi mężczyzna w sportowej kurtce i czapce z daszkiem. Znałem go. Przecież to mój znajomy z Algonquin Park – Dick, tak go chyba nazwałem w zeszły czwartek. Trudno uwierzyć, że to było tylko cztery dni wcześniej.

Znaleźliśmy się na zewnątrz. Mijając podróżnych na stacji, szliśmy ruchomym chodnikiem. Padał lekki deszcz. Podeszliśmy do białego mercedesa klasy M i tylne drzwi otworzyły się. Siadłem obok siedzącego już w środku faceta. Panienska wsiadła do przodu, Dick za kierownicę i ruszyliśmy.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała moja nowa koleżanka i podała facetowi obok jakiś przedmiot.

Popatrzyłem przez okno. Mijaliśmy ogrom szaro-czarnej, złowieszczej katedry gotyckiej w Koloni. Nagle przed moją twarzą pojawiła się ręka, trzymająca jakiś mały, złoty przedmiot. Syk, łzy, momentalnie straciłem kontrolę nad rękami, zdrewniała mi twarz. Światła mijanych ulic zlały się w jedną rzekę... Drogę Mleczną?

„Oddycham, ciągle jeszcze oddycham.” Z desperacją szukałem powietrza. „Czy to już? Czy mnie zabili?”

– Jeszcze nie tak dawno, może pięć, sześć lat temu, lecielibyśmy firmowym samolotem do Europy.

– Plany oszczędnościowe i cięcia kosztów dopadły prawie wszystkich w branży po wrześniu 2001 roku. Niby nasz budżet podwoił się, ale zadań przybyło trzykrotnie więcej w związku z międzynarodowym terroryzmem. Firmowe samoloty, Albercie, odleciały w przeszłość jako pierwsze.

– Dobrze chociaż, że nie musimy lecieć klasą turystyczną.

– Kto wie? Podobno szykują się następne cięcia finansowe, no, ale ciebie to już nie będzie dotyczyło.

Słuchając Sala, Albert westchnął głęboko i sięgnął po lampkę szampana, którą przed chwilą przyniosła stewardesa.

– No, i co powiesz na popisową akcję mojej podopiecznej? – zmienił temat Albert, licząc na odrobinę uznania po ostatnich niepowodzeniach.

– Muszę przyznać, że jestem pełen uznania dla całego zespołu. Od telefonu do klasztoru do momentu przypięcia Barskiemu pluskwy minęło niespełna osiem minut.

– Zdjęcie go w pociągu do Frankfurtu to też bardzo profesjonalna robota. Żadnych incydentów, żadnego oporu.

– Dobra robota Albercie! Mam nadzieję, że i mnie się kiedyś uda zakończyć karierę takim sukcesem.

Powiedz mi jeszcze, co tam nowego w Polsce? Czy coś się zmieniło od wczoraj?

– W Wigrach nastąpiło pewne niepotrzebne zamieszanie. W niedzielę koło południa samochód tego zakonnika, z którym kontaktował się Barski, opuścił teren klasztoru. Dojechał do pierwszego większego miasta i dwie siostry zakonne wysiadły przy stacji kolejowej. Samochód całą drogę wysyłał sygnał, który przypisany był do

Van Daren. Nasz człowiek przede wszystkim sprawdził obydwie zakonnice, myśląc, i chyba słusznie, że może to być przebrana kobieta Barskiego.

– Czy to była ona?

– Nie. I właśnie tu nastąpiło niepotrzebne zamieszanie. W drodze powrotnej do klasztoru Mirosław zajechał drogę zakonnikowi, który stracił panowanie nad kierownicą i uderzył czołowo w drzewo. Po wypadku samochód nadal wysyłał sygnał, ale ani Van Daren, ani jej dziecka nie było w środku. Sprawdzili bagażnik i odjechali. Podobno zakonnik walczy o życie w szpitalu w pobliskim mieście, Suwarki czy jakoś podobnie.

– To nie była to próba ucieczki z zakonu? Co z tym sygnałem?

– Mają to jeszcze sprawdzić. Na razie sygnał zniknął. Wrócili do całodobowej obserwacji mostu nad wyspę klasztorną.

– Jaki jest plan po lądowaniu w Brukseli? – zapytał Salvatore.

Albert był zadowolony ze zmiany tematu. Akcja w Polsce na razie nie przynosiła mu chluby.

– Na lotnisku Luchthaven Brussel będzie czekał na nas samochód z kierowcą. Jedziemy niespełna godzinę do Niemiec, do miejscowości Aachen, która jest zaraz przy granicy belgijsko-holendersko-niemieckiej. Agencja ma tam dom i kilku ludzi pracujących w Belgii, Holandii i Luksemburgu.

– Czy Barski już tam będzie?

– Barski już tam jest, tylko że na razie nie można z nim pogadać. Na wszelki wypadek kazałem go unieruchomić na dwadzieścia cztery godziny.

– Pogadamy więc jutro. Nie mogę się doczekać.

Trzeci dzień w podziemiach klasztornych dobiegał końca. Siostra Weronika, jedyna oprócz ojca Piotra mówiąca po angielsku, zapukała cicho w podłogę spiżarni. Kiedy usłyszała trzy równie ciche stuknięcia, postawiła tacę z kolacją i, używając całych sił, odsunęła drewnianą część podłogi, aż ukazały się kamienne schodki. Vicky musiała pomóc siostrze – o raczej bardzo obszernych rozmiarach – przy schodzeniu po schodkach, których bezpieczeństwo było wątpliwe. Tomek czy to z głodu czy z nudów, prawie rzucił się na tacę z zapiekankami grzybowymi. Siostra Weronika usiadła na drewnianym krześle, wzdychając ciężko. Patrząc na nią, nie trzeba było być psychologiem, żeby zacząć się martwić.

– Czy coś nie w porządku? – zapytała Vicky. – Od pierwszego dnia nie widziałam

ojca Piotra. Czy coś się stało?

– Wczoraj Piotr miał wypadek na szosie, gdy wracał z Suwałk. Myśleliśmy, że nie przeżyje. Wszyscy spędziliśmy noc w kościele na modlitwie za Piotra. Nikt się nie położył. Przed chwilą brat Andrzej wrócił ze szpitala. Dzisiaj jest dużo lepiej, stan się poprawił.

– Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Dołączylibyśmy do wspólnej modlitwy tu, na dole.

– Nikt nie miał głowy. Ciesz się, że nie zapomnieliśmy o jedzeniu – Weronika uśmiechnęła się po raz pierwszy.

– Co się stało na szosie?

– Ojciec Piotr dzisiaj odzyskał przytomność i powiedział Andrzejowi na ucho, że ktoś chciał go zabić.

– To pewnie wszystko przez nas – Vicky popatrzyła na Tomka niepewna, czy mały słucha ich rozmowy.

– Przestań. To nie wasza wina. Takie jest życie.

– Tyle ludzi już ucierpiało przez tę całą aferę. Czy to jest tego warte?

– Za mało wiemy, żeby na to odpowiedzieć. Wczoraj też dzwonił twój Janek.

Siostra dyżurna szybko powiedziała mu, że wszystko w porządku i odłożyła słuchawkę, zgodnie z tym, co mówił Piotr. Tak, żeby nie zdążyli namierzyć, skąd był telefon.

– Jeśli dzwonił, to znaczy, że u niego jest OK. To dobra wiadomość.

– Na razie chyba nie ma wyjścia, musicie tu pozostać jakiś czas, tu w piwnicy. W sobotę w nocy, w pierwszą noc po waszym przyjeździe, znaleźliśmy martwego Burka. Burek to był nasz pies, pilnował terenu nocą i biegał bez łańcucha.

– Naszego psa w Kanadzie też otruli, przed przeszukaniem domu.

– Ojciec Piotr od razu powiedział, że to ma związek. Może tej nocy przeszukali nasz klasztor?

– Musimy się zastanowić, czy nie można gdzieś nas przenieść. Mam na myśli nową kryjówkę, poza zakonem, żeby już was nie narażać.

– Poczekaj. Na razie szukali, ale za przeproszeniem, g... znaleźli, to znaczy, że to dobra kryjówka.

Vicky wyjęła z kieszeni dwadzieścia banknotów po pięćdziesiąt euro i niepewnym ruchem chciała podać siostrze.

– U nas nie płaci się za gościnę i pomoc! – oburzyła się siostra Weronika.

– To nie jest zapłata. Niech się siostra dowie, może Piotr będzie potrzebował jakiegoś droższego leku. Straciliście samochód, psa, macie przez nas same problemy.

Niech siostra nie odmawia.

– Piotr będzie potrzebował długiej rehabilitacji i fizykoterapii. Nie wiadomo, czy będzie mógł chodzić.

Skalar Kruizenga, redaktor naczelny gazety Amsterdam Post, przeglądał poranną pocztę i pił kawę. Jedna z kopert nie była zaadresowana i nie miała opłaty pocztowej. Dwustronicowy list był adresowany do „kogokolwiek, kto chce pomóc”.

Przeczytał w skupieniu. Wstał, podszedł do okna. Wrócił do biurka, przeczytał drugi raz. Wraz z kopertą włożył list do niszczarki i wcisnął guzik wybierający najmniejsze ścinki, po czym z plikiem najnowszych wiadomości w ręku wyszedł na poranne zebranie.

Jak zwykle, rano w biurach De Telegraf był chaotyczny. Wyglądało to tak, jakby wszyscy mówili naraz, szukając czegoś na ekranach komputerów. Gerrit Achterhof, odpowiedzialny za korespondencję pocztową, sortował koperty i listy z dopiskiem: „Do redakcji”. Reklamy, ulotki i koperty bez adresów, setkami dostarczane codziennie przez kurierów, wędrowały od razu do niebieskiej skrzynki z napisem: „Makulatura – przemiał”. Wszyscy gorączkowo pracowali nad zestawem wiadomości z ostatniej chwili.

Po przeczytaniu dziwnego listu, który dostarczył nieznany kurier w poniedziałek rano, Lia Abbing, redaktorka gazety Metro, siedziała w bezruchu wpatrzona w czerwone dachy domów południowego Amsterdamu. Bezdenny worek z pytaniami został otwarty. „Czy to jest żart? Czy sprawdzać to dalej? Czy mam czas na takie sprawy? A jeśli to jest prawdziwa sprawa? Czy to właśnie jest ta wymarzona afera życia, o której marzą dziennikarze? Jak wysoko w życiu politycznym stoją osoby w to wmieszane? Czy zainteresowanie tematem może oznaczać koniec kariery?”.

Lia schowała list do szuflady, z myślą o wieczornym spotkaniu u ojca na obiedzie urodzinowym.

Potworny kac po wczorajszej imprezie i nieprzespanej nocy nie pozwalał Gafowi Hasseling z gazety De Volkskrant skupić wzroku na literach poniedziałkowej poczty. Rozejrzał się, czy nikt go nie obserwuje przez szklane ściany biura i szybkim ruchem posłał zawartość tacy z napisem „Poczta” w otchłań urzędnika z napisem „Shredder”.

Vanderbilt Jansen nigdy nie zwracał uwagi na listy bez podpisu i bez nadawcy. Każda gazeta na świecie otrzymuje tysiące bzdurnych wycięci, pisanych przez nieskończoną liczbę idiotów, szukających dziennikarskiej sławy. W poniedziałek rano, w redakcji De Grobne Amsterdammer, nastąpił przysłowiowy wyjątek potwierdzający regułę. Vanderbilt nie tylko przeczytał list bez wyraźnego podpisu, ale zrobił to trzykrotnie, po czym zamknął biuro i wychodząc z listem w kieszeni, krzyknął sekretarce, że ma pilną sprawę na mieście.

Chyba nikt nie pamięta swojego pierwszego oddechu na tym świecie. Ja też nie. Jako jednemu z niewielu udało mi się przeżyć to jeszcze raz. Masa piekąco-chłodnego powietrza siłą wdarła się we mnie, wypełniając całe ciało, nie tylko płuca. Szokujące przeżycie, połączone z głębokim westchnieniem, zerwało mnie do pozycji siedzącej.

Opadłem na plecy. Drugi, trzeci, oddechy powoli odzyskiwały jakiś w miarę wyrównany rytm. Na pulpicie mojej świadomości, jedno za drugim zapalały się następne światełka. Najpierw zmysł dotyku, prawa ręka otarła spoconą twarz. Słuch, usłyszałem głosy, gdzieś za drzwiami. Wzrok, było ciemno. Błysk światła, otworzyły się drzwi. Rozchyliłem wysuszone usta, udając sen.

– Sprawdź oddech i puls. Słyszałem coś, jakby krzyk.

– Śpi. Czy można go stopniowo rozbudzać?

– Nie, to niewskazane przed upływem dwudziestu czterech godzin.

Cienie ruszających się postaci potwierdzały, że odzyskuję wzrok. Zmysły wracały z dalekiej podróży. Z rozmowy wynikało, że nie minęła jeszcze doba od jazdy mercedesem. Gdzie byłem? W ciągu kilku godzin mogli mnie przewieźć chociażby do Mozambiku. Czyjeś delikatne ręce dotknęły mojej szyi, po czym poczułem coś, jakby maskę tlenową, zakrywającą usta i nos.

– Oddech jest już trochę głębszy, puls lekko przyspieszony. Dochodzi powoli do siebie – usłyszałem głos.

Wyszli i zamknęli drzwi. Gdzieś, poza zasięgiem mojego wzroku, pozostała włączona słaba żarówka, oświetlająca bardzo nikiłym światłem moją... celę? Wyglądało na to, że byłem więźniem. Ból głowy, piekący, suchy oddech – jakbym po ostrej imprezie, zakrapianej polską wódką, obudził się gdzieś na pustyni w południowej Libii.

Zamglonym wzrokiem szukałem jakiegoś źródła wody: zlewu, butelki, flakonu z kwiatami. Nic. Ssałem język. Wspomniałem zimnego Guinnessa, próbowałem wykrzesać odrobinę śliny, żeby nawilżyć spieczone wargi. Bolało mnie właściwie całe ciało, każdy staw i mięsień. Zamknąłem oczy i zacząłem przypominać sobie wszystkie istotne szczegóły, sprawdzając następną funkcję mózgu. Amsterdam, pociąg, kobieta z kokiem, Vicky i Tomek, klasztor w Wigrach. Zdanie po zdaniu składałem w pamięci, na wyobrażonej kartce papieru w linie, list Alistera. Moi gospodarze zaangażowali całą armię ubraną w nieznane mundury, żeby dowiedzieć się, o czym jest ten list. Metody przesłuchań były mi znane, zarówno z praktyki, jak i z teorii. Na własnej skórze poznałem komunistyczną szkołę. Wiedziałem, że współczesne metody zachodnie są bardziej wyrafinowane i zaawansowane psychologicznie. Myśli rozbiegły się, powracając do szklanki wody. Odwodnienie zaczynało powodować zawroty głowy i dreszcze. Zamknąłem oczy.

Siostra Weronika i brat Andrzej wracali ze szpitala w Suwałkach w znacznie lepszych nastrojach. Po pierwszych trzech operacjach udało się pomyślnie złożyć kość udową i lewe kolano ojca Piotra. Prześwietlenia i testy wykazały, że, dzięki Bogu, kręgosłup nie został uszkodzony. Ordynator chirurgii powiedział, że na razie pacjent musi pozostać w szynach, ale za trzy-cztery tygodnie można go będzie przenieść do klasztoru i, pod opieką sióstr będzie mógł zacząć powolną rehabilitację. Piotr będzie chodził.

– O czym tacy podnieceni rozmawialiście z Piotrem, kiedy byłem w dyżurce pielęgniarek?

– Jeszcze raz ostrzegał nas, że z tymi ludźmi, którzy szukają kobiety i dziecka, nie ma żartów. Mówił, że to oni, w czarnym volkswagenie, spowodowali ten wypadek, zajeżdżając mu drogę.

– Po co mieliby to robić?

– Piotr pamięta, jak sprawdzali samochód i otwierali bagażnik tuż po wypadku.

– Co myślisz o tym wszystkim? Piotr dał mi do zrozumienia, że pod jego

nieobecność ty podejmujesz decyzje.

– Nieźle mnie wpakował, co? – bez uśmiechu stwierdził brat Andrzej. – Od czasu wypadku nie zmrużyłem oka, szukając jakiegoś bezpiecznego wyjścia z tej afery. Próbuję znaleźć sposób, żeby jednocześnie pomóc tej dwójce i dla naszego bezpieczeństwa pozbyć się ich z klasztoru. Wolę nie myśleć, co będzie, jak o naszych przygodach z jakąś mafią dowiedzą się przełożeni zakonu i kuria.

– Chociaż nikt nic nie mówi, czuję, że wszystkie siostry po prostu się boją. Ja chyba też.

– Dzisiaj rano rozmawiałem z kuzynem, który mieszka w Sejnach. Mówił, że dwa razy w miesiącu jeździ do Wilna po meble.

– Pamiętaj, co mówił Piotr! Jesteśmy obserwowani i telefony mogą być na podsłuchu.

– Jak za komuny, co? Tyle że teraz nie wiadomo, kto cię podsłuchuje. Czerwoni chociaż grzecznie ostrzegali, że „rozmowa będzie kontrolowana”.

– Dosyć wylegiwania się! – wyrwał mnie z odrętwiałej półdrzemki męski głos, wspomagany oślepiającym światłem.

– Czy mogę... wody... – nieudacznie próbowałem wydobyć z siebie głos i złożyć zdanie. Usiadłem na materacu.

– Zaprowadź go do łazienki, niech weźmie prysznic i przebierze się – dodał potężny facet w wojskowej kamizelce, robiąc gest obrzydzenia z powodu nieświeżego zapachu. Pojawiła się moja współtowarzyszka podróży, tym razem bez tych kretyńskich okularów i koka.

– Chodź za mną – w rękach miała ręcznik i rzeczy z mojego plecaka.

Stanąłem na nogi, ale od razu okazało się, że tak jak pierwszy oddech, nie jest to takie proste. Trzymając się ściany, czekałem, aż błędnik znajdzie różnicę między pionem i poziomem.

– Od razu uprzedzam cię: nie próbuj żadnych sztuczek, ucieczek, bohaterskiej walki, to może ci tylko zaszkodzić, i to bardzo boleśnie zaszkodzić. Masz dwadzieścia minut. Doprowadź się do porządku. Jest tu kilka osób, które nie mogą się doczekać, żeby z tobą pogadać. Jesteś głodny?

– Spragniony.

– W łazience jest skrzynka wody mineralnej. Wróć po siebie.

Prawie bym jej podziękował. Pierwsze łyki wody przepaliły sobie drogę do

spragnionego wnętrza, przez suchą i poparzoną śluzówkę przełyku. Rozbierając się, zauważyłem, że moje ubranie cuchnęło moczem. Gorąca woda spływała po moim ciele, rozkosznie przepędzając dreszcze i łagodząc ból stawów. Radość zbliżona do pierwszego prysznicu po dwóch tygodniach spędzonych w górach. Z każdym następnym łykiem wody powoli dochodziłem do siebie. Jednym z plusów mojej nowej sytuacji było to, że nie musiałem się już kamuflować, przebierać i mogłem się nareszcie ogolić. Nie dali mi pasiaków, mogłem się ubrać we własne ciuchy, które kupiłem w Amsterdamie.

– Gotowy?

Szedłem grzecznie za moją znajomą z pociągu. Weszliśmy po schodach na górę, minawszy dwóch milczących facetów, niewyglądających na wolontariuszy czerwonego krzyża. Na pierwszym piętrze doszliśmy do jasnego, obszernego pokoju z kamiennym kominkiem i oszkloną ścianą, wychodzącą na ogród. Za oknem padał deszcz, wiatr poruszał czerwonymi liśćmi pnącza oplatającego wyjście do ogrodu. Nie mogłem wyjść na dwór, nie mogłem dotknąć mokrych liści, nie mogłem stać na deszczu... Nagle przestałem być wolnym człowiekiem. Nie podobał mi się ten nowy stan.

– Dzień dobry! – starszy mężczyzna w szarym garniturze wstał na mój widok z kanapy i pokazał na skórzany fotel po drugiej stronie stolika. – Proszę usiąść.

– Dzień dobry – odpowiedziałem bez uśmiechu siadając.

– Czy napijesz się czegoś dobrego? – zapytał młodszy elegant, wskazując mały barek na kółkach.

– Nie. – „Jaka tu przyjazna atmosfera”.

– A może małe cygaro?

– Nie. – „Ciekawe czy już, z uśmiechem na twarzy, ustalili, jak mnie zabić?”.

Milczeliśmy sobie dłuższą chwilę, a może nawet kilka chwil.

– Domyślam się, że sposób, w jaki musieliśmy ciebie do nas, powiedzmy, zaprosić, nie napawa entuzjazmem – zaczął stary.

Milczałem, bo co można powiedzieć? „Zaprosić, skurwysyny. A ja myślałem, że zostałem porwany”.

– Musieliśmy zmobilizować wielu ludzi, biegać za tobą po lasach i bagnach, przekroczyć ocean, żeby zasłużyć na ten zaszczyt rozmowy, na którą wyraźnie nie miałeś ochoty – elokwentnie wypowiedział się młody.

Milczałem dalej, żeby nie krzyknąć: „spierdalaj!”.

– Najlepiej będzie, jeżeli wspólnie przeanalizujemy obecną sytuację i możliwe z niej wyjścia. Jesteśmy przecież grupą inteligentnych ludzi – powiedział starszy, bez

wahania zaliczając siebie do inteligencji.

– Sformułowałem dwa podstawowe punkty, co do których, mam nadzieję, zgodzimy się. Punkt pierwszy: otrzymałeś i posiadasz dokumenty od Alistera Swana. Uznajmy to za fakt, który nie podlega dłuższym dyskusjom. Punkt drugi: my musimy te dokumenty, i wszystkie istniejące kopie, otrzymać od ciebie. Jak punkt poprzedni, ten też, nie podlega negocjacjom. Reszta jest jak najbardziej tematem otwartym. Czy zgadzasz się z tym prostym stanem rzeczy?

W odpowiedzi milczałem. Moje milczenie nie było akcją protestacyjną przeciwko mordowaniu i porywaniu ludzi. Po prostu nie wiedziałem, co mam mówić. Mój umysł nie pracował jeszcze prawidłowo.

– Jeżeli nie chcesz tak szybko przejść do sedna sprawy, to może zaspokoisz na wstępie naszą ciekawość i powiesz, gdzie i kiedy Alister Swan skontaktował się z tobą po raz pierwszy?

„Jeszcze sobie pomilczę...”.

– Czy te dokumenty otrzymałeś w ostatnich dniach września w Parku Prowincjonalnym Killarney?

Powoli rosło napięcie. Milczałem dalej.

– W twoim plecaku znaleźliśmy 48 342 dolarów amerykańskich. Czy te pieniądze też otrzymałeś od Alistera Swana?

Cisza.

– Korzystając z twojego milczenia, pozwól, że przedstawię ci całą naszą ofertę. Zastanów się i sam zdecyduj, czy ma ona sens z twojego punktu widzenia. Jeżeli otrzymałeś, jak zakładam, pięćdziesiąt tysięcy dolarów za przejęcie tych dokumentów i ulokowanie ich w bezpiecznym miejscu, to nasza oferta to sto.

Kiedy wymawiał to swoje „sto”, aż wstał z kanapy i podszedł do okna. Patrząc gdzieś melancholijnie w dal, poprawił krawat pod szyją i dodał:

– Sto. Sto... razy pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Pięć milionów gotówką lub na konto w dowolnym banku świata. Amerykańskie paszporty dla ciebie i twojej rodziny oraz ochrona na początek nowego życia – Podszedł do mojego fotela, nachylił się i, oczekując na moją reakcję, dodał: – Co ty na to?

„Chyba przestanę milczeć”. Na ringu, w polityce bądź na wojnie... zazwyczaj przegrywa ten, który pierwszy traci z oczu przeciwnika. Zrobiłem ten błąd w Amsterdamie. Teraz wydawało się im, że dokładnie i z bliska mnie widzą i czytają. Wziąłem głęboki oddech. Koniec milczenia.

– Te dokumenty zabrał mi niedźwiedź. Ten sam, który zabił Alistera. A pieniądze też otrzymałem od niedźwiedzia w zamian za milczenie i kopię twardego dysku

pewnego laptopa.

Z twarzy moich miłych rozmówców coś zniknęło. Trudno powiedzieć, czy to była nadzieja, czy pewność siebie, czy może teraz oni stracili mnie z oczu? Przyszła kolej na ich milczenie. Pięć milionów dolarów to kupa pieniędzy i nieczęsto zdarzało mi się choćby myśleć o tylu zerach. Obawiałem się jednak – na ile udało mi się poznać moich nowych partnerów – że zamiast obiecanej walizki z gotówką czekałoby mnie, na przykład, śmiertelne kopnięcie zabląkanej żyrafy, która uciekła z zoo w Dortmundzie. Po dłuższej chwili milczenia cała trójka wstała i jeden za drugim opuścili pokój. Zostałem sam.

Za oknem nadal było szaro i mgliście. Moja krótka historia o niedźwiedziu, który mi dał pięćdziesiąt tysięcy dolarów, znacznie zwiększyła niebezpieczeństwo, w jakim znajdowali się Vicky i Tomek. „Boże, miej nas w swojej opiece!”. Teraz była ich kolej na następny ruch w tej nieuczciwej grze. Miałem ochotę kopnąć tę szachownicę, rozsypać figury i pionki.

Do pokoju weszło tych dwóch z korytarza i bez słowa pokazali mi na drzwi. Wróciłem do mojej celi w piwnicy.

– Już w drodze z lotniska prosiłam was o możliwość zadania mu kilku pierwszych pytań – wchodząc do jadalni powiedziała Monica.

– Rozumiem – próbował przerwać Salvatore Rodriguez.

– Zaraz. To ja próbowałam wam wytłumaczyć, że powoli udaje mi się rozszyfrowywać osobowość Barskiego. Spędziłam wiele godzin w jego domu, czytając listy i notatki, oglądając zdjęcia, przeglądając tytuły książek, które czyta i kopie obrazów, które wiszą na ścianach. Dzięki temu, że wiem, jak się porusza, jak pali cygara, jakie ma zwyczaje, udało mi się wysledzić go w Amsterdamie.

– Chwileczkę. Po Amsterdamie mogłabyś łączyć całymi latami, aż do końca swojej kariery, gdyby nie współpraca całego zespołu, a przede wszystkim chłopców z zamiaru satelitarnego, nigdy byśmy go nie namierzyli. Taka jest prawda – ostrym tonem próbował uciąć dyskusję Salvatore.

– Nie myśl, że dopominam się tutaj o jakieś specjalne wyrazy uznania. Wszystko, co chcę powiedzieć, to to... – głos Monici jakby wyhamował przed zakrętem i zmienił ton. – Chcę powiedzieć, że oferta pięciu milionów dolarów mogła poczekać na moment, kiedy nawiąże się z nim kontakt, rozmowę, wymianę zdań.

– Uważasz, że Barski niewystarczająco z nas zakpił i należy mu dać szansę na

więcej żartów typu „niedźwiedź zabrał mi dokumenty”?

– Albercie! Czy ty też uważasz, że to, co powiedział Barski, było żartem? – zapytała Monica, rozkładając ręce w geście niedowierzania.

– To, co on odpowiedział, może oznaczać tylko, że nie ma zamiaru z nami robić interesów i że mamy się od niego odpieprzyć. W dużym skrócie – odrzekł Albert.

– A ja mam inne wrażenie – Monica wstała i z założonymi rękoma oparła się o antyczny bufet. – Mówiąc słowo „niedźwiedź”, Barski daje nam do zrozumienia, że wie, w jaki sposób zginął Alister Swan. Ta, na pozór bzdurna, krótka historyjka, to wyraźne podkreślenie braku zaufania do nas.

– Bardzo głęboka psychoanaliza – z przekąsem podsumował Sal.

– Widzisz, teraz ty używasz tej samej metody. Żart, sarkazm, ironia, żeby twój rozmówca, czyli ja, przestał gadać i sobie poszedł. Dokładnie to samo zrobił Barski. Na propozycję ogromnej sumy pieniędzy odpowiedział sarkazmem. Obawia się, a nawet jest pewny, że chcemy go wykończyć. Wielkość oferowanej sumy nie ma znaczenia, bo i tak czeka go to, co spotkało Alistera. Niedźwiedź. Pułapka. Śmierć.

– W porządku. Zgadzam się, że Barski nam nie ufa i nie będzie ufał. Jest mi bardzo przykro, że nie zostaniemy przyjaciółmi i nie będziemy sobie powierzać głębokich wyznań. Moim celem i, przypominam ci Monico, twoim również jest wydobywanie informacji i dokumentów od Barskiego, a nie zawieranie znajomości.

– Właśnie do tego celu miałam zamiar dotrzeć, tylko inną i chyba łatwiejszą drogą.

– Zdaje się, że jeszcze dużo musisz się nauczyć. Barski nie będzie ci się spowiadał jak księdzu. Nieważne, jak zaawansowanej metody psychologicznej będziesz używać, jesteś jego wrogiem, gonisz go po świecie, paralizujesz gazem i on nie będzie z własnej, nieprzymuszonej woli z tobą rozmawiał.

– Sal ma rację. W takiej sytuacji można liczyć na ludzką chciwość, czego też spróbowałem, oferując mu pieniądze. Bardzo przekonujący jest też strach przed bólem, przed śmiercią, strach o życie najbliższych, co nieuchronnie będzie następnym etapem naszej znajomości z Barskim. Pamiętaj, Monico, że to on nie ma wyjścia, a my musimy mu to pomóc zrozumieć. Jak tylko zobaczy swojego ośmioletniego syna siedzącego na moich kolanach, zrozumie wszystko w okamgnieniu. Zobaczysz.

– Jeśli zgodzi się na pieniądze?

– Co będzie dalej, trudno przewidzieć. W dużej mierze będzie to zależeć od niego – dodał Sal.

– Chcesz powiedzieć, że nie dasz mi spróbować tych śmiesznych i niedouczonej metod psychologicznych? – z rezygnacją przed wysokim murem starej szkoły

zapytała Monica.

– Nie mamy na to czasu. Zanim zaprzyjaźnisz się z naszym gościem, informacje, które gdzieś tam są w świecie, mogą dostać się w niepowołane ręce. Albercie, chyba nadszedł czas na bliższe poznanie rodziny państwa Barskich. Wyślij Vincenta i może ze dwóch Niemców do Polski. Dzisiaj jest wtorek, do czwartku powinni wrócić z Van Daren i jej chłopcem. Wtedy dopiero będzie szansa na zaprzyjaźnienie się z Janem Barskim.

– Co byś powiedział o *S.D.* na kilka nocy? Pomogłoby mu zrozumieć powagę sytuacji.

– Niezły pomysł. Będzie miał więcej czasu na przemyślenie swojego położenia. Monica wstała i wyszła z jadalni.

Powoli wyobraźnia Vicky, próbującej zainteresować chłopca czymkolwiek, wyczerpywała swoje zasoby, a kreatywne myślenie zaczynało być coraz mniej kreatywne. Tomek był chyba tak dzielny, jak tylko ośmiolatek zamknięty w piwnicy dzielnym może być. Przeczytali wszystko, co w języku angielskim było do przeczytania. Wspólnie uczyli się polskiego, co chyba dostarczało małemu najwięcej radości. Z latarką w rękach przemierzali wszystkie zakamarki odkopane przez mnichów. Oglądając uważnie plan piwnic pod klasztorem, wyobrażali sobie skarby, jakie są jeszcze nieodkryte za ścianami z czerwonej cegły. Przypominali sobie wszystkie filmy, których akcja pasowałaby do wnętrz tych „lochów” i wymyślali nowe scenariusze z ich własnym udziałem w głównych rolach. Przez te cztery dni tylko raz wyszli na powierzchnię ziemi. Wczoraj po zmierzchu siostra Weronika zaprowadziła ich do łaźni. Pół godziny w gorącej wannie sprawiło Tomkowi wielką przyjemność. Wracając pod ziemię zamilkł i posmutniał, ale nie zapytał: – Jak długo jeszcze?

Był już wtorek. Wieczorem zgasili światło, zostawiając jak zwykle małą lampkę w rogu pokoju. Vicky nie mogła zasnąć. Leżała w swoim śpiworze, słuchając, jak mały oddycha głęboko przez sen. Niespokojne myśli skakały z tematu na temat, nie dając spać. Janek dzwonił dwa dni temu, ale teraz czuła nową falę niepokoju i strachu o niego. W środku nocy rozległo się ciche pukanie w sufit. Vicky usiadła na łóżku, nasłuchując. Zapaliła latarkę. Trzecia trzydzieści nad ranem. Pukanie powtórzyło się. „Otworzyć? Uciekać w głąb piwnic?” Podeszła powoli do kłapy w suficie i wspięła się na schodki.

– Vicky. Vicky otwórz. – odezwał się głośny szept siostry Weroniki. – To my, Weronika i Andrzej.

„Coś się musiało stać, jeżeli budzą nas o tej porze” – pomyślała Vicky. Odsunęła drewniane skoble blokujące klapę.

– Obudź Tomka i ubierzcie się. Zorganizowaliśmy przerzut przez granicę, ale musimy to zrobić w nocy.

Siostra Weronika brzmiała bardzo konspiracyjnie i poważnie.

– Przez granicę? Dokąd?

– Na Litwę. Klasztor jest obserwowany, to znaczy dojazd na wyspę jest obserwowany. Wynajęli pokój w gospodarstwie we wsi i mają na oku drogę. Powiedzieli gospodarzowi, że obserwują migracje ptaków i dlatego mają lunety i lornetki zamontowane w oknach, na poddaszu – chaotycznym językiem angielskim opowiadała siostra.

– Jak mamy się przedostać na Litwę?

– Wszystko jest zorganizowane, o nic się nie obawiaj. Musimy to zrobić teraz. Jest bezksiężycowa noc, jest pochmurno i trochę pada. Obudź małego i pakujcie się.

Nieprzytomny Tomek usiadł na łóżku. Mimo nocy i przerwane go snu, nie ociągał się z ubieraniem. Możliwość opuszczenia kryjówki w ciemnej i nudnej piwnicy dodała mu skrzydeł. Vicky podała torbę bratu Andrzejowi, który czekał w spiżarni na górze. Przed wyjściem w ciemną deszczową otchłań, cała czwórka ubrała się w czarne peleryny zrobione z dużych worków na śmieci.

Andrzej szedł pierwszy. W ciągu dnia przećwiczył drogę, żeby bezpiecznie przebyć ją bez latarki.

Vicky jedną ręką trzymała się brata Andrzeja, a drugą ścisnęła małą dłoń Tomka. Minęli rząd eremów i, idąc wzdłuż muru otaczającego klasztor, dotarli do zardzewiałej furtki, zarośniętej chwastami powyżej pasa. Na zewnątrz muru zrobiło się jakby jaśniej. Na otwartej przestrzeni jeziora wyraźnie rysowała się linia brzegu. Powoli przebrnęli przez nadbrzeżne trzciny, docierając do drewnianej łódki.

– Do widzenia, kochana Vicky – siostra Weronika mocno przytuliła ją do siebie. – Będę się za was modlić codziennie. Bądź dzielny Tomku.

– Nie płyniesz z nami? – zapytał Tomek.

– Taka gruba siostra na łódce? To chyba nie najlepszy pomysł! – wybuchli tłumionym śmiechem.

– Andrzej! Jak nie zdążysz wrócić po ciemku, to zostań i wróć jutro w nocy.

– Myślę, że mi się uda. Do wioski jest tylko ze dwa kilometry.

Cała trójka ubrała się w pachnące wilgotnym jeziorem kamizelki ratunkowe.

Tomek usiadł na dziobie, a jego mama na rufie. Siostra z głośnym stęknieniem odepchnęła łódź.

– Będę się za was modlić do Matki Boskiej. – tym razem jej głos się załamał. Odwróciła się i ruszyła w kierunku muru.

– Człowiek we wsi mówi po angielsku – brat Andrzej próbował uspokoić Vicky co do dalszej komunikacji językowej.

Resztę trasy przepłynęli w milczeniu. Tomek zaspanym wzrokiem próbował cokolwiek wypatrzyć w ciemnościach, lecz widać było jedynie linię rozdzielającą dwa rodzaje ciemności: ciemność wody i ciemność lasu. Na trawiastym brzegu niedaleko wsi czekał na nich wielki mężczyzna w gumowych butach, stojący po kolana w płytkiej wodzie.

– Wszystko w porządku? – zapytał całkiem niezłym angielskim.

– Trochę zimno i ciemno, ale poza tym jest OK! – pierwszy odpowiedział najmłodszy pasażer łódki.

Łódź stanęła na mieliźnie z dziesięć metrów od brzegu. Mężczyzna złapał Tomka pod pachy i jak piórko postawił go na trawę.

– Teraz pani – prawie bez wysiłku przerzucił Vicky przez ramię, jak worek, a drugą ręką złapał torbę. – Wracaj Andrzej i o nic się nie martw. Zajmij się modlitwą, jak przystało na mnicha... ha, ha, ha.

– Dziękuję – Vicky ledwo zdążyła podziękować po polsku bratu Andrzejowi, nim łódka zniknęła w ciemności.

– Chodźcie za mną – grubym barytonem zaprosił mężczyzna i pokazał latarką ścieżkę. – Nazywam się Zygmunt.

– Jesteśmy Vicky i Tomek.

– Hej, Tomek to polskie imię.

– Mój tata jest Polakiem.

Minęli zabudowania gospodarstwa i wyszli na zwirową drogę. Nareszcie można było iść szybciej i trochę się rozgrzać. Jeden krok Zygmunta to dwa kroki Vicky i ze cztery Tomka. Po dziesięciu minutach marszu dotarli do ciężarówki. Mercedes stał zaparkowany na poboczu. Zygmunt praktycznie wrzucił malca na siedzenie, a Vicky zdążyła sama wskoczyć, kiedy olbrzym zabierał się, żeby jej pomóc.

– Gorąca herbata – w szoferce podał Vicky duży srebrny termos i włączył ogrzewanie, widząc że mały się trochę trzęsie. – Za dwie godziny będziemy na granicy. Dzisiaj ma dyżur mój znajomy, także nie będzie za dużo pytał.

– Ile to będzie kosztowało?

– Okrągła suma. Dwa tysiące dolarów. Wliczone: przejazd przez granicę, noclegi,

wyżywienie w Wilnie, dwa paszporty litewskie dla głuchoniemych. OK?

– Paszporty dla głuchoniemych?

– Przecież nie mówicie po litewsku, a paszport to zwykły paszport. Ma po prostu specjalną pieczętkę informacyjną.

– Ale ja nie mówię też językiem migowym, to jak?

– Hej! To już twój problem. Ha, ha, ha – zaśmiał się olbrzym rubasznym głosem.

Ciekaw jestem, czy gdybym tak uczciwie i do końca zadeklarował współpracę z tymi ludźmi, oddając im obydwie pendrive'y, list i laptopa, to naprawdę dotrzymaliby obietnicy wypłaty całej sumy, paszportów, nowego nazwiska? Czy może, mimo wszystko, musiałbym zniknąć z powierzchni Ziemi w jakimś tragicznym wypadku. Vicky, Tomek i powiedzmy... Australia lub Nowa Zelandia plus pięć milionów zainwestowane w banku na pięć procent, to dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów stałego rocznego dochodu do końca życia. Na pewno Tomek miałby dużo rodzeństwa, czwórkę, a może i piątkę. Moglibyśmy łązić po górach, palić ogniska, pływać w jeziorach. Mielibyśmy też nowego psa, którego nazywałbym Uchym Drugim.

Gdzieś na korytarzu zatrzasnęły się drzwi, wybijając mi z głowy głupie myśli. Pieniądze zdobyte cierpieniem tysięcy ludzi, takie obciążenie sumienia i poczucie winy szybciej przyniosłoby mi raka całego ciała niż długie i beztrudne życie. „Nie dostaną tych informacji”. Drzwi do mojej celi otworzyły się i weszła dziewczyna z pociągu.

– Przemyślałeś naszą propozycję?

– Sama nie wiesz, co proponujesz.

– Odzywasz się. To już postęp.

– Odzywam się, bo się boję, że znowu mnie spryskasz jakimś gazem, po którym nie będę mógł ani oddychać, ani chodzić.

– Bez obaw. To było po prostu zabezpieczenie. Nie wiedzieliśmy, na ile jesteś agresywny.

– Skąd wiesz, że nie rzucę się teraz na ciebie? Nie jestem skuty ani związany.

– Nie chcę być zarozumiała, ale radzę sobie z pięcioma takimi jak ty naraz – uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– Przyszłaś tu, żeby się pochwalić?

– Nie. Posłuchaj mnie uważnie. Twoja, powiedzmy, żona i twój syn od kilku dni

ukrywają się w klasztorze w północno-wschodniej Polsce albo powiedzmy, myślą, że się ukrywają. Zakon jest pod obserwacją dwadzieścia cztery godziny na dobę. Twoje milczenie i arogancka opowieść o niedźwiedziu spowodowały tylko wydanie rozkazu ich zatrzymania i dowiezienia tu, do nas. Czy miało to sens?

– A czy ma sens pozorowanie ataków niedźwiedzi, mordowanie, porywanie i straszenie ludzi, grożąc ich rodzinom?

– Czy doprawdy nie chcesz znaleźć jakiegoś wyjścia z tej sytuacji?

– Aha, to ty jesteś tą dobrą. Będziemy grać w tą starą grę, w której występuje zły policjant, czyli ten młody elegancik, średnio zły, ten stary, który wygląda, jakby chciał iść do domu, no i dobry, który chce pogadać i dogadać się, tak, żeby nikogo nie skrzywdzić – czyli ty.

– Sarkazm nie bardzo ci pomoże.

– Nic mi nie może pomóc.

– Dlaczego nic?

– Bo te dokumenty, za które jesteście w stanie zabić człowieka, po prostu nie istnieją.

– To nie jest rozsądna linia działania.

– To jest, niestety, rzeczywistość. Po śmierci Alistera dokumenty zostały zniszczone i istnieją jedynie w mojej głowie.

– Nie rozumiem.

– Znam na pamięć całe dwanaście stron listu pozostawionego przez Alistera. Tak, jak ty potrafisz obezwładnić dziesięciu facetów, tak ja potrafię zapamiętywać tekst. Dlatego właśnie Alister wybrał mnie do współpracy.

– To ciekawe.

– Prawda? Jeśli nawet napiszę ten tekst na papierze, to kopia nadal pozostaje w mojej głowie. Po prostu musicie odciąć mi głowę, żeby ten dokument zniknął raz na zawsze.

– To nie może być prawda. Przyznanie się do czegoś takiego stawia cię w niezbyt dobrej sytuacji.

I tak dalej, i tak dalej, gadaliśmy, badając się nawzajem. Gra słów. Jej próby zbliżenia i moje oddalenia. Analizy. Muszę przyznać, że moja nowa koleżanka była bardzo ładną i interesującą kobietą. Gdyby zgodziła się wyjść za mnie za męża, to na pewno stworzylibyśmy razem bardzo dobrą i zgodną agencję detektywistyczną. Miała w sobie coś ciekawego, coś, czego nie mogłem nazwać. Pomiedzy nią samą, a tym co robiła, wyczuwałem coś jakby delikatne pęknięcie. Grała swoją rolę, ale...

– Szefer prosi cię na chwilę do siebie – przez uchylone drzwi zakomunikował facet

w czarnym golfie.

– Już idę – wstała z krzesła stojącego naprzeciw mojej pryczy i wyszła bez słowa.

Celowo, bądź nie, przekazała mi bardzo ważną informację. Wiedzieli dokładnie o klasztorze w Wigrach. Mój super plan przeciwko tej międzynarodowej organizacji wyglądał jak dziecinny rysunek obok Mona Lisy. Na razie przesłuchując mnie, nie wysilali się za bardzo. Wiedzieli, że jak stanę twarzą w twarz z Vicky i Tomkiem, powiem im wszystko, jak na spowiedzi.

– Chodź za mną na górę. Chcą z tobą pogadać – ten sam człowiek w golfie wrócił po mnie.

Poszliśmy tą samą drogą, po tych samych schodach, do tego samego pokoju z dużym oknem. Tym razem nikt nie poprosił, żebym usiadł.

– Poznajesz ten list? – elegancik podaje mi do ręki kartkę papieru.

– Czy to ty wysłałeś ten list do Vanderbilta Jansena z gazety De Grobne Amsterdammer?

– Niezupełnie ja wysłałem.

– Jak mam rozumieć to „niezupełnie”?

– Po tym, jak mnie zatrzymaliście, w niedzielę w nocy, czyli powiedzmy w poniedziałek rano, system, który stworzyłem wysłał automatycznie ponad sto listów do różnych gazet na świecie. W przypadku, jeżeli nie zmienię dat w systemie poprzez kod internetowy, rozesłana zostanie następna grupa listów.

– Ten list dostarczył goniec.

– To już nieistotne sprawy techniczne.

– Jako pierwszy punkt naszych negocjacji, masz tutaj laptopa i zatrzymaj dalsze przesyłki.

– Przepraszam, ale nie mam takiego zamiaru. W czwartek rano zostanie wysłana następna setka listów. Jest to na razie jedyna gwarancja mojego bezpieczeństwa. Aha, jeszcze jest treść twardego dysku waszego komputera, która to może zainteresować kanadyjską policję.

– Policję? To my jesteśmy policją! – zaśmiał się młody, ale w jego śmiechu było coś jakby nie do śmiechu.

– To wy jesteście policją? To jak tam przebiega śledztwo w sprawie upozorowanego ataku niedźwiedzia?

Staremu nie bardzo spodobał się ten tekst. Wstał, podszedł do mnie i spokojnym głosem oznajmił:

– Walka z nami nie ma sensu, człowieku. Możesz blefować, ile ci się podoba. Jeżeli nie dostanę od ciebie tych dokumentów, zaczniesz cierpieć. Daję ci czas do

jutra. Czas na to, żebyś spoważniał i zaczął myśleć logicznie.

Podszedł do drzwi i krzyknął: – Dajcie mu obiad, piwo i cygaro.

Odwrócił się do mnie i dodał: – To ostatnie podrygi mojej dobrej woli.

Lia Abbing zaparkowała swojego citroena C5 na parkingu przed najlepszą w mieście indonezyjską restauracją, Blue Pepper. Ojciec Lii, Herbert Abbing, uroczyście obchodził dzisiaj swoje sześćdziesiąte piąte urodziny i jednocześnie przejście na emeryturę po wieloletniej karierze politycznej. Jak to bywa przy takich okazjach, nie obeszło się bez całej gamy przemówień i podziękowań. Po obiedzie w postaci *salada asinan segar* (czyli krabów z warzywami i tropikalnymi owocami w dressingu tamaryndowcowym), Lii udało się dopchać w końcu do pana wiceministra handlu zagranicznego.

– Wszystkiego najlepszego tato!

– Dziękuję, moja malutka. Co za zwariowany dzień! Tyle tu pyszności, a ja nie miałem czasu jeszcze usiąść i zjeść. Nałóż mi, proszę, coś dobrego na talerz, a ja złapię butelkę chardonnay i spędzimy razem następne dziesięć minut. Jeśli się uda.

Wymknęli się za bajecznie haftowany parawan oddzielający małą prywatną wnękę od głównej sali bankietowej, uciekając na chwilę hałaśliwej inwazji armii trzech setek gości.

– Jak dobrze usiąść i popatrzeć na ciebie. Co u ciebie słychać?

– Ostatnio nie miałeś czasu nawet oddzwonić.

– To prawda, ale teraz, od jutra jestem emerytem.

– Praca, praca... ja też nie za wiele mam czasu na życie prywatne. Dzisiaj rano w redakcji otrzymałam dziwny list. Nie wiem, co o tym sądzić, ale czuję, że to może być szansa na wiadomość miesiąca.

Lia wyjęła z torebki złożoną na pół kopertę.

– Widzę, że i ty masz kłopoty z oderwaniem się od kariery, nawet przy winie.

Herbert Abbing odłożył sztućce, wytarł usta serwetką i wziął do ręki kartkę papieru. Przeczytał list w milczeniu.

– Jak ten list wpadł ci w ręce?

– Dzisiaj rano znalazłam go na biurku wśród porannej poczty od kuriera.

– Bez adresu i adresata?

– Bez. Mam zamiar zająć się tą sprawą i nie wiem, jak zacząć. Co o tym myślisz?

Herbert Abbing nagle stracił ojcowskie ciepło i przyodział minę zatroskanego

polityka.

– Poczekaj kilka dni, zanim zaczniesz swoje dziennikarskie śledztwo. Daj mi trochę czasu na sprawdzenie kilku faktów i tego nazwiska: Alister Swan. Nigdy nie obilo mi się o uszy. Po prostu nie chcę, żebyś bez sensu traciła czas na, być może, wymyślone historie.

Reakcja ojca lekko zdziwiła Lię.

– Jak sobie ekswiceminister życzy – żartobliwie próbowała odprężyć wyraźnie zatroskanego ojca.

– Nalej mi jeszcze wina i poczekaj tu, zaraz wrócę. – Herbert wstał i ruszył w kierunku zaplecza restauracji.

Po powrocie położył list na stole.

– Czy coś oprócz kariery dzieje się w twoim życiu? Jakiś nowy facet nie kręci się koło mojej córki? Mam już sześćdziesiąt pięć lat i nadchodzi czas na wnuki!

– Tato!!

Przez resztę wieczoru nie wrócili już do tematu listu bez adresu i adresata.

Dochodziła trzecia nad ranem, kiedy Alberta obudził służbowy telefon satelitarny.

– Szefie! Jesteśmy w drodze do Warszawy. Spędziliśmy w klasztorze ponad pięć godzin.

– Macie ich?

– Nie. Nie było ich w klasztorze. Przeszukaliśmy dokładnie każdy kąt.

Przesłuchaliśmy też siostrzyczki.

– Gdzie więc jest Van Daren?

– Wygląda na to, że mniszki tego nie wiedzą.

– OK. Mów po kolei.

– Dolecieliśmy samolotem German Wings do Gdańska. Cztery godziny jechaliśmy po tych cholernych, dziurawych drogach i na dodatek, co chwilę, polska policja chciała nam dawać mandaty za przekroczenie prędkości.

– Spotkałeś naszych Polaków?

– Tak, dopiero w samej wiosce Wigry. Od soboty, dzień i noc obserwują dojazd do klasztoru i, w przebraniu policjantki, Alicja sprawdzała wszystkie samochody opuszczające wyspę. O tej porze roku nie ma tu zbyt wielkiego ruchu. Jedyne moment, kiedy oboje mogli wyjechać z wioski, był w zeszłą niedzielę. Jeden z zakonników wyjechał do pobliskiego miasta, wysyłając sygnały z pluskiew

przypisanych Van Daren i...

– To już wiem. Co dalej? – przerwał niecierpliwie Weiss.

– Wczoraj około dziewiątej wieczorem wysłaliśmy Alicję do klasztoru z zapytaniem o możliwość noclegu. Niestety, po sezonie nie wynajmują pokoi turystom. Musieliśmy użyć umiarkowanej przemocy, żeby dostać się do środka.

– Uszkodzenia ciała, ofiary?

– Nie. Polacy szybko zrozumieli nasze krzyki. Stworzyliśmy standardową atmosferę terroru. Na terenie zabudowań był jeden mnich i pięć mniszek. Na początku byłem zmuszony trochę potrząsać tym facetem. Chciał być bohaterem i przybierał jakieś dziwne postawy, nie wiem. Może to miała być jakaś lokalna, polska odmiana kung-fu? Zamknęliśmy ich wszystkich w kuchni i prawie pięć godzin czesaliśmy wszystkie kąty.

– Jakież ślady?

– Tak. Najpierw zauważyłem ścieżkę na tyłach budynków gospodarczych, prowadzącą do zardzewiałej furtki w murze. Wysokie chwasty były niedawno połamane i ukruszona rdza z zawiasów. Wszyscy powtarzali, że nie widzieli żadnej kobiety z dzieckiem. Rozgościliśmy się. Mirosław oznajmił im, że telefon został odłączony i że zostajemy tak długo, aż sobie przypomną, gdzie jest kobieta, której szukamy. W końcu jedna z zakonnicek, ta najgrubsza, zaczęła się łamać. Płacząc ze strachu, pokazała mi miejsce, w którym przez dwie noce ukrywała się Van Daren z dzieckiem. Obiecałem, że jeżeli mi powie prawdę, to sobie pójdziemy i nikomu się nic nie stanie. Ten mnich, Piotr, który leży w szpitalu po wypadku, zorganizował prowizoryczny pokój pod podłogą spiżarni i podobno nic nikomu nie powiedział. Pod częścią klasztoru i kościoła ciągnie się sieć szesnastowiecznych piwnic, zaspanych w większości gruzem i ziemią. Żeby nie płacząca siostrzyczka, nigdy byśmy tego miejsca nie znaleźli. Van Daren spędziła tam dwie noce, od soboty do poniedziałku. W poniedziałek powiedzieli jej o wypadku. W nocy zniknęła wraz z dzieckiem. Zniknęła też stara łódź, leżąca od lat w trzcinach za murem, niedaleko tej starej furtki.

– Myślisz, że to prawda?

– W kryjówce były dwie prycze do spania, koce, dziecięce rysunki i czasopisma w języku angielskim. Na koniec jedna z sióstr zapytała, czy ten mnich, Piotr, jest ojcem tego dziecka.

– Masz jakiś pomysł? Gdzie oni mogą teraz być?

– Minęło czterdzieści osiem godzin od ich zniknięcia, to bardzo dużo czasu. W biurze, w kuchni i na dziedzińcu założyliśmy kamery. Założyliśmy pluskwę w jedynym samochodzie, jaki po wypadku pozostał w zakonie.

– Wracajcie w okolice klasztoru i rano przeszukajcie okolice jeziora. Pytaj. Proponuj gotówkę za informacje. Szukaj.

Niestety, nie był to ostatni telefon tej nocy. Kiedy Albert Weiss próbował zebrać myśli w krótki, logiczny raport, telefon zadzwonił ponownie. Nie przedstawiając się, męski głos poprosił do telefonu dyrektora Salvatore Rodrigueza. Albert obudził Sala.

Rozmowa nie trwała zbyt długo i jak nigdy, polegała raczej na słuchaniu i potakiwaniu. „Niedobrze.”

– Kto to był?

– Senator Gus Mossby z Denver. Przed chwilą otrzymał faks z Holandii od jakiegoś wiceministra.

– O co chodzi?

– Wygląda na to, że chodzi o ten sam list, który otrzymał Vanderbilt Jansen. Mossby był wściekły. Groził, że nasz brak odpowiedzialności dotrze do samego prezydenta i pytał, ile jeszcze lat nam potrzeba, żeby zakończyć czterdziestoletnią sprawę?

– W ciągu kilku godzin list dotarł aż tak wysoko?

– Sukinsyn nie blefuje!

– To nie koniec złych wiadomości. Vincent nie odnalazł Van Daren. Nie było jej w klasztorze – kontynuował Albert.

– Przesłuchali zakonników?

– Tak, i znaleźli kryjówkę. Niestety, wygląda na to, że kobieta spanikowała po wypadku tego mnicha, kolegi szkolnego Barskiego. W poniedziałek w nocy zniknęła ze swojej kryjówki w piwnicy pod klasztorem.

– Co dalej?

– Vincent i jego ludzie mają przeszukać okolice jeziora Wigry... Tyle że minęły już ponad dwie doby od ich ucieczki.

– Myślałem, że nasi ludzie mają drogi dojazdowe pod opieką?

– Podobno wymknęła się nocą, łodzią.

– Co dalej? Co, kurwa, dalej?

– Zabierzmy się ostro za Barskiego. Moja cierpliwość do tego faceta dobiegła końca.

– Rano mają przywieźć ten sprzęt do S.D.

– Osobiście nie lubię tego rodzaju przesłuchań, ale tym razem sam wezmę w tym

udział.

– Obudź tych dwóch Niemców. Niech przygotowują ten mały pokoik nad garażem. Będziemy pracować na zmiany: ty, ja i Monica.

– Podobno Barski powiedział Monice, że zna te dokumenty na pamięć.

– Pomożemy mu je spisać na papierze i zapomnieć raz na zawsze wszystko, co wie. Ból czyni cuda.

Na podstawie moich obliczeń oceniłem, że była środa rano. Obudzony, leżałem na pryczy w moim pokoju, w mojej celi. Niepokoił mnie fakt, że nadal byli dla mnie w miarę uprzejmi i nawet częstowali cygarami. Dałem im trochę popalić całą serią nieprzyjemnych odpowiedzi i, zgodnie z zasadami logiki kryminalnej, już dawno któryś powinien mnie chociaż spoliczkować czy kopnąć. To byli profesjonaliści. Ten stary zaczął babrać się w tym gównie, jak mnie jeszcze na świecie nie było. Ich cierpliwość i uprzejmość tłumaczy jedynie fakt, że mają na ręce „pokera królewskiego” – czyli czekają na przyjazd Vicky i Tomka. Próbowałem wyobrazić sobie moment, kiedy zobaczę moich bliskich. Co mogłem zrobić, żeby zapewnić nam wolność i bezpieczeństwo? Poprosić o papier? Napisać list, słowo w słowo? Dać im namiar na pendrive’a pod drzewem Anneke Daan w Amsterdamie? Gdybym tylko wiedział, co dzieje się w Polsce! Nie miałem wystarczających danych, żeby zaplanować dalszą linię zeznań i propozycji. Każdy następny krok mógł okazać się błędem nie do naprawienia.

Klucz w zamku mojej celi ustawił myśli w szeregu.

– Ubieraj się, idziemy! – rozkazał Niemiec w czarnym golfie, kalecząc potwornie język angielski.

„Czy zaraz zobaczę smutną twarz Vicky?”. Umyłem szorstką, nieogoloną twarz w misce z wodą. Ubrałem się. Kiedy wychodząc na korytarz mijałem Niemca w drzwiach, poczułem ból. Wielka łapa zacisnęła się na mojej szyi.

– Idź powoli, ręce złożone z tyłu i nie próbuj głupich sztuczek!

Żeby nie ta mało śmieszna sytuacja, to ten potworny akcent rozśmieszyłyby mnie do łez. Popchnął mnie twarzą na ścianę. Wyczułem definitywny koniec uprzejmości i początek złości. Niemiec kopnął mnie i popchnął jeszcze kilka razy. Poczułem się jak w *Stawce większej niż życie*. Przez tylne drzwi wyszliśmy do ogrodu, minęliśmy podjazd, na którym stały dwa czarne samochody i weszliśmy do garażu. Ta chwila, najwyżej dziesięć kroków na powietrzu, podziałało oczyszczająco. Przez całe moje

życie spędzałem na powietrzu co najmniej dwie godziny dziennie i bardzo mi tego brakowało w niewoli. Wewnętrzne schody prowadziły na piętro.

– Siadaj! – dalej bez uprzejmości popchnął mnie w kierunku stalowego taboretu, po czym wyszedł, zamykając drzwi.

No i wylądowałem w prawdziwym pokoju przesłuchań, wyjętym prosto z filmu o KGB lub nowojorskiej policji. Pod przeciwną ścianą stało drewniane biurko. Za biurkiem siedział młody elegancik. Tym razem nie miał krawata ani marynarki, a podwinięte rękawy białej koszuli zapewniały, że jest gotowy do akcji. Pod małym oknem, oparty o ścianę, stał stary, rytmicznie stukając o obcas buta długą aluminiową linijką. Też, jak elegancik, wysyłał sygnał gotowości do rozlewu krwi. Na krześle po przeciwnej stronie tego niewielkiego pokoiku nad garażem siedział „dobry policjant”, czyli moja koleżanka z pociągu, która, jak się domyślałem, była odpowiedzialna za wytropienie mnie w Amsterdamie. Ta z kolei miała minę zatroskaną i wyraźnie nie była zadowolona z tego, co miało się wydarzyć. Odsunięta spódniczka ukazywała nieźle kolana i uda. Obok taboretu, na którym siedziałem, znajdowało się coś w rodzaju mównicy, czyli pulpitu ozdobionego siecią kabli elektrycznych i plastikowych pasków. Naprzeciwko, jak przystało na salę przesłuchań, wpatrywały się we mnie dwie, jeszcze niewłączone lampy. Co dziwne, nigdzie nie zauważyłem dużego lustra weneckiego, z którego można obserwować przesłuchanie i robić notatki.

– Wczoraj byłeś bardzo mało kooperatywny – zaczął stary. – Czy po dobrym obiedzie udało ci się dojść do nowych wniosków? – nie był to wstęp na najwyższym poziomie. Postanowiłem milczeć, jak długo się da.

– Niestety, dzisiaj milczenie już nie jest twoim prawem, a wszystko czego nie powiesz, będzie użyte przeciwko tobie – to całkiem niezły tekst. Uśmiechnąłem się i w tym momencie aluminiowa linijka wylądowała płaską stroną na moim prawym policzku. Zapieкло.

– To nie był żart! Ostatnie, co mi przychodzi do głowy, to żarty! – krzyknął stary.

Młody wstał zza biurka i, przechodząc obok mnie, kopnął w nogi taboretu. Znalazłem się na podłodze i zanim wstałem, jego błyszczący lakier przybił moją dłoń do parkietu. Bolało, zgodnie z zamiarem. Nagle linijka dosięgła do drugiego policzka, a kopnięcie wybiło powietrze z moich płuc.

– Możesz wszystko powiedzieć normalnym głosem albo wybełkotać, sepleniąc przez wybite zęby i łyzy. Masz tylko te dwa wyjścia – wycodził przez zaciśnięte zęby młody, ściskając w rękę moją twarz.

Koleżanka z pociągu stała przy oknie odwrócona tyłem, wyraźnie odcinając się od metod męskich, a może się myliłem i za chwilę i ona miała się dołączyć, podbijając

mi oko? Do pokoju wszedł Niemiec. Poderwał mnie z podłogi, jakbym nic nie ważył, i postawił mnie przy pulpicie. Obie ręce w nadgarstkach przypiął plastikowymi pasami do blatu mównicy, a nogi w kostkach do dwóch metalowych uchwytów wystających z podestu, na którym mnie postawił. Poklepał mnie po twarzy, po czym bez słowa wyszedł.

– Jak się nazywasz?

– Jan Barski.

– Adres?

– Tam, gdzie zakładaliście podsłuch i kamery, i tam, gdzie otruliście mojego psa.

Tym razem kant linijki trafił moją lewą dłoń przypiętą do pulpitu. Uderzone kostki dłoni bardzo bolały, i nawet nie mogłem cofnąć rąk ani uchylić się od uderzenia. Ból wycisnął pierwsze łzy.

– Adres?

– Dom, w którym otruliście mojego psa.

Tym razem młody uderzył mnie w twarz. Cios był szybki. Potem zrobił krok do tyłu, jakby się bał, że mu oddam. „Jeszcze nie teraz, ale oddam na pewno”. Trzasnęły drzwi. Kobieta wyszła z pokoju, a stary za nią.

– Gdzie schowałeś dokumenty? Pomyśl ile niepotrzebnego cierpienia...

– List i reszta pieniędzy są w Banku of Nova Scotia w Montrealu, Rue St. Joseph 265. Skrytka na hasło: RL7764VOR881A – wyrzuciłem z siebie jednym tchem.

Elegancik podszedł bliżej uważnie mi się przyglądając.

– Powtórz.

– Trzeba było zapamiętać.

– Powtórz! – łapie mnie za gardło.

Powtórzyłem wolniej, żeby mógł zapisać. Wyrwał kartkę z notesu i wyszedł. Zostałem sam. Dotychczasowy scenariusz naprawdę przypominał mi jakiś film z lat sześćdziesiątych. „Nazwisko? Adres?” Czekałem na zdanie: „jeszcze będziesz śpiewał, ptaszku” czy coś podobnego. Brak fantazji tych ludzi był żenujący, choć prawdę mówiąc, życzyłem sobie, żeby żaden z nich nie był dentystą i że nie oglądali *Maratończyka* w ramach kursu szkoleniowego. Nie lubię, jak ktoś mi dłubie w zębach.

Na dosyć długo pozostawili mnie w spokoju. Minęło pewnie z półtorej godziny, jak tak stałem sam na tej mównicy, bez publiczności. „Swoją drogą, ciekawe, do czego służy to całe urządzenie?” Wrócili. Pierwszy wszedł Niemiec. Następny odcinek *Stawki większej niż życie*. Odpiął mnie z plastikowych pasków, pokazał na ten sam taboret.

– Siadaj.

– Zgadza się. Taka skrzynka depozytowa naprawdę istnieje. Nasz człowiek jest w drodze do Montrealu. Za dwie-trzy godziny dostaniemy potwierdzenie, czy zawartość skrzynki zgadza się z tym, co powiedziałaś.

– Nie uda mu się otworzyć tej skrzynki, jeżeli jeszcze raz mnie uderzysz.

– Może nie będę musiał. Wygląda na to, że zacząłeś się komunikować.

Stary został za biurkiem, a reszta wyszła. Analiza wydarzeń ostatnich godzin napawała mnie nadzieją. Dzień wcześniej nie dawali się sprowokować moim opowieściom o cwany niedźwiedziu. Teraz dostałem po buzi i po łapach za oskarżenie, że zabili mojego psa. Coś wydarzyło się od wczoraj, że dzisiaj zaczęło im brakować cierpliwości. Poprzednio odniosłem wrażenie, że czekamy na przyjazd Vicky i Tomka, żebym zaczął śpiewać. Nagle przesłuchanie rozpoczęło się bez nich i to znacznie bardziej brutalne niż dotychczas. Nie chciałem pompować w siebie złudnych nadziei, ale coś mi się zdawało, że ich plany związane z pojawieniem się mojej rodziny na scenie tego marnego teatru gdzieś zostały pokrzyżowane. „Jeśli Vicky i Tomek są bezpieczni, to może nie starczy fantazji tym skurwysynom, żeby mnie złamać”.

Ciężarówka zatrzymała się przed jednym z szarych bloków mieszkalnych na Lvovo Gatve w południowej części Wilna. Zewnętrzne ściany oplatała sieć rusztowań, a przy barakowozach robotnicy szykowali się do pracy, paląc papierosy. Była ósma rano.

– Zaczekajcie tu, zaraz wrócę – kierowca trzasnął drzwiami i ruszył przez rozkopane podwórze w kierunku wejścia. Trzaśnięcie drzwiami obudziło Tomka.

– Gdzie jesteśmy? Gdzie tata? – widać było zmęczenie w podkrążonych, zaspanych oczach malca.

Vicky nie zmrużyła oka całą noc. Oglądała zapuszczone wsie, rozrzucone po drodze, błotniste drogi, stare pochylone dachy chałup. Jakże różny krajobraz od europejskiej, kwitnącej Warszawy. Olbrzym Zygmunt wrócił po dłuższej chwili i wszedł do środka.

– OK, sytuacja wygląda tak: dziesięć tysięcy dolarów i załatwiam wam wszystko, czego potrzebujecie.

– Dziesięć tysięcy? – rzeczywistość robienia interesów w kraju rozwijającym się nagle przeszła samą siebie. – Mówiłeś o dwóch tysiącach.

– Poczekaj, to nie cena poszła tak drastycznie w górę, tylko usługa się zmieniła.

Doliczyli zmianę wyglądu: ufarbują ci włosy i zmieniają fryzurę. Dostaniesz estońskie paszporty zamiast tych dla głuchoniemych i co najważniejsze, bilety lotnicze do Australii.

– Dziesięć tysięcy to...

– Same bilety przez Helsinki i Bangkok będą was kosztowały siódemkę. Reszta to dokumenty, ubrania mieszkanie, jedzenie, no i dyskrecja – Vicky zastanowiła się przez chwilę. Zaufanie do tych ludzi było jedynym wyjściem.

– Masz rację. Nie pomyślałam o cenie biletów. Zgoda. – Vicky otworzyła wewnętrzną kieszeń plecaka.

– Daj mi trzy tysiące teraz, a resztę damy im, jak się poznamy.

– OK – odpowiedziała, a wielka łapa zabrała plik banknotów.

– Osobiście obiecuję ci, że wszystko będzie załatwione. W końcu obiecałem to bratu mnichowi, a z mnichami lepiej nie zadzierać. Ha, ha, ha.

„Śmiech tego człowieka można by sprzedawać na płytach.” Wyszli i powoli, po pływających w błocie deskach, dotarli do pachnącej stęchlizną klatki schodowej. Na trzecim piętrze Zygmunt zapukał do drzwi.

– Prosimy, prosimy – po polsku zaprosiła ich otyła kobieta około pięćdziesiątki, z papierosem w ręku i pokazała na drzwi małego pokoju z rozkładaną sofą i małym telewizorem.

Oprócz gospodyni w mieszkaniu był jeszcze, gęsty jak londyńska mgła, dym papierosowy, w którym można było się ukryć, po prostu stając na środku pokoju. Zygmunt, schylając się w drzwiach, wszedł i położył bagaż na podłodze.

– To będzie wasz pokój do czasu, aż załatwię wam bilety. Zaraz będzie śniadanie. Pani Wanda nie mówi za dobrze po angielsku, tylko troszkę po francusku. Mówisz po francusku?

– Ja mówię – po raz pierwszy odezwał się dzieciak.

– Ja też trochę. Francuski jest obowiązkowy w kanadyjskiej szkole.

– To nic nie znaczy. W komunistycznej Polsce rosyjski był obowiązkowy, a mało kto umiał policzyć do dziesięciu.

– Jakoś się dogadamy.

– Po południu wróci z pracy córka pani Wandy. Ona mówi trochę po angielsku.

Za zamkniętymi drzwiami kuchni, kierowca i gospodyni przeprowadzili długą, intensywną i czasami głośną dyskusję, finalizującą wszystkie szczegóły. Na znak pomyślnie zakończonych negocjacji, w chmurze dymu papierosowego, ukazały się dwie uśmiechnięte twarze. Zygmunt rozłożył ramiona na pożegnanie i oboje, mama z Tomkiem, zniknęli w nich jak w konarach dębu.

– Trzymajcie się dzielnie. Wszystko będzie dobrze. Cały zakon Kamedułów modli się za was. Ha, ha, ha.

– Dziękuję baco – wyszeptała po polsku Vicky.

Zygmunt zostawił jeszcze numer swojej komórki i wyszedł. Na śniadanie były jajka na miękko, kawa z fusami w szklance i pyszne chrupiące bułeczki. Vicky zjadła z apetytem, natomiast malec wypił tylko trochę mleka i smutny przytulił się do mamy. Mijał tydzień tej szalonej podróży i widać było, że stres, który tak dzielnie ukrywała przed dzieckiem, zaczynał powoli przeciekać przez pęknięcia w zewnętrznej fasadzie dzielności. Tomek ani nie płakał, ani nie zadawał pytań. Po prostu leżał, mocno wtulony w piersi mamy. Baterie odwagi ośmiolatka prawie się wyczerpały i nadszedł czas na doładowanie. Vicky milcząc, głaskała swojego chłopca po głowie i przypominała sobie wszystkie dobre momenty, które we trójkę przeżyli. Uspokoila się trochę i powoli razem przekroczyli niewidzialną granicę następnego, nieznanego etapu tych bardzo dziwnych wakacji. Przed obiadem gospodyni Wanda zapukała do ich pokoju.

– Chodź, chodź – pokazała na krzesło, ustawione na środku kuchni.

– Ty, ty – Tomek usiadł pierwszy, patrząc na mamę z wielkimi znakami zapytania w oczach.

Pani Wanda, z nierozłącznym papierosem w ręku, obwinęła małego białym prześcieradłem i zabrała się do strzyżenia. Trzeba przyznać, że robiła to szybko i z dużą wprawą, nie wyjmując papierosa z ust. Kiedy skończyła, przyniosła jeden z paszportów, jeszcze bez wklejonego zdjęcia. Pokazała palcem na jedno słowo pod zdjęciem.

– Czerwone. Włosy czerwone – powiedziała po francusku i tym samym palcem pokazała na głowę Tomka.

– Co ona będzie ze mną robiła?

– Nic się nie bój. Pomaluje ci włosy na jasny, rudy kolor, bo tak jest napisane w nowym paszporcie – uspokoila mama, szybko orientując się w sytuacji.

– Na rudo? Czy to paszport ma wyglądać jak głowa? Czy głowa jak paszport? – zapytał chłopiec z prawdziwym, zdziwionym oburzeniem. Vicky wybuchła śmiechem, takim prawdziwym śmiechem, w którym wśród łez topnieją stesy i lęki. Wanda, nic nie rozumiejąc, najpierw patrzyła to na Tomka, to na Vicky, aż w końcu sama zaczęła się śmiać, zarażona tą eksplozją emocji. Było bardzo wesoło, aż do momentu, kiedy przyszła kolej na mamę. Z długich kruczoczarnych loków została modna fryzurka, zaledwie przykrywająca uszy, coś jakby „Kleopatra prosto po wizycie u fryzjera”. Victoria obejrzała się z przodu i z tyłu w dwóch lusterkach,

z podziwem kiwając głową.

– Całkiem nieźle. Co myślisz mały?

– Ładnie. Podobasz mi się, ale to jeszcze nie koniec – pochwalił rudy Tomek, śmiejąc się pod nosem i oglądając pudełko farby do włosów Natural Match z napisem po angielsku: „skandynawski blond”.

Podał pudełko mamie z sadystyczną, dziecięcą radością.

– O, nie! – krzyknęła Vicky.

„Za późno. Dokumentacja, której szukasz, już nie istnieje. Na polecenie zamordowanego autora, Alistera Swana, została zniszczona. Zatrzymaj pięćdziesiąt dolarów za fatygę”. To jest treść jedynej kartki papieru, napisanej odręcznie i pozostawionej w tej skrytce w Montrealu – z tymi słowami wszedł do pokoju Albert.

– Kto to napisał? – zapytał Salvatore.

– No właśnie. Wysłali zdjęcie tej kartki do Bostonu i teraz przyszła odpowiedź: Barski.

– To niemożliwe. Po śmierci Swana Barski nie był w Montrealu. Był pod całodobową obserwacją, a wycieczka z Toronto do Montrealu i z powrotem zajmuje ponad dziesięć godzin – stwierdziła Monica.

– Barski. Na sto procent Barski napisał te słowa własnoręcznie – powiedzieli.

– Czy to znaczy, że jest jeszcze ktoś, z kim się skontaktował i podał tej osobie ten list?

– Nic z tego nie rozumiem.

– Natomiast ja rozumiem jedno. Był następny telefon. Tym razem z Waszyngtonu. Senator Mossby poinformował centralę o listach do holenderskich gazet. Centrala pyta, czy potrzebujemy pomocy.

– Co im powiedziałaś?

– Powiedziałem, że wszystko jest pod kontrolą, i to prawda. Tylko nie wiadomo pod czyją.

Bez słowa, bez gróźb i bez szturchańców znów zostałem ustawiony na mównicy. Ręce i nogi, tak jak poprzednio, wpięte w plastikowe pasy. Czułem, że byli na mnie bardzo źli. Pewnie znaleźli list w Montrealu. Potem bez słowa wyszli, zostawiając mnie w pozycji stojącej na trzy godziny. Po południu wrócił młody.

- Kto zostawił tę kartkę w skrytce w banku?
- Ja.
- Ty to napisałeś. To prawda. Moje pytanie brzmi: kto włożył ją do skrytki?
- Ja.
- To nieprawda. Od momentu powrotu z Parku Killarney nie byłeś w Montrealu.
- Skąd wiesz?
- Byłeś pod stałą kontrolą. Mamy zanotowane wszystkie twoje wyjścia z domu.

Pytam jeszcze raz: Kto z tobą współpracuje?

- Nikt. Ja sam byłem w Montrealu.

Podszedł bliżej i z sadystycznym uśmiechem uderzył mnie pięścią w ucho.

Dzwonienie połączone z gwizdem zagłuszyły jego dalsze słowa. Nie musiałem go dalej słuchać. Po szyi pociekła ciepła struga, jak się inteligentnie domyśliłem, struga krwi. Znowu zostałem sam na mojej mównicy. Zaczynałem czuć zmęczenie w nogach i pragnienie w gardle. Czuję, że ucho spuchło i dzwony przestały bić. Tym razem weszła ta „dobra” osoba, moja prawie przyjaciółka. Przyniosła mi wodę w butelce i napoiła, bo nie mogłem używać rąk.

– Jak ten list znalazł się w Montrealu? – zaczęła wszystko od nowa, jakby to było dla nich najważniejsze.

- Napisałem go tam na miejscu i zostawiłem w skrzynce.

– Kiedy byłeś w Montrealu?

– Jeśli powiem prawdę, to nie uderzysz mnie w drugie ucho, jak ten idiota, który dopiero uczy się zawodu?

Popatrzyłem jej prosto w oczy i zobaczyłem to. Satysfakcja. Ona też nie trawiła tego skurwysyna, który był jej szefem.

- Uważaj na słowa. Nie pozwalaj sobie za dużo.

– Jeśli powiem prawdę to, nie uderzysz mnie w ucho jak ten młody profesjonalista?

- Słucham... – zrobiła bardzo poważną minę, pomijając następną prowokację.

– Byłem w Montrealu we wtorek, pierwszego października.

Zastanowiła się przez chwilę.

– W nocy z poniedziałku na wtorek piłeś, po zakopaniu swojego psa. Wypiłeś całą butelkę szkockiej, po czym spałeś w piwnicy do popołudnia. Twój kac został uwieczniony na filmie.

– Prawdziwe były tylko moje łzy po utracie przyjaciela. Zabiliście psa, który towarzyszył mi wszędzie przez osiem lat i nie musiałem udawać smutku. Reszta to tylko przedstawienie przed waszymi kamerami, dopełnione waszą wyobraźnią. Tak

naprawdę, to wypilem tylko jedną szkocką, wyczołgałem się z piwnicy przez okienko i o dziesiątej rano byłem w banku na Rue St. Joseph. Teraz możesz mi przyłożyć, jeśli mogę prosić, w drugie ucho.

Wstała i wyszła. Mijały następne godziny. Za oknem zrobiło się już dawno ciemno, kiedy wszedł stary i „Bruner” w czarnym golfie. Rozplątali pajęczynę kabli. Niemiec rozciął nożem moje dzinsy na wysokości kolan i podłączył dwie elektrody. Następną parę przykleił do łokci oraz pod uszami i na skroniach. Nie wyglądało to za wesoło. Stary otworzył czarny neseser i podłączył go do gniazdka w ścianie. Zapaliły się kolorowe światełka. Pracowali w milczeniu i w ciszy, którą przerwał dopiero mój własny, histeryczny krzyk. Odretwiający ból przeszył moje ciało. Zniknął obraz, jak w czasie usterek na antenie. Zimny pot spłynął po wyprężonych mięśniach. Pierwszy, powoli, jak z oddali, wrócił słuch.

– To był tylko test. Przepraszamy za nieprzyjemne odczucia, ale musimy ustawić aparaturę, żeby cię nie upiec – zażartował „Bruner” swoim potwornym akcentem, po czym wyszedł. Powoli wracał wzrok i miękły mięśnie. Chciałem upaść, ale niestety nie miałem takiego luksusu.

– Twoja żona jest w drodze do nas. Niestety zaczęło nam bardzo brakować czasu. Niektóre szczegóły, które zacząłeś ujawniać, wyglądają na prawdziwe, ale jak już powiedziałem, trwa to za długo.

Zaraz po ujawnieniu miejsca lub osoby, która posiada wszystkie dokumenty, zostaniesz odłączony od tego urządzenia i będziesz mógł iść spać. Do tego momentu pozostaniesz w pozycji stojącej.

Podszedł do włącznika w ścianie i obydwie słońca rozbłysnęły oślepiająco przed moją twarzą.

– Zasady są proste: będziesz zmęczony i spragniony. Dostaniesz odrobinę wody, żeby nie umrzeć. Jeśli zaśniesz na stojąco, po pięciu minutach automatycznie włączy się budzik, czyli to urządzenie, które przed chwilą testowaliśmy, i tak dalej, i tak dalej, do skutku. Masz jakieś pytania?

– Nie – usłyszałem dziwnie brzmiący własny głos.

– Jako ciekawostkę, dodam jeszcze, że historycznie i statystycznie rzecz biorąc, ta metoda jest w dziewięćdziesięciu pięciu procentach skuteczna. Pozostałe pięć procent to ci, którzy umarli na atak serca, zanim zdołali odpowiedzieć na pytania. Z powodu braku snu twój organizm przestanie spalać glukozę. Poziom cukru wzrośnie gwałtownie i po kilku dniach masz dużą szansę na zostanie cukrzykiem. Jeśli na przykład jesteś cukrzykiem, to radzę zacząć mówić od razu. Aha, jeszcze jedno: nikt nie przeżył bez snu dłużej niż dwanaście dni. Przy tym biurku zawsze będzie ktoś na

dyżurze. Wystarczy poprosić grzecznie o włączenie nagrywania i zacząć mówić.

Stary wyszedł, a miejsce za biurkiem zajął młody profesjonalista. Na razie jakoś nie chciało mi się spać.

Zmieniali się co kilka – może co cztery, pięć – godzin. Minęła pierwsza noc i jakoś udało mi się nie zmrzyć oka, pomimo potwornego zmęczenia. Od stania bolały mnie plecy, a oczy piekły jak na pustyni w czasie wiatru. Trzy lata temu, na początku maja, wyszliśmy wraz z Edim (moim towarzyszem wypraw) na południową krawędź Wielkiego Kanionu w stanie Arizona. Zerwała się burza i potworny wiatr, a zwykłe okulary przeciwsłoneczne nie chroniły oczu przed bijącym piaskiem. Chyba wybrałbym tamto pieczenie oczu, tamto zmęczenie i tamto piekące słońce, tyle że nie miałem takiego wyboru. Pamięć szoku elektrycznego pioruna świetnie motywowała do odpędzania snu. Nawet nie zastanawiałem się, co dalej, następny krok nie istniał. „Jeśli faktycznie wprowadzą do tego pokoju Vicky i Tomka, powiem wszystko, z nadzieją na litość. Jeżeli nie, to po prostu zawezmę się i sobie umrę.” Skąd nagle u mnie ta cholerna, bohaterska postawa? Już dawno temu postanowiłem, że to moje życie obędzie się bez żadnych wzniosłych celów, poświęceń w imię narodu, dobra ludzkości czy innych idei. To wszystko pompatyczne bzdury. Już dawno temu odkryłem, że poświęcenie bohaterskiej jednostki jest zazwyczaj bezdusznie wykorzystane przez jednostkę perfidną, która zazwyczaj jest bezpieczna i gdzieś tam w lśniącym pałacu liczy pieniądze.

Czy zaraził mnie fakt, że praktycznie przed moimi oczami Alister Swan poświęcił swoje życie dla sprawy? Spędziłem z nim osiem godzin przy ognisku. Wniosek: bohaterstwo jest chorobą zakaźną. „Nie chcę być bohaterem!” Zaraz poproszę koleżankę, siedzącą teraz za biurkiem na dyżurze, o szczepionkę na bohaterstwo. Zaśmiałem się na głos do własnych myśli. Dyżurna podniosła na mnie zdziwiony wzrok.

Dyrekcja agencji od lat wiedziała doskonale, że Vincent Rogov jest profesjonalistą na najwyższym poziomie. Profesjonalistą działającym indywidualnie, chronicznie niecierpiącym pracy zespołowej i podziału zadań. Gdyby już drugiego października zlecono mu opiekę nad tą Kanadyjką z dzieckiem, to dzisiaj nie byłoby tego całego zamieszania. Problem leżał nie tylko w poziomie przeszkolenia pozostałych członków

zespołu, ale również w ich osobistym stosunku do zleconej akcji. Dyskusje w zespole, burze mózgów szukające najlepszych rozwiązań, są niczym innym, jak dekoncentrującą stratą czasu. Podział na zadania w grupie powoduje tylko utratę widzenia całości. Wypaczone, fragmentaryczne widzenie sytuacji niepotrzebnie płące ścieżki prowadzące do skutecznego i szybkiego końca akcji. Podejmując bezdyskusyjne, własne decyzje, Vincent jest w stu procentach przekonany o ich trafności, a cała energia zostaje od razu skierowana na ich wykonanie.

Skuteczność Vincenta Rogova była dobrze znana w kołach zarządu agencji i tym bardziej irytujący stawał się fakt zmuszania go do pracy w zespole. Marnowanie talentu – tylko tak można to nazwać. Po raz pierwszy od kilku dni Vincent nareszcie został sam. Współpracownicy, w dwóch autach, rozjechali się w okolice klasztoru w Wigrach, w celu przesłuchania okolicznej ludności. Oczywista strata czasu. Za pomocą najmocniejszych zbliżeń satelitarnych, Vincent w skupieniu analizował możliwe drogi ucieczki z zakonu. Metr po metrze na ekranie przesuwawała się linia brzegowa jeziora Wigry, drogi dojazdowe, gospodarstwa rolne i wsie. Kiedy po raz kolejny obraz wrócił na mury i zarośnięty trzcina brzeg, zwrócił uwagę na podłużny kształt na granicy wody i gęsto zarośniętego krzewami ładu.

„Pień przewróconego drzewa?” Zbliżenie. Drewniana łódź nie dalej niż sto metrów od tej furtki, przez którą matka i dziecko rzekomo zniknęli w poniedziałek w nocy. „Nie użyli łodzi do ucieczki? Czy może ktoś ich przerzucił na drugi brzeg, a potem wrócił do klasztoru?” Na to pytanie można będzie odpowiedzieć tylko na miejscu.

Godzinę później, ubrany w jednoczęściowy kombinezon maskujący kolory jesieni, Vincent przesuwiał się powoli wzdłuż muru klasztoru, obserwując linię brzegową. Bez kłopotu odnalazł wywróconą do góry dnem łódź. Na podmokłej trawie znalazł ślad buta, za dużego buta jak na siostrę zakonną. Pod przewróconą łodzią trawa była jeszcze zielona. Łódź leżała tam najwyżej dwa-trzy dni. „Teraz nadszedł czas na prawdziwą pogawędkę” – pomyślał. Zardzewiała furtka została zablokowana z drugiej strony nową, niedostępną od zewnątrz kłódką. Zdjął plecak, wyjął linkę zakończoną małą kotwiczką i po kilku sekundach, leżąc na murze obserwował dziedziniec klasztoru i drogę pomiędzy eremami.

Po wieczornej mszy z kościoła wyszło kilka osób. Siostry rozeszły się do swoich miejsc noclegowych, a mnich zamknął bramę główną i posprawdzał posiadłość przed nocą. „Masz pecha mnichu. Jesteś jedynym człowiekiem, który mógł zostawić tak duży ślad w błocie” – pomyślał Vincent, wyjmując z plecaka swoją ulubioną Berette PX4.

Brat Andrzej sprawdził wszystkie bramy, drzwi i furtki. Na dworze wieczorna szarość przeszła nagle w ciemność nocy. „Musimy jak najszybciej załatwić jakiegoś psa, człowiek to może sobie sprawdzać” – pomyślał, wchodząc do swojego eremu, ostatniego w rzędzie południowym. Zgasił latarkę i zapalił światło. Na wieszaku koło drzwi powiesił kurtkę i zanim się odwrócił, usłyszał...

– Ciiisza – jakby głośny, dziwnie brzmiący szept.- Pooowoli.

Słowa wypowiedziane z obcym akcentem. Wolno odwrócił głowę i spojrzał prosto w stalową lufę pistoletu.

– Idzieeemy.

Mężczyzna w masce i stroju wojskowym zgasił światło i powoli otworzył drzwi na dwór. Andrzej wyszedł pierwszy, czując dotyk zimnego metalu w miejscu, gdzie na karku kończą się włosy.

– O co chodzi?

– Ciszsza. Idziemy – te same słowa powtórzył głos.

Po chwili doszli do furtki w murze i mężczyzna światłem małej latarki pokazał na kłódkę.

– Nie mam przy sobie klucza.

– Cisza.

Postać zbliżyła się do furtki i jedną ręką włożyła jakiś przedmiot w ucho kłódki. Suchy trzask i części metalu spadły w trawę. Wyszli nad brzeg jeziora. Mężczyzna wyjął z kieszeni coś na kształt telefonu.

– Siadaj.

Brat Andrzej posłusznie usiadł na trawie.

– Gdzie jest kobieta i dziecko? – po polsku zapytał metaliczny głos komputerowy z głośnika telefonu.

– Nie wiem. Wyjechała. Uciekła.

Krótką cisza.

– Nieprawda. Gdzie jest kobieta? – powtarzał głos.

– Nie wiem... – nie skończył zdania. Potwornie mocne uderzenie w twarz aż podniosło go do góry.

– Gdzie jest kobieta?

Półprzytomny zakonnik leżał na plecach w mokrej trawie, milcząc.

– Gdzie kobieta?

Silna ręka złapała go najpierw za włosy, potem za habit na karku, ciągnąc

w stronę jeziora. Mężczyzna wszedł po kolana do wody.

– Gdzie kobieta?

Nie czekając na odpowiedź, wcisnął głowę brata Andrzeja w błotnistą zawieszinę wodorostów. Panika. Brak powietrza. Bezsilność. Próbował się wyrwać, wstać. Wszystko na nic. Kiedy już był gotowy się poddać, ta sama silna ręka teraz wyszarpnęła jego głowę na powietrze. Przez własny stłumiony krzyk i kaszel wyplukanego błota, usłyszał znowu to samo metaliczne pytanie:

– Gdzie jest kobieta i dziecko?

Zanim wydobył z siebie głos, usta znowu wypełniło błoto. Pojawiły się błyski światła. Burza? Wszystko zaczęło zwalniać tempo. Panika ustąpiła obojętności. Znowu pozwolono mu oddychać. Tym razem na dłużej. Silna ręka wyciągnęła go z powrotem na trawę i jak stalowe imadło zacisnęła się na krtani.

– Gdzie?

– Wilno... Wilno... Litwa.

– Powtórz – dłoń podsunęła Andrzejowi pod usta ten sam telefon, który zadawał mu pytania.

– Wilno. Litwa.

– Gdzie Wilno? Adres?

– Wilno, Litwa. Nie znam adresu. Wilno... lotnisko.

Rozległ się stłumiony strzał.

Przypomniałem sobie: Yoga Khareshwari... Tak nazywa się forma medytacji yogi, polegająca na przebywaniu w pozycji stojącej przez długi okres czasu. Yoga podejmujący takie wyzwanie nie siada i nie kładzie się przez całe lata, stojąc oparty o wiszącą huśtawkę medytuje. Żeby uniknąć chorobliwego opuchnięcia nóg, może chodzić lub podwiązywać do góry nogę, zgiętą w kolanie. Ja niestety nie mogłem chodzić, a obydwie nogi miałem przypięte pasami do podłogi mównicy. Pod koniec drugiej nocy oparłem głowę o pulpit i na nieszczęście zasnąłem. Nie widziałem tam zegara na ścianie, ale z tego, co obiecywał któryś z tych dżentelmenów, to mogłem spać pięć minut, zanim włączyć się miał mój „budzik”. Obudził mnie mój własny krzyk. Ciało podłączone do takiego urządzenia samo krzyczy, bez wiedzy właściciela. Tak jak poprzednio w czasie próby, wszystkie mięśnie skamieniały na chwilę w porażającym cierpieniu po czym, z wielkim bólem, skurcz powoli zaczął ustępować. Może tylko zdrętwiałe nogi odczuły ten szok lżej. Pot, podobny do potu

w czasie gorączki, zalał mi plecy i twarz.

– Nadal nie masz niczego do powiedzenia? Poczekamy.

Jednostronną konwersację przeprowadził stary. Z jakiegoś powodu, przyglądając się temu człowiekowi przez całe godziny, doszedłem do wniosku, że duchowo nie bardzo był zaangażowany w akcję. Tak naprawdę, to najchętniej wyszedłby stąd, trzaskając drzwiami i poszedłby na ryby.

Poza bólem nóg i pleców i nieustanną walką ze zmęczeniem, było tam potwornie nudno, a brak snu przez ponad czterdzieści godzin zaczynał wywoływać we mnie dziwne emocjonalne nadreakcje. Czasem śmiałem się z własnych myśli, a czasem byłem bardzo zirytowany i gdybym mógł, to pewnie rzuciłbym się z pięściami na któregoś z tych dobroczynnych skurwysynów, którym na pewno wydawało się, że w imię dobra spraw wyższych wybierają mniejsze zło.

– Jak ci na imię? – zapytałem moją koleżankę, tropicielkę z pociągu.

– To nie jest dla ciebie ważne. W tej sytuacji nie mam imienia.

– Musi to być przykre uczucie, nie mieć imienia.

Mówienie sprawiało mi trudność. Mięśnie twarzy miałem jakby zdrętwiałe, a usta wypluwały słowa, sepleniąc. Co chwilę musiałem brać kilka głębokich oddechów. Brakowało mi tlenu w mózgu i stąd prawdopodobnie pojawiały się te zaburzenia mowy i pamięci. Zauważyłem z niepokojem, że ten długi okres bez snu zabiera mi powoli pamięć. Zacząłem przypominać sobie słowo po słowie treść listu Alistera. Okazało się to trudniejsze niż poprzednio. „Jeżeli uda mi się to wszystko przeżyć to założę klub miłośników snu i będę głosił całemu światu, jakim pięknym przeżyciem jest spanie”. Zaśmiałem się, ale coraz mniej jest mi do śmiechu. Rekord przeżycia bez snu wynosił – jak powiedział stary -dwanaście dni. Po dwóch dniach wydawało mi się, że zaczynam umierać. Ogarnął mnie smutek. Wspomniałem Vicky i mojego syna. Po policzkach pociekły łzy.

Tomek z radością oglądał litewski program dla dzieci. Nie rozumiejąc języka, doskonale wiedział, o co chodzi i śmiał się co chwilę. Chłopiec odprężył się trochę po wyjeździe z klasztornej lochu. Niestety, niepokój dręczący jego mamę narastał stopniowo i równomiernie. Przyklejała do twarzy uśmiech, oddychała głęboko i ziewała, udając głęboki spokój i znużenie, żeby tylko nie emanować paniką.

– Jak tak chodzisz co chwilę do okna i z powrotem, to przypomina mi się wyprawa z tatą, podczas której zasypał nas śnieg. Tata wtedy też co minutę patrzył na

dwór i kiwał głową.

Tomek miał najwyżej sześć lat, kiedy Janek zabrał go na wiosenną trzydniową wyprawę do drewnianej kabiny strażników na północy parku Algonquin. Na drugi dzień piękna kwietniowa pogoda przeobraziła się w wielogodzinną burzę śnieżną. Wrócili po tygodniu, a Janek opowiadał, jak narastało w nim uczucie paniki, gdy zaczęło kończyć się jedzenie i mały zaczął kaszleć, a od najbliższej drogi dzieliło ich dziesięć kilometrów lasu, przykrytego półtorametrową warstwą mokrego śniegu. Wycieczka skończyła się lekkim zapaleniem gardła i gorączką, ale jak widać, stres rodzica pozostał w pamięci chłopca.

Patrząc co chwilę przez okno, Vicky nie interesowała się stanem pogody. Zza firanki obserwowała parking przed blokiem, ulicę dojazdową, ludzi idących po pracy do domów. Wszystko wydawało się podejrzane.

Mijał drugi dzień bez ruchu. Nic się nie działo. Paszporty nadal nie miały zdjęć. Oddała resztę należnej sumy, a nikt nic nie mówił o biletach. W torebce zostało niecałe dwa tysiące dolarów. W rogu małego pokoju leżała spakowana torba, gotowa do odjazdu. Takie czekanie doprowadzało do szału, dając za dużo czasu na myślenie. W co ich Janek wpakował? Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak obco, całkowicie zdana na cudzą łaskę i uczciwość. „Boże, kiedy to się skończy? Jaki jest cel tego doświadczenia?” Strach o Tomka i Jana paraliżował myśli. Modliła się bardzo żarliwie o bezpieczeństwo najbliższych. Gruba gospodyni karmiła ich wyśmienicie, a mimo tego Vicky była pewna, że traci na wadze. Dżinsy zrobiły się luźniejsze.

Pod wieczór ktoś zapukał do drzwi. Jakiś mężczyzna wszedł do kuchni. Długo i niespokojnie rozmawiał z panią Wandą, chyba po litewsku. Następnie rozwiesili na szafie białe prześcieradło i na jego tle facet zrobił Vicky i Tomkowi zdjęcia polaroidem. Zabrał paszporty, aparat i wybiegł z mieszkania.

Gospodyni położyła na stole kalendarz i zegarek.

– Demain – udało jej się po francusku, pokazując na jutrzejszą datę. – Samedi, matin.

Ustawiła zegarek na dziesiątą trzydzieści.

– Helsinki – dodała chyba po angielsku, robiąc dłonią z papierosem obszerny gest startującego samolotu.

– Jutro, w sobotę, o dziesiątej trzydzieści rano lecimy do Helsinek – przetłumaczył Tomek.

– Na to wygląda – potwierdziła mama.

Tomek już chrapał, kiedy mężczyzna wrócił z gotowymi paszportami. Vicky nie zmrużyła oczu aż do rana, przeglądając w zupełnej beznadziei rozmówki estońsko-

angielskie, które załatwiła gdzieś pani Wanda. Upewniło ją to tylko, że język estoński jest niemożliwy do nauczenia. Po wczesnym śniadaniu, gospodyni rzuciła się Vicky na szyję i ze łzami w oczach rozdzieliła jej po policzkach nikotynowe pocałunki. Przerażony Tomek nie mógł złapać oddechu, w pożegnalnym uścisku wciśnięty pomiędzy olbrzymie piersi.

– Zadzwoń, jak doleciecie na miejsce! – po polsku, ale za to głośno i wyraźnie poprosiła pani Wanda, podając kartkę z numerem telefonu i zaraz dodała: – Telefon, telefon, OK?

Przed blokiem czekał na nich samochód, a kierowca wręczył Vicky kopertę z nadrukiem: „Finnair Airlines. Wilno-Helsinki, Helsinki-Bangkok, Bangkok-Sydney”, wszystko, jak obiecali.

Samochód ruszył w drogę na lotnisko.

Późnym wieczorem w piątek Vincent Rogov wrócił do wynajętego mieszkania na ulicy Krótkiej w Suwałkach. Przy stole, w jadalni, siedzieli już Alicja Iwańska, Mirosław Piotrowski oraz dwóch agentów z oddziału w Aachen.

– Jak minął dzień? Są jakieś nowe informacje? – zapytał, zatrzymując się w drodze do swojego pokoju.

– Właśnie pracujemy nad raportem. Nic. Ani śladu po Van Daren. A co u ciebie? Gdzie byłeś?

– Też rozglądałem się po okolicy. Nie jest dobrze. Pytaliście ludzi? Oferowaliście nagrodę pieniężną? – ostatnie pytania przybrały ton sarkastyczny i, nie czekając nawet na odpowiedź, Vincent zniknął za drzwiami swojego pokoju. Na białym dywanie jadalni zostały mokre, błotniste ślady butów.

Wziął prysznic, przebrał się i od razu zabrał się do dalszej pracy. Włączył laptopa i za pomocą kodu i tajnych haseł zalogował się do centralnej bazy danych agencji. Nazwisko Van Daren nie pojawiło się na liście operacji bankowych, kart kredytowych ani na żadnej z list pasażerów linii lotniczych na całym świecie. Tuż przed śmiercią mnich wyraźnie powiedział po polsku słowo „lotnisko”, które zostało nagrane i przetłumaczone. „Airport.” Zanim pociągnął za spust, mógł jeszcze zadać kilka pytań. Mnich zaczynał się komunikować. „No cóż” – pomyślał – „takie jest życie... takie było życie”. Uśmiechnął się sam do siebie. Dla pewności zapytał jeszcze Iwańską, czy nie ma innego znaczenia tego słowa.

Kirtimai Airport, tak nazywa się lotnisko międzynarodowe w Wilnie. Jeżeli

kobieta miała skorzystać z jakichś linii lotniczych, to nie pod swoim nazwiskiem. Na ekranie pojawiła się lista wszystkich pasażerów odlatujących z lotniska Kirtimai w ciągu najbliższego tygodnia. Zawęził pole poszukiwania do osób podróżujących w towarzystwie biletu ze zniżką dziecka. Pod dzisiejszą datą, czyli w piątek, odleciało z lotniska zaledwie siedem takich par. Sprawdził nazwiska i docelowe porty lotnicze. Warszawa, Moskwa, Kopenhaga, nazwiska prawie wyłącznie litewskie. Oprócz wielu wyuczonych zawodów, takich jak pilot helikoptera, operator dźwigów wielotonowych czy też kierowca wyścigowy formuły dwa, Vincent posiadał jedną bardzo ważną cechę, której żaden kurs na świecie nie oferował w swoich broszurach – intuicję. Patrząc na mapę, często udawało mu się wybrać właściwą miejscowość. Patrząc na zdjęcia twarzy, właściwą osobę. Nic na ekranie nie zwróciło jego uwagi. Przeszedł do listy z jutrzejszą, sobotnią datą. Tylko cztery pary. Dwunasty października, żadnych świąt, wakacji i innych powodów do podróży z dziećmi. Lotniska docelowe: znowu Warszawa, Helsinki... „Zaraz, chwileczkę”. Kobieta o nazwisku Maret Seep, podróżująca wraz z biletem zniżkowym dla syna Olev Seep miała wykupione bilety z przesiadkami w Helsinkach i Bangkoku, aż do Sydney w Australii? To zaczynało być ciekawe. Nazwisko Seep było estońskiego pochodzenia. „Dlaczego ktoś z Estonii leci do Helsinek z Wilna, jeżeli Finlandia leży bliżej Estonii? Taką daleką podróż z dzieckiem na pewno planuje się na wiele miesięcy wprzód”.

Vincent wyszukał datę wydania biletów na nazwisko Seep. Jedenasty października – to dzisiaj. W archiwum agencji znalazł zdjęcie Van Daren z dzieckiem. Zrobił zbliżenia twarzy i nacisnął „Drukuj”. W sąsiednim pokoju cała czwórka nadal dyskutowała przy stole.

– Hans, jutro rano będę potrzebował twojego bmw. Powinienem być z powrotem po południu. Możesz wziąć moje audi.

Nie było to pytanie czy propozycja, a raczej przedstawienie faktu.

– Gdzie jedziesz? Potrzebujesz pomocy? – zapytała Iwańska.

– Nie, muszę po prostu coś sprawdzić – powiedział głośno Vincent, a w myślach: „Żadnych zadań zespołowych, proszę! Odlot dziesiąta trzydzieści. Dwieście pięćdziesiąt kilometrów po dziurawych drogach. Wyjazd o czwartej trzydzieści. Do zobaczenia jutro, pani Victorio Van Daren... Maret Seep”.

Przez kilka godzin byłem pod opieką innego Niemca o asymetrycznej gębie, jakby namalowanej przez Picassa. Cała trójka Amerykanów dyskutowała zawzięcie kilka

pokoju dalej. Zbliżała się czwarta noc i skupienie myśli na jakimś konkretnym temacie stanowiło już prawdziwe wyzwanie. Nie zasnąłem więcej. Opuchnięte nogi próbowały wydostać się z butów. Te kilka kroków, które mogłem zrobić co kilka godzin w drodze do ubikacji i z powrotem, przynosiły mi niesamowitą ulgę. Wieczorem miejsce za biurkiem zajęła koleżanka Monica. Usłyszałem jej imię kiedy Hitler... czy Bruner zwracał się do niej na korytarzu. Przyszła na dyżur z kubkiem gorącej, pachnącej kawy.

– Dzień dobry, Monico.

– Dzień dobry, Janie Barski. Gdzie usłyszałeś moje imię?

– Intuicja.

– Aha. A czy przypadkiem ta sama intuicja nie podpowiada ci, że twój czas na rozmowę dobiega końca?

– Myślisz, że już niedługo umrę? To by się zgadzało, bo tak właśnie się czuję.

– Jutro rano przylatuje po ciebie specjalny samolot z Waszyngtonu i będziemy musieli się rozstać.

To coś nowego. Zaskoczyła mnie ta informacja. Wyglądało na to, że nie wiedzą, gdzie jest Vicky. Niewiele miałem do stracenia.

– Chciałem ci coś opowiedzieć... Opowiem ci, jak pozwolisz mi usiąść na krześle i dasz mi butelkę wody.

Wstała i podeszła bliżej. Powoli odpięła moje ręce od pulpitu i podała mi wodę. Wypiłem wszystko, nie mogąc oderwać ust od butelki.

– Dziękuję.

Było to autentyczne, niesarkastyczne podziękowanie. Silnym ruchem, jak na kobietę drobnej budowy, odwróciła mównicę wraz ze mną bokiem do biurka i podstawiała za moimi plecami krzesło. Z wyraźną niechęcią wyciągnęła kabel mojego super-budzika z gniazdka w ścianie.

– Siadaj i opowiadaj. Nogi na razie zostaną przypięte – powiedziała, przypinając mały bezprzewodowy mikrofon do mojego kołnierza.

– Dziękuję – powtórzyłem, robiąc przerwę i zbierając myśli z olbrzymim wysiłkiem.

– Alister Swan nie wybrał mnie wcześniej do tego zadania ani nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy...

Opowiedziałem ze szczegółami o moim hobby, o wyprawach z plecakiem, o psie. O tym, jak przypadkowo Alister zatrzymał się na miejscu noclegowym zarezerwowanym przeze mnie, o naszej nocnej rozmowie, w czasie której nic nie wskazywało na to, że ten człowiek zwerbuję mnie do jakiegoś specjalnego zadania.

Monica słuchała w skupieniu.

– Przypadek. Los. Nie podjąłem jeszcze decyzji, co robić dalej z tą tajemniczą skrzynką depozytową w Montrealu, dopóki nie dowiedziałem się, że człowiek, który przed kilkoma godzinami mówił o niebezpieczeństwie, nie żyje. Później ty, albo któryś z twoich kolegów zabiliście mojego psa i to przesądziło o moich dalszych krokach. Daliście mi kopa do działania. Będę mówił dalej, ale teraz kolej na ciebie. Powiedz mi, co wiesz o mojej żonie i synu. Czy wiesz, gdzie teraz są?

– To nie ja zabiłam twojego psa, a co do twojej rodziny, to nieźle ich ukryłeś, bo nie możemy ich znaleźć.

Na chwilę ukryłem twarz w dłoniach, aż wzruszenie odpłynęło i pozwoliło mi znowu mówić.

– Czy wiesz czym, na początku swojej kariery, zajmował się profesor Alister Swan?

– Był biochemikiem i studiował genetykę, pracując dla przemysłu farmaceutycznego.

– Zgadza się. Przypadek i los, podobnie jak i w moim przypadku, spowodował, że Alister wraz ze swoim współpracownikiem, Kumarem Ramadirem, zadali oficjalne pytanie na temat skutków ubocznych farmakologicznych środków antykoncepcyjnych. Nie skończyło się tylko na pytaniu. Pharmaticus, tak nazywała się firma, dla której pracowali, zakończył oficjalne badania na ten temat, zanim się zaczęły. To wszystko działo się pod koniec lat sześćdziesiątych, między 1968 a 1970 rokiem. Młodzi naukowcy na własną rękę rozpoczęli serię eksperymentów, robiąc doświadczenia na rybach i myszach. Dane statystyczne, które zbierali w czasie badań bezspornie wskazywały na istnienie ciągle rosnącego trendu. Genetyka w tamtych czasach, jak pisze sam Alister, „była jeszcze w powijakach”, ale skutki, jakie wywoływały nowe pigułki antykoncepcyjne, nie tyle na samicę matkę, co na potomstwo w pierwszym pokoleniu, były oczywiste.

– Czy te dokumenty to właśnie wyniki tych badań?

– Między innymi, tak. Tak ta cała historia się zaczęła. Już wtedy wchodziły w grę setki tysięcy ludzi, których życie, dzięki tym skutkom ubocznym zostało bezpowrotnie zmienione. Przez ponad dwa lata obydwaj młodzi naukowcy w „podziemiu” kontynuowali swoje badania. W latach czterdziestych Amerykanie zaczęli eksperymentalnie podawać pigułki kobietom w ciąży... – tu przerwałem, szukając w pamięci tej długiej i trudnej do wymówienia nazwy – dietylstilbestrol, w skrócie DES, czyli syntetyczny estrogen, który miał na celu zapobieżenie poronieniom i przedwczesnym porodom. Zaburzenia hormonalne, jakie powodował

w organizmie kobiet, prowadziły do znacznego zwiększenia ryzyka zachorowania na raka piersi i raka macicy. W latach sześćdziesiątych podawano już DES rutynowo, mimo protestów niektórych lekarzy, twierdząc, że zagrożenie jest minimalne. Uzyskanie i produkcja tego leku kosztowały miliony i producenci, między innymi Pharmaticus, nie mieli najmniejszej ochoty zrezygnować ze sprzedaży i z zysku. W tych burzliwych czasach, w dyskusjach nad wpływem syntetycznego estrogenu na układ hormonalny i rozrodczy kobiety, pojawiło się następne pytanie, postawione przez Alistera i Kumara: jaki wpływ na rozwój potomstwa ma syntetyczny estrogen, będący głównym składnikiem środków antykoncepcyjnych?

– Czy udało im się na to pytanie odpowiedzieć? – zapytała Monica, nieprofesjonalnie przerywając nagrywany monolog.

– I tak, i nie.

Powoli mój biedny mózg rozkręcał się, a podniecenie i szybki oddech dotleniały go na tyle, że odrętwienie twarzy i seplenienie zaczynały stopniowo ustępować.

– I tak, i nie. Znaleźli odpowiedź, ale była to nie ta odpowiedź, na jaką liczyła firma i jej akcjonariusze. Podważono wyniki. Obaj naukowcy otrzymali ostrzeżenie za prowadzenie nieautoryzowanych badań i zakazano im wszelkich publikacji. Alister przemyślał sprawę i jako intelektualista szukał rozsądnego wyjścia z impasu. Impulsywny Kumar, po kłótni z kolegą, zaczął działać na własną rękę. Umówił się z jakimś, nieznanym mi z nazwiska, dziennikarzem w celu upublicznienia wyników. Co się stało dalej, sama wiesz. Musi to być w waszych tajnych archiwach.

– Z tego co wiem, to Hindus zginął w wypadku samochodowym.

– Tak. Podobnie jak Alister, trzydzieści osiem lat później, zginął zabity przez niedźwiedzia. Obydwaj zostali zamordowani przez agencję, dla której pracujesz, agencję działającą na polecenie grupy ludzi, do której dojdziemy później. Lista nazwisk też znalazła się w tych dokumentach, tyle że niepowiązana z wami. Do końca życia Alister nie wiedział, kto go śledzi i kim jesteście. Zgadł natomiast, i to dokładnie, na czyje polecenie to robicie. To, kim jesteście, odkrył dopiero przypadkowy wędrowiec z plecakiem, który wdepnął w to całe gówno, przypadkowo... i to dwiema nogami.

– Powróćmy do pracy naukowej Alistera Swana. Co takiego szokującego odkryli wraz z Kumarem, że wprowadziło aż tak wielką panikę?

– Pierwsze badania nad syntetycznymi hormonami zaczęły się już przed wojną. Jak już mówiłem, kosztowało to fortunę, a oczekiwano szybkich zysków. Zaczniemy od tego, czy wiesz, jak działają hormonalne, chemiczne środki antykoncepcyjne?

– Mniej więcej. Mów dalej.

– Otóż pigułka zawierająca głównie estrogen syntetyczny 17-alfa-... – znowu musiałem poszukać w pamięci. – 17- α -etinyloestradiol, dawkowany codziennie, oszukuje ciało kobiety. Nadmierna ilość tego hormonu przesyła informacje, że kobieta jest w ciąży i dzięki temu system wyłącza dalsze owulacje, uniemożliwiając prawdziwe zajście w ciążę. Firmy farmaceutyczne, nie tylko Pharmaticus, dosyć dokładnie przeanalizowały skutki uboczne mogące wystąpić u kobiet biorących pigułki. Za wszelką cenę należało się zabezpieczyć przed możliwymi pozwami sądowymi, bo przecież cały czas trwały gorące dyskusje nad przyczynami wzrostu zachorowań na raka piersi i raka macicy. Oficjalnie podawano, że mogą wystąpić bóle głowy, nudności, bóle piersi, wahania miesiączki i depresja. Dużo później dodano ostrzeżenie dla kobiet po trzydziestce o możliwym wylewie, ataku serca i zatorach układu krwionośnego. W tym momencie na scenę wkroczyły nowe zarzuty, że zwiększona obecność estrogenu w organizmie matki może mieć drastyczny wpływ na rozwój płodu. Jedyne skutki, jakie odniosły badania Alistera i Kumara, to dodatkowe referencje dla lekarzy przepisujących pigułki. Mieli oni ostrzegać kobiety przed zajściem w ciążę przed upływem pół roku od wzięcia ostatniej dawki, w celu uniknięcia... *niepożądanych skutków ubocznych*. Owe tajemnicze skutki uboczne nigdy nie zostały oficjalnie określone. Doświadczenia na myszach, którym wstrzykiwano estrogen, wykazały, że drugie pokolenie jest w dużym stopniu bezpłodne i że nie wykazuje zainteresowania seksem. Populacja ryb żyjących w wodzie zawierającej pewne stężenie estrogenu, zniknęła po jednym pokoleniu. W badaniach wykazali i potwierdzili statystykami oraz wywiadami, że jeżeli kobieta nagle przerwie dawkowanie pigułek i zajdzie w ciążę, to embrión w pierwszej fazie życia jest bardzo zagrożony zaburzeniami rozwoju. W zależności od czasu wzięcia ostatniej pigułki do zapłodnienia jaja, natężenie uszkodzenia się zmienia. Po dłuższym okresie, powiedzmy po pół roku, zagrożenie jest minimalne.

– Jakiego rodzaju zaburzenia wchodzi tu w grę? – zapytała Monica w skupieniu.

– Zaburzenia programowania i kształtowania części mózgu zwanej podwzgórzem INAH3, odpowiedzialnej między innymi za system seksualno-rozrodczy. Podwzgórze jest różne u mężczyzny i u kobiety. Męskie podwzgórze reguluje stałą, równomierną produkcję androgenu i testosteronu, a kobiece podwzgórze jest odpowiedzialne za stały dopływ estrogenu do systemu, w zależności od sytuacji: owulacja, ciąża, karmienie po porodzie. Ta część mózgu jest też ważną centralą, gdzie łączą się kanały chemiczno-hormonalne z układem nerwowym. To tu stany psychiczne mogą powodować zmiany w produkcji hormonów i odwrotnie, ilość hormonów może wpływać na funkcje psychiczne. Jeżeli obecność syntetycznego estrogenu jest wysoka

jeszcze w czwartym-szóstym tygodniu ciąży, kiedy embrion męski wykształca załączki jąder, powoduje to niedobór androgenów i testosteronu, czyli hormonów odpowiedzialnych za prawidłowy rozwój cech męskich. Funkcje mózgu podwzgórza embriona męskiego zostają zakłócone poprzez obecność dużej dawki estrogenów, czyli hormonu kobiecego. Krótko mówiąc – rodzi się homoseksualista. Autopsja mózgu homoseksualnego mężczyzny wykazała bardzo duże podobieństwo podwzgórza do podwzgórza heteroseksualnej kobiety. W przypadku embriona żeńskiego sytuacja wygląda trochę inaczej, aczkolwiek skutek jest podobny. Nadwyżka syntetycznego estrogenów zalegająca w łożysku matki sygnalizuje zatrzymanie produkcji estrogenów naturalnych. W późniejszym okresie ciąży następuje niedobór hormonów kobiecych i automatyczna zwiększona produkcja hormonu męskiego. Brak równowagi wpływa na strukturę podwzgórza embriona. Nic o tym nie wiedząc, rodzi się mała lesbijka. Jednak statystyki wskazują na dużo większą liczbę homoseksualistów płci męskiej, czyli wpływ syntetycznego estrogenów na podwzgórze embriona męskiego jest znacznie mocniejszy.

– Homoseksualizm występował zawsze w historii ludzkości – nie powstrzymała się od uwagi Monica.

– Naturalny homoseksualizm istniał zawsze. Być może był skutkiem zaburzeń hormonalnych albo struktury genetycznej matki. Statystyki jednak wykazują drastyczny wzrost, aż do dwustu procent, w okresie po drugiej wojnie światowej w krajach Europy Zachodniej i Ameryki Północnej. Oficjalnie jest to przypisane polityce otwartości i akceptacji odmiennej orientacji seksualnej w krajach rozwiniętych. Co do polityki łatwej dostępności pigułek antykoncepcyjnych w krajach rozwiniętych raczej się milczy. Doświadczenia prowadzone przez Alistera w prywatnym laboratorium, w piwnicy jego domu, już dawno wykazały destrukcyjny wpływ syntetycznego estrogenów na rozrodczość gatunków. Nie pozwolono mu ogłosić tych wyników. Zabito jego współpracownika. Śledzono i straszono przez lata. Teraz okazuje się, że populacje ryb żyjące w okolicach wód uzdatnianych przez oczyszczalnie ścieków giną z powodu wysokiego stężenia estrogenów. Oczyszczalnie nie są w stanie odfiltrować syntetycznych hormonów, spływających wraz z moczem tysięcy kobiet zażywających pigułki. Funkcje seksualno-rozrodcze ryb po prostu zanikają. Nowe pokolenia nie rodzą się. Doświadczenie Alistera powtarza się samo na wielką skalę, dając do myślenia instytutom naukowym. Nadchodzący niż demograficzny w krajach uprzemysłowionych, czyli w krajach, w których pigułki są dostępne, będzie miał tragiczne dla populacji skutki. Już teraz jedynym źródłem przyrostu demograficznego jest imigracja. Cały czas media krzyczą, że zaraz

zabraknie na świecie żywności i źródeł energii w związku z bardzo szybkim przyrostem naturalnym. Niestety, ten problem dotyczy tylko krajów ubogich, których nie stać na środki antykoncepcyjne. W miastach Ameryki, na przykład San Francisco, Bostonie czy Detroit, ponad czterdzieści procent ludzi dorosłych żyje samotnie i najprawdopodobniej nigdy nie będzie rodzicami. Alister nie był typem bohatera walczącego. Pod presją, poddał się, ale tylko na zewnątrz. Poddał się dla was, dla tych, którzy go obserwowali i straszili. W rzeczywistości nadal studiował i prowadził badania, gromadząc wyniki. Nie prowokował losu i nie próbował nic publikować. Dzięki bardzo hojnej pensji, jaką zapewniał naiwny Pharmaticus, mógł spokojnie żyć, podróżować i po cichu pracować nad zadaniem swojego życia. Wam natomiast się zdawało, że udało się go przekupić. Alister był intelektualistą, naukowcem, moralnie niezgadającym się z destrukcyjną funkcją biznesu w dziedzinie farmakologii. Całe życie cierpiał, wiedząc, ile milionów ludzi zostało uszkodzonych przez chciwość innych. Cierpiał, nie mogąc stawić temu czoła. Cierpiał z powodu wyrzutów sumienia.

Zamilkłem na dłuższą chwilę, jakby w hołdzie jego pamięci. W tej ciszy po raz pierwszy dotarło do mnie to, co sam przed chwilą powiedziałem. Zrozumiałem znaczenie mojego własnego cierpienia i lęku.

Milczenie przerwała Monica.

– Czy przez te wszystkie lata nie dokonano żadnych zmian w składzie pigułek?

– W latach osiemdziesiątych weszła na rynek „mini pigułka”, która teoretycznie miała ograniczyć skutki uboczne. Zamiast zmniejszyć drastycznie zawartość estrogeny, dodano nowe składniki androgenopochodne. Skutek tego, według Alistera, był nie mniej tragiczny niż poprzednio. Na świat przyszła cała gama obojnaków, ludzi zupełnie bez płci, ludzi, którzy nie potrafią powiedzieć, o co chodzi w sferze seksu albo transseksualistów zmieniających płeć w wieku nastoletnim, nie wiedząc, kim są. I znowu, jak poprzednio, natężenie cech dewiacyjnych zależy od czasu, jaki upływa od momentu wzięcia ostatniej dawki antykoncepcyjnej do momentu zajścia matki w ciążę.

Nastąpiła następna chwila milczenia. Monica nie potrafiła już ukryć poruszenia za maską superagentki.

– Alister twierdził również, że duża liczba przestępstw seksualnych, których ofiarami są dzieci, ma powiązanie z zaburzeniami hormonalnymi nasilającymi się masowo od lat sześćdziesiątych. Jeśli dobrze pamiętam, to sześćdziesiąt siedem procent wszystkich przestępstw na tle seksualnych to pedofilia. W latach osiemdziesiątych to potworne zjawisko nasiliło się tak bardzo, że ONZ było

zmuszone do wydania Karty Praw Dziecka, a Interpol otworzył olbrzymi departament ścigający rozwijające się nagle organizacje pedofilskie. Internet, pornografia dziecięca, porwania, handel dziećmi to tragedie na skalę światową, której głęboka przyczyna może również leżeć w odkryciu, za które Alister i Kumar oddali życie. Niestety, na ten temat w listach są zawarte tylko rozważania teoretyczne. Śmierć nie pozwoliła mu zbadać sprawy z punktu widzenia nauki. Czy te fakty też można wytłumaczyć polityką otwartości i tolerancji w krajach wysoko rozwiniętych?

Tym razem odpowiedzią było milczenie, pełne skupienia i powagi. Ciągnąłem więc dalej.

– Niedokończone prace Alistera znacznie zwolniły od momentu, kiedy zachorowała jego żona Julia. Po jej śmierci nie wznowił badań, a dzięki wam jego dzieło nigdy już nie zostanie dokończony. Przez ostatnie lata skupił się bardzo na genetycznych skutkach destrukcji podwzgórza mózgowego INAH3 i trwałych zmianach w DNA. Padło między innymi przypuszczenie, że fala zmian idąca od mózgu embriona ma wpływ na SRY, czyli rejon chromosomu Y, determinujący płeć. Rejon ten składa się z wysoko mobilnych białek, HMG, należących do grupy białek wiążących DNA. Deformacja chromosomu Y u potencjalnego, przyszłego ojca nie spowoduje jednak dziedziczenia cech homoseksualizmu. Zaobserwowane uszkodzenie lub zmiana struktury chromosomu X w rejonie genu q28 u matki może zostać podarowane w spadku przyszłej generacji. Mówiąc o szczegółach naukowych, bardzo przydałaby mi się własna wiedza, nie tylko pamięć. Ostatnią lekcję biologii miałem ponad dwadzieścia lat temu. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że po siedemdziesięciu godzinach bez snu coś pomieszam.

W tym momencie zadzwonił telefon przy pasku Monici. Popatrzyła na ekranik i wstając powiedziała:

– Zaraz wrócę.

Lotnisko międzynarodowe Kirtimai w Wilnie należy raczej do mniejszych. Jeden pas startowy, kilka okienek odprawy bagażu i autobusowe połączenie z czekającym samolotem. Wszyscy pasażerowie oczekujący na odlot widoczni są jak na dłoni w niewielkiej poczekalni. Stres sięgał granic wytrzymałości. Vicky, jako estońska blondynka, nie mówiąca praktycznie ani słowa po estońsku, trzymała kurczowo za rękę swojego rudawego, estońskiego synka, Tomka. Celowo kalecząc język angielski zdała bagaż i odebrała karty pokładowe. Nikt nie przyglądał się paszportom ani nie

zadawał pytań po estońsku. Wszystko przebiegało według planu, a mimo to czuła, jak nigdy do tej pory, głęboki strach.

– Sok mi wyciśniesz z ręki – konspiracyjnym szeptem ostrzegł malec.

Zgodnie z planem, o czwartej trzydzieści, Vincent Rogov przekreślił elektroniczny kluczyk w stacji bmw 535d. Wyjechał na drogę E67, prowadząca do granicy polsko-litewskiej. Wysokiej klasy pojazd zachowywał się wyśmienicie pod kontrolą doświadczonego kierowcy. Dwieście osiemdziesiąt sześć osiodłanych przez fachowego jeźdźca koni mechanicznych pozwoliło osiągnąć prędkość stu kilometrów na godzinę zaledwie w sześć i pół sekundy. Zaplanował wyjazd na tyle wcześnie, aby mieć czas na znalezienie dobrego punktu obserwacyjnego.

Lotnisko w Wilnie nie było duże, rozmiarem przypominało Buffalo Airport. „Tym lepiej, tym łatwiej.” Planował szczegóły spotkania z panią Maret Seep. Ze wszystkich wersji najbardziej spodobała mu się ta najprostsza: „Dzień dobry pani Van Daren. Proszę powoli iść przede mną na parking. Proszę słuchać uważnie moich poleceń. Jest to bardzo proste zadanie, a nagrodą będzie życie pani syna”.

Kiedy z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę przejechał przez miejscowość Andrzejewo, w lusterku pojawiły się niebieskie światła radiowozu polskiej policji. Zjechał na pobocze. Już na wstępie policjant miał bardzo dużo do powiedzenia w języku polskim. Vincent podał mu plastikową kartę ze zdjęciem i z kodem agencji.

– Sprawdź kod – powiedział po angielsku i pokazał palcem na szereg cyfr i liter pokrytych cienkimi, czarnymi liniami.

Policjant odszedł do radiowozu. Po powrocie tylko zasalutował i oddał kartę. Po kilku sekundach nie było już widać czarnego bmw. Pozostał tylko biały dym i zapach przypalonej gumy opon.

Niespełna dwadzieścia kilometrów na zachód od Wilna w miejscowości Traki negocjacje dobiegły końca. Pod wieczór bracia Winiarscy z Warszawy dogadali się z lokalnym hodowcą kurczaków co do ceny za kilogram drobiu. Co dwa tygodnie mieli odbierać dwieście pięćdziesiąt kurczaków. Jak to w biznesie bywa, wszystko skończyło się kolacją, no i trzeba było wypić na dobry początek długiej i owocnej współpracy. Następnego dnia rano wyruszyli w drogę powrotną do Warszawy,

śpiesząc się na spotkanie w sprawie kupna furgonetki-chłodni.

Monica skończyła krótką rozmowę. Albert i Salvatore byli już na lotnisku w Brukseli. O czwartej nad ranem mieli wrócić do Aachen i z eskortą zabrać Barskiego do Waszyngtonu. Skłamała. Powiedziała Albertowi, że Barski nadal milczy. Powoli szok po wysłuchaniu urywków listu nieżyjącego naukowca zamieniał się w niełatwą refleksję. „Tyle lat, uparcie powtarzane początkowe błędy, a potem kłamstwa. Tyle lat, byle do przodu w kierunku, no właśnie, w jakim kierunku?” Pomijając cierpiące miliony, w pamięci wróciło letnie popołudnie 1990 roku. Monica miała piętnaście lat i szykowała się na pierwsze wyjście do kina w towarzystwie chłopaka z klasy.

– Musimy porozmawiać, kochanie – niepewnie, ale z determinacją matka zaczęła wykład na temat antykoncepcji.

– Ja to wszystko wiem, mam – chciała skończyć niezręczną sytuację młoda dziewczyna.

– Wiedza to nie wszystko – podsumowała matka, wkładając jej do ręki pudełko pigułek. – Jedna dziennie.

– Czy zanim mnie urodziłaś też brałaś pigułki?

– Oczywiście, kochanie. Przez prawie dziesięć lat. Kariera twojego ojca nie pozwalała nam na założenie rodziny. Przeprowadzaliśmy się ze stanu do stanu, aż wreszcie nadszedł właściwy moment, i teraz mamy wspaniałą córeczkę. Baw się dobrze – pocałowała Monicę w policzek.

Te cierpiące miliony... czy ona, Monica, była jedną z nich? Chłopcy tak naprawdę nigdy jej nie interesowali. Oczywiście, tak jak koleżanki, zbierała zdjęcia przystojnych sportowców i aktorów, nie czując tak naprawdę, po co to robi. Na studiach, w okresie wyzwolenia spod wszelkich presji, doszła do wniosku, że chyba jest lesbijką. Spróbowała. Takie samo *nic* jak z chłopakiem. Wyniki testów w poradni seksualnej były niejasne: niski poziom estrogenu, słabo rozwinięte piersi, praktycznie zanik owulacji. Zrezygnowała z dalszych dochodzeń i nie podjęła proponowanej kuracji hormonalnej. Mimo ładnych, gęstych włosów, długich, zgrabnych nóg i często oglądających się za nią mężczyzn, pozostała emocjonalno-seksualnym nikim. Leczona i nieleczone depresja to temat, do którego nawet w myślach nie wracała. Nawet agencja nie wiedziała o próbie samobójstwa. Oddała się karierze, która i tak nie pozostawiała czasu na rodzinę i dzieci. Czy cierpiała? Czasem tak. Kiedy w niedzielne popołudnie widziała ojców grających w piłkę z synami, kiedy sznurek

samochodów rano odwoził dzieci do szkoły, kiedy sąsiadka wyładowywała cały bagażnik jedzenia dla czterech synów... Na szczęście w jej pracy wszyscy wokół byli profesjonalistami i nikt nie bombardował jej opowieściami o wspaniałych wakacjach z dziećmi, mężami i żonami, nikt nie miał na nie czasu. Praca, zawsze wołała pracę. Bezczyność grozi chorobą, bezdennym nie do opisanego smutkiem.

Przechodząc do kuchni, przypadkowo zobaczyła odbicie swojej twarzy w lustrze nad drewnianym barem. „Ta twarz nigdy nie uśmiechnie się czule do swojego dziecka” – pomyślała w odrętwieniu i otarła czarną smużkę tuszu, która zatrzymała się na górnej wardze. Nastawiła ekspres do kawy i wyszła na chwilę na korytarz.

– Wszystko OK, Hans?

– Cisza, spokój – odpowiedział mężczyzna w czarnym golfie.

– Ile osób jest w tej chwili w budynku?

– Ty, ten facet nad garażem, Henrik przy głównej bramie i ja.

– Nad ranem ma przyjechać eskorta ze Stanów.

– Zabierają go?

– Na to wygląda. Nareszcie trochę oddechu. Nie miałam wolnego dnia od miesiąca.

Wróciła do kuchni, naląła dwa kubki kawy, zrobiła kanapkę i z tacą wróciła do pokoju nad garażem. Oparty twarzą o krawędź pulpitu, Barski spał. Pozostawiła go bez opieki przez prawie piętnaście minut. Nawet nie próbował uciekać. Spał. Minęła spora chwila, zanim udało się go dobudzić i uczynił to chyba tylko zapach kawy. Z nieprzytomnymi oczami połknął kanapkę i wypił kawę. Monica otworzyła szufladę i włączyła urządzenie do nagrywania.

– Co dalej? Mówiłeś coś o jakiejś liście nazwisk?

– Co dalej, o czym? Co ja mówiłem? – wyrwany ze snu, nie mógł rozpoznać sytuacji. – Znowu śniła mi się ta rzeźnia z kałużami krwi na podłodze i zardzewiałymi hakami pod sufitem...

– Na jawie ostatnio mówiłeś o badaniach zmian w kodzie genetycznym.

– O, tak, pamiętam. Próbowałem powtarzać tekst, którego nie bardzo rozumiem, a i ty pewnie też.

– Nie jestem ekspertem, ale mniej więcej się orientuję i to, co mówiłeś, jakoś łączy się w spójną całość. Pamiętam jednak, że były również inne nazwiska, niezwiązane z profesorem Swanem, które nieśmiało wygłaszały podobne teorie. Nikt jednak nie dostawał gorączki.

– Alister sam nawet wspominał o innych, po prostu ignorowanych naukowcach. On jednak był pierwszy. Pozostawiony przy życiu przez następne trzydzieści osiem

lat, miał czas na dokładne opisanie politycznej strony tej całej afery. Rezultaty badań zawsze można pominąć, przyczyny polityczne to sprawa innej wagi. Ostatnio ktoś musiał to odkryć i dlatego ten człowiek musiał umrzeć.

– Strony politycznej?

– W latach siedemdziesiątych lobby farmaceutyczne stanęło przed faktem, że odkryć naukowych Alistera i Kumara nie da się zignorować raz na zawsze i po prostu o nich zapomnieć. Jak sama słyszałaś, zaczęli pojawiać się następni naukowcy z podobnymi postulatami i sprawa od czasu do czasu trafiała na łamy gazet. Z drugiej strony zaczęła dorastać pierwsza liczna generacja homoseksualistów, obojnaków, transseksualistów i ludzi o różnych innych dewiacjach seksualnych. Nie było jeszcze pożaru, nie widziano jeszcze płomieni, ale pojawił się lekki zapach dymu. Pierwsze sławne zajście to rozróżba między policją a grupą homoseksualistów, lesbijek i obojnaków w Stonewall Inn w Nowym Jorku, w 1969 roku. Zaczęły powstawać organizacje wyzwolenia gejów. Według Alistera należy to widzieć w następującej kolejności. Najpierw rośnie liczebność homoseksualistów spowodowana sztucznym zaburzeniem hormonalnym. Rośnie opór i agresja społeczeństwa do coraz bardziej widocznych dewiacji seksualnych. Powstają spontaniczne organizacje mające na celu obronę praw gejów. Sytuacja robi się napięta i może wymknąć się spod kontroli, ktoś może nagle zadać pytanie: skąd nagle tyle gejów w Ameryce i Europie Zachodniej? Tutaj wkroczyło do akcji wspomniane już potężne lobby farmaceutyczne, rzucając na szalę olbrzymią sumę pieniędzy i tworząc nową Organizację Obrony Praw Gejów, będącą pod ochroną swojego stwórcy. Homoseksualiści od tej pory zostali uznani za społeczną grupę mniejszościową i zaczęto o nich mówić, używając języka prawnego, praw człowieka. Rozpoczęła się wielka debata społeczna na temat praw gejów i ludzi o różnych orientacjach seksualnych. Od tego momentu cała uwaga społeczeństw została celowo skierowana na prawa do współżycia, do świadczeń socjalnych, do małżeństwa, do adopcji dzieci. I tu uwaga, najważniejszy punkt przełomowy! Niezauważenie, za osłoną dymną tej debaty, pojawiła się nowa, sponsorowana przez to samo lobby, definicja homoseksualizmu. Homoseksualista to człowiek jak każdy inny, który z własnej i nieprzymuszonej woli wybiera sobie homoseksualizm jako formę współżycia seksualnego. To stwierdzenie wykluczało samo w sobie, że homoseksualista ma jakiegokolwiek predyspozycje biochemiczne, różniące go od innych ludzi. Tak więc, dzięki tej ogólnie przyjętej definicji, oddalono możliwość dochodzenia i dowodzenia, że pod wpływem jakiegoś bodźca zewnętrznego system hormonalny człowieka został uszkodzony. W ten sposób groźba masowego pozwu sądowego została zminimalizowana. Żyjących ludzi, dotkniętych

taką deformacją hormonalną, może być ponad dziesięć milionów. Wypłacenie odszkodowań takiej masie ludzi spowodowałoby masowe bankructwa w przemyśle farmaceutycznym. Widmo takiej możliwości pomogło w uruchomieniu jednego z największych przedsięwzięć propagandowych od czasu stalinizmu. Maszyna ruszyła na pełnych obrotach. Popłynęły pieniądze do kieszeni setek polityków na różnych szczeblach, w różnych krajach. Zaczęto głosić nowe hasła równości. Parlamenti zaczęły przegłosowywać nowe prawa dla gejów. Największe związki zawodowe przemysłu amerykańskiego, takie jak Ford, Chrysler, General Motors, zaczęły szkolenia tolerancji różnorodności seksualnej. Obecność obowiązkowa pod groźbą zwolnienia z pracy. Liberalizm seksualny stał się cechą ludzi postępowych, a ci, którzy mieliby odwagę zadawać pytania, zostali nazwani zacofanymi homofobami i ich kariera zawodowa przybrała kształt znaku zapytania. Publiczne zadanie prostego pytania na temat homoseksualizmu grozi spalaniem na stosie stosunków zawodowo-społecznych. Sieci telewizyjne i radiowe uruchomiły nowe kanały gejowskie, powstały bary, ośrodki wczasowe i nawet pola golfowe. Następnie, tak jak komunistyczne pochody pierwszomajowe, pojawiły się kolorowe parady dumy i miłości homoseksualnej. Na ulicach dużych miast Ameryki i Europy Zachodniej, raz do roku, tańczą i klaszczą w ręce setki półnagich, chorych, hormonalnie uszkodzonych ludzi, obnoszących się z dumą czymś, co uważają, że sami wybrali. Kościoły niektórych wyznań też zostały wciągnięte w tryby maszyny propagandowej i zaczęły mówić o ślubach tej samej płci. Pod hasłami miłości i tolerancji pogrzebano szanse na prawdziwą pomoc i leczenie milionów ludzi dotkniętych skutkami ubocznymi produktu farmakologicznego. Ten sam precyzyjny mechanizm propagandowy, głoszący wolność i różnorodność, rozkręcił samocenzurowanie się prasy, telewizji i publikacji, wstrzymując niewygodne statystyki i wszelkie próby dyskusji. Siedemdziesiąt trzy procent psychiatrów amerykańskich twierdzi, że homoseksualiści stanowią największą grupę ich pacjentów. W związku z rozmiarem tej rosnącej grupy, w roku 1978 w USA skreślono homoseksualizm z listy chorób psychicznych. Pięćdziesiąt procent wszystkich samobójstw popełniają geje i pozostali dewianci seksualni. Przeciętny gej ma od dwudziestu do stu partnerów seksualnych w ciągu życia, co prowadzi między innymi do depresji psychicznej. Pamiętasz? W podwzgórzu mózgu krzyżują się systemy nerwowy i hormonalny. Przeciętna długość życia homoseksualisty nie przekracza czterdziestu dwóch lat. Geje stanowią połowę amerykańskich przypadków AIDS. Bardzo duży odsetek morderstw to skutek nieporozumień w związkach homoseksualnych lub sadomasochistycznych. Te statystyki nie są oficjalnie publikowane, bo każdy człowiek o zdrowych zmysłach

zadałby proste pytanie: „Jak ktokolwiek może wybrać sobie taki los, być z tego dumnym i paradować radośnie z tęczowym transparentem?”.

Barski mówił chyba bez oddechu, bo nagle zabrakło mu powietrza. Monica siedziała, wpatrzona w kubek po kawie. Otworzyła urządzenie do nagrywania i wyjęła kartę pamięci.

– To gdzie jest ta lista nazwisk? Nie wierzę, że ją zniszczyłeś. Właściwie to już nieistotne. Zaraz wrócę. Postaraj się nie zasnąć.

Toronto Star, 12 października 2008:

Po otrzymaniu anonimowej informacji, wysłanej z Europy, komenda policji w Sadbury wznowiła śledztwo w sprawie śmierci obywatela amerykańskiego, profesora Alistera Swana. Wstępnie za powód śmierci uznano atak czarnego niedźwiedzia, który miał miejsce dnia dwudziestego dziewiątego września na terenie parku prowincjonalnego Killarney. W promieniu wielu kilometrów od miejsca, w którym znaleziono zwłoki, nie zlokalizowano żadnego niedźwiedzia. W związku z nowymi danymi i poszlakami, policja bierze pod uwagę morderstwo jako przyczynę śmierci turysty. Śledztwo trwa.

Gazeta Suwalska, 14 października 2008:

Wczoraj, na brzegu jeziora Wigry, znaleziono zwłoki zaginionego dwa dni temu o. Andrzeja D., zakonnika z klasztoru Kamedułów w Wigrach. W zeszły piątek siostry zakonne zgłosiły zniknięcie brata Andrzeja. Przyczyn zgonu policja nie podała jeszcze do wiadomości publicznej, ale rzecznik prasowy komendy policji w Suwałkach powiedział: „Mamy tu do czynienia z samobójstwem lub morderstwem. Śledztwo trwa”. Dzisiaj po południu ma się odbyć konferencja prasowa i w jutrzejszym wydaniu poinformujemy czytelników o nowych faktach.

Walczyłem ze snem. To dziwne, ale po blisko dziewięćdziesięciu godzinach bez snu zwykłe objawy, jak pieczenie oczu i ziewanie ustały gdzieś po drodze. Na razie kawa działała. Moja opiekunka wróciła po około dwudziestu minutach. Dziwnie zadyszana i podniecona, stanęła w drzwiach, popatrzyła na mnie i pokiwała głową. W rękę

trzymała moją skórzaną kurtkę i buty.

– Idziemy – wydała krótki rozkaz.

Odpięła paski uwalniając moje stopy i powoli zdjęła poprzyklejane do mojej skóry elektrody, zostawiając czerwone, piekące kółka na pamiątkę.

– Przyjechali po mnie?

– Idziemy, idziemy, ruszaj się.

Znowu wydała mi się służbowo-oficjalna jak przedtem. A ja myślałem, że byliśmy już na stopie przyjacielskiej. „Dobrze wytresowane psy są... dobrze wytresowane”, pomyślałem filozoficznie. Wstałem. Szedłem, a raczej przemieszczałem się wzdłuż ściany, włączając za sobą odrętwiałe, spuchnięte nogi. Na schodach, trzymając się kurczowo poręczy, zdałem sobie sprawę, że jestem kaleką. Monica szła przede mną. Jednym ciosem w tył głowy mogłem ją obezwładnić i uciec. Miałem jednak świadomość własnej sytuacji i siły, raczej bym ją rozśmieszył niż powalił. Wyszliśmy przed garaż. Na podjeździe stały dwa samochody. Rozejrzałem się wkoło. Nie widziałem nigdzie mojej eskorty, a myślałem, że będzie bardziej uroczyście. Na ławce przed domem siedziała moja ulubiona postać w czarnym golfie. Bruner pół siedział, pół leżał w jakiejś dziwnej, nienaturalnej pozycji, nie zwracając na nas uwagi. Skierowaliśmy się do mercedesa klasy C, stojącego pod drzewami bliżej bramy. Ona podeszła pierwsza, otworzyła bagażnik.

– Połóż się i bądź cicho.

Nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle, ale wykonałem polecenie bez pytania. Trzask. Ciemno. Cicho zastartował silnik. Ruszyliśmy, po chwili zwalniając koło bramy. Słyszałem głosy, ale niczego nie rozumiałem. Znow jechaliśmy. Trochę było tam duszno i w ciemności zamykały mi się oczy. Mercedes zatrzymał się, a bagażnik został otwarty. Wyczołgałem się na zewnątrz. Byliśmy na jakiejś bocznej uliczce w pobliżu parku miejskiego.

– Siadaj z przodu.

Wjechaliśmy na pustą o tej porze autostradę. Prędkość sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Przepraszam, że pytam, ale dokąd jedziemy? Nie wygląda mi to na wycieczkę do Waszyngtonu.

– Jedziemy do Koloni. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić.

– Dla mnie?

– Dalej musisz sobie radzić sam.

– Wypuszczasz mnie na wolność? Czy wiesz, czym to grozi? Zaraz twojego mercedesa zaatakują stado kanadyjskich niedźwiedzi albo dinozaurów.

– Gdzie jest mój komputer?

– To ja ukradłem właśnie twojego laptopa?

– Gdzie go schowałeś?

– Jest nadal w Toronto. Może być wydany na hasło plus tysiąc dolarów.

– Jeśli cię wypuszczę, to oddasz mi go?

– Nareszcie przeszliśmy do interesów. Czy nie dostanę kulki w potylicę, kiedy podam ci ten numer telefonu? Daj mi numer, pod którym będę mógł nagrać informacje związane z odbiorem laptopa.

Zapamiętałem numer jej nieoficjalnej komórki. Pół godziny później zatrzymała samochód na jakiejś ulicy w Koloni. Dochodziła chyba szósta rano.

– Do widzenia – nawet na mnie nie popatrzyła. – Niestety, nie mogłam znaleźć twoich dokumentów i pieniędzy. Masz tu dwieście euro i bądź bardzo ostrożny. Zrobią wszystko, żeby cię złapać. Jeden błąd i gra skończona.

– Wygląda, że od tej pory jesteśmy po tej samej stronie gonitwy. Ty też bądź ostrożna i pamiętaj, jeden błąd i gra skończona. Zadzwoń. Dziękuję.

Wysiadając zauważyłem, jak się lekko uśmiechnęła, ale oczy miała poważne i skupione. Mercedes zniknął za zakrętem. Zostałem sam. Byłem wolny, chwilowo zniewolony przez brak snu. Żeby zacząć rozsądnie myśleć, musiałem najpierw zasnąć na kilka godzin. „Czy to możliwe, że wytresowana agentka, zdolna do wszystkiego, nagle pęka pod naporem szokujących informacji? Może to gra? Może celowo zostaje wypuszczony, żeby zaprowadzić ich do miejsca, gdzie są dokumenty.” Wszedłem w bramę jakiegoś budynku. Zanim gdzieś miałem zasnąć, sprawdziłem centymetr po centymetrze moją kurtkę, spodnie, buty, skarpety. Wszystko wydawało się czyste. „Czy to możliwe? Tak po prostu mi się udało?”

Hotel odpadał. Jeśli to nie gra, nocleg w jakimkolwiek hotelu byłby błędem. Szedłem przed siebie, czując każdy krok jak uderzenie młotem w głowę, wypełnioną luźnym mózgiem. „Co robić?” Nie mogłem zasnąć na ławce ani wypić wiadra kawy. Rzeczywiście, wysadziła mnie w samym centrum miasta. Minąłem olbrzymią katedrę i skręciłem w ulicę Steinweg. W ciągu dnia na pewno było tu sporo turystów, znajdowałem się w starej części Koloni. W zagłębieniu chodnika, pod wystającym balkonem siedział łysy chłopak z dużym kolczykiem w uchu i grał na gitarze dla nieobecnej publiczności. Przed nim stało pudełko od butów z napisem po niemiecku, a za nim śpiwory i koce rozłożone na materacu z tektury i gazet. Grał piosenkę Cohena pod tytułem „Alleluja”. Zaczekałem, aż skończy.

– Cześć. Jak idzie? – spróbowałem po angielsku.

– Cudownie. Chcesz wrzucić kilka euro? – pokazał na pudełko.

– Dam ci dwadzieścia, jak mi pozwolisz pospać w twoim śpiworze i nie będziesz zadawał pytań.

– Płatne z góry?

– Od razu. Podałem mu dwie dziesiątki.

– OK. Ty! Helga, posuń się trochę, mamy gościa!

Okazało się, że wśród śpiworów śpi dziewczyna o nastroszonych pomarańczowych włosach i nieskończonej liczbie srebrnych kolczyków i wisiorków ozdabiających jej głowę. Nie znałem niemieckiego, ale i tak miałem pewność, że puściła wiązanekę, odsuwając się od ściany. Zasnąłem w smrodzie śpiworów i długo niemytych ciał, ale ja też na pewno nie pachnąłem najlepiej. Liczyło się tylko to, że zasypiałem.

Miejscami wąska i często dziurawa szosa znikła za pędzącym bmw. Zaczynało świtać, szara jesienna mgła unosiła się nad zaoranymi polami. Pół godziny wcześniej Vincent przekroczył granicę, minął miasto Kowno i drogą E85 zbliżał się do Wilna. Za jednym z zakrętów nacisnął gwałtownie hamulec, zwalniając przed konwojem kilkunastu wolno poruszających się samochodów. Sprawdzając ruch z naprzeciwka, Vincent ostro dodał gazu i przeskoczył pięć wlokących się aut. Odezwały się klaksony niezadowolonych kierowców w długiej kolejce. Odczekał chwilę i następnym skokiem minął następną piątkę. Teraz pozostały już tylko dwa osobowe samochody i blokująca cały ruch ciężarówka z platformą, wioząca domek kempingowy. Na długim, prostym odcinku szosy, wjechał powoli na pas przeciwnego kierunku. Pusto po horyzont. Zredukował bieg i wcisnął pedał gazu w podłogę.

O świcie cztery czarne audi Q7 podjechały rzędem pod bramę. Henrik wstał i podszedł do okna pierwszego z nich.

– Wszystko w porządku Henrik? – zapytał Salvatore.

– Tak jest. Hans jest teraz z tym człowiekiem, a Monica wyjechała przed dwoma godzinami i powiedziała, że zaraz wróci.

– Wyjechała? Nie wiesz dokąd?

– Powiedziała, że jedzie się spotkać z wami.

– OK! Otwórz bramę.

Wszystkie cztery pojazdy wjechały na plac przed garażem i zgasiły światła. Albert

z niepokojem spostrzegł nieruchomo siedzącego na ławce Hansa. W pokoju nad garażem paliło się światło.

– Coś tu się nie zgadza...

Szesnastu mężczyzn ubranych na czarno wysiadło z samochodów. Z bronią w ręku, Albert szybkimi gestami nakazał sprawdzenie posiadłości. Agenci rozbiegli się we wszystkie strony. Podszedł do siedzącego w nienaturalnej pozycji Niemca.

– Żyje. Słaby puls, ale żyje. Jest sparaliżowany.

W pokoju nad garażem znaleźli poplątane kable, rozpięte pasy, dyktafon bez karty pamięci. Na biurku, jak po towarzyskim spotkaniu, stały dwa kubki po kawie i talerzyk. Żadnych śladów walki. Przeczesano dokładnie krzaki na tyłach domu, piwnice, strych.

– Sprawdziliśmy cały dom. Nikogo nie ma – oznajmił jeden z agentów.

Barski zniknął. Albert schował broń i zmęczonym ruchem usiadł obok nieprzytomnego Hansa.

– Zabierzcie go stąd, do jutra dojdzie do siebie. To zwykły, dwudziestoczworgodzinny gaz.

Salvatore usiadł obok Alberta.

– Co tu się stało? Został sam i uciekł czy po prostu Monica go wypuściła?

– To niemożliwe – bez pewności odpowiedział Al.

– Dlaczego zniknęła karta z zapisem audio? Czyżby Barski zaczął mówić?

– Po tylu dniach na stojąco i bez snu nie dałby rady w walce z Monicą. Widziałem ją w akcji nie raz. Trzech takich Barskich położyłaby w rzędzie.

– Tak wiem, to twoja protegowana następczyni...

– Zamknij się – uciął krótko Albert. – Po prostu, kurwa, nic nie mów!

Sprawdzili rzeczy Barskiego. Zniknęła kurtka i buty. Paszporty i pieniądze były schowane w sejfie. W milczeniu weszli razem do jadalni. Sal z uśmiechem na twarzy włączył komputer, a Albert zajął się butelką whisky.

– Czego się tak głupio uśmiejasz? Czujesz satysfakcję, że Monica...

– Chodź i zobacz – Salvatore odwrócił duży, trzydziestocalowy monitor w stronę zgarbionego Alberta, nagle zgorzkniałego starca z pełną szklanką w ręce.

– Co to jest?

– Mapa satelitarna miasta Kolonii, a ten zielony punkt migający niedaleko katedry to Barski, być może w towarzystwie twojej protegowanej. Przesuwa się powoli, idzie na piechotę. W jednym z nitów kurtki i w obcasach butów osobiście zamontowałem mikroprzeźwiaki nowej generacji. Są tak małe, że nawet prywatny detektyw ich nie znajdzie.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Intuicja. Nic nie kosztuje. Po prostu zabezpieczenie rzeczy pewnych.

– Jedziemy. Muszę pogadać z moją protegowaną.

– Powoli. Nie należy się tu za bardzo śpieszyć. Zielony punkt jeszcze może nas zaprowadzić w ciekawe miejsca – to ostatnie zdanie zabrzmiało tak, jakby wszystko działało się zgodnie z wyrafinowanym planem. – Należy jak najszybciej przestać tego człowieka lekceważyć.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że wraz z Monicą zaplanowałeś to zniknięcie za moimi plecami?

– Chciałbym, żeby to była prawda...

– Jeżeli wiemy, gdzie on jest w tym momencie, to zatrzymajmy go jak najszybciej i wyślijmy wraz z obstawą do USA. Po co znowu chcesz ryzykować? Dyrekcja praktycznie odebrała nam już tę sprawę i należy się z tym pogodzić.

– I spokojnie przejść na zasłużoną emeryturę...

– Jesteś tu szefem, ale uważaj na słowa. Jeszcze nikt nigdy nie oskarżył mnie o sabotaż akcji.

– To nie sabotaż. Ty po prostu jesteś już po drugiej stronie, i trudno się dziwić.

– Dlaczego tak dużo myślisz o mnie? Pomyśl, do jasnej cholery, o własnej dupie! To ty zostajesz na swoim stołku. Chcesz przez następne trzydzieści lat kariery chwalić się, że spod opieki twojej dwudziestoosobowej supergrupy facet dał dwukrotnie nogę i nigdy go nie znaleziono?

– Mówię ci, że Barski ma na sobie trzy przekaźniki najwyższej klasy...

– Tak, i pierwsze, co robi, to pojedzie zobaczyć, jak się mają tajne dokumenty i czy nie zbiera się na nich kurz?

Kłótnie przerwał telefon od senatora Gusa Mossby, który tym razem był w towarzystwie wiceministra opieki zdrowotnej Stanów Zjednoczonych, Richarda Nelly. Salvatore tylko słuchał. Przy pożegnaniu zapewnił, że jeszcze dzisiaj Jan Barski będzie w Waszyngtonie.

– Jedziemy!

– Nareszcie ktoś przemówił ci do rozsądku – Albert z ulgą narzucił płaszcz na ramiona.

Wszystkie cztery auta, jedno za drugim, wjechały na autostradę w stronę Kolonii. Dzień już się zaczął i miasto powoli, jak przystało na sobotę, budziło się do życia.

– Podmiot znajduje się na bulwarze nad Renem w odległości około kilometra na południowy wschód od katedry i dwieście metrów od mostu Dautzer Brücke – odezwał się głos we wszystkich słuchawkach i samochody rozjechały się w różnych

kierunkach, otaczając wyznaczony obszar. Audi, w którym jechał Albert, zjechało na pobocze rampy wjazdowej na most, z którego było widać długi odcinek bulwaru.

– W promieniu stu metrów od punktu X znajdują się dwadzieścia trzy osoby. Punkt X to ławka stojąca przodem do rzeki. Na ławce znajduje się łysy mężczyzna w skórzanej kurtce i kobieta o jaskrawo rudych włosach – odezwał się głos obserwatora z lornetką w ręku.

– Łysy facet to Barski. Rude włosy? Tak szybko? – zapytał Salvatore.

– Uwaga, wszystkie numery! Wkraczamy do akcji. Jedyńka i trójka zajeżdżają od strony drzew. Audi numer dwa jedzie wolno bulwarem, aż do punktu X. Zatrzymać oboje. Szybko i bez zbędnych popisów. Zrozumiano?

Wszystko odbyło się szybko i bez zbędnych popisów, zgodnie z rozkazem Sala. W ciągu kilku sekund para siedząca na ławce i jedząca spokojnie śniadanie zniknęła za tylnymi drzwiami czarnego SUV-a. Wiatr rozwiął serwetki, a koło ławki została przewrócona butelka piwa. Nikt niczego nie zauważył, tylko dwie głodne mewy dobrały się do upuszczonej w pośpiechu kanapki.

Lia Abbing odłożyła słuchawkę telefonu. Nie była to typowa rozmowa z ojcem, zakończona słodkim pożegnaniem i upominaniem się o wnuki. Herbert skupiony był na jednym temacie, podkreślając długo i namiętnie jak dużą stratą jest strata cennego czasu.

– Profesor Swan prowadził kontrowersyjne badania biochemiczne na temat skutków ubocznych pigułek antykoncepcyjnych. Dwa tygodnie temu zginął w Kanadzie zaatakowany przez niedźwiedzia, co w tym kraju nie jest rzadkością i od razu ktoś wysłał z palca teorię spiskową. Typowe szukanie sensacji. Nie zajmuj się tym kochanie.

I tak dalej... Ojciec, ciągle jeszcze polityk, podejrzanie dużo czasu poświęcił na temat nie wart poświęcenia czasu. Wczoraj, w międzynarodowym serwisie informacyjnym, Lia przeczytała o zmianie statusu śledztwa, wznowionego w sprawie śmierci Alistera Swana. Zdarzenie to nazwano morderstwem. Policja w Kanadzie szukała świadka, który zniknął ze swojego domu koło Toronto, a był ostatnią osobą, która rozmawiała z ofiarą przed śmiercią. Wbrew temu, co twierdził ojciec, bardzo niewiele osób ginie w starciu z kanadyjskim czarnym niedźwiedziem i ta cała sprawa była chyba warta dziennikarskiej uwagi. Profesor nie miał rodziny. Jego żona zmarła niedawno, a sprawy spadkowe i prawne reprezentował prawnik rodzinny Robert

Taylor. Tyle dowiedziała się Lia, lecz to już wystarczyło, by podjąć decyzję.

Jeszcze tego samego dnia chciała zarezerwować lot do Bostonu, gdzie znajdowało się biuro prawnicze mecenasu Taylora. Nagrała też informację dla ojca, że wyjeżdża do Japonii w sprawie zbliżających się mistrzostw świata w judo. „Nie należy denerwować ludzi na emeryturze, należy im się zasłużony odpoczynek”.

Samolot Airbus A318 płynnym ruchem oderwał się od pasa startowego lotniska międzynarodowego w Wilnie.

– Witamy państwa na pokładzie samolotu Finnair. Życzymy przyjemnej podróży i informujemy, że za godzinę będziemy lądować w Helsinkach – zakomunikował przyjemny głos w języku angielskim.

– Mamo, czy ty się dobrze czujesz? – zapytał rudawy chłopiec z troską w głosie. Jego mama, rzeczywiście była blada i nie wyglądała najlepiej.

– Czuję się coraz lepiej. Nic się nie martw – uśmiechnęła się i pogłaskała malca mokrą od potu ręką.

Sama sobie nie potrafiła wytłumaczyć tego nagłego napięcia i paniki tuż przed wylotem. Od czasu przybycia na lotnisko wszystko wewnątrz jej ciała drgało spazmatycznym lękiem. Czuła się jak antylopa, gdzieś na afrykańskiej sawannie, którą zza drzew obserwuje głodna lwica, szykująca się do skoku.

– Wszystko będzie dobrze – potwierdziła raz jeszcze, uspokajając całkiem spokojnego syna.

Gestem zawołała stewardesę i zamówiła sok jabłkowy dla Tomka, a dla siebie tonik z potrójnym dżinem. „Janek by się zdziwił” – pomyślała.

Wiadomości TVN 24, niedziela, 13 października 2008:

Dzisiaj wczesnie rano miał miejsce tragiczny wypadek. Na szosie E85, około dwadzieścia kilometrów na zachód od Wilna, zderzyły się czołowo dwa pojazdy. Bracia Czesław i Arkadiusz W., powracający do Warszawy po dwudniowej wizycie handlowej, zginęli na miejscu. Małolitrażowy fiat, którym kierował Czesław W., wyjechał z bocznej drogi przed ciężarówką jadącą w stronę Wilna.

Jak twierdzą świadkowie, fiat bez problemu zdążyłby wjechać na lewy pas prowadzący w stronę granicy polskiej. Niestety, w tym samym czasie wolno jadącą ciężarówkę wyprzedzało bmw, jadące z prędkością ponad stu pięćdziesięciu

kilometrów na godzinę. Kierowca bmw, Amerykanin, którego nazwiska nie ujawniono, pozostaje w stanie krytycznym w szpitalu w Wilnie. Autopsja i oględziny miejsca wypadku wskazują na tragicznie złą ocenę sytuacji kierowcy fiata, spowodowaną najprawdopodobniej spożyciem alkoholu poprzedniej nocy. Wyjeżdżając na drogę, Czesław W. nie mógł widzieć ruchu na lewym pasie, zupełnie zasłoniętym przez ciężarówkę z dużym ładunkiem na platformie. Olbrzymi wpływ na tragiczny bilans zdarzenia miała również prędkość wyprzedzającego bmw. Jak podaliśmy, wypadek ten miał miejsce na terenie Litwy, ale śmierć ponieśli w nim Polacy. Przyczyną tragedii był alkohol. Rocznie na drogach naszego kraju ginie w wypadkach spowodowanych przez kierowców zamroczonych alkoholem ponad pięćset osób.

Nie spałem, ale nie otwierałem oczu. Nie wiedziałem, ile czasu spałem, ale bałem się przebudzić. Otaczające mnie odgłosy nie pozwalały mi zgadnąć, gdzie byłem i nie bardzo potrafiłem sobie przypomnieć, co ostatnio się wydarzyło, a co było snem. Ludzkie głosy... wiele głosów. Przejeżdżające samochody. Ruchliwa ulica? Głowę miałem przykrytą czymś niezbyt ładnie pachnącym. Czas stawić czoła rzeczywistości. Siną, obolałą dłonią odsłoniłem spuchniętą od uderzeń twarz.

Tego jeszcze nie było. Leżałem na stercie gazet i kartonów, na skraju chodnika, pod ścianą budynku. „Zaraz”, zacząłem sobie przypominać, „Monica zawiozła mnie do Kolonii... łysy punk grający na gitarze... OK!” Wracalem z innej planety. Popatrzyłem na świat błędnymi oczami, a świat patrzył na mnie oczami przechodniów, to z litością, to z obrzydzeniem, to znowu z litością, to ze strachem. Jak bezdomny, spałem na kupie śmierdzących szmat na chodniku w centrum ruchliwego miasta. „Kurwa, jakie to romantyczne”. Usiadłem na moim barłogu. Nogi miałem bose i czułem chłód. Wśród otaczających mnie śmieci i pustych butelek znalazłem tylko dziurawe adidas i stary sweter. Moje buty i kurtka skórzana zniknęły. Znowu musiałem przekląć, jak na człowieka ulicy przystało, w kurtce były pieniądze, które dała mi Monica. Sprawdziłem kieszenie spodni: pięć euro. Zostawili mi stare buty, pięć euro i cuchnący śpiwór. Aha, no i jeszcze żebracze pudełko po butach z dnem przykrytym drobnymi. Podbiegł mały, może ośmioletni chłopczyk i dorzucił monetę do mojego skarbca. „Dzięki Bogu to nie Tomek. Pamiętaj synku, twój ojciec nie jest bezdomnym żebrakiem! To tylko taka bardzo dziwna gra, która za chwilę doprowadzi mnie do szału i zacznę się drzeć jak opętany”. Czas się ruszyć.

Ubrałem, co mi gospodarze zostawili i ruszyłem bokiem chodnika, starając się nie zbliżyć do ludzi. W ulicznej budce kupiłem kiełbasę z rusztu i butelkę wody za trzy i pół euro. Jak przystało na bezdomnego, męczył mnie potworny głód. Rzuciłem się na kiełbasę jak pies, ale biorąc pod uwagę, jak wyglądałem, nikogo to nie dziwiło. Na następnej ulicy znalazłem otwarty sklep z używaną odzieżą, zwany w starej Polsce lumpeksem.

– Mam niecałe osiem euro i chcę zmienić ubranie – zacząłem jak przystało na szanownego klienta, wysypując na ladę górę monet.

– Osiem euro, coś się znajdzie – z wyraźnym politowaniem pokiwała głową gruba Turczynka.

Po chwili wyszedłem na ulicę w wytartych, ale całych i czystych dżinsach. Skarpety i bieliznę miałem zupełnie nowe. Do tego ozdabiał mnie rozciągnięty t-shirt, żółta, bawełniana bluza i kurtka, chyba narciarska. Wreszcie było mi ciepło i, co najważniejsze, nie śmierdziałem. W sklepowej łazience, gdzie się przebierałem, udało mi się obmyć w umywalce.

Nie wiem, jaki był dzień tygodnia, nie miałem pojęcia, ile spałem, ale na pewno zbliżał się wieczór. Zapalały się uliczne latarnie, a ludzie znikali za drzwiami dobrze pachnących restauracji. Nie miałem już pieniędzy nawet na kopa w dupę, a musiałem koniecznie przedostać się z powrotem do Amsterdamu.

Wśród drobnych pieniędzy w moim pudełku znalazłem dwa papierosy. Usiadłem na ławce i zapaliłem. Dym smakował pysznie i przynosił dziwną ulgę. Nagle moją uwagę zwróciło dwóch mężczyzn, ubranych na czarno. Poruszali się szybko po przeciwnej stronie ulicy, zaglądając przechodniom w twarze. Okulary słoneczne o tej porze dnia zawsze zdradzały tajniaków. „Ciekawe, czy to mnie szukają?” Na całe szczęście nadal wyglądałem jak bezdomny. Położyłem się na ławce, plecami do mijających mnie ludzi. Zaczekałem, aż sobie poszli. Zniknęli za rogiem poprzecznej ulicy. Ruszyłem dalej, odchodząc od centrum miasta.

Idąc, delikatnie sprawdzałem drzwi zaparkowanych samochodów. W końcu trafiłem na piętnastoletniego, podrdzewiałego volkswagena golfa, którego nie ma już po co zamykać. Rozejrzałem się, wsiadłem, szybko i fachowo zapaliłem silnik. „Jedziemy! Mam ćwierć baku paliwa, dwa euro i do przebycia ze dwieście kilometrów. Może się uda.”

W ciągu minut od zatrzymania pary bezdomnych punków, stało się jasne, że Barski

znowu jest na wolności. Młody Duńczyk z ciężkim kolczykiem, rozciągającym małżowinę uszną był blady i przerażony. Kilkakrotnie przeproszał za popełnioną kradzież, zdjął kurtkę, buty i oddał wszystkie pozostałe pieniądze, sto sześćdziesiąt pięć euro. Jego nastoletnia towarzysza po prostu cały czas płakała. Uczucia tej pary w głębi duszy podzielał Salvatore. Chciało mu się płakać, przeproszać i jednocześnie był na siebie wściekły. Albert milczał, ale w tym milczeniu był tryumf zwycięstwa doświadczenia nad pewnością siebie.

Szesnastu agentów biegło parami po starym centrum Kolonii, w ostatniej, beznadziejnej próbie odnalezienia uciekiniera. Sprawdzono miejsce, gdzie bezdomny młodzieniec zostawił śpiącego Barskiego. Znalezione zaparkowane na ulicy auto, którym Monica wywozła tego faceta na wolność. Monica była od pięciu lat zaprzysiężoną agentką i potencjalnym szefem działu po odejściu Alberta Weissa na emeryturę. Umowa o zatrudnieniu przez agencję podlegającą Centralnej Instytucji Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych nie może tak po prostu być zerwana przez pracownika. Od tej chwili Monica Rovet stała się osobą poszukiwaną wewnętrznym listem gończym agencji. Wszystkie konta bankowe, karty kredytowe, mieszkanie, kontakty telefoniczne i komputerowe należące do niej, zostały zablokowane. Osoby znające poszukiwaną zostały poinformowane o obowiązku poinformowania agencji w przypadku kontaktu. Kiedy koło południa Salvatore otrzymał informacje z konsulatu USA w Wilnie, był naprawdę gotowy pójść w ślady Monici Rovet i zniknąć. Vincent Rogov, jadąc z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zderzył się czołowo z fiatem, zabijając kierowcę i pasażera. Wypadek miał miejsce na terenie Litwy, niedaleko granicy polskiej.

– Vincent żyje, jest nieprzytomny i nie wiadomo, czy się obudzi.

– Co, do jasnej cholery, Vincent robił na Litwie?

Zarówno to, jak i inne pytania zadane tego ranka, pozostawały bez odpowiedzi. Rozmowa telefoniczna z Alicją Iwański niczego nie wyjaśniła. Vincent wyjechał wczesnym rankiem, nie zdradzając żadnych szczegółów. Od kilku dni zaczął wyraźnie unikać grupy i działał na własną rękę. Van Daren i dziecko zniknęli jak kamień w wodzie.

Linia wykresu powodzeń i klęsk tej sprawy przebiegała na planszy jak sinusoida. Bilans ostatnich godzin stanowił najgłębsze z możliwych fiasko. Tydzień temu w raporcie z poszukiwań Barskiego w Algonquin Park, Vincent stwierdził, że nigdy nie był przesądny, ale tym razem ma uczucie, że pech albo inne czary mieszają mu szyki. Było to bardzo dziwne spostrzeżenie jak na specjalistę tej klasy. To było dziwne, dopiero teraz zrozumiałe stwierdzenie.

Grupa eskorty wróciła z pustymi rękami do Stanów. Salvatore, Albert i trzech agentów mieli udać się do Wilna. Na prywatnym pasie lotniska w Kolonii czekał na nich samolot Falcon 2000, którym mieli odwieźć do domu to, co pozostało z najlepszego człowieka agencji.

Jak przed tygodniem, znowu przyszło mi spędzić sobotnią noc w Amsterdamie. Dotarłem na miejsce po północy i gdzieś przy krawężniku zostawiłem volkswagena z pustym bakiem. Mimo ładnej, pogodnej nocy i mojej kurtki narciarskiej było mi zimno. Czułem dreszcze i pewnie miałem gorączkę. Szedłem, bo musiałem iść dalej. Kanały, ulice, mosty, ludzie bawiący się w sobotnią noc. W barze Vertigo na terenie Vondelpark odbywała się jakaś głośna impreza, słychać kibiców dopingujących drużynę piłki nożnej. Ajax Amsterdam, tak się chyba nazywa ich drużyna. Ludzie byli wszędzie, na parkingu, na patio i na ulicy. Musiałem to zrobić jak najszybciej. Mój wygląd na pewno nie budził zaufania. Z rozbitą, spuchniętą gębą i w tym stroju wyglądałem, jakbym chciał coś ukraść. A i to się zgadzało, nie tak dawno ukradłem (kolejny) samochód. Trafiłem do drzewa, „Anneke Daan”. Usiadłem na chwilę na wilgotnej trawie i niebołącą ręką wygrzebałem z ziemi mały pakunek.

– Hej! U! Wat u die ziju daar doen!

Strach, paraliż, pot spłynął mi po plecach, chociaż niczego nie zrozumiałem. Dopiero wtedy zrobiło się ciepło. Odwróciłem się, a za mną stało w bojowym rozkroku dwóch lekko pijanych młodzieńców. „O nie! Wystarczy już bicia Jana Barskiego”. Schowałem do kieszeni mój skarb.

– Wat daar hebt u? – usłyszałem znowu.

Z braku innego pomysłu zacząłem syczeć i warczeć. Na ustach i brodzie pojawiła się gęsta ślina, mająca imitować pianę. Ochrypłym, głębokim głosem zacząłem przeklinać we wszystkich językach, jakie znałem. Tupałem nogami, na zmianę lewą prawą, lewą, prawą. Znowu warczałem i plułem, podskakując w miejscu.

Chyba zadziwiłem holenderskich kibiców, bo wycofali się powoli, nie spuszczając mnie z oka. Nie mogłem walczyć, nie miałem siły. Jedyne broń, jaka mi pozostała, to zaskakująco-ogłupiające zadziwienie. Zawsze w historii opętanie robiło wrażenie. Pobiegłem przed siebie. Siły opuściły mnie po minucie. Musiałem znaleźć nocleg i znów wracała kwestia mojego wyglądu. Ze wszystkich małych hoteli, do których próbowałem się dostać, wyganiali mnie od drzwi jak bezdomnego psa. W jednym pytali o dokumenty, w drugim krzyczeli, machając rękami, a w następnym

pokazywali przez szybę, że jest zamknięte. „Nic z tego nie będzie”. Nikt nawet nie chciał ze mną rozmawiać, a ja chciałem po prostu zapytać, gdzie jest jakiś przytułek czy schronisko. Musiałem zasnąć i to jak najszybciej, miałem czterodobowe zaległości. Pozostawały już tylko burdele, i to te tańsze.

– Pięćdziesiąt euro – pada suma zamiast powitania. – OK?

– OK – kończę najszybszą transakcję życia.

Burdelmama podała mi klucz z numerem i pokazała ręką na schody. Wszedłem na piętro, otworzyłem drzwi. Na łóżku siedziała kobieta koło czterdziestki i popatrzyła na mnie, jakby przegrała majątek na wyścigach.

– O której muszę stąd wyjść?

– Jak skończysz.

– Ile czasu mogę tu zostać?

– A czy ja wiem? Godzinę, dwie, to nie hotel.

– Zaprowadź mnie gdzieś, gdzie będę mógł się wykapać i spać do poniedziałku, zapłacę ci podwójnie.

Z wyraźną ulgą podeszła bliżej i obejrzała moją opuchliznę pod okiem.

– Ty, chłopaku, nie potrzebujesz kurewki, tylko pielęgniarkę. Daj mi pięćdziesiątkę dla szefowej i czekaj tu.

Po chwili wróciła na górę.

– Idziemy.

Wychodząc, zgasiła światło w pokoju. Po coraz to bardziej stromych schodach weszliśmy na ostatnie piętro, poddasze. Sufit bardzo małego pokoju schodził skosem do podłogi. Do mojej dyspozycji było łóżko przykryte białym prześcieradłem, prawdziwa poduszka i koc.

– Pysznic jest tu za drzwiami, tylko wytrzyj podłogę po kąpielu. No, to tak, jak się umawialiśmy, pięćdziesiąt euro do poniedziałku rano?

Podąłem jej trzy banknoty.

– Tu masz wodę do picia, plastry i okład z lodem na opuchliznę. Przyłóż to sobie na gębę przed spaniem. Dobranoc.

Wyszła, cicho zamykając drzwi. Byłem prawie szczęśliwy. Długo nie mogłem wyjść spod gorącej wody. Okład na podbite oko i rozciętą skórę policzka piekł jak ogień. Przed snem, ostatkiem świadomości sprawdziłem zawartość mojego skarbu wykopanego pod drzewem. Tym razem nie zamierzałem dać się okraść. Przy pomocy plastrów przykleiłem pieniądze, klucz pamięci i list pod pachą. Próba oderwania takiego plastra obudzi nawet zmarłego. Myśląc jeszcze chwilę o tym, co się stało, o Monice i o niespodziewanym odzyskaniu wolności, zasnąłem.

W niedzielę po południu samolot holenderskich linii lotniczych KLM wylądował na lotnisku międzynarodowym Logan. Chodząc po starym Bostonie i zwiedzając Uniwersytet Harvard, Lia Abbing myślami była już w biurze mecenasa Taylora. Jedząc obiad, w przepięknie położonej nad wodą restauracji Owoce Oceanu, zastanawiała się jak zacząć rozmowę. Kiedy przez telefon umawiała się na spotkanie, skłamała, że chodzi o sprawę spadkową. No, może nie było to kłamstwo, a raczej niedopowiedzenie.

Teraz, już w pierwszych zdaniach, musiała powiedzieć, o czyj testament chodzi. Biuro mieściło się na parterze starego domu, w dzielnicy Cambridge, oddzielonej rzeką od starego miasta.

– Dzień dobry, proszę usiąść. Nazywam się Robert Taylor. Czemu to zawdzięczam wizytę zza oceanu?

– Lia Abbing. Amsterdam Metro – podała swoją wizytówkę. – Jestem dziennikarką i oprócz mojej codziennej pracy w lokalnym dzienniku, niedawno zaczęłam pracę nad biografią profesora Alistera Swana. Bardzo mnie zaskoczyła wiadomość o śmierci profesora. Teraz okazuje się, że został zamordowany.

– W notesie mam zanotowane, że przychodzi pani w sprawie spadku.

– Częściowo to prawda. Na ile pozwala tajemnica prawna, chciałam zapoznać się z opracowaniami naukowymi pozostawionymi przez profesora.

– Czy pani spotkała się kiedyś z profesorem osobiście?

– Tak. To znaczy, nie, ale korespondowaliśmy przez maile.

– Zna pani temat jego badań?

– W ogólnym zarysie, na ile nie-naukowiec może to zrozumieć. Wiem, że poświęcił swoją pracę naukową zagadnieniu skutków ubocznych środków antykoncepcyjnych.

Praktycznie cała wiedza Lii o dziele życia Alistera Swana opierała się na tajemniczym, dwustronicowym liście, który otrzymała w zeszłym tygodniu. Odwracając zdania tam i z powrotem, udało jej się elokwentnie zaprezentować temat. Robert Taylor przyglądał się jej uważnie. Wiedziała więcej niż przeciętny człowiek mógł wyczytać w internecie czy w bibliotece.

– Od kiedy zaczęła się pani interesować badaniami profesora?

– Około pół roku temu, już po śmierci żony profesora, natknęłam się na blogu na rozmowę na ten właśnie temat. Zaczęliśmy korespondować. Wiem, że Alister nie miał dzieci, ani innych spadkobierców i tu powstały oczywiste pytania. Co teraz stanie się

z jego dziełem? Czy zostaną opublikowane najnowsze wyniki jego badań?

– Czy profesor mówił pani, dlaczego jego prace nie były publikowane do tej pory?

– Linia jego badań była ignorowana i po prostu nie na rękę ludziom w pewnych sferach. Próba podważenia definicji homoseksualizmu we współczesnym świecie może być przedmiotem typowego polowania na czarownice. Dlatego chciałam się dowiedzieć więcej na ten temat.

– W związku z przebiegającym śledztwem, na razie otwarcie testamentu zostało odłożone na później. Obawiam się, że niewiele mogę tu pomóc – zrećcznie próbował się wykręcić mecenas.

– Wiem, że był pan jego radcą prawnym przez wiele lat. Czy mógłby pan opowiedzieć mi coś więcej o życiu profesora?

– Wstrzymajmy się na razie, aż do otwarcia testamentu. Wszystko, co mogę tu zdradzić to to, że na krótko przed śmiercią Alister przesłał mi poprawki i nowe załączniki do testamentu spisanego przed laty. Możemy się umówić, że dam pani znać o terminie czytania dokumentów spadkowych.

Na znak, że wizyta się skończyła, Robert Taylor wstał i wymownie odwrócił się w stronę drzwi. Szybko, panicznie Lia szukała sposobu, żeby przedłużyć spotkanie. Niewiele się dowiedziała i obawiała się, że będzie bardzo trudno ponownie umówić się z mecenasem.

– Czy profesor miał przyjaciół, znajomych, którzy by mogli opowiedzieć mi o jego życiu prywatnym?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Nie znałem go aż tak dobrze.

Nie znajdując wyjścia z sytuacji, Lia wstała i podziękowała za poświęcony jej czas. Robert został sam. Podczas ostatniej rozmowy z Alisterem odmówił mu porady prawnej i pomocy. Czy gdyby stało się inaczej, Alister żyłby nadal? Przed laty, podczas tej pierwszej obławy na młodych naukowców, ojciec Roberta, ówczesny właściciel biura, zgodził się za opłatą na współpracę z agencją i kontrolę poczynąń prawnych profesora. Po śmierci ojca Robert przejął biuro wraz z tym fatalnym zobowiązaniem i nigdy się z niego nie wycofał. Kiedy prawnik postępuje wbrew prawu, to dręczą go prawne wyrzuty sumienia. Ostatnie wydarzenia były tego dowodem.

Lia Abbing wracała powoli w stronę hotelu. Rozmowa, z której niewiele się dowiedziała, potwierdziła tylko konieczność dalszego działania i uporów. Podniosła głowę do góry i uśmiechnęła się do jesiennych ulic Bostonu, pachnących mokrymi liśćmi.

– Na razie zostaję, jest tu dużo do zrobienia – powiedziała do siebie, podejmując

wyzwanie.

Przebudzenie się bez ciała? Czy takie uczucie jest możliwe? Czy można śnić o braku swojej własnej materialnej postaci? Mijał czas, którego realność była potwierdzona tylko przez sygnały elektronicznych urządzeń. Ten dziwny fragment czasoprzestrzeni zidentyfikował się sam przed sobą jako Vincent Rogov. Powoli wracała pamięć, której towarzyszyła panika niezrozumienia.

– Co się ze mną stało? Gdzie jestem albo raczej... dlaczego mnie nie ma?

Pierwszym, nadludzkim prawie, osiągnięciem było uniesienie powiek. Prawe oko rozróżniało tylko światło i cień. Może było przykryte. Lewe oko widziało szczegóły: bąble na białej farbie sufitu, czerwone światełko migające na ekranie jakiegoś urządzenia, fragment powiewającej firanki i okna. Vincent miał złudzenie, że rusza palcami lewej dłoni. Słyszał własny głos, krzyczał, żeby ktoś do niego podszedł.

Jeden za drugim włączały się następne departamenty pamięci. Szary świt, szosa, prędkość i ten samochód nie wiadomo skąd pojawiający się tuż przed przednim zderzakiem. Huk, błysk i nagłe spowolnienie czasu, wolniej, coraz wolniej, aż do zatrzymania w ciemności, gdzie zgubiła się rzeczywistość. Na tle poprzednich odgłosów mechanicznych pojawiły się nowe, ludzkie głosy. Nie rozumiał tego języka, ale z całych sił próbował krzyczeć. Głosy nie reagowały. Teraz obraz zaczął się zmieniać, chyba przeniesiono go na inne miejsce. Coraz to inne przedmioty migają przed jedynym widzącym okiem.

Poruszał się w przestrzeni, prawdopodobnie w przestrzeni szpitalnego korytarza.

– Vincent? Czy ty mnie słyszysz? – nareszcie zrozumiały język.

– Oczywiście, że cię słyszę. – odpowiedział z ulgą.

– Vincent? – twarz zbliżyła się do widzącego oka. – Słyszysz mój głos?

– Oczywiście! – myślał, że krzyczy. – A ty mnie słyszysz? – głosu Vincenta nie słyszał nikt.

– Lekarz mówi, że niestety nie ma z nim komunikacji. Jest zupełnie sparaliżowany. Twierdzi też, że w tym stanie i tak szybko po wypadku nie należy go przewozić samolotem i narażać na nagłe zmiany ciśnienia – powiedział inny głos.

„Sparaliżowany? Oni mówią o mnie?” – starał się opanować narastającą panikę, wroga logicznego myślenia. Nie powiedział nikomu o tym, że odnalazł kobietę z dzieckiem, i że odkrył, jak się nazywa, że wie, gdzie się chce ukryć. Za wszelką cenę chciał przekazać im te informacje i chociaż tak wywiązać się z powierzonego

zadania. Jeśli nie może mówić ani poruszać dłońmi, to pozostało mu tylko mruganie powieką lewego oka.

– Zobacz, on porusza lewą powieką – oznajmił znajomy głos i dodał: – Jeśli mnie słyszysz, to zamrugaj.

Vincent z głęboką ulgą zamrugął, jak go prosił głos.

– Świetnie! Rozumie, co się do niego mówi. Będzie można powoli się z nim komunikować – ucieszył się drugi głos dobiegający spoza pola widzenia.

Nie miał za dużo czasu. Trzy długie mrugnięcia, trzy krótkie, trzy długie. „S.O.S”, żeby tylko zwrócić ich uwagę. Rozumiecie? Mruganie ma treść, jak telegraf. Vincent przesyłał desperacko informacje jedynym sposobem jaki mu w tej chwili pozostał.

– Lekarz twierdzi, że pacjent jest bardzo podekscytowany, spazmatycznie mruga, coraz szybciej. Radzi, żeby go zostawić w spokoju i dać odpocząć – odezwał się głos z prawej strony łóżka.

„To nieprawda! Nie jestem zdenerwowany, chcę mówić i przedstawić szczegóły, które precyzyjnie udało mi się wydedukować. Czy nikt nie rozumie, do cholery, alfabetu Morse’a? Ktoś w końcu musi zwrócić uwagę na to, że mruganie to litery, treść... informacja!”

– Oczy zaczynają mu bardzo łzawić od tego mrugania, robią się przekrwione. Lekarz sugeruje, żeby je zakleić gazą, co zapewni uspokojenie i odpoczynek w czasie podróży. Grozi mu niepotrzebne zapalenie spojówek – kontynuował swoje uparte brednie ten sam głos.

Vincent chciał krzyknąć: „Idioci! Skupcie się chociaż przez chwilę, to ja, Vincent, mówię do was!”. Mgła białej gazy zasłoniła ten mikroskopijny wycinek zmieniającego się otoczenia, który lewe oko jeszcze przed sekundą mogło oglądać. Odcięto ostatni kanał łączności ze światem. „Nie! Nie, to niemożliwe!”, krzyczał bezgłośnie Vincent, szczelnie zamknięty w nieruchomym ciele.

W najśmielszych fantazjach związanych z pracą w agencji Monica nie przewidywałyby takiego zakończenia kariery. Szokująca opowieść Barskiego o życiu i śmierci profesora wywołała nieoczekiwany skutek. Ucieczka. Jeśli te informacje były prawdziwe – a były, bo nikt nie oddaje życia za zmyślane bajki – to nie ma takiej siły, nie ma takiej agencji ani takiej sumy pieniędzy, żeby zahamować nadchodzącą falę. Jak dowodzi historia naszej cywilizacji, kłamstwa są śmiertelne i żyją krótko. Statystyki jednak nie podają przeciętnej długości życia kłamstwa politycznego.

Ta ostatnia myśl wywołała nikły cień radości na twarzy Monici. Niestety, lęk przed przyszłością był silniejszy od chwilowego zwycięstwa. W ciągu nadchodzących godzin musiała podjąć decyzję, co robić dalej? Być może jest jeszcze szansa powrotu do agencji, prezentując godzinne nagranie opowieści Barskiego i udając, że wszystko było szczegółowo zaplanowane. Tego rodzaju nieautoryzowana akcja w najlepszym wypadku przyniosłaby naganę, dymisję lub przeniesienie do innego działu. Życie wróciłoby powoli do starej agencyjnej normy. „Nie zawsze można wrócić, krople deszczu nie wracają do chmury” – pomyślała Monica, patrząc przez ociekające wodą okno.

Pociąg Intercity linii Bonn-Marsylia mknął prawie bezgłośnie po szynach z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Krople deszczu pełzały, pchane pędem powietrza w poprzek okna i niewiele było widać w jesiennej mgle. W głębi duszy pogoda też nie była plażowa. Trudno było uwierzyć, że niespełna tydzień temu ona, Monica, odniosła największy sukces w swojej karierze i że to zdarzenie też miało miejsce w pędzącym pociągu.

„Goniący będzie gonionym”, ciekawe, czy Jan Barski sam napisał ten krótki, proroczy wiersz? „Mija cenny czas... biegniesz w złą stronę...” Kiedy przeczytała te słowa napisane na ścianie wynajętego domu w Kanadzie, wydały jej się czymś w rodzaju dziecinnego wyzwania. A teraz, kilka dni później nie wiedziała, w którą stronę miała biec. W którą stronę miała uciekać? Zdała sobie sprawę, że nie ma już domu, rodziny i przyjaciół. Nie mogła się już z nikim znajomym kontaktować. Zanim zablokowano dostęp do kont bankowych, Monice udało się wypłacić pewną sumę pieniędzy z operacyjnego konta agencji. Każda próba użycia karty bankowej czy kredytowej momentalnie zdradziłaby miejsce jej pobytu. Wiedzieli tylko, że ostatnia operacja bankowa agentki Monici Rovet miała miejsce w Kolonii.

W Marsylii planowała zdobyć paszport pod nowym nazwiskiem i zmienić wygląd. W Stanach poradziłyby sobie z tym szybko i sprawnie, tutaj mogło to potrwać znacznie dłużej. Następnie za gotówkę chciała kupić bilet do Kanady i odebrać obiecany przez Barskiego komputer. Dane z tego dysku twardego mogły uratować jej życie i stać się cenną walutą przetargową. Na dworcu w Dortmundzie kupiła nowy telefon komórkowy i za jego pomocą uruchomiła nieistniejący wcześniej adres e-mailowy, który podała Barskiemu. Pozostawało teraz czekać na wiadomość. Te wszystkie pytania i zadania następnych kilku dni na pewno nie pomogą spać spokojnie, a pozostawała jeszcze kwestia godzinnego nagrania, które zapoczątkowało całe to zamieszanie.

Pomysł pierwszy, i jak na razie jedyny, to iść na całego. W jakiejś kawiarni

internetowej w Marsylii przekopiować zawartość karty pamięci z nagraniem Barskiego i puścić je w świat: do BBC, CNN, AFP i Reutersa. W celu przykucia uwagi opinii publicznej można dodać, że nagranie to zostaje ujawnione przez agenta osobiście biorącego udział w torturach człowieka posiadającego utajnione dokumenty. Media i ich miłośnicy uwielbiają takie słowa jak: tortury, skandal, tajne dokumenty. „Narobić tyle zamieszania, ile się da. Może, z odrobiną szczęścia, odwróci to uwagę agencji od jednej z agentek, zwanej już na pewno dezserterką?” Oboje z Barskim byli w podobnej sytuacji i chaos informacyjnej gorączki był ich sprzymierzeńcem. Oboje z Barskim znali doskonale metody śledzenia, namierzania i uziemiania ludzi i informacji. Wiedzieli (albo przynajmniej taką mieli nadzieję), z czym mieli do czynienia.

Monica zamówiła filiżankę pachnącej kawy i croissant. Próbowiła się odprężyć, na spokojnie analizować i kontrolować sytuację. Świadomość szybkości pędzącego pociągu dawała poczucie bezpieczeństwa. „Uciekinier jest bezpieczny tak długo, jak ucieka... Zabrzmiało to jak następna zwrotka tamtego wiersza na ścianie”. Rozważania urwał nagle dźwięk dzwoniącego telefonu satelitarnego w torebce. Na dworcu pozbyła się wszystkich dokumentów firmowych i kart bankowych na swoje nazwisko, pozostawiając wyłączony telefon służbowy. Na pewno był wyłączony. Sygnał odezwał się tylko dwa razy, po czym telefon zamilkł. Prawda stała się oczywista – już wiedzieli, gdzie znajdowała się Monica. Otworzyła okno na korytarzu pomiędzy przedziałami. Telefon z jej numerem ewidencyjnym, ostatnia więź z agencją, poszybował wśród deszczu i skończył życie na betonowym słupie, rozpryskując się na tysiące elektronicznych atomów.

Wróciła na swój fotel, ukryła twarz w dłoniach. „Goniący... jest już gonionym”.

Następny, najdłuższy etap podróży dobiegał końca. Samolot Finnair obniżał szybko wysokość lotu, schodząc do lądowania na lotnisku międzynarodowym w Melbourne. Tym razem nawet nieprzyjemna zmiana ciśnienia, blokująca boleśnie uszy, nie zdołała obudzić Tomka. Całą, prawie dwudniową podróż przespał z głową na kolanach mamy. Spał nawet na ławce na lotnisku w Bangkoku, kiedy czekali w czasie przesiadki. Vicky zasnęła najwyżej na godzinę. Była zmęczona fizycznie długą podróżą, ale spadło z niej to paraliżujące uczucie śmiertelnego niebezpieczeństwa. W Melbourne była wiosna i, jak przed chwilą ogłoszono, dwadzieścia stopni Celsjusza, zachmurzenie umiarkowane i lekki wiatr.

W miarę szybko udało się odebrać bagaż i wyjść na powietrze przed budynek terminalu lotniczego.

Dochodziła godzina dziesiąta rano i okolice lotniska wrzały tłumem pasażerów. Tuż przed nimi zatrzymała się taksówka. Jakby uciekając przed diabłem, wyskoczyła z niej kobieta, szarpiąc za sobą walizkę na kółkach.

– Do miasta? – krzyknął kierowca, z tym sławnym akcentem łowcy krokodyli.

– Tak – niepewnie odkrzyknęła Vicky, nie mając zielonego pojęcia, dokąd chce jechać. Zanim taksówkarz zadał następne pytanie, spojrzała na wielki plakat reklamowy Brighton Beach Garden ze zdjęciem pięknej plaży.

– Jak daleko jest do Brighton Beach?

– Najwyżej pół godziny. Jedziemy?

– Tak. Potrzebujemy rozprostować nogi po długim locie.

– Tak, to bardzo ważne i bardzo zdrowe. Woda jest jeszcze za zimna na kąpiel, ale pogoda na spacer jest wyśmienita.

Rzeczywiście, plaża była pusta. Fale wspinały się po białym piasku, żeby za chwilę uciec z powrotem w głąb turkusowej otchłani. Mały dopiero tam rozbudził się zupełnie. Biegał, gonił mewy, rzucał kamienie do wody. „Żeby tak można było tu zostać na zawsze. Nie w tym wielkim mieście, ale gdzieś właśnie na takiej plaży, budzić się co rano, słuchając pulsu wielkiego oceanu. Czas dotknąć szczęścia i spokoju po ostatnich zwariowanych tygodniach. Czas odbudować normalne życie”. Leżąc na piasku, Vicky z niepokojem myślała o Janku. Ostatnie wieści dotarły do niej dziesięć dni temu, po przyjeździe do klasztoru. Od tamtej pory tyle się wydarzyło, że wydawało się, jakby minęły całe miesiące. „Jak szukać wieści od Janka? Gdzie spać dzisiejszej nocy? Co robić jutro?”

– Mam ochotę na pizzę! – krzyknął Tomek. – Taką prawdziwą, australijską pizzę, z kiełbasą z kangura i kiwi.

– Zgłupiałeś? Nie ma takiej pizzy.

– To może być jakaś inna! – radośnie pokrzykiwał z głośnym odprężonym śmiechem, skacząc po piasku.

Wieczorem Vicky znalazła w miarę niedrogą prywatną kwaterę, zaledwie kilka minut na piechotę od plaży. Jak powiedziała właścicielka domu, w sezonie byłoby to niemożliwe. Codzienne czynności domowe po tych wszystkich przeżyciach, nabrały nowego wymiaru. Vicky miała prawdziwą ochotę na zrobienie prania, ugotowanie dobrego obiadu, co dałoby poczucie normalności i bezpieczeństwa. „Kto wie, czy to już koniec zabawy w polowanie?” Jutro kupi kilka kart telefonicznych, poszuka jakiegoś używanego laptopa i zacznie działać. Złe wiadomości są jak ból od

uderzenia, a brak wiadomości jak powoli narastający ból zęba.

Salvatore Rodriguez wraz z grupą agentów odleciał wieczorem do Waszyngtonu. Albert Weiss właśnie zakończył skomplikowane formalności związane z przewiezieniem rannego ze szpitala w Wilnie do szpitala rządowego na Hawajach. Lekarze uparcie odradzali wypisanie pacjenta i narażanie go na wielogodzinną podróż powietrzną. Podpisywanie listów i oświadczeń o zwolnieniu litewskiego ministerstwa zdrowia z odpowiedzialności za decyzję przewiezienia trwało godzinami. Nareszcie cała ta afera dobiegła końca. Specjalne łóżko transportowe ze sparaliżowanym całkowicie Vincentem Rogovem zostało zabezpieczone pasami w pozycji wiszącej, które miały łagodzić wstrząsy i wibracje w czasie lotu.

Vincent był bardzo podniecony i zdenerwowany. Jedynie lewa powieka i drgająca prawa dłoń wysyłały sygnały życia po rozległym uszkodzeniu mózgu, zakończonym wylewem. Pacjent histerycznie mrugał lewym okiem. Łzy zrosiły cały sparaliżowany policzek, a zaczerwienienie spojówki zaniepokoiło lekarza dyżurnego, który polecił zakleić oko gazą. Stojąc na prywatnym pasie startowym lotniska w Wilnie, Albert przyglądał się scenie, którą można by zatytułować *Powrót Bohatera*. Podobnie jak Vincent Rogov, i on poświęcił całe życie służbie. Tak jak i on był jednym z ostatnich, którzy rozumieli znaczenie odpowiedzialności za wykonanie zadania. Nowe pokolenie już po prostu pracuje, od godziny do godziny, jak na poczcie. Vincent był jednym z najlepszych ludzi w historii agencji.

Jeszcze będąc na lotnisku, Albert odebrał dwa nowe raporty z terenu. Ex-agentka Monica Rovet została zlokalizowana w pociągu Intercity jadącym do Marsylii. Drugi raport był niewiarygodny. Połączenie telefoniczne pomiędzy telefonem komórkowym na terenie Amsterdamu i klasztorem w Polsce. Na dodatek, sygnał wysłany został dokładnie z tego samego punktu, z tego samego skrzyżowania Bethovenstraat i mostu nad kanałem, co poprzednio. Treść telefonu była również bardzo podobna, tym razem jednak siostra dyżurna poinformowała Barskiego, że zakonnik Piotr jest w szpitalu.

- Wyślijcie kilku ludzi do Amsterdamu – zaczął wydawać rozkazy Albert.
- Są już w drodze – padła krótka odpowiedź. Ktoś już podjął decyzję.
- Co do pierwszej sprawy M.R., to w Marsylii na dworcu musi czekać co najmniej pięciu, bardzo sprawnych agentów.
- W tej sprawie decyzję podejmuje centrala – krótka odpowiedź zakończyła raport.

– Ciekawe, czy jest jeszcze coś, o czym ja tu decyduję? – zapytał sam siebie głośno, chowając telefon do kabury przy pasku. W ciągu kilku godzin, dwukrotnie i dosłownie, Albert Weiss zrozumiał znaczenie słowa „paraliż”.

Z dumą przyglądałem się wyprężonej, eleganckiej postaci, odbijającej się w szybie wystawowej sklepu na dworcu w Berlinie. Ten facet w szarym garniturze i w błękitnym krawacie z biznesową teczką w ręku to ja. Dla podkreślenia formy intelektualnej, miałem również okulary w grubych czarnych, plastikowych ramkach. Na razie to zerówki, nie potrzebowałem jeszcze okularów. Odsypianie zaległych nocy na poddaszu holenderskiego burdelu trwało dwadzieścia sześć godzin. Pobiłem mój życiowy rekord snu. Po przebudzeniu wykąpałem się i ogoliłem jakąś używaną jednorazówką do golenia nóg. Używaną zapewne przez lokalną prostytutkę. Było to przeżycie wzniosłe i nie do powtórzenia. Rozpocząłem nowy tydzień z pełnym bakiem energii. Zjadłem wielkie śniadanie, niwelując zaległości w jedzeniu, i ruszyłem na zakupy. Wiele par ciekawych oczu śledziło człowieka ubranego w stylu armii zbawienia, przymierzającego eleganckie garnitury. Osobiście gustowałem w dżinsach, t-shirtach i butach górskich, ale w tej sytuacji postanowiłem się przełamać, w ramach kamuflażu. W sklepie elektronicznym nabyłem używanego laptopa z modemem bezprzewodowym i pokrowcem, całą paczkę pendrive'ów i cztery dziesięciogodzinne telefony komórkowe – mój nowy arsenał. Byłem gotowy do boju.

Przed odjazdem z Amsterdamu przyszedł mi jeszcze do głowy drobny, praktyczny żart. Tramwajem dojechałem do Bethovenstraat i z tego samego punktu na mapie, gdzie namierzyła mnie Monica, zadzwoniłem do klasztoru w Wigrach. Zadałem dokładnie to samo pytanie:

– Dzień dobry, czy mogę rozmawiać z ojcem Piotrem?

– Ojca Piotra nie będzie jeszcze przez kilka tygodni. Miał wypadek samochodowy i jest w szpitalu w Suwałkach. Czy coś przekazać?

Urwałem połączenie i oddałem włączony telefon kobiecie jadącej na rowerze.

– Przepraszam! Upuściła pani telefon, mam nadzieję, że będzie działał – zdziwiona pokiwała głową, wrzuciła komórkę do torebki i odjechała.

Po chwili byłem już w pociągu jadącym do Hannoveru. „Piotr miał wypadek? Czy to jeden z tych wypadków, które zdarzają się ludziom wchodzącym w drogę mojej znajomej ekipie?” Miałem dużo do zrobienia, ale myśli uciekały do Vicky i Tomka.

W myślach, prawie od początku chaosu ostatnich dni, nazywałem moją kobietę żoną. Już ją poślubiłem, chociaż w tym przypadku panna młoda jeszcze o tym nie wiedziała. Przez to całe zamieszanie i tęsknotę, moja decyzja o oświadczeniach nie budziła już żadnych wątpliwości. Wystarczy głupiemu człowiekowi zabrać coś, żeby od razu zaczął do tego tęsknić, jak zdrowie. „Ten tylko się dowie, kto cię stracił... – racja, panie Adamie”.

Europejskie pociągi są już często wyposażone w bezprzewodowy Internet, co też umożliwiło mi wyteżoną pracę w drodze na wschód. Znalazłem numery telefonów do komendy policji w Suwałkach i do szpitala.

– Dzień dobry. Jestem przyjacielem ojca Piotra z zakonu w Wigrach. Właśnie dowiedziałem się, że miał wypadek. Czy może mi pan powiedzieć, co się stało?

– To było w zeszłą niedzielę, to znaczy tydzień temu w niedzielę. Uderzył w drzewo na szosie Suwałki-Sejny. Żyje, to wiem. Niech pan zadzwoni do szpitala, to panu powiedzą, w jakim jest stanie.

– Dziękuję.

Następny telefon spełnił swoje zadanie. Na wszelki wypadek wyrzuciłem go przez okno. Jeżeli ktoś wyłapał moja poprzednią rozmowę, to już wie, że ja wiem o wypadku i o szpitalu. Nie zaryzykowałem telefonu do szpitala. To niebezpieczne, a ja nie mam ochoty na następne przesłuchania. Przejrzałem polskie serwisy informacyjne z poprzednich dni. W wiadomościach suwalskich znalazłem wzmiankę o wypadku. Nic podejrzanego, żadnych domniemanych przyczyn. Nagle, skacząc dalej po wiadomościach lokalnych, zamarłem z przerażenia. „O Boże!”

Gazeta Suwalska, 14 października 2008:

Wczoraj, na brzegu jeziora Wigry znaleziono zwłoki zaginionego dwa dni temu ojca Andrzeja D., zakonnika z klasztoru Kamedułów w Wigrach. Przyczyny zgonu policja nie podała jeszcze do publicznej wiadomości, ale rzecznik prasowy komendy policji w Suwałkach powiedział: – Mamy tu do czynienia z samobójstwem lub morderstwem. Śledztwo trwa.

W ubiegły piątek siostry zakonne zgłosiły zniknięcie brata Andrzeja. Dzisiaj po południu ma się odbyć konferencja prasowa i w jutrzejszym wydaniu poinformujemy czytelników o nowych faktach.

Policja suwalska tego nie wiedziała, ale ja wiedziałem i nie potrzebowałem dowodów. Zamordowali następnego niewinnego człowieka, najprawdopodobniej szukając Vicky i Tomka. Ten człowiek stracił życie, prawdopodobnie nie wiedząc, dla jakiej sprawy. Jak opętany szukałem dalej. Nic. Brak dalszych wiadomości zaczynał po prostu boleć.

W drodze z Hannoveru do Berlina pracowałem dalej, robiąc kopie pendrive'ow z listem Alistera. Jako człowiek poddany torturom dałem sobie prawo do zredagowania wstępu do listu, informującego o śmierci profesora i o pozostałych zbrodniach. Do mojego podpisu dopisałem: *torturowany w tej sprawie*.

Stałem na dworcu w Berlinie i musiałem przyznać, że z dwojga złego wolałem własną postać w garniturze niż w stroju (i w zapachu) człowieka bezdomnego. Nadal nie miałem zamiaru nocować w hotelach. W dzisiejszych czasach recepcja zazwyczaj dopytuje się o dokumenty. Ja nie miałem przy sobie nic. Na całe szczęście nie było już granic w ramach Unii Europejskiej, bo bym jeszcze musiał... „kulom się kłaniać” podczas przeskoku do następnego kraju. Plan miałem prosty. Na razie nocowałem w pociągach... w drodze nad jezioro Wigry.

Kupiony w Dortmund telefon komórkowy zawibrował w kieszeni. Monica w skupieniu odczytała wiadomość od Barskiego i od razu zadzwoniła pod podany numer. Wszystko się zgadzało, facet z ciężkim indyjskim akcentem potwierdził, że ma komputer i poprosił, żeby zadzwonić na kilka godzin przed odbiorem. Barski nie skłamał. Rażący błąd taktyczny, który popełniła zatrzymując telefon służbowy, nie dawał jej spokoju. Nie pomyślała, a przecież wiedziała, że sygnałem z centrali można uruchomić wyłączony aparat. Przypomniała sobie za późno, dużo za późno, bo telefon satelitarny wysłał sygnał powrotny w momencie, kiedy pociąg minął Lyon i nie było już żadnych planowanych przystanków przed stacją docelową w Marsylii. Pomysł uruchomienia hamulca bezpieczeństwa i rzucenia się do ucieczki w ukryte za ścianą deszczu góry nie był zbyt pociągający. Od dworca centralnego w Marsylii do terminalu promowego Qui ud Marco był najwyżej kilometr. Z tamą codziennie wypływają dziesiątki statków w kierunku Korsyki i Sardynii. „Może na wyspach będzie łatwiej załatwić nowe dokumenty”. Miasta portowe zawsze były oknem na świat. Pociąg zwolnił i jakby odpoczywając po wysiłku, wtoczył się na dworzec w Marsylii. Pasażerowie ustawili się w kolejkach do drzwi. Kiedy wszyscy wysiedli, Monica przykryła twarz płaszczem wiszącym nad jej siedzeniem i udawała śpiącą twardo pasażerkę. Minęło prawie pół godziny, zanim pracownik kolei sprawdzający wszystkie przedziały natknął się na śpiącą kobietę.

– Halo! Proszę pani! Już dawno jesteście w Marsylii. Proszę wysiąść, pociąg zaraz odjedzie na bocznice i zostanie pani tu aż do jutra.

Żeby on wiedział, jak bardzo by to odpowiadało zaspanej pasażerce. Zyskała

sporo na czasie. Jeżeli na dworcu czekał na nią jakiś „komitet powitalny”, to była szansa, że został zmylony. Następne dwadzieścia minut Monica spędziła na poprawianiu makijażu w damskiej toalecie, po czym długo i spokojnie sączyła aromatyczną kawę w barze dworcowym. Był już wieczór, kiedy zdecydowała się na spacer w stronę nabrzeża promowego. Nie śpiesząc się i często stając przed wystawami sklepowymi na Boulevard des Dames, Monica przemieszczała się w stronę, z której wiatr przynosił zapach morza. Za maską beztrąsko spacerującej kobiety, była tak czujna i uważna, że stary Albert byłby z niej dumny. Kontrolowała obydwie strony szerokiej ulicy, obserwowała zarówno pieszych, jak i mijające ją samochody. Zrobiła małe zakupy, wybrała nowy, czerwony płaszcz i brązowo-kasztanową farbę do włosów. W porcie kupiła bilet z prywatną kabiną na ostatni, nocny prom odpływający do Porto Torres na Sardynii. Po całym dniu schowanym za kurtyną mgły i deszczu nastąpiła pierwsza odsłona, przepiękny, chłodny wieczór o przejrzystym powietrzu. Oddalające się światła Marsylii odbijały się w falach zatoki otulonej poświatą idącego spać miasta. Po wymarzonym, gorącym prysznicu zeszła na pokład restauracyjny. Obok włoskiej restauracji i baru odkryła niedużą kawiarenkę internetową z sześcioma komputerami.

– Dobry wieczór. Mam ze sobą taką kartę pamięci – pokazała leżący na dłoni niebieski prostopadłościan. – I chciałabym odsłuchać nagranie dźwiękowe z tej karty. Czy można ją jakoś podłączyć do waszego komputera?

– Zaraz sprawdzę.

Mężczyzna wziął do ręki mały, plastikowy przedmiot, nie zdając sobie sprawy z jego wartości. Po chwili podał Monice przystawkę z zainstalowaną kartą.

– Proszę bardzo, to powinno zadziałać. Czy życzy sobie pani słuchawki?

Siedząc w wygodnym fotelu i popijając nie wiadomo którą już kawę, odsłuchiwała jeszcze raz całą spowiedź Jana Barskiego. Powrót nie wchodził już w grę. Należy zacząć działać. Najpierw odnalazła adres internetowy biura mecenasa Roberta Taylora, radcy prawnego Alistera Swana. Ciekawe, czy po śmierci profesora agencja nadal ma go na oku? To będzie pierwszy krok, „Wyślij”. Jutro mecenas posłucha sobie najciekawszej w swojej karierze opowieści i od tej pory nie będzie już spał spokojnie.

Następny strzał postanowiła wymierzyć w grubego zwierza. BBC. Tak, chciała zacząć od BBC, ale najpierw musiała zredagować wstęp do nagrania. Na wysokich stołkach w barze naprzeciwko usiadło dwóch mężczyzn. Faceci często zwracali na nią uwagę, jednak tym razem, gdzieś w najgłębszej piwnicy podświadomości, rozległ się alarm. Podobno ludzie pracujący przez lata w rzeźni czują w powietrzu obecność

świeżego mięsa. Zupełnie nic nie wskazywało, że ta dwójka różni się od reszty popijających wino pasażerów. A jednak, człowiek z premedytacją śledzący innego człowieka ma wokół siebie zdradzającą go aurę. Monica wymazała wszystko z ekranu komputera, schowała kartę pamięci do kieszeni i leniwym krokiem ruszyła na spacer na pokład zewnętrzny. Wiatr od pełnego morza wzmagął się, im dalej oddalali się od lądu. Monica rozejrzała się wkoło. Była sama. Oprócz niej nie było chętnych na spacer w jesiennej temperaturze. Po prawej stronie oznakowanej drogi spacerowej znajdowały się zamknięte białą bramką schody prowadzące na wyższy pokład. Szybkim ruchem przeskoczyła przeszkodę i wbiegła do góry, zatrzymując się w cieniu pokładowej latarni. Tu, pomiędzy dwoma szalupami, była zupełnie niewidoczna, a jednocześnie mogła obserwować obydwaj wyjścia na pokład spacerowy. Było zimno. Nie musiała jednak długo czekać. Faceci z baru nieomylnie pojawili się na scenie, zgodnie ze scenariuszem napisanym przez instynkt Monici. Obydwaj zapalili papierosy i niby podziwiając ciemność, penetrowali wzrokiem cały pokład. Wyższy z nich wyjął telefon i warknął jakieś krótkie hasło, po czym rozeszli się każdy w inną stronę. Nie tak dawno rozglądała się po ulicach Amsterdamu, próbując znaleźć Barskiego. „Goniący będzie...” wracało cały czas jak natrętne echo. Po chwili obydwaj pracownicy jej byłej firmy, czyli koledzy z pracy, oddalili się od siebie poza granice głosu w wyjąłym wietrze.

– Chciałam to przekazać do centrali w Bostonie! – odezwał się przekrzykujący wycie wiatru głos kobiety. Mężczyzna aż podskoczył, robiąc szybki zwrot. Przed nim stała kobieta z wyciągniętą ręką, w dłoni trzymając jakiś przedmiot.

– Czy my się znamy? – nagle przestraszony, próbował wyjść z honorem.

– Nie ma czasu na głupoty – podeszła szybkim krokiem. Mężczyzna zrobił krok do tyłu.

– Na statku jest ktoś, kto chce mnie zabić. Oddaj to w Bostonie.

Wyciągnięta, delikatna kobieca ręka w geście oddania czegoś tajemniczego nagle zamieniła się w skrzyżowanie młota kowalskiego i błyskawicy. Mężczyzna już nie zdołał tego zauważyć. Rażony potężnym ciosem tuż pod ucho runął jak ścięte drzewo. Prawie w locie, Monica złapała lecące ciało pod pachy i odciągnęła je w ciemne miejsce pod schodami. W kilka sekund opróżniła jego kieszenie. Za chwilę znowu była na najwyższym pokładzie, jak jastrząb obserwujący swoją ofiarę. Mężczyzna na dole chodził coraz szybciej, wkoło szukając swojego towarzysza. W bardzo niefachowym geście nawet głośno zagwizdał na palcach.

– Twój przyjaciel popełnił samobójstwo! – odezwał się głos stłumiony wiatrem. Agent odwrócił się szybkim ruchem, wyciągając Berettę spod kurtki. Zanim się

zorientował, że za nim nikogo nie ma i że głos dochodzi nie z tej strony, potężne kopnięcie spadło z góry, posyłając go na deski.

Dwa do zera. Drugie ciało wylądowało pod plandeką osłaniającą dźwig szalupowy. Schowana od wiatru Monica oglądała swoją zdobycz. Dwie karty identyfikacyjne, dwa pistolety marki Beretta, telefon komórkowy i firmowe karty kredytowe, na które jutro wybierze tyle gotówki, ile się da.

Z tęsknotą pomyślała o swojej przytulnej kabinie, ale niestety musiała spędzić zimną noc gdzie indziej. „Może ich być więcej” – pomyślała i odwróciła się w poszukiwaniu noclegu. Przed twarzą, najwyżej dwadzieścia centymetrów od swoich oczu, Monica ujrzała znajomy żółto-czarny przedmiot. Nie zdążyła już zarejestrować ciemnej postaci naciskającej cyngiel gazu. Z głośnym stukiem na stalowy pokład upadły pistolety marki Beretta i reszta zdobyczy. Chłodny wiatr pozwolił Monice dłużej zachować równowagę i przytomność, niestety tylko kilka sekund dłużej. Jedno za drugim błyskały dziwne światła i próżnia wdzierająca się w głąb jej ciała zaczęła zwycięzać. Wiatr nagle zamilkł i światła pokładu spacerowego wygasły. „Jak to było? Goniący... będzie... złapanym?”

Robert Taylor bardzo lubił słodyczne. Tylko raz ugryziony cynamonowy pączek leżący na jego biurku oznaczał, że wydarzyło się coś specjalnego. W środę rano odwołał dwa spotkania i w samotności, już po raz trzeci, odsłuchiwał e-mail dźwiękowy, który nadszedł w nocy od nieznanego nadawcy. Nieznana organizacja przesłuchiwała człowieka o nazwisku Barski, który przyznaje się w rozmowie, że posiada list i dokumenty dotyczące badań Alistera Swana. Każde zdanie, każde słowo wypowiedziane z pasją i przekonaniem wywoływało dreszcze. Po raz drugi w ciągu kilku dni wyglądało na to, że sprawa, o której mówił na kilka tygodni przed śmiercią Alister, nie umarła razem z nim, chociaż komuś bardzo na tym zależało. Według zeznań Barskiego, drabina odpowiedzialności za morderstwa, porwania i zatajenie skutków ubocznych środków antykoncepcyjnych sięgała najwyższych szczebli politycznych wielu krajów. Wiele lat temu ojciec Roberta, łamiąc prawo, zgodził się na przeciek informacji personalnych o swoim kliencie. Udowodnienie takiego przestępstwa groziło pozbawieniem wykonywania praktyki prawniczej. Po śmierci mecenasa Taylora seniora, niepisana umowa nadal pozostała w mocy. Nie trzeba było nawet kiwać palcem, a co kwartał pieniądze wpływały na konto. Teraz, po latach, należało podjąć decyzję... zadzwonić pod tajemniczy numer kontaktowy i oddać treść

nagrania czy też rozpocząć działania zgodne z prawem i z interesem nieżyjącego już klienta. Ojciec podjął się przekazania informacji o potencjalnych poczynaniach prawnych Alistera Swana. Tajemnicza organizacja, zabijając profesora, logicznie zakończyła zobowiązanie ojca, jako że klient nie mógł już podjąć żadnych kroków prawnych. Czy istniało realne ryzyko pożegnania się z karierą prawniczą (a może i z życiem), jeżeli on, Robert, podjąłby się publikacji wyników badań, zgodnie z życzeniem zmarłego? Z treści nagrania wynikało, że zarówno Kumar Ramadir, jak i Alister zostali zamordowani. Nie wiadomo, czy ten Jan Barski jeszcze żył, czy też stał się następną ofiarą konspiracji. Kto i dlaczego wysłał ten e-mail na adres firmy prawniczej Roberta? Tam, gdzie raz pojawiła się ludzka krew, tam jest ryzyko. Dane spisane z tego nagrania nie były jeszcze listem podpisanym przez profesora. Na razie był to tylko nieautoryzowany materiał sensacyjny dla mediów.

Było już po trzeciej, kiedy Robert skończył swoje słodkie śniadanie i dopił zimną kawę. Poleciał sekretarce, żeby jak najszybciej załatwiła z bankiem blokadę przelewów od tajemniczego klienta. W pudełku z wizytówkami szybko odnalazł niebieski kartonik. Lia Abbing, Amsterdam Metro. Sięgnął po telefon.

W samolocie z Brukseli do Bostonu Albert Weiss przeczytał informację o następnej akcji zakończonej sukcesem. Monica Rovet została zlokalizowana na promie płynącym z Marsylii na Sycylię i unieruchomiona. Obecnie znajdowała się w drodze do Bostonu. Cała ta afera z uwolnieniem Barskiego nadal pozostawała tajemnicą. Albert ciągle nie mógł uwierzyć, że najlepsza agentka młodego pokolenia nagle zdezerterowała, i to w sposób narażający całą strukturę agencji na olbrzymie niebezpieczeństwo. Reszta zespołu została odwołana z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Niemcy wrócili do swojej bazy w Aachen, a na stanowisku pozostała jedynie para Polaków, obserwująca szpital w Suwałkach i klasztor. Barski prawdopodobnie też nie wiedział, gdzie byli jego żona i syn i będzie próbował się skontaktować ze swoim szkolnym kolegą, rannym mnichem w szpitalu. Albert kilkakrotnie próbował się połączyć z Salem, ale jego telefon służbowy nie odpowiadał. Po lądowaniu na lotnisku międzynarodowym Logan w Bostonie odebrał swój zakurzony samochód, stojący na parkingu od dwóch tygodni, i od razu udał się do biura. Zatrzymał się przed wjazdem na podziemny parking i zeskanował swoją kartę identyfikacyjną przez czytnik koło szlabanu. Światelko na ekranie pozostało w kolorze czerwonym, a stalowy szlaban nie uniósł się do góry. Przesunął kartę przed

skanerem po raz drugi, i trzeci. Szlaban nie otworzył się. Za nim pojawił się następny samochód, czekający na wjazd do podziemia. Spróbował jeszcze raz, bez skutku, po czym zawołał strażnika siedzącego w oszklonej budce przy wyjeździe.

– George! Albo moja karta nie działa, albo musisz naoliwić szlaban – zażartował głośno Albert.

– Zaraz zobaczymy – odpowiedział Murzyn w mundurze, idąc w jego stronę.

Najpierw sam spróbował otworzyć wjazd kartą Alberta, po czym pokiwał głową w geście rezygnacji i zniknął wraz z kartą za drzwiami dyżurki. Kierowca w czekającym samochodzie wyraźnie się niecierpliwił. Albert zrobił gest niemocy, unosząc obie ręce do góry. Strażnik wyszedł zza oszklonych drzwi i gestem rozkazał kierowcy z tyłu, żeby się wycofał. Zdziwiony Albert nie rozumiał, co się dzieje. Następny gest skierowany był do niego i pokazywał raz za razem na ulicę wyjazdową, nie wspominając już więcej karty identyfikacyjnej.

– George?

Gesty teraz były częstsze i bardziej zdecydowane, a strażnik wyraźnie unikał kontaktu wzrokowego z Albertem, którego znał od lat. „Zdaje się, że ja już tu nie pracuję” – pomyślał. Prawdę mówiąc, marzył o tym momencie od kilku tygodni, ale nie tak sobie ten moment wyobrażał. On, Albert, wyszkolił setki młodych agentów w ciągu swojej długiej kariery. Znali go zapewne wszyscy pracownicy tego budynku. Nigdy nie przeszło mu przez myśl, że pewnego dnia zostanie po prostu odpędzony od bramy jak niepożądany przybłęda. Nie było tortu, wina, gratulacji i wspomnień... Tak skończyła się służba Alberta Weissa.

Życie w pociągu zaczynało być fascynujące. Jedzenie na dworcach i nieudaczne próby umycia się bez prysznic były mniej pociągające, ale całość dawała dobre poczucie bezpieczeństwa w ruchu. Druga noc tej podróży zakończyła się na dworcu Kraków Główny.

Niestety, pociągi na terenie Polski nie miały jeszcze połączenia do internetu, ale po doładowaniu baterii laptopa przy okazji każdej przesiadki mogłem pracować nad redagowaniem całości przesyłki. Powstało kilkanaście stron opisujących to, co wiedziałem o życiu i śmierci profesora Alistera Swana. Wspomniałem o naszym krótkim spotkaniu w Killarney Park i o jego lawinowych konsekwencjach. Nie pominąłem też, że byłem poddany torturom i że zostałem zwolniony przez jednego z agentów jakiejś międzynarodowej organizacji bez nazwy. Ten raczej obszerny

wstęp, napisany w dwóch językach, prowadził do nienaruszonego edytorsko listu profesora. W liście napisałem, że życie mojej żony, syna i moje jest nadal w niebezpieczeństwie.

Skopiowałem treść na pięć czerwonych pendrive'ów. W nocy musiało tu padać. Brukowane ulice, wiodące w stronę rynku głównego, błyszcząły we wschodzącym słońcu. Minałem Plac świętego Ducha i ulicę Szpitalną, a później Floriańską, dochodząc powoli pod sam kościół Mariacki. Kraków był pierwszym kawałkiem polskiej ziemi, na którym stanąłem po dwudziestu latach. Atmosfera wczesnego jesiennego poranka pozwalała głębiej przeżyć ten wzruszający moment. Stałem na rogu prawie pustego rynku. W tle człowiek sprzątał patio przed jeszcze zamkniętą kawiarnią, a gołębie nie zaczęły jeszcze codziennych zakupów.

Czułem się tam po prostu cudownie. Dokładnie tak, jak opisywali to ci, którzy to miejsce odwiedzali częściej. Ja zawsze tłumaczyłem, że to nostalgia upiększa stare, brudne kąty. Odnowione kamienice z błyszczącymi detalami, stare mury i historia, którą można dotknąć, to niesamowite uczucie kontynuacji dziejów, świadomość korzeni i poczucie dziwnej bliskości. Tyle lat i żadnej obcości. Ulice ozdobione kosztami jesiennych kwiatów, wszędzie czysto i przyjemnie. To nie nostalgia, to fakty, które widziały oczy. Szczęśliwy, że pociąg z Berlina przyjechał tak wcześnie rano, cieszyłem się, że mogłem pobyc tam przez chwilę w ciszy, zanim tłumy turystów wypadły z hoteli i autokarów. Starłem dłonią wodę deszczową z drewnianej ławki, usiadłem i czekałem, aż doleci do mnie zapach kawy. Miałem o czym myśleć. Po drugiej stronie rynku zauważyłem szyld: „Internet Cafe” i od razu wróciły myśli praktyczno-taktyczne w miejsce romantyczno-nostalgicznych rozważań. Około ósmej otworzyły się witryny, krzesła zaczęły się pojawiać w ogródkach kawiarnianych i zajechały pierwsze dorożki. Kraków szykował się do następnej fali zwiedzających. Nareszcie poczułem wytęskniony smak kawy (dostępnej w Toronto zawsze i wszędzie) i śniadanie o smaku innym niż kolejowy. Przerwa na wspomnienia dobiegła końca i należało przypomnieć sobie, dlaczego w drodze na Suwalszczyznę nagle znalazłem się w Krakowie. W czasach głębokiego komunizmu lat pięćdziesiątych, których osobiście nie doświadczyłem, w tym mieście zaczęło ukazywać się bardzo ciekawe pismo pod tytułem *Nasz Tygodnik*. Wokół tego pisma skupiła się grupa sławnych pisarzy i dziennikarzy, pisząca treści prawdziwe, zazwyczaj dręczona przez czerwoną cenzurę. Ludzie ryzykowali życiem i wolnością, przekształcając nieśmiały szept w krzyk donośny, głoszący tłumioną prawdę. Pismo to nadal istnieje i to pod tym samym tytułem. O dziwo, przetrwało burzliwy okres przepoczwarzeń ustrojowych. Niestety już dawno przestałem być jego czytelnikiem,

ale miałem nadzieję, że duch odwagi i pióra w kształcie miecza są nadal żywe w szeregach redakcji następnego pokolenia. Bracka 12 to krótki spacer od starego rynku.

– Dzień dobry. Czy zastałem redaktora dyżurnego?

– Nie mamy takiego stanowiska, ale w czym mogę panu pomóc?

– Nazywam się Jan Barski. W tej kopercie jest karta pamięci...

– Pendrive – poprawił mnie młody, niesamowicie wysoki mężczyzna z kozią bródką.

– Niech będzie, pendrive. Nie jestem pisarzem ani dziennikarzem, ale chciałem to przekazać wam...

Strasznie zacząłem się gubić w języku moich ojców.

– Dobrze. Okazyjnie przyjmujemy tekst od ludzi niepiszących profesjonalnie. Czy może pan zostawić mi jakiś kontakt? Jeżeli zdecydujemy się to wydrukować albo skorzystamy w jakimś stopniu z informacji przekazanych przez pana, to oczywiście należy się panu honorarium.

– Honorarium, mój chłopie, przekazuję w całości na dowolny cel charytatywny, jaki wybierze *Nasz Tygodnik*. O to się nie martw. Zrób mi jednak przysługę i upewnij się, że ten tekst przeczyta ktoś, kto ciągle jeszcze ma zamiłowanie do prawdy. Kto wie, może awansujesz. OK?

Poklepałem go po ramieniu i zadowolony z nagłego powrotu polskiej mowy, skierowałem się w stronę drzwi.

– Dziękuję panu – usłyszałem za moimi plecami, wychodząc z redakcji pewnym krokiem.

Pierwsza część zadania w Krakowie została spełniona. Wróciłem na rynek i zająłem zaciszny kąt w kawiarni internetowej „U Alexa”. Pijąc następną kawę i delektując się pyszną napoleonką, skopiowałem zawartość mojego dysku na adres e-mailowy detektywa Barskiego. Znalazłem adres internetowy biura prawniczego Roberta Taylora z siedzibą w Bostonie. To nazwisko pojawiło się dwukrotnie w ostatniej, pomocniczej części listu Alistera. „Wyślij”, poszło. Przyszła kolej na najbardziej popularne media. TVN 24, prywatna stacja telewizyjna super szybko przekazująca najświeższe wiadomości i nieuchylająca się od interwencyjnej funkcji środków

masowego przekazu. „Wyślij.” Poszło. „A może tak jeszcze strzał gdzieś w szerokie fale? BBC? Wasz głos, listy do redakcji, interwencje, komentarze...”. „Wyślij”. Szybko spakowałem zabawki i zniknąłem, zanim ktoś gdzieś tam dostałby gorączki i zaczął wymiotować ściśle tajnymi rozkazami. Ostatnią rzeczą, jaka pozostała do zrobienia, to telefon do Hindusa – taksówkarza z Toronto. Tym razem kupiłem kartę telefoniczną za dwadzieścia pięć złotych i zadzwoniłem z budki telefonicznej na rogu placu świętego Ducha.

– Dzień dobry, Indrapoul. Pamiętasz, jakieś dwa tygodnie temu wiozłeś mnie taksówką na lotnisko? Dałem ci komputer na przechowanie.

– Tak, tak, sir. Pamiętam. Dziękuję.

– Niedługo zgłosi się do ciebie kobieta i chciałbym, żebyś oddał jej...

– Tak sir, już była, dała mi tysiąc dolarów i wzięła komputer. Komputer jest nienaruszony, sir. Tak jak obiecałem, sir.

– Zaraz. Już ktoś odebrał komputer?

– Tak, sir. Tak, jak mówię, dzisiaj rano zadzwoniła kobieta i godzinę temu odebrała komputer. Nienaruszony, sir, nikt go nie otwierał, sir.

– Jak wyglądała ta kobieta? Przypomnij sobie, Indrapoul.

– Była niewysoka, miała czerwone i trochę blond włosy, i była trochę jakby, gruba, sir.

– Czy była niższa od ciebie? – przypomniałem sobie jego wzrost, kiedy wysiadał z taksówki. Miał najwyżej metr sześćdziesiąt pięć.

– O tak, sir, niższa ode mnie. Na pewno, sir.

Niedobrze. Odwiesiłem słuchawkę i szybkim krokiem albo nawet lekkim biegiem skierowałem się na dworzec. To nie Monica odebrała komputer i telefon Hindusa mógł być już na podsłuchu. Pierwsza, optymistyczna możliwość to to, że Monica wysłała kogoś po laptopa. Druga, pesymistyczna i bardzo prawdopodobna to ta, że dała się złapać i wraz z nią wpadł mój e-mail z numerem Hindusa. Jeśli tak, to właśnie dzisiaj wypadł mi as z rękawa – cała kareta asów.

Muszę przyznać, że od dwóch dni zdążyłem się przyzwyczaić do wygrywania sytuacji. Czułem, że dość szybko nadszedł czas na porażkę. Bez biletu dopadłem ruszający pociąg Kraków-Olsztyn i poszukałem konduktora. Znalazło się miejsce w przedziale pierwszej klasy. „Pojeżdżę sobie trochę i jutro rano powinienem być na Mazurach”.

Kilka kilometrów przed końcową stacją pociąg zatrzymał się na kilka minut, po czym powoli ruszył dalej w stronę Olsztyna. Drzwi przedziału otworzyły się i ukazała się łyśawa głowa, ozdobiona czerwoną twarzą z wyrytą historią spożycia alkoholu.

– Panowie! – odezwał się ochrypły głos. – Nie będę tu niczego ukrywał ani kłamał. Nie mam chorych dzieci ani złej żony, potrzebuję po prostu kilku złotych, żeby się napić dziś wieczorem. Wspomóżcie, co łaska.

Elegancki mężczyzna, który wsiadł w Warszawie, wstał z fotela przy oknie.

– Weź się, kurwa, do roboty leniu! W Polsce są tysiące ogłoszeń o pracę – trzasnęły zamknięte ze złością drzwi przedziału. – Cały dzień śpią, a wieczorem chcą się napić za darmo. Ja, kurwa, nie mam czasu pierdnać, tyle mam pracy, nie pamiętam, kiedy miałem kieliszek w ręku.

Tym razem zwrócił się na pewno do mnie, bo byliśmy sami w przedziale. Nic nie odpowiedziałem, bo nagle przeleciał mi przez głowę pewien pomysł. Wyszedłem na korytarz. Kolejne drzwi trzasnęły przed czerwoną twarzą. Widać miał zły dzień i nikt nie chciał mu postawić piwa.

– Hej! Gdzie mieszkasz? – zaczepiłem pijaczka.

– A gównu cię to obchodzi.

– Jesteś niegrzeczny, a myślałem, że chcesz zarobić kilka złotych – odwróciłem się, odchodząc.

– Poczekaj. Czego chcesz?

– To ty chcesz, a nie ja, także zacznij od zmiany tonu, bo sobie pójdę.

– OK. W porządku, już będę grzeczny.

Zamilkł na chwilę, przypominając sobie, o co go pytałem.

– Mieszkam w Olsztynie na Poprzecznej, to niedaleko dworca.

– Masz żonę, dzieci? Mieszkasz sam?

– Żona zabrała dzieci i poszła sobie. Teraz mieszkam sam, to znaczy drugi pokój wynajmuję facetowi z Gruzji, co przyjechał do roboty.

– W Olsztynie na dworcu postawię ci piwo i pogadamy. Ty potrzebujesz pieniędzy, a ja potrzebuję drobnej przysługi. OK?

– Panie! Tylko żeby to nie były jakieś pedalskie interesy, bo ja się w to gównu nie mieszam. Jasne?

– Nic z tych rzeczy. Czekaj przy barze.

Zabrałem marynarkę i torbę z przedziału i wysiadłem na następnym skrawku ziemi ojczystej. Potworna, czerwona gęba czekała na mnie przed drzwiami restauracji „W drodze”. Usiedliśmy przy stoliku i zamówiłem dwa „Żubry”. Akurat na piwach polskich znałem się dosyć dobrze, ponieważ w sklepach z alkoholem w Toronto

można kupić „Żywca”, „Tyskie”, „EB”, „Okocimia” czy „Lecha”. Zanim zaczęła się rozmowa, mój towarzysz przykleił twarz do pierwszej butelki.

– Pierwsza sprawa: potrzebuję się gdzieś wykapać i przespać do rana. Dam ci pięćdziesiąt złotych.

– Nie łatwiej iść do hotelu?

– Może i masz rację. To na razie – zacząłem zbierać się do wyjścia.

– Ej, ej, powoli, tak tylko powiedziałem. Oczywiście, że możesz u mnie się przespać. Ja przenocuję u sąsiada. Pięćdziesiąt powiedziałeś?

– Tak jest. Teraz drugie pytanie i postaraj się odpowiadać prosto i rzeczowo, nie żądając ode mnie zbędnych pytań. Czy masz w domu ważny polski paszport?

– Paszport mam, ale czy ważny? Nie pamiętam.

– Kiedy go ostatnio używałeś?

– A ze trzy lata temu byłem w Irlandii szukać pracy. To wtedy wyrobiłem ten paszport.

– Powinien być jeszcze ważny. Dam ci tysiąc złotych za twój paszport, a ty zgłosisz zgubienie dokumentów za dwa, trzy tygodnie. OK?

– OK, ale tam jest zdjęcie, a ty nie jesteś do mnie podobny za bardzo – zaśmiał się radośnie na myśl o przychyłwie łatwej gotówki.

– To już nie twoja sprawa.

Zamówiłem następne dwa piwa.

– Następna sprawa. Czy masz prawo jazdy?

– Niestety zawieszono na rok za jazdę po flaszcze, ale za to mam samochód na sprzedaż.

– Tak? Na chodzie?

– Pewnie, że na chodzie. Stoi u szwagra przed warsztatem. 1992 rocznik, Audi Quattro, diesel. Jutro rano możemy go zobaczyć.

Po drodze kupiliśmy sześć piw. Antoni Dyba – czerwona gęba mieszkał niedaleko dworca, na trzecim piętrze szarego, pokomunistycznego bloku. Mury mieszkania przesiąkły do ostatniej cegły smrodem tanich papierosów i niezbyt częstym wietrzeniem. Gorący prysznic i możliwość wyciągnięcia ciała w pozycji poziomej na skrzypiącej wersalce sprawiły mi wielką ulgę. Wczesnym rankiem zadzwoniłem po taksówkę i udaliśmy się na oględziny ostro pordzewiałego, niegdyś żółtego audi. Po godzinie biegania szwagrowi Antoniego udało się znaleźć akumulator i zapalić maszynę. Dobiliśmy targu. Tysiąc siedemset złotych zapłaciłem za paszport i za wypożyczenie samochodu na kilka dni. Obiecałem, że jak będę wyjeżdżał z Polski, to dam mu znać, gdzie zostawiłem auto. Warsztat szwagra Antoniego Dyby miał jeszcze

jedną zaletę: stary komputer podłączony do internetu. Podłączyłem mojego laptopa i sprawdziłem, co dzieje się na świecie i w okolicy. Mijały dwadzieścia cztery godziny od wysłania przesyłki do BBC i do TVN 24... „na razie cisza”. Szukałem dalej na polskich stronach internetowych.

Internetowy Dziennik Augustowski:

W najbliższy piątek, dnia 18 października, na terenie klasztoru w Wigrach odbędą się uroczystości związane z pogrzebem brata Andrzeja Dobosza, brata z zakonu Kamedułów. W dniu wczorajszym rzecznik prasowy komendy policji w Suwałkach oznajmił, że wyniki autopsji wskazują jednoznacznie na morderstwo jako przyczynę zgonu. Policja wydała zwłoki rodzinie i zakonowi, jednocześnie ogłaszając rozpoczęcie śledztwa. Spodziewana jest obecność mediów z całej Polski, jako że sprawa zabójstwa zakonnika nabrała dużego rozgłosu i pojawiło się wiele niesprawdzonych teorii i domysłów, próbujących wyjaśnić motyw morderstwa.

Wigry oddalone są od Olsztyna o niecałe dwieście kilometrów, ale biorąc pod uwagę stan techniczny mojego nowego pojazdu, musiałem się pospieszyć. Uregulowałem rachunki z Antonim i jego szwagrem i trzymając kciuki obiema rękami, ruszyłem na wschód.

Po skończonym obiedzie służba zebrała talerze i wniesiono kryształowe karafki z szesnastoletnim winem deserowym Madera.

– Panowie! Wspólnie stwierdziliśmy, że sytuacja jest bardzo poważna. Minęło dwanaście godzin wyteżonych rozmów i propozycji. Dwukrotnie odsłuchaliśmy nagrane zeznania niejakiego Jana Barskiego. Jednomyślnie zdecydowaliśmy o odsunięciu na bok wszystkich agencji i organizacji pośrednich. Nadszedł czas na podjęcie decyzji co do dalszych działań.

Sebastiano Viscontii, gładząc dłonią siwą brodę, wstał i podszedł do oszklonej ściany, za którą rozciągały się winnice doliny Napa. Rodzina Viscontii posiadała ponad sto malowniczych akrów winnic i pól różanych rozciągających się pomiędzy zatoką San Pablo a miasteczkiem Napa. Sto akrów najdroższej ziemi rolniczej na terenie Stanów Zjednoczonych. W ostatnich latach cena gruntów w tej okolicy osiągnęła pół miliona dolarów za akr. Piękny, sielski widok na dwudziestopokojową willę zbudowaną w stylu meksykańskim i otaczające ją marmurowe fontanny zepsuły dzisiaj czarne, opancerzone limuzyny zaparkowane wzdłuż ściany kolorowych róż. W świetle zachodzącego słońca wyglądały jak błyszczące żuki, dobierające się do

tortu. Miejsce to, jak wiele innych bardzo drogich posiadłości, było doskonałą inwestycją finansową, lokatą olbrzymiego kapitału pochodzącego z akcji największych koncernów farmaceutycznych w Ameryce.

– Wszyscy tu obecni jesteście bardzo zawiedzeni jakością usług, jaką zaprezentowali ludzie, którym ufaliśmy od wielu lat – z goryczą w głosie oznajmił senator Gus Mossby.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak osobiście zacząć kierować dalszą akcją. Do dnia wczorajszego, czyli o dzień za długo, prowadziliśmy akcję prewencyjną, mającą na celu zapobieżenie niekontrolowanemu rozlewowi informacji. Według mnie należy natychmiast przejść do działań likwidujących wszystkie możliwe źródła – zdecydowanym tonem podkreślił doktor Art Morgentala.

– Czy nie chodzi tu o jedno i za każdym razem to samo źródło? – zapytał senator stanu Floryda.

– Dokładnie tak to potwierdzono, ale było to dwa dni temu. Tego typu informacje rozmnażają się jak bakterie w probówce i czas jest naszym największym wrogiem – odpowiedział dyrektor generalny laboratorium koncernu Pharmaticus.

– Biorąc pod uwagę olbrzymie niebezpieczeństwo przed jakim stanęliśmy, myślę, że wszyscy się z tym zgodzą? – Sebastiano Visconti podniósł dłoń do góry na znak głosowania.

Bez dłuższego wahania, jednomyślnie uniosły się w górę ręce wszystkich dostojnych gości.

Zachodzące słońce komponowało obraz, zbierając rozgrzane, żółtopomarańczowe mury domostwa, zielone morze winnic i łąny róż w jedną uroczą całość. Jedna za drugą czarne limuzyny opuszczały parking posiadłości, kierując się na południe w stronę San Francisco. Spokój i piękno odzyskały swoje miejsce w tym cudownym zakątku świata.

Stare audi paliło potworne ilości paliwa, chyba grubo ponad trzynaście litrów na sto kilometrów. Trzeba jednak przyznać, że dowiozło mnie szczęśliwie przez Mikołajki, Augustów i Suwałki, aż na drogę 653, z której zjeżdża się do wsi Wigry. Dokładnie tak, jak przewidywały środki masowego przekazu, nie znajdowałem się w okolicy sam. W miejscu, z którego zaledwie widać kopułę kościoła, stały już samochody poparkowane pod drzewami, po obu stronach wąskiej drogi. „Im większy tłok, tym łatwiej będzie rozejrzeć się i zasięgnąć informacji”. Zostawiłem moją super maszynę

na dużym trawniku wskazanym przez policjanta i dalej poszedłem na piechotę. Było pochmurnie, wietrznie i nie za ciepło. Postawiłem kołnierz mojej marynarki i zapiąłem wszystkie guziki. Odprężyłem się, ale po krótkim czasie moja intuicja nakazała wzmoczoną czujność. Pojawiło się to uczucie, które zawiodło w Amsterdamie, kiedy Monice udało się mnie wytropić. Pod drzewem, obok czarnego bmw z francuską rejestracją, stał facet i przyglądał się ludziom idącym w stronę kościoła. Na mój widok dość gwałtownie się odwrócił, niechlujnie ziewając. „Jeśli chcesz, żeby ktoś myślał, że nie zwracasz na niego uwagi, to na jego widok ziewaj, kaszl albo patrz na zegarek... to stara szkoła”. Parking przed bramą klasztoru był pełen i policjant jednostajnymi gestami zawracał wszystkie samochody z powrotem na drogę. Pojawił się następny dziwny typ. Po wielu latach w zawodzie, nawet w takim tłumie od razu wyczuwałem ludzi na służbie. Pytanie, na które niestety nie potrafiłem odpowiedzieć, to: na czyjej służbie? Czy to polska policja obstawiała ten pogrzeb tajniakami w nadziei, że ujawni się morderca?

Następny, młody obserwator stał w rogu parkingu i rozmawiał przez telefon.

– Swoją drogą, to ciekawe, skąd takie wielkie zainteresowanie pogrzebem zamordowanego mnicha? – zadałem pytanie celowo bełkotliwą polszczyzną.

– Ech?

– Widzisz, nie jesteś Polakiem, tylko tajniakiem.

Uśmiechnąłem się, odchodząc. Facet zaszokowany moim podejściem ponownie gdzieś zadzwonił. Sytuacja przedstawiała się niewesoło. Wyglądało na to, że wyspa klasztorna była obstawiona bardzo dokładnie. Wiem, że człowiek ubrany na czarno na pogrzebie nie powinien budzić żadnych podejrzeń, ale ja widziałem ten inny odcień czerni, ten nieżałobny. „Gdzie i kiedy zostawiłem ślad? Jaki popełniłem błąd? Skąd wiedzieli, że tu będę?” Często, kiedy jest mi zupełnie nie do śmiechu i pojawiają się pierwsze oznaki paniki, przypominają mi się żarty, takie jak: „Dzwoni telefon w torebce blondynki. Blondynka odbiera komórkę i pyta: Skąd wiedziałeś, że tu jestem?” To chyba forma nerwicy. „Dopiero wczoraj dowiedziałem się o pogrzebie, nie mogłem przecież... A może oni już czytają ludzkie myśli, jak w najlepszych teoriach spiskowych?”

Na obrzeżach parkingu ustawiono się kilka kamer różnych stacji telewizyjnych: TVN 24, Panorama, Wiadomości „jedyński” i nawet Polskie Radio. Reporterzy w towarzystwie kamerzystów uformowali kolejkę przed bramą. Polskie media wydawały się znacznie bardziej prężne i żądne sensacji, bardziej niż na przykład... kanadyjskie, które prawdopodobnie zbyłyby całe to zdarzenie krótką notatką w dolnym rogu przedostatniej strony. Kanadyjscy dziennikarze w ogóle nie lubią

sensacji, które z natury są politycznie niepoprawne i mogą zaszkodzić dziennikarskiej karierze. Przy bramie zrobiło się tłoczno. Kolejka stawała się coraz dłuższa i wyglądało na to, że nie wszyscy chętni byli wpuszczani. W ten sposób niektóre media i ciekawscy pozostali za murem. Stałem w rzędzie jak wszyscy, prawie wszyscy, bo tajniacy nawet nie próbowali wchodzić do środka. Po piętnastu minutach przeszedłem za bramę, do stolika za którym siedziały dwie siostry.

– Dzień dobry. Czy jest pan na liście?

– Dzień dobry. Nazywam się Jan Barski i jestem szkolnym kolegą ojca Piotra – powiedziałem nachylony, bardzo cicho.

– Ojciec Piotr jest w szpitalu, ale może będzie na pogrzebie.

– Tak, wiem. Miałem zamiar odwiedzić go dzisiaj – skłamałem u wrót kościoła. – Jestem jego dawnym przyjacielem i od lat mieszkam w Kanadzie.

Poczułem się nagle jakbym wypowiedział tajemne zaklęcie. Druga siostra za stolikiem usłyszała, co powiedziałem. Odłożyła plik papierów, zdjęła okulary i przyglądała mi się dokładnie w milczeniu. Rozejrzała się wkoło, czy nikt nas nie słyszał, po czym dała znak zakonnikowi przy następnych drzwiach, że ma mnie wpuścić. Wszedłem na dziedziniec. Zabudowania klasztorne oddzielał od kościoła rząd małych domków pustelniczych, pokrytych czerwoną dachówką i otoczonych niskim żywopłotem. Wszyscy wpuszczeni do środka szli brukowaną aleją, prosto w kierunku kościoła. I ja szedłem powoli, rozglądając się po oknach i drzwiach. „Czy gdzieś tu jest Vicky? Czy Tomek patrzy na mnie zza którejś firanki?” Siostra przy bramie definitywnie wiedziała, kim jestem. Podskoczyłem jak oparzony, gdy czyjaś ręka złapała mnie za ramię.

– Po pogrzebie musimy porozmawiać – ta grubsza siostra powiedziała do mnie, szybko mnie mijając.

– Dobrze, zaczekam...

Nie usłyszała mojej odpowiedzi, znikając wśród ludzi.

Jednak i tam, w pewnej bezpiecznej odległości znalazła się telewizja. Faceci z kamerami na ramionach zajmowali dogodne pozycje. Podszedłem do szeroko otwartych drzwi kościoła. Drewniana trumna stała na schodach przed ołtarzem. Mimo tłumy, panowała zupełna cisza. Modlitwa wypełniała przestrzeń międzyludzką. Po obu stronach ołtarza, ze świecami w dłoniach stał milczący jeszcze chór męski. Nie próbowałem dostać się do środka, chociaż czułem, że powinienem. To ja powinienem wejść na ambonę i wygłosić mowę pogrzebową.

„Tu przed nami leży ciało naszego brata Andrzeja, który oddał życie za sprawę, o której nie miał pojęcia. Oddał swoje młode życie, ochraniając moją żonę i syna,

a wszystko to stało się z mojej winy. Nie ja zabiłem drogiego wam brata. Nigdy nawet nie miałem zaszczytu go poznać, ale gdyby nie mój pomysł ukrycia moich najbliższych za murami waszego klasztoru, on, brat Andrzej, żyłby dzisiaj, a wy nie tłoczylibyście się wokół jego trumny...”

Zaszokowałyby to niejednego. Zazdrościłem wszystkim tym, którzy w tej chwili mogą się skupić na modlitwie. Byłem osaczony, z wyspy nie było ucieczki. Miałem znowu poprosić o schronienie? Przecież nie miałem innego wyjścia, to tu kończy się jedyny znany mi ślad Vicky i Tomka.

„Tym razem może zbombardują cały klasztor i będziemy mieli wielu nowych męczenników, poległych w imieniu nieznannej sprawy. *Za wolność! Za prawdę naszą i waszą.*” Czułem, że ta masowa obława nie miała już na celu dalszych dyskusji ze mną. Byli tu po to, żeby mnie zabić. Nie mogłem się tam ukryć. Nie mogłem się stamtąd wydostać. Nie mogłem więcej narażać niewinnych ludzi. „Wiem! Kiedy przyłożą mi pistolet do głowy, zacznę znowu warczeć, pluć i przeklinać w różnych językach, może się przestraszą, jak pijani holenderscy kibice, i sobie pójdą? Albo może jeden z agentów znowu wpadnie w melancholię i mnie wypuści, dając mi do ręki dwieście euro? Czyżby to tak miało się wszystko skończyć? Tak bez sensu?”

Ponownie udało mi się uspokoić panicznie wrzeszczącą histerię w mojej głowie. Chyba dziwnie wyglądałem, bo zauważyłem, że kilka osób, już nie tajniaków, przyglądało mi się z ciekawością. Wziąłem głęboki oddech i rozejrzałem się wokół. Droga do wnętrza kościoła ograniczona była łańcuchem wiszącym na drewnianych słupkach. Z prawej strony wejścia, za łańcuchem, zauważyłem wnękę kończącą się niskimi drzwiami. Nacisnąłem klamkę, korzystając z chwilowej nieobecności służby porządkowej. Szedłem ciemnymi, stromymi schodami ku górze przez jakieś pięć minut, aż zatrzymałem się pod drewnianą klapą w suficie. Znajdowałem się na jednej z dwóch wieży kościelnych. Uchyliłem klapę i wyczołgałem się na ceglana posadzkę. Przeszedłem powoli koło wielkiego dzwonu i ujrzałem przepiękną panoramę jeziora Wigry, z wieloma zatoczkami i wysepkami. W międzyczasie słońce zaczęło przebijać się przez niskie chmury... „Ale może innym razem wrócę tu oglądać widoki”. Na jeziorze, w odległości kilkuset metrów od murów klasztoru, dryfowała z wyłączonym silnikiem szybka łódź motorowa. Przy sterze stał człowiek z lornetką w ręku. Z przeciwnej strony wieży rozciągał się widok na groblę łączącą wyspę ze stałym lądem i na drogę dojazdową do klasztoru. Na parkingu było już mniej ludzi. Niedługo

miały zacząć się uroczystości pogrzebowe. Przy wyjeździe z grobli dwóch tajniaków rozmawiało, gestykulując zaciekle. Widać ich z wieży jak na dłoni. Podszedł trzeci, z telefonem w ręku. Nie słyszałem, ale wiedziałem, że wydaje im polecenia. Wsiedli do bmw i powoli odjechali w stronę szosy do Suwałk. „Odjeżdżają?” Skręcili z asfaltu na trawę i podjechali do mojego audi, prawie go dotykając. Ciekawe. Jeden z nich wysiadł z jakimś niedużym przedmiotem w ręce, otworzył maskę bmw i niby sprawdzał coś pod samochodem. Zniknął na chwilę z pola widzenia, a gdy się wyprostował, nie miał już niczego w rękach. Zamknął maskę. Odjechali i zatrzymali się kilkaset metrów dalej. Jeśli się nie myliłem, to moje audi właśnie zostało zaminowane, uniemożliwiając mi brawurową ucieczkę z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, bo złom szybciej nie chciał jechać. Wszelkie złudzenia, że może mi się zdawało, że może to nie tajniacy, rozwiały się. Uciekałem królem, a oni mieli wszystkie figury i pionki. Trudno to nawet nazwać szach-matem. Za plecami poruszyło się powietrze, po czym po głębokim stęknięciu rozległ się głośny strzał. Nie, to nie strzał, to serce dzwonu uderzyło po raz pierwszy. Następne uderzenia posłały dreszcze wibracji wzdłuż mojego ciała. Zasłoniłem uszy i podczołgałem się na łokciach do klapy w podłodze. Zszedłem w dół i dopiero przy świetle drzwi wejściowych zobaczyłem, jaki jestem brudny i obklejony kurzem. Otrzeptałem się i zniknąłem w stojącym wokół mnie tłumie ludzi w brunatnych habitach. W okolicach drzwi głównych coś się działo, ludzie rozstępowali się na boki, robiąc przejście dla trzech mężczyzn niosących wózek inwalidzki. Człowiek o bladej, obolałej twarzy nieruchomo patrzył przed siebie. Ubrana miał ciemną marynarkę, a nogi od pasa w dół przykryte kocem w kratę. „Piotr?” Nie byłem pewny. Przepchnąłem się bliżej. Przez krótką chwilę na mojej twarzy zatrzymał się cierpiący wzrok. Nie poznawał mnie, ale ja go poznałem. To Piotr.

Co miałem robić? Rzucić mu się na szyję? Podziękować? Przeprzić? „Przepraszam cię, drogi przyjacielu, którego nie widziałem od dwudziestu lat. Bardzo mi przykro, że przeze mnie miałeś wypadek, że jesteś cały połamany i że zaraz odbędzie się pogrzeb twojego bliskiego druha. Sytuacja, w której się znalazłem, nie ma zbyt wiele sensownych wyjść. Jedną z dróg byłby powrót do samochodu i przekręcenie kluczyka w stacyjce”.

Nabożeństwo pogrzebowe nie trwało długo, chociaż wszystko, każdy ruch, każdy gest, każde słowo działały się w bardzo zwolnionym tempie, jak pod wodą. Bardzo wzruszały mnie momenty wypełnione powolną pieśnią męskiego chóru. Ludzie wokół mnie płakali. Mowę pożegnalną na siedząco ze swojego wózka wygłosił Piotr. Słabym głosem, używając mikrofonu, opowiadał, jak przed laty spotkał młodego

Andrzeja na wyjeździe oazowym w Bieszczadach. Wspominał przyjaźń, wspólną pracę w Wigrach przy przywracaniu dawnej świetności zakonowi Kamedułów.

– Zawsze i wszędzie jest i będzie nam trudno żegnać ludzi bliskich i kochanych. Nasze dzisiejsze cierpienie pogłębia to, że odchodzi od nas człowiek młody, pełen życia i energii, zawsze gotowy pomagać innym. Żegnamy naszego brata, nie wiedząc nawet, dlaczego nas dzisiaj opuszcza, nie wiedząc nawet kto i dlaczego go od nas zabiera. Rozdarci pytaniami i złością stajemy twarzą w twarz z tą bolesną i bezsensowną śmiercią. Jest nam smutno...

Tu słaby głos załamał się i nastąpiło długie milczenie. Popłynęły łzy. Piotr zebrał siły i zakończył.

– Trudno jest wypowiedzieć te słowa, ale nie dajmy się porwać nienawiści. Nie szukajmy zemsty. Spróbujmy wybaczyć tym, których imienia nawet nie znamy.

Piotr skończył, jakby ucinając znacznie dłuższą, przygotowaną mowę. Oddał mikrofon. Na ambonę wszedł dwumetrowy olbrzym, kuzyn brata Andrzeja, i w imieniu rodziny podziękował wszystkim za przybycie i wspólną modlitwę. Chór zanucił melodię marszu pogrzebowego Chopina. Wszyscy wstali. Sześciu zakonników, po trzech z każdej strony, podeszło do katafalku. Grupa sióstr zakonnych zebrała wieńce i kwiaty. Nagle i niespodziewanie dla wszystkich, dla mnie też, uroczystość została przerwana. Nie zaplanowałem niczego z tego, co zrobiłem i z tego, co miało się wydarzyć. Przepchnąłem się w stronę ołtarza, dając rękami znak, żeby zaczekali i postawili trumnę z powrotem. Przez niewielki kościół przepłynęła fala podnieconego szeptu. Oczy wszystkich zwróciły się ku mnie, nieogolonego faceta w eleganckim, ale brudnym garniturze i z ciągle jeszcze opuchniętą twarzą. Co dalej? Nachyliłem się nad wózkiem, biorąc Piotra za rękę. Z tyłu od razu pojawiło się dwóch roślących porządkowych, a wielki kuzyn Andrzeja złapał mnie za ramię. Piotr rozpoznał mnie, uspokajając idących mu z pomocą kolegów.

– Ojcie przełożony – wyszeptalem. – Proszę o pozwolenie powiedzenia kilku słów o śmierci brata Andrzeja.

Piotr był w szoku, nic nie rozumiejąc.

– Janek? Dlaczego ty? Czy znałeś Andrzeja?

Naszą rozmowę słyszeli tylko najbliżej stojący.

– Wiele się tu ostatnio wydarzyło, Piotrze, pozwól mi wyjaśnić. Wiem, że nie łatwo jest zaufać...

Piotr wziął do ręki mikrofon.

– Zanim odprowadzimy ciało naszego brata na miejsce wiecznego spoczynku, posłuchajmy jeszcze jednego pożegnania.

Podał mi mikrofon. Milczałem, nie mogąc zacząć. Stałem przed tłumem ludzi i kamerami telewizyjnymi. Zawsze, od kiedy pamiętam, miałem lek przed publicznymi wystąpieniami.

– Szanowna rodzino brata Andrzeja, drodzy w smutku zebrani – wycisnąłem pierwsze słowa drżącym głosem. – Nazywam się Jan Barski i nigdy nie miałem zaszczytu poznać waszego drogiego brata. Jaka więc może być moja rola w tej uroczystości? Jak można żegnać człowieka, którego się nigdy nie znało za życia? Postanowiłem stanąć tu przed wami, żeby z waszych dusz zniknęło uczucie śmierci bezsensownej i nadaremnej. Jestem tu, żeby z całego serca podziękować bratu Andrzejowi za uratowanie życia mojej żonie i ośmioletniemu synowi – głośniejsza niż poprzednio fala głosów przeleciała wśród ławek. – Wiem, że niewłaściwy to czas i miejsce na długie opowieści, ale myślę, że należy spróbować wyjaśnić to poczucie śmierci nadaremnej, zanim złożymy trumnę w grobie. Dla mnie i dla moich bliskich Andrzej już dziś jest bohaterem, a w przyszłości zostanie bohaterem dla tysięcy ludzi. W tym momencie chciałem zwrócić się do najbliższej rodziny zmarłego z prośbą o pozwolenie na dalsze przedstawienie faktów, które doprowadziły do dzisiejszej smutnej uroczystości.

Kamery i mikrofony uparcie przepychały się do przodu. Po krótkich konsultacjach w pierwszej ławce, wstał ten sam, bardzo wysoki mężczyzna i donośnym głosem powiedział:

– Proszę kontynuować.

– Dziękuję. Nie mieszkam w Polsce. Wyemigrowałem do Kanady w połowie lat osiemdziesiątych. Miesiąc temu w zupełnie przypadkowych okolicznościach poznałem Amerykanina, profesora biogenetyki Alistera Swana. Człowiek ten poświęcił swoje życie naukowe badaniom nad skutkami ubocznymi hormonalnych środków antykoncepcyjnych. W geście niezrozumiałej wówczas desperacji, zupełnie mnie nie znając, przekazał mi dokumentację związaną z wynikami badań. Ostrzegł mnie przed dużym niebezpieczeństwem, jakie niesie ze sobą posiadanie tej wiedzy. Zginął, został zamordowany kilka godzin później. Mogłem zniszczyć te dokumenty. Gdybym to wówczas zrobił, nie żegnalibyśmy dzisiaj brata Andrzeja – tym razem w kościele zapanowała totalna cisza. – Praca naukowa profesora ujawnia przyczyny cierpień setek tysięcy, a może nawet milionów ludzi w wielu krajach świata. Ludzi dotkniętych różnymi zaburzeniami seksualnymi spowodowanymi przez środki antykoncepcyjne zażywane przez ich matki tuż przed zajściem w ciążę. Nie zniszczyłem tych akt. Nie miałem do tego prawa. Dołączony list Alistera Swana rzucał również światło na międzynarodową konspirację wielkich koncernów

farmaceutycznych, uniemożliwiającą oficjalne badania naukowe w tej sprawie i jakiegokolwiek publikacje. W ten sposób moja najbliższa rodzina i ja znaleźliśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. W panice i desperacji przypomniałem sobie o moim przyjacielu z dawnych lat uniwersyteckich, o obecnym tu ojcu Piotrze. Klasztor wasz, tutaj, w niewielkiej polskiej miejscowości wydał mi się dobrym schronieniem dla mojej żony i syna. Sam, ukrywając dokumenty naukowe, uciekłem z Kanady do Holandii i później do Niemiec, gdzie zostałem złapany i poddany torturom. Prawie nieprawdopodobnym zrzędzeniem losu znowu jestem na wolności i szczegóły tej tajemnicy niedługo dotrą do publicznej wiadomości.

Zasłaniając mikrofon, podszedłem do Piotra.

– Co się stało? W jakich okolicznościach miałeś wypadek? – zapytałem cicho.

– Dwoje ludzi zajęło mi drogę, spychając moje auto na drzewo. Przeszukiwali mój samochód.

Wróciłem do mikrofonu.

– Niestety nie mogę powiedzieć, co dalej wydarzyło się w Wigrach. Dzisiaj nie wiem nawet, gdzie ukrywa się moja rodzina. Wiem natomiast, że ojciec Piotr, świętej pamięci brat Andrzej i ich towarzysze z zakonu w Wigrach udzielili nam pomocy w niebezpieczeństwie. Piotr prawie przypłacił to życiem, a Andrzej zginął bohaterską śmiercią, pomagając innym. Zginął za sprawę, o której nie miał nawet pojęcia. Pamiętajcie, nie zginął śmiercią bezsensowną i nadaremnią.

Odłożyłem mikrofon i podszedłem do trumny. Położyłem obydwie dłonie na deskach... „Dziękuję”. Wróciłem jeszcze raz na schody przed ołtarzem, ocierając łzy z policzka.

– Dziękując bratu Andrzejowi za największe z możliwych poświęceń, chciałem z tego miejsca zwrócić się o pomoc i ochronę dla żyjących. Korzystając z obecności środków masowego przekazu, zwracam się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o udzielenie ochrony osobistej rodzinie zamordowanego i członkom zakonu Kamedułów w Wigrach. Proszę również o ochronę dla mojej rodziny, gdziekolwiek się znajduje, i dla mnie. Nasze życie nadal pozostaje w niebezpieczeństwie. Zwracam się również o pomoc do policji. Przy drodze do klasztoru stoi zaparkowane żółte audi OLW 4776, w którym, w celu pozbawienia mnie życia, zamontowano zdalnie sterowany ładunek wybuchowy.

Ciszę przełamały głośne rozmowy.

– Proszę o powrót do ciszy i uroczystości pożegnalnych. Dziękuję – zakończyłem, podchodząc do Piotra. Patrzył na mnie przez łzy, kiwając głową.

– Nie czuj się winny – szepnął.

– Dziękuję za wszystko.

Sześciu zakonników powróciło do katafalku. Siostry zebrały pozostałe wieńce i wiązanki. Na czele powolnej procesji trumna opuściła mury kościoła. Zostałem, siedząc na schodach przed ołtarzem. Wszystko we mnie trzęsło się i drgało. Podbiegł do mnie dziesięcioletni chłopiec w za małym garniturze od pierwszej komunii i podał mi złożoną kartkę:

Twoja żona i syn odlecieli samolotem z Wilna do Australii. Prawdopodobnie są w Melbourne.

Resztę dnia spędziliśmy wspólnie w dużej sali jadalnej klasztoru, chronionej przez funkcjonariuszy policji. Byli tam matka, ojciec i siostra brata Andrzeja, kuzyn z żoną i synkiem w za małym garniturze. Wszyscy pozostali uczestnicy uroczystości pogrzebowych musieli czekać kilka godzin na dziedzińcu, aż jednostka antyterrorystyczna z Białegostoku rozbroi moje stare audi. Operacja zakończyła się tak zwaną kontrolowaną eksplozją, po której niewiele zostało do oddania panu Antoniemu Dybie z Olsztyna. Po piątej jednostka specjalna zakończyła sprawdzanie terenu i wszyscy mogli opuścić klasztor. Media odjechały furgonetkami uzbrojonymi w anteny i talerze satelitarne, a wraz z nimi poszło w świat moje krótkie wystąpienie. Fakt, że moi prześladowcy zaminowali samochód, odwrócił się nagle na moją korzyść, potwierdzając prawdomówność. Nikt nie dochodził, czy to wszystko było prawdą. Napięcie powoli opadało. Siostry zakonne podały wspaniałe polskie gołąbki. Wszyscy opowiadali mi o przyjeździe Vicky i Tomka, o ich kryjówce w niedawno odkopanych lochach. Wielki kuzyn Zygmunt mówił o nocnej przeprawie przez jezioro pod dowództwem Andrzeja, jak odebrał Vicky i Tomka – który podobno umiał kilka słów po polsku – i o ich wspólnej podróży ciężarówką do Wilna. Na kartce miał zapisane, jak teraz nazywają się Vicky i Tomek – Maret i Olev Seep. Odlecieli do Australii z nowymi estońskimi paszportami. Ci ludzie tak bardzo nam pomogli. Miałem nadzieję, że Maret i Olev są cali i zdrowi.

Po deserze i kawie przyszła moja kolej na opowieści o ostatnich tygodniach. Wszyscy słuchali w ciszy, a ja opowiedziałem im wszystko. Otwartość i prawda stały się nagle moją najlepszą bronią przeciwko zakłamaniu i konspiracji. Koniec ukrywania się i kamuflażu. Przytoczyłem z pamięci dokumenty i list Alistera, na ile mi wystarczało pamięci. Wspomniałem też o pierwszej z ofiar tej całej afery, o młodym naukowcu Kumarze Ramadirze, któremu pierwszemu zamknięto usta na

zawsze. Następnie siostra przełożona – ta przy kości, która przyglądała mi się przy bramie – opowiedziała o dniu, w którym znalazła ciało Andrzeja. To, w jaki sposób zginął, ślady dręczenia i tortur nie pozostawiały wątpliwości, kto to zrobił. Chwila milczenia zajęła miejsce przy stole. Na wstępie policja stwierdziła, że młody mnich padł ofiarą jakiegoś psychopaty i nawet sprawdzono okoliczne zakłady zamknięte, czy ktoś z nich nie uciekł. Po biciu i topieniu zginął od strzału w głowę, oddanego z bliska z wysokiej klasy broni, za wysokiej klasy, jak na jakiegoś lokalnego bandytę.

Wieczorem miałem nadzieję na rozmowę z Piotrem w cztery oczy. Chciał mi koniecznie coś powiedzieć o kobiecie, która podeszła do rozbitego samochodu na szosie, zanim stracił przytomność. Siostra Weronika jednak ogłosiła, że dla ojca czas na odpoczynek. Był to pierwszy dzień ojca Piotra poza szpitalem i rzeczywiście wyglądał na zmęczonego. Odłożyliśmy rozmowę na jutro. Inna siostra zaproponowała mi spacer do piwnicy, gdzie ukrywali Vicky i malca. Towarzyszył nam uzbrojony policjant. Wyszliśmy na dziedziniec. Było już zupełnie ciemno i padał lekki deszcz. W starym spichlerzu odsunęliśmy podłogę i po stromych schodach zeszliśmy w dół. Po przejściu wąskiego i niskiego korytarza, z pochyloną głową weszliśmy do większego pomieszczenia. W powietrzu czułem zapach stęchlizny i wilgoci. W rogu po przeciwnej stronie leżały obok siebie dwa materace, kable od piecyka elektrycznego i magazyny National Geographic w języku angielskim. Za półścianką stało wiadro-ubikacja.

– Jak długo tu mieszkali?

– Ze trzy dni.

– Vicky nie lubi małych, ciasnych pomieszczeń i panicznie boi się pajaków.

– Nic nie mówiła.

Próbowałem sobie ich tu wyobrazić. Okazało się, że nie tylko moje przygody były fascynujące... i brzydko pachnące.

– Dlaczego właściwie opuścili kryjówkę?

– Andrzej czuł niebezpieczeństwo po wypadku ojca Piotra. To on zorganizował przerzut do Wilna.

Wyszliśmy na dziedziniec. Przez szum deszczu wyraźnie słyszałem silnik helikoptera. Przed drzwiami jadalni czekało na nas trzech mężczyzn ubranych po cywilnemu. Rozmawiali z policjantem z naszej obstawy i pokazywali mu jakieś papiery.

– Czy pan Jan Barski? – zapytał gładko ogolony facet w długim płaszczu, z aktówką pod pachą.

– Tak, to ja. Niestety nie mam żadnych dokumentów na potwierdzenie

tożsamości.

– Nie szkodzi. Mamy pana szybko i bezpiecznie odtransportować do Warszawy.

Coś mi się w tym nie podobało. Nie wiedziałem co, ale włączyła się moja nadwyreżona intuicja. Zabrałem marynarkę, czyli wszystko, co mi pozostało po eksplozji mojego auta. W kieszeni spodni miałem trzy pendrive'y i paszport na nazwisko Antoni Dyba. Pożegnałem się ze wszystkimi, dziękując za obiad i gościnę. Niestety, nie udało mi się na razie pogadać z Piotrem. Jeszcze raz złożyłem rodzicom Andrzejowi wyrazy współczucia. Wyszliśmy we czwórkę, dwóch szło przede mną, a jeden z tyłu. Skierowaliśmy się na parking przed murem klasztoru, gdzie wylądował helikopter. Szybko oceniłem sytuację i kiedy minęliśmy rząd domków pustelniczych, rzuciłem się nagle w bok. Facet za moimi plecami coś krzyczał, biegnąc za mną. Krople deszczu biły mnie w twarz, wpadłem w wąskie przejście pomiędzy dwoma murami. Było tam ciemno, ale może i to mogło zagrać na moją korzyść. Słyszałem głosy odbijające się krótkim echem od ścian. Nagle przede mną pojawiło się ostre światło latarki policyjnej. Nie miałem wyjścia.

– Stój! – rozległ się głośny rozkaz. Odwróciłem się. Wszyscy trzej stali spokojnie, blokując odwrót.

– Panie Barski... Co się dzieje? Przecież pan sam prosił o ochronę.

Popatrzyłem do góry, szukając jakiegoś okna, jakiejś drogi ucieczki.

– Panie Barski, my naprawdę jesteśmy z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nie musi pan przed nami uciekać – spokojny ton głosu zabarwiony był tą specyficzną, lekką nutką intonacji, jakiej zazwyczaj używa się do uspokajania czubków.

Zdaje się, że tym razem przepaliła mi się intuicja. Staliśmy tak wszyscy, moknąc po ciemku.

– OK, przepraszam, chyba jestem zbyt wrażliwy... na możliwość utraty wolności – wysiliłem się na uśmiech, powoli odblokowując się. – Już będę grzeczny.

Wszyscy trzej równocześnie pokiwali głowami, wzruszając ramionami. Napięcie pękło. W helikopterze dostałem butelkę Tyskiego na uspokojenie i wełniany koc, bo zaczęło mi być zimno w mokrym ubraniu. Na uszach miałem słuchawki zagłuszające huk silnika. „Co będzie, jak wypchną mnie z lecącego helikoptera gdzieś nad Puszcza Augustowską? A może jednak nie?”

– Maret! Maret! Pani Maret, ktoś do pani. Jacyś ludzie ciebie szukają – zawołała z dołu właścicielka domu, w którym od kilku dni wynajmowali małe mieszkanie na

piętrze.

Vicky zamarła w bezruchu. Odłożyła książkę do matematyki dla czwartej klasy i pokazała Tomkowi szafę na ubrania. Według przeciwionego scenariusza, malec wspiął się na najwyższą półkę i zniknął wśród koców i swetrów. Kto to może być? Poprawiła blond włosy i narzuciła na ramiona sweter. „Jeśli już wiedzą, że tu jestem, to ucieczka przez okno nie ma najmniejszego sensu” – pomyślała – „Dom na pewno jest obstawiony”. Zeszła po schodach. Za oszklonymi drzwiami stał mężczyzna w szarym garniturze i kobieta uczesana w kok. Z teczkami w rękach oboje wyglądali bardzo urzędowo.

– Dzień dobry, pani Seep. Inspektor John Olson z ASIO – mężczyzna wyciągnął dłoń na powitanie i pokazał coś w rodzaju karty identyfikacyjnej. – A to moja asystentka, Ursula Sanders. Czy możemy gdzieś porozmawiać na osobności? – spojrzał wymownie na właścicielkę domu, która wyraźnie nie ukrywała zaciekawienia.

– Proszę na górę, wynajmuję tu mieszkanie – niepewnym głosem wyszeptała Vicky, nie mając innego wyjścia. Weszli na piętro, zamknęli za sobą drzwi i oboje urzędnicy usiedli ramię w ramię na kanapie.

– Przepraszam, ale na wstępie chciałam zapytać, co to jest ASIO?

– Krótko mówiąc, to australijskie FBI, pani Van Daren.

Vicky zaniemówiła i zbladła.

– Proszę się nie obawiać. Mamy zamiar zaopiekować się panią i pani synem – inspektor Olson wziął do ręki książkę do matematyki.

– Niczego nie rozumiem.

– Wczoraj wieczorem otrzymaliśmy polecenie odnalezienia i udzielenia ochrony pani Victorii Van Daren i jej synowi, Tomaszowi Barskiemu, podróżującym pod nazwiskiem Seep, Maret i Olev Seep. Czy dobrze trafiliśmy?

– Co to znaczy: ochrony?

– Prośbę o udzielenie pani ochrony przekazała nam ambasada Polski wraz z potwierdzeniem pani tożsamości z ambasady kanadyjskiej. Z tego, co wiemy, a na razie wiemy niewiele, to mamy zapewnić wam bezpieczeństwo na prośbę pani męża, a ojca Tomasza, Jana Barskiego.

Vicky nie wytrzymała naporu ciekawości.

– Gdzie jest teraz Jan Barski?

– Czy to oznacza, że potwierdza pani swoją tożsamość?

– Czy mam inne wyjście? Tak, potwierdzam.

– Gdzie obecnie znajduje się pani syn?

Vicky wyszła do sypialni. Wyciągając Tomka spomiędzy koców i poduszek nadal nie wiedziała, czy postępuje słusznie. Myślała, że tu już nikt ich nie odnajdzie. Życie zaczęło powoli wracać do normalności. Codziennie razem uczyli się angielskiego i matematyki, gotowali obiady i chodzili na długie spacery plażą. Zaczęła nawet szukać jakiejś pracy na czarno, bo powoli prześwitywało dno sakiewki.

– Co się dzieje? – zapytał mały.

– Chodź, mam nadzieję, że wszystko jest w porządku.

Tomek usiadł niepewnie z dala od pary urzędników. Ursula Sanders uśmiechnęła się pierwsza.

– Dzień dobry, panie Tomaszu Barski. Sytuacja wygląda następująco – inspektor Olson wstał i podszedł do okna. – Nie możemy udzielić wam odpowiedniej ochrony w tym domu. Byłoby to trudne i kosztowne, i wymagałoby udziału wielu funkcjonariuszy. Proponuję, żebyście się spakowali i przeprowadzili na teren jednego z naszych ośrodków szkoleniowych w Newcastle, na północ od Sydney. Mamy tam kilka małych hoteli dla naszych pracowników, znajdujących się całkowicie na terenie strzeżonym. Zapewnimy wam tam wszystko, czego będziecie potrzebowali. To nie więcej niż półtorej godziny lotu z Melbourne. Oczywiście to tylko propozycja i z punktu widzenia prawa nie możemy pani do niczego zmuszać.

– Czy będę mogła skontaktować się telefonicznie z Janem Barskim?

– Myślę, że nie powinno być z tym kłopotu, ale może to potrwać – John Olson wyjął zza paska telefon satelitarny i wyszedł na dwór. Po chwili wrócił.

– Teraz w Warszawie jest czwarta rano. Mamy zadzwonić za pięć, sześć godzin. To co, pakuje się pani od razu? Bardzo ułatwiłoby to nam zadanie.

„Co robić? Ufać tym ludziom? Uciekać? Jechać? Zostawać? Zapytać się ośmiolatka: Tomek, co mama ma zrobić? Z drugiej strony, gdyby mieli ich zabić, mogli to zrobić bez problemu dzisiaj rano na zupełnie pustej plaży”.

– Czy też będę mógł pogadać z tatą? – zapytał Tomek, pomagając podjąć decyzję.

Fakt, że sam z własnej (tylko lekko przymuszonej) woli poprosiłem, żeby zostać gościem MSW, mówi dobitnie o tym, jak wielkie zmiany dokonały się w Polsce lat ostatnich. Dwadzieścia lat temu, podczas mojego ostatniego pobytu, byłaby to ostatnia rzecz, jaka mogłaby się pojawić w mojej wyobraźni. Po szczęśliwym locie helikopterem zostałem ulokowany gdzieś pod Warszawą, w budynku przypominającym akademik. Nie wiedziałem i nie chciałem wiedzieć, gdzie

dokładnie byłem. Wystarczał mi fakt, że nikt z zewnątrz nie miał tam wstępu.

Właśnie kończyłem kąpiel i poranne golenie, kiedy rozległo się pierwsze pukanie do drzwi.

– Dzień dobry panu. Mam na imię Konrad i jestem cywilnym pracownikiem MSW. Mam za zadanie pomóc panu w zorganizowaniu kilku najbliższych dni. Znosi się na wiele spotkań.

– Jestem Janek. Możesz mi mówić po imieniu.

Mój nowy asystent-sekretarz miał najwyżej dwadzieścia pięć lat, ale za to miał laptopa i ochotę do pracy. Pierwsze spotkanie z trzema panami z MSW trwało aż do obiadu i skupione było głównie na tym, co wydarzyło się w klasztorze w Wigrach. Oczywiście musiałem opowiedzieć wszystko od początku, od wycieczki z plecakiem w Killarney, aż do mojego wystąpienia na pogrzebie. Jako że nie miałem prawnika, Konrad na moją prośbę nagrywał wszystko, co mówiłem. Zadawali mi setki pytań, ale przynajmniej nikt mnie nie bił w celu uzyskania właściwej odpowiedzi. Było ich trzech i zadawali pytania na zmianę, a ja, tylko jeden, musiałem udzielać wszystkich odpowiedzi. Zrobili kopie dokumentów z mojego pendrive'a i podpisałem gwarancję ich autentyczności. Wszystko to dopiero co opowiadałem dzień wcześniej w klasztorze. Kiedy byłem już zmęczony i zaczynałem zerkać na zegar wiszący nad niegdyś zakazanym orłem w koronie, zaczęło się dziać coś ciekawego.

– Mamy tu kilka zdjęć – jeden z moich rozmówców rozłożył ze czterdzieści fotografii twarzy, głównie męskich. – Czy poznaje pan kogoś z nich? Wszyscy są obcokrajowcami przebywającymi na terenie Polski mniej więcej od pierwszego października. Niech się pan uważnie przyjrzy.

Pamięć wzrokową mam nienajgorszą i po krótkim czasie odsunąłem na bok dwa zdjęcia.

– Ten facet przeszukiwał mój dom w Kanadzie. Najprawdopodobniej to on otrul mojego psa. Później w pociągu z Amsterdamu do Kolonii był w obstawie kobiety, która mnie zatrzymała. To na sto procent on. Czy mogę wiedzieć, skąd pochodzi to zdjęcie?

– W sobotę, dwunastego października, Amerykanin Vincent Rogov, bo tak się nazywa ten mężczyzna, został ciężko ranny w wypadku samochodowym pod Wilnem. Jechał bmw na niemieckich numerach z prędkością prawie stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, kiedy na trasie z Suwałk do Wilna uderzył czołowo w mniejszy samochód osobowy, zabijając dwóch Polaków. Był w bardzo ciężkim stanie, zupełnie sparaliżowany, a mimo to został zabrany specjalnym samolotem do USA. Zwyczajni obywatele amerykańscy nie mają tak ekskluzywnej opieki zdrowotnej.

– Według tego, co mówił kuzyn świętej pamięci brata Andrzeja, to właśnie dwunastego października moja dziewczyna i mój syn odlatywali z lotniska w Wilnie. Czy to nie ciekawe? Czy to ma jakiś związek?

– Tego samego dnia wczesnym rankiem albo poprzedniego dnia wieczorem brat Andrzej był bity i przesłuchiwany za murami klasztoru w Wigrach. Tam też, według wyników śledztwa, stracił życie.

Chronologia zdarzeń zaczynała układać się w jeden obraz. Nieważne, sparaliżowany czy nie, miałem nadzieję, że uda mi się go kiedyś odnaleźć i po przyjacielsku pogadać. Miałem Vincentowi Rogowowi bardzo dużo do opowiedzenia.

– Kim, według was, jest ten starszy gość na tym drugim, znacznie mniej wyraźnym zdjęciu? – wziąłem do ręki zdjęcie, jakby powiększony fragment większego obrazu z ukrytej kamery.

– Niestety, nie znamy nazwiska tego faceta. Przyleciał samolotem z Kolonii do Wilna i to właśnie on zażądał wydania rannego Rogova. Koledzy z wywiadu litewskiego przesłali nam to zdjęcie.

– On był jednym z tych, którzy przesłuchiwali mnie w Aachen. Jeśli dobrze pamiętam, to zdzielił mnie kilka razy długą, aluminiową linijką – pokazuję strup na lewej dłoni i ciągle jeszcze sinawe kostki. – Poza tym nie był zbyt zaangażowany duchowo w tortury. Jego młodszy kolega bawił się znacznie lepiej.

– Przejrzyj te zdjęcia jeszcze raz, może i on gdzieś tu jest.

Niestety nie było już więcej znajomych twarzy. Pożegnaliśmy się na razie. Wieczorem przyszło do mnie dwóch Anglików z Interpolu i inspektor OPP, policji z Ontario. Chyba wyglądałem na zmęczonego, bo tylko się przedstawili i umówiliśmy się na spotkanie następnego dnia rano. Potem jeszcze Konrad zadzwonił do mojego pokoju, żebym zszedł na dół do sali telewizyjnej.

– Za chwilę w wiadomościach CNN ma być wzmianka o tym profesorze i o jego badaniach.

– CNN? To ciekawe – usiadłem koło Konrada. Okazało się, że to tylko krótki zwiastun półgodzinnego programu przygotowanego przez holenderską dziennikarkę Lię Abbing dla BBC i CNN, który to w całości będzie na antenie za tydzień, w niedzielę wieczorem. Wypiliśmy po dwa piwa i udałem się na spoczynek.

Po powrocie do Bostonu Salvatore Rodrigez otrzymał zlecenie natychmiastowego stawienia się w oddziale agencji w Tucson, w Arizonie. Nie zdążył nawet wpaść do

swojego biura i uporządkować formalności związanych z przekazaniem sprawy Swana, a raczej już teraz sprawy Barskiego. Nowa akcja wymagała znacznie dłuższego zaangażowania w terenie i to w dodatku w nieznanym terenie Ameryki Południowej. Dwoje zakładników przetrzymywanych przez kolumbijskich rebeliantów od ponad pięciu lat zdołało uciec w góry, zabierając ze sobą laptopa z bardzo ważnymi schematami i tajnymi informacjami związanymi z finansowaniem grupy. Istniało poważne podejrzenie, że rząd Wenezueli może być zamieszany w sponsorowanie rebeliantów.

Ośmioosobowa Cessna CJ1+ wylądowała na małym lotnisku w Quito, w północnym Ekwadorze, niespełna dwieście kilometrów od granicy z Kolumbią. Tu okazało się, że tylko Salvatore i jeszcze jeden Amerykanin, Roger, pojedą dalej w stronę El Angel. Reszta grupy dojdzie do granicy inną, bardziej okrężną drogą. Do jeepa zapakowali tylko plecaki, broń i sprzęt komunikacyjny. Dwieście kilometrów, które na amerykańskiej autostradzie można przejechać w dwie godziny, pokonali w ciągu dnia. Drogi i bezdroża Ekwadoru były w stanie pokonać niejeden pojazd terenowy. Nie dojeżdżając do El Angel, skręcili na północny-zachód w stronę szczytów, za którymi rozciągała się Kolumbia. Jeep został w lesie pomiędzy dwoma bocznymi drogami. Dalsze dwadzieścia kilometrów mieli pokonać, idąc stopniowo pod górę w stronę, z której doszedł ostatni sygnał satelitarny wysłany z ukradzionego laptopa. Przez ostatnie dwa tygodnie, kiedy to sprawa Barskiego weszła na bardziej intensywny etap, Salvatore zaniedbał ćwiczenia fizyczne, co też odczuwał coraz bardziej, idąc z plecakiem pod górę. Od prawie czterech lat był szefem grupy Alberta, jak ich nazywano w budynku, i osobiście nie brał zbyt często udziału w akcjach terenowych tego typu. „Ciekawe, czy w końcu wypuścili starego Alberta na emeryturę czy też musi jeszcze pozdawać raporty i zakończyć formalności? Ktoś to przecież musi zrobić”. Od czasu pożegnania w Wilnie nie mieli ze sobą kontaktu. Rozmyślał siedząc na pniu zwalonego drzewa podczas krótkiego odpoczynku.

– Czas ruszać dalej – powiedział zmęczonym tonem i podniósł plecak z ziemi. Nikt nie odpowiedział.

Rozejrzał się. Roger zniknął. Zaniepokojony odbezpieczył karabin MP5 A3 i przykucnął za pniem, na którym przed chwilą siedział. „Odczekać bez ruchu. Nie robić pochopnych kroków”. Nagle trzy głośne strzały, jeden za drugim, wzbudziły wrzawę wśród ptaków. Zdziwienie trwało ułamek sekundy i szybko zamieniło się w szok bólu, brak powietrza, odrętwienie.

Wypełniony ptasim zgiełkiem las zawirował wkoło i odleciał w przestrzeń zielonej ciszy.

W ciągu ostatnich trzech dni FBI pukało do kancelarii Roberta Taylora trzykrotnie, wyznaczając codzienną średnią. Nie ukrywał niczego. Przekazał im wszystko, co wiedział, z e-mailami od człowieka o nazwisku Barski włącznie. Zanim oficjalnie zabroniono mu dalszego rozpowszechniania treści dokumentów profesora Swana, Lia Abbing zawzięcie pracowała już nad programem dokumentalnym dla BBC. Sprawy zaczęły toczyć się tak szybko, że rankiem każdego następnego dnia czuł się jak na skraju dżungli znaków zapytania. Jedyną kwestią, o której nikt jeszcze nie miał pojęcia, była zawartość testamentu Alistera Swana. To, że taki dokument istnieje, wiedziało zarówno FBI, jak i przedstawiciele środków masowego przekazu. Teraz, po pogrzebie, presja na ogłoszenie daty odczytania testamentu rosła z każdą chwilą i z każdej strony. Tylko od decyzji Roberta zależało, jak i kiedy miało się to odbyć. Do dokumentów spadkowych Alister dołączył listę trzech świadków. Pierwszym był stary przyjaciel państwa Swanów, również naukowiec, Harold Sullivan. Druga na liście była siostra cioteczna Julii Swan, Alexandra Benin zamieszkująca w Cleveland. Trzecie nazwisko to Jeremy Swan, syn nieżyjącego od lat brata Alistera, mieszkający w Chicago. Pozostałych dwóch świadków, zgodnie z poleceniem, Robert miał wybrać sam. Jedno z tych miejsc obiecał już dziennikarce Lii Abbing, z którą po chłodnym pierwszym spotkaniu nawiązał bliższy kontakt, w znaczeniu profesjonalnym. Pozostawało jeszcze jedno miejsce, które zgodnie z Lią przyznałoby Janowi Barskiemu. Ten człowiek, chyba bardziej niż ktokolwiek inny, naraził swoje życie w imię tej całej sprawy. Niestety, FBI sprawdziło obecne miejsce pobytu tego człowieka i okazało się, że jest on pod ścisłą ochroną Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Polski i że na razie nie będzie mógł podróżować. Mimo tego, Robert wysłał e-mail do Jana Barskiego z zapytaniem, czy zgodziłby się być jednym ze świadków. Barski zgodził się i upoważnił samego Roberta Taylora do zastąpienia go w przypadku nieobecności.

Czwartek, dwudziesty czwarty października, godzina jedenasta przed południem. Taka data została podana do publicznej wiadomości.

- Panie Janku! To ja, Konrad – odezwał się głos zza drzwi.
- Wczoraj już mówiłeś mi na ty. Wejdz.
- Interpol i kanadyjska policja już czekają na dole.

– Czuję się jak Britney Spears, czy mogę się chociaż ubrać w spokoju? Powiedz im, niech chociaż załatwią dla mnie kawę – głowa Konrada zniknęła za drzwiami, po to tylko, żeby za pięć sekund pojawić się spowrotem.

– Janek! Telefon do ciebie! Wciśnij siódemkę i podnieś słuchawkę.

– Halo? – w słuchawce cisza. – Halo – słyszałem, że ktoś jest na linii, ale dalej nikt się nie odzywał.

– Janek?

– Vicky? To Ty? Vi... Vick... – głos mi się łamał, nie mogłem wymówić nawet tak krótkiego imienia. – Vicky!

– To ja – ona też nie mogła mówić. Sapaliśmy do słuchawek, jak para z jakiegoś taniego romansu.

– Vicky... – powtórzyłem jak idiota. Konrad dyskretnie wymknął się z pokoju. – Vicky, czy wszystko w porządku? Gdzie jesteś?

– W porządku Janek. A ty jesteś cały?

– Trochę poturbowany i zmęczony, ale w jednym kawałku – wysiliłem się na żart, żeby przebić się przez wzruszenie. – Kocham was bardzo i przepraszam za ten cały burdel.

– Nie przepraszaj. Nie było innego wyjścia. Tomek ma się dobrze.

– Tata! Daddy! Tata! – słychać było krzyki w tle.

Otarłem łzy z twarzy. Nagle przestałem być dzielnym bojownikiem za sprawy ludzkości.

– Gdzie jesteście? Gdzie mieszkacie?

– Od dwóch dni jesteśmy w hotelu na terenie ośrodka szkoleniowego ASIO, jesteśmy bezpieczni.

– Co to, do diabła, jest ASIO?

– To australijskie FBI. To ty podobno nas tu ulokowałeś.

– Pewnie tak. Wystąpiłem do polskiego MSW o udzielenie wam ochrony. Jak malec to wszystko przeszedł?

– Myślę, że dobrze. Jest wesoły, szczególnie teraz w tym ośrodku, kiedy ja nareszcie się trochę odprężyłam. Najbardziej bałam się w Wilnie, nie spałam wcale, chyba przez tydzień.

Po wstępnych sapaniach i szlochach, nareszcie zaczęliśmy rozmawiać jak ludzie.

– Kocham was strasznie i bardzo tęsknię.

– My ciebie też. Tomek, tęsknisz za tatą?

– Taaak! – rozległ się krzyk do słuchawki.

– Powiedz mu, że jest najdzielniejszym ośmiolatkiem na świecie.

– Co u ciebie? Kiedy się zobaczymy?

– Dokumenty poszły w świat. Codziennie inni agenci przesłuchują mnie i wygląda na to, że na zabijanie nas jest już za późno. Mówię im wszystko, co wiem, niczego nie ukrywam, bo rzygam już konspiracją. Też mieszkam w budynku polskiego FBI, ale jeszcze nie wiem, kiedy mi zezwolą na podróż. Czekać tam na mnie. Przylecę do was, jak najszybciej będę mógł.

– Jak się ma Piotr po wypadku? Weronika? Oni wszyscy bardzo mi pomogli.

– Piotr dochodzi do siebie, na razie jeździ na wózku, ale stanie na nogi – w tym momencie rozmowy zdałem sobie sprawę, że Vicky nie wiedziała o śmierci Andrzeja.

– Pamiętasz brata Andrzeja, który zorganizował przerzut do Wilna?

– Tak. Czy w klasztorze wszystko w porządku?

– Andrzej nie żyje. W piątek był jego pogrzeb. Zginął, pomagając nam.

– O Boże – w słuchawce nastąpiła cisza przerywana szlochem.

Znowu zaczęły nam się łamać głosy i nie mogliśmy wrócić do rozmowy.

Zebrałem się w sobie, biorąc głęboki oddech.

– Vicky, uściskaj Tomka i trzymajcie się. Jeszcze dzisiaj zacznę załatwiać wyjazd i jutro do was zadzwonię. Teraz muszę iść na następne przesłuchania.

– Kochamy cię.

– Pa.

Odłożyłem słuchawkę i w łazience obmyłem załamioną twarz.

– Konrad! – krzyknąłem, bo wiedziałem, że był za drzwiami.

– Musimy już iść, zaczynają się niecierpliwić – odpowiedział podenerwowany.

– Już idziemy, ale najpierw posłuchaj mnie uważnie. Musisz załatwić dla mnie dwie sprawy. Po pierwsze, w Ambasadzie Kanadyjskiej złożymy podanie o odnowienie zaginionego paszportu, a po drugie, musisz się dowiedzieć u twoich przełożonych, kiedy będę mógł bezpiecznie podróżować pod własnym nazwiskiem? OK? Zrobisz to dla mnie?

– Tak, tak oczywiście, ale chodźmy już na dół.

Tym razem przy okrągłym stole z palmą w tle czekało na mnie aż pięciu facetów. Wszyscy wstali i przedstawili się po kolei. Dwóch Anglików z Interpolu, jeden Niemiec z policji Unii Europejskiej oraz dwóch rodaków... czyli policjantów z Kanady. Żeby nie dopuścić do chaotycznej lawiny pytań zaproponowałem, że opowiem im krok po kroku, dzień po dniu, wszystkie wydarzenia, jakie miały miejsce w moim życiu od dnia dwudziestego czwartego września, czyli od wyjścia na ścieżkę La Cloche, aż do dnia, kiedy nie mając innego wyjścia, wystąpiłem publicznie w kościele w Wigrach. Rozmawiali chwilę pomiędzy sobą, co umożliwiło mi

spokojne wypicie kawy i zjedzenie pączka na śniadanie. Zgodzili się. „No to jedziemy.” Mówiłem bez przerwy przez blisko cztery godziny. Przedstawiłem im dokumentację profesora, podłączając mojego pendrive’a do laptopa leżącego na stole. Odnosiłem wrażenie, że już czytali te strony.

– Cały zestaw oryginałów, czyli list profesora i oryginalny pendrive, który znalazłem w skrzynce w Montrealu, znajdują się jeszcze w Kanadzie – tu wyraźnie zaciekałem inspektorów z Sadbury. – Patio za moim domem zbudowane jest z płaskich kamieni piaskowca. W miejscu, gdzie łączą się cztery duże płyty, na środku leży mały, niewiekszy od dłoni kamień. Pod nim leży zakopany mały pakunek.

Zanotowali uważnie moje wskazówki. Odpowiedziałem na pytania, setki pytań. Po przerwie na lunch wróciliśmy do stołu. Dalsze pytania. Inspektor policji z Sadbury potwierdził, że po otrzymaniu mojego e-maila dokonano powtórnej, dużo dokładniejszej autopsji. Ciało Alistera jeszcze ciągle było w Kanadzie. Profesor zmarł na atak serca, ale ciosy zostały zadane narzędziem metalowym, a nie łapą niedźwiedzia. Poza tym żadnego niedźwiedzia ani jego śladów w pobliżu nie odnaleziono. Oficjalnie uznano, że było to wyrafinowane morderstwo.

– Jednym z naszych zadań jest ujawnienie, jaka organizacja dokonała tych morderstw i przesłuchiwała pana w Aachen. Dlatego zadajemy tyle pytań związanych z domem, w którym pan przebywał i z ludźmi, których pan tam widział – powiedział Anglik.

– Kiedy oświadczyłem, że komputer, który im ukradłem i dane z dysku na pewno zainteresują policję, powiedzieli, że to oni właśnie są policją.

– Na pewno nie są żadną policją. Kim są, to właśnie próbujemy ustalić.

Niemiec otworzył swojego laptopa i położył przede mną.

– Obejrzyj teraz serię zdjęć. Usiądź wygodnie, bo jest ich ponad dwieście. Jeżeli zobaczysz twarz lub obraz, który byś chciał zatrzymać lub skomentować, naciśnij „Enter”. Jesteś gotowy?

– Jedziemy, tylko ustaw czas przesuwania obrazów na najwolniejszy.

– Dwadzieścia sekund na zdjęcie będzie OK.

Mijały twarze, twarz za twarzą, które zupełnie niczego mi nie mówiły. Mijały wnętrza pomieszczeń, zdjęcia budynków. Już zaczynałem żałować, że nie poprosiłem o szybsze tempo. „Zaraz zasnę...”. Nagle wcisnąłem klawisz.

– To jest jeden z tych, którzy mnie przesłuchiwali. Wczoraj Polacy też mieli jego zdjęcie, tylko inne, z ukrytej kamery lotniskowej.

– Albert Weiss. Przez ostatnie czterdzieści lat oficjalnie zatrudniony w firmie

reklamowej, która zbankrutowała w zeszłym tygodniu. Przeszedł na emeryturę. Trzy dni temu, podczas prac wykończeniowych swojego domu nad jeziorem Tulla, około sto kilometrów na północ od Bostonu, spadł z dachu i zginał na miejscu, uderzając głową o kamień.

– To ciekawe – nie miałem nic więcej do powiedzenia w tej sprawie. Jakoś mi nie smutno.

Zdjęcia przesuwają się dalej. Minęła prawie godzina, zanim zatrzymałem *slide show*.

– To jest Monica. To kobieta, która zatrzymała mnie w pociągu z Aachen do Kolonii. Brała udział w przesłuchaniu, grając rolę dobrej policjantki, która nie chce, żeby mi się stało coś złego. To ona pozwoliła mi uciec w zamian za zwrot laptopa z informacjami o ich agencji. To na pewno ona. Jej zdjęcie jest nieaktualne, zrobione pewnie kilka miesięcy temu. Ma krótsze włosy, ale to na pewno jest ona.

– Monica Rovet, również obywatelka USA i także zatrudniona przez tę samą agencję reklamową. Zwolniona z pracy z powodu bankructwa firmy. Obecnie przebywa w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym po dwukrotnej próbie samobójstwa. Diagnoza: głęboka depresja, objawiająca się atakami agresji wobec samej siebie i innych.

– To jeszcze bardziej ciekawa, znana z historii metoda usuwania ludzi niewygodnych – nie skomentowali mojego wyjaśnienia. Nikogo więcej nie rozpoznałem. Czekałem, aż pojawi się znajoma gęba elegancika lub Brunera, ale niestety, same obce twarze. Opowiedziałem jeszcze o Vincencie Rogovie, którego poznałem wczoraj na zestawie zdjęć MSW. Wiedzieli już o nim wszystko, oprócz tego, gdzie go można znaleźć.

Za oknami zrobiło się ciemno, nim skończyliśmy rozmowy. Następny dzień miałem wolny, podczas którego nastąpić miała analiza danych. Pojutrze mieli wrócić znowu z ewentualnymi nowymi pytaniami i komentarzami.

„Pierwszą rzeczą rano będzie telefon do Vicky, a potem wyślę Konrada do Ambasady Kanadyjskiej”.

Vincent Rogov pamiętał wszystko, rozumiał głosy i codzienne rutynowe czynności dziejące się wokół jego łóżka. Z upływem dni bunt przeciwko nowej rzeczywistości słabł i krok po kroku zbliżał się powoli do punktu akceptacji. Od czasu przyjazdu do miejsca nad błękitnym oceanem nikt już nie próbował więcej nawiązywać z nim

kontaktu. Na początku różne osoby wykazywały zainteresowanie ćwiczeniami, rehabilitacją i analizą funkcji mózgu, ale próby te dość szybko zostały zastąpione rutynowym przełączaniem aparatów o danych godzinach, podstawową higieną i masażem. Każdy dzień był powtarzającą się próbą pamięci, wspomnień i rozważań, wzbogacanych czasem widokiem oceanu przez uchylone okno. Każdy dzień, aż do popołudnia, kiedy do pokoju Vincenta weszła nowa, nieznajoma osoba. Nie widział drzwi. Nie widział, kto to jest. Łóżko było odwrócone w stronę otwartego okna. Wąskie pole widzenia jednego, prawie nieruchomego oka, nie pozwalało mu dostrzec, kim jest ta nowa postać. Nie widział, ale czuł jej obecność. Instynktownie, jak zwierzę, czuł jej zamiary.

Dostrzegł jakiś ruch po prawej stronie uniesionego zagłówek. Ręka w gumowej rękawiczce zasłoniła na moment widok błękitnych fal ozdobionych białymi czuprynami. Palce powoli zacisnęły się na białym wężyku łączącym elektroniczną aparaturę z łóżkiem Vincenta. Lęk i panika, dana każdej żywej istocie w obliczu utraty życia, nie trwały zbyt długo. Oddech stawał się coraz bardziej chciwy, łaknący tlenu. Drzwi stuknęły cicho i wszystko po chwili wróciło do poprzedniego stanu... wszystko oprócz równomiernych dźwięków jednego z aparatów, zastąpionych sygnałem ciągłym.

W czwartek, dwudziestego czwartego października, przed budynkiem, w którym mieściły się biura kancelarii prawniczej Roberta Taylora, panował spory ruch. Bostońska policja, uprzedzona wcześniej, zamknęła kilkaset metrów prawego pasa, umożliwiając mediom i grupie ludzi bezpośrednio zainteresowanych zaparkowanie aut. W ciągu ostatnich dni na wielu poważnych kanałach telewizyjnych, jak również w internecie i gazetach, ukazały się bulwersujące opinie publiczną podejrzania. Na pierwszych stronach dominowały tytuły:

Czy koncerny farmaceutyczne celowo ukrywają prawdę?

Prawda o skutkach ubocznych tłumiona za pomocą morderstw!

Środki antykonceptyjne testowane na publiczności!

Amerykańskie matki żądają prawdy! Co wiedzą politycy?

Skandal na taką skalę nie zdarza się codziennie, toteż zainteresowanie dodatkowymi informacjami, jakie może przynieść odczytanie testamentu profesora Alistera Swana, sięgało zenitu. Miejsc parkingowych wyznaczonych przez bostońską policję zabrakło już o dziewiątej. Nie było najmniejszej szansy, żeby któreś

z pomieszczeń kancelarii było w stanie pomieścić zainteresowanych. Robert wraz ze świadkami ustalili, że odczytanie nastąpi bez udziału mediów, po czym z podwyższenia na parkingu zostanie przeczytany oficjalny komunikat dla prasy. Ustawiono sześć krzeseł w rzędzie przed biurkiem, za którym zasiadł mecenas Taylor. Po przywitaniu, sprawdzeniu tożsamości i odczytaniu celu zebrania, Robert wyjaśnił, dlaczego jedno z krzeseł jest puste i że on osobiście został upoważniony do reprezentowania osoby nieobecnej – Jana Barskiego.

List wstępny napisany przez Alistera zaczynał się od słów:

Po śmierci mojej żony i w przypadku mojej śmierci pozostaje po nas spadek w dwóch różnych formach. Majątek materialny w postaci nieruchomości i przedmiotów posiadających wartość zostanie rozdzielony przez mecenasa Roberta Taylora według wskazówek załączonych na końcu.

Całe moje życie zawodowe zostało przez zrządzenie losu oddane jednemu celowi, cała moja praca naukowa poświęcona udowodnieniu i opublikowaniu faktów związanych ze skutkami ubocznymi zażywania środków antykoncepcyjnych. Drugą częścią spadku pozostaje majątek w formie intelektualnej, czyli wyniki moich badań.

W dalszej części Alister opisał krótko to, co obszerniej ujęte było w dokumentach, które w nieznanym jeszcze sposób trafiły w ręce Barskiego.

Być może, że nie będę w stanie dokończyć mojego dzieła. Mam tu na myśli część przedsięwzięcia związaną z podaniem moich wniosków naukowych do publicznej wiadomości. Dlatego też jednym z moich spadkobierców ogłaszam nieznaną mi dzisiaj osobę, która dokona tego zadania.

Po tych zdaniach nastąpiło rozdzielenie majątku. Jeremy Swan otrzymał całą posiadłość w Barlington w stanie Vermont, wraz z domem i wszystkimi ruchomościami. Alexandra Benin odziedziczyła mieszkanie w Bostonie, wraz z meblami i przedmiotami wewnątrz lokalu. Służąca, opiekująca się od lat domem w Barlington, otrzymała sto tysięcy dolarów i samochód Julii. Gotówka pozostająca na kontach bankowych w Stanach Zjednoczonych została przekazana Robertowi Taylorowi i to z tego funduszu miały być zapłacone wszystkie koszty związane z pogrzebem i formalnościami.

Pozostała jeszcze jedna rzecz do odczytania. W pokoju zapanowała cisza oczekiwania.

Na koncju bankowym pod hasłem „Kumar Ramadir”, w Sovereign Bank w Luksemburgu, znajduje się suma około (dane z końca sierpnia 2008) sześciu milionów sześciuset tysięcy funtów brytyjskich. Dwadzieścia procent tej sumy należy przekazać osobie lub osobom, które doprowadziły lub doprowadzą w przyszłości do opublikowania wyników moich badań. Pozostałe osiemdziesiąt procent zostaje przeznaczone na otwarcie Niezależnego Instytutu Badań Skutków Ubocznych Środków Farmakologicznych imienia Kumara Ramadira. Organizację i otwarcie tej międzynarodowej placówki chciałbym zaproponować Haroldowi Sullivanowi i osobie lub osobom zaangażowanym w ujawnienie wyników moich badań.

Robert wstał, zdjął okulary i oficjalnym tonem obwieścił:

– Za osobę niewymienioną z nazwiska w powyższym dokumencie chciałbym uznać obywatela Kanady, Jana Barskiego, którego poświęcenie i narażenie własnego życia doprowadziły do tego, że dzisiaj wszyscy mówią o naukowych dokonaniach profesora Swana. Dokumenty z tym związane oraz zeznania świadków w tej sprawie będą do wglądu.

Pierwsza wstała i zaczęła oklaski Lia Abbing, a za nią zgodnie wstali wszyscy. Po krótkiej przerwie wrócili na salę i wraz z sekretarką Roberta zabrali się do przygotowania konferencji prasowej.

Chociaż całodobowa ochrona osobista nie zaliczała się do przyjemności, to jednak z perspektywy przeżyć ostatnich tygodni Vicky nie miała nic przeciwko temu w zamian za relaks i poczucie spokoju. Odprężenie mamy najbardziej było widać po zachowaniu Tomka. Mały szalał. Godzinami nie można go było wyłowić z basenu, a i na sucho też nie mógł usiedzieć na miejscu. W ciągu pierwszego dnia zaprzyjaźnił się prawie z całą obsługą ośrodka, w którym zostali zakwaterowani. „Hej, Tomek!” rozlegało się wszędzie, gdzie by się nie pojawił. Pożegnanie się z napięciem i stresem było również widoczne po rozmiarach posiłków, które pochłaniał jak wiecznie głodny wilk kanadyjski. Chyba dlatego też najbliższym zaprzyjaźnił się z grubą Aborygenką Marry, szefową kuchni. Trzykrotnie już udało się porozmawiać z Jankiem i nawet mały dorwał się raz do słuchawki. Wszystko zaczęło się układać jak paciorki koralu, równo i po kolei. W Warszawie zakończyły się już wszystkie, wielogodzinne przesłuchania i słycać było po głosie, że bardzo Janka zmęczyły. Gazety i telewizja na całym świecie i nawet tu, w Australii, trąbiły na temat międzynarodowego

skandalu i jego długoterminowych skutków na stosunek ludzi do wszelkich środków farmakologicznych. Oliwy do ognia dolewały fakty o szeroko zakrojonej próbie zatuszowania całej sprawy, w którą byli zamieszani nie tylko szefowie międzynarodowych koncernów farmaceutycznych, ale także politycy i ministrowie zdrowia wielu krajów. Ogłoszono rozpoczęcie śledztwa w sprawie trzech morderstw. Wszyscy już wiedzieli. Janek ujawnił wszystko, co przeżył i zapamiętał, a niebezpieczeństwo wynikające ze znajomości tajemnicy minęło bezpowrotnie.

Ciągle jeszcze w towarzystwie dwóch kobiet z ochrony, Vicky i Tomek spacerowali wzdłuż Bar Beach, w przepięknie położonym nad oceanem miasteczku Newcastle, około stu kilometrów od Sydney. Nigdy niezmeńczony młody człowiek tona za toną rzucał kamienie do wody, próbując puszczać kaczkę pomiędzy falami rozbijającymi się na mokrym piasku. W kieszeni kurtki zadzwonił telefon komórkowy. Vicky zatrzymała się na chwilę, słuchając uważnie i tylko przytakiwała głową, że wszystko rozumie. Kobiety z ochrony odeszły powoli na bok, żeby nie przeszkadzać.

– Toomek! Toomek! W sobotę przylatuje tata!

– Kiedy jest sobota? – podbiegł zadyszany malec.

– Za cztery dni. Tomek, już za cztery dni! – kobiety z ochrony zaklaskały zgodnie w dłonie i ze szczerą radością złożyły im gratulacje.

– Czy ja już mogę używać moich kart kredytowych? – zapytała zniecierpliwiona Vicky.

– Sprawdzimy to jeszcze, ale chyba nie ma już żadnych przeciwwskazań. Myślę, że tak.

– To dobrze, bo przecież muszę iść do fryzjera i jakoś się ubrać. Nie wyglądam za pięknie na taką okazję – Vicky stanęła w pozie modelki.

– Ani ja! – dodał Tomek, udając, że poprawia fryzurę takim samym gestem, jak mama.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Następnego dnia rano, uzbrojeni w nieużywane od długiego czasu karty kredytowe, mama z synem ruszyli na zakupy. Tomek dostał nowe dżinsy, kurtkę sportową i skórzane buty za kostkę. Vicky w beznadziejnej niemocy przymierzała co chwilę inną sukienkę i setki bluzek, nie potrafiąc podjąć decyzji, którą powinna wybrać na spotkanie z Jankiem. Znużony chłopczyk siedział cierpliwie koło przymierzalni, obserwując nieudolne próby mamy. W końcu wstał, wziął matkę za rękę i pociągnął w stronę drzwi.

– Tomek, ja jeszcze niczego nie kupiłam – powstrzymała go Vicky.

– Bo szukasz nie w tym sklepie. Tu są tylko takie dziewczynskie ciuchy.

Chodźmy do takiego sklepu wyprawowego, co tata w nim wszystko kupuje. Kupimy

ci spodnie, koszulę w kratę, buty górskie i kapelusz do lasu. Zobacysz, jak mu się spodobaś. Będzie cię całować jak kiedyś.

Vicky uśmiechnęła się, głaszcząc malca po głowie. Tomek się nie uśmiechał. Był śmiertelnie poważny. Nadchodził wyczekany moment. Vicky i Janek nie widzieli się od miesiąca, a tak naprawdę, to prawie od roku odwracali od siebie wzrok i uczucia. Obcość, wyprowadzka, chłodne, oficjalne zdania wymieniane przez telefon, weekendy z synem, narastająca choroba obojętności. Jeszcze nie tak dawno wszystko wyglądało beznadziejnie i bez przyszłości. Separacja powoli i nieuchronnie przepoczwarzała się w rozstanie na stałe, o czym Tomek nie miał pojęcia. Teraz, jak wtedy, kiedy nosiła Tomka w wielkim brzuchu, tęskniła za Jankiem. Czekwała, żeby usłyszeć jego głos. Głos, jak kiedyś tkliwy i pełen miłości i pasji do życia, życia razem. Ich miłość, która powoli i uparcie odchodziła w dal, osnuta mgłą obcości i obojętności, nagle obejrzała się za siebie i zawróciła, pędząc na złamanie karku. Afery międzynarodowe i skandale polityczne mają czasem nieprzewidywalne skutki uboczne.

Właśnie skończyłem obiad i dopijałem ostatni łyk wody mineralnej. Wszedł Konrad i bez słowa położył na stole wydruk z komputera.

– Sprawdź, czy wszystko pasuje. Paszport jutro przywiezie kurier.

– Drugi listopada, godzina czternasta trzydzieści, wylot z Warszawy do Dusseldorfu. Potem przesiadka na samolot Lufthansy do Bangkoku i ostatni etap, lot do Sydney. To w sumie trzydzieści godzin podróży – przeczytałem głośno. – To już za dwa dni.

– Zanim kupimy ten bilet, musisz w końcu mi powiedzieć, czy jest to lot w jedną stronę, czy powrotny?

– Łatwo się mówi – wróciłem pamięcią do letniego, gorącego dnia roku 1987, gdy siedziałem sam w moim pokoju na poddaszu w hotelu w Rzymie. Było nieziemsko gorąco. Czuję się jak pizza w piekarniku, a przede mną na stole leżały cztery koperty z międzynarodowej organizacji dla uchodźców. Trzeba było podjąć decyzję i wybrać kraj, w którym ma się zamiar przeżyć resztę życia. Stany, Kanada, Australia, Republika Południowej Afryki. Pierwszy wybór padł na Australię, do dziś nie wiem dlaczego. Chyba dlatego, że jest najdalej od Polski, najdalej od Alicji i najdalej od cierpienia. Niestety, trzeba było czekać aż cztery lata na wizę do Australii. Wybrałem Kanadę i już po dziesięciu miesiącach zaczynałem nowe życie.

– W jedną stronę, na razie kup mi bilet w jedną stronę. Sam nie wiem, gdzie będę mieszkał i czy wrócę do Kanady.

– Zaraz potwierdzę rezerwację. Cena jest niezła, około tysiąc siedemset dolarów.

– Jak wrócisz, to pojedziemy na małe zakupy. Muszę wejść do jubilera, a potem chciałbym zaprosić cię na drinka.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale ja tu jestem w pracy.

– Dobra, dobra. Z tego, co pamiętam, to w starej Polsce ludzie właśnie w pracy pili więcej niż w domu.

– Te czasy bezpowrotnie minęły, a ja i tak znam te historie tylko z opowieści.

Kupiłem kilka ciuchów. Zawsze chodziłem ubrany w dżinsy, koszule flanelowe i kurtki wojskowo-traperskie. Miałem jednak specjalną misję i pomyślałem, że powinienem być trochę bardziej elegancki. Spodnie, koszula, marynarka i co najwyżej trzeci w życiu... krawat. Skorzystałem aktywnie z porad Konrada, który na pewno znał się lepiej na modzie męskiej niż ja. Dopiero, kiedy emocje powoli zluzowały swoje węzły, zdałem sobie sprawę, jak bardzo tęskniłem za Vicky i Tomkiem. Nadal nie potrafiłem sam sobie odpowiedzieć, co stało się z naszą miłością i dlaczego od nas odeszła. Teraz wiedziałem, że wraca. Wszystko inne nagle wydało się nieważne. Dzień wcześniej, na przykład, złapałem się na rozważaniach na temat liczby dzieci, które biedna Vicky będzie musiała jeszcze urodzić. Ciekawe, czy uda jej się zachować swoją wspaniałą figurę i jak Tomek będzie się czuł w roli najstarszego brata?

Na starym mieście usiedliśmy w małej kawiarni. Konrad zamówił kawę, a ja szkocką z lodem.

– Dokonałeś wielkiej rzeczy. Czujesz to?

– Nie czuję. Alister Swan i Kumar Ramadir dokonali wielkiej rzeczy, nie ja.

– Bez ciebie nikt by się o tej sprawie nie dowiedział. Odkrycie umarłoby razem z nimi.

– To zwykły przypadek, że Alister natknął się na mnie w lesie. Nie czuję w tym mojej zasługi.

– To jednak ty, mimo niebezpieczeństwa, zdecydowałeś się podjąć wyzwanie i udało ci się doprowadzić do jednego z największych skandali. Dlaczego pomniejszasz swoją rolę?

– Nie czuję się bohaterem. Przyszłość jest nieznana, a dzisiaj ludzie płaczą po

śmierci Andrzeja. Nie potrafię podsumować, czy warto było.

– Myślisz, że to odkrycie pomoże tysiącom ludzi dotkniętych uszkodzeniami hormonalnymi?

– Myślę, że nie. Dla większości może już być za późno. Być może jednak ktoś opracuje system odtwarzający balans hormonów? Teraz przynajmniej wszyscy wiedzą, że problem istnieje i przestaną leczyć chorobę propagandą i kłamstwami.

– Myślisz, że ktoś zostanie pociągnięty do odpowiedzialności?

– Na to nie potrafię ci odpowiedzieć. Nie wiem, na jakim szczeblu zbiegają się wszystkie sznurki poruszające tą całą marionetką. Mam jednak nadzieję, że istnieją jeszcze gdzieś śladowe ilości sprawiedliwości czy też ludzkiej godności.

– To tak, jakbyś chciał pomóc człowiekowi choremu na raka mózgu, informując go, że to wszystko stało się przez setki godzin spędzone na rozmowach przez promieniujący telefon komórkowy.

– Niewiele go to pewnie obchodzi, ale być może ratujesz w ten sposób wielu, którzy zaczną pytać, pytać, i jeszcze raz pytać. Nasz nowoczesny świat biznesu przypomina węża, który zjada własny ogon. Postęp i wzrost to biznes. Biznes to pieniądz i chciwość. Pieniądz i chciwość to korupcja. Korupcja to zniszczenie. Zniszczenie to krok do tyłu. Krok do tyłu nie może być postępowaniem, czyli postęp przestał być postępowaniem i rozwojem. Wąż zjadł się sam. Powiedz, co zrobiłby współczesny człowiek, gdyby na przykład udało mu się złowić syrenę? Taką prawdziwą, legendarną syrenę, piękną półkobietę-półrybę o cudownym głosie.

– Syrenę?

– No taką, jak ta, co stoi w fontannie, z mieczem i tarczą. Symbol piękna, bohaterstwa i ludzkich marzeń o miłości, dalekich podróżach w nieznane.

– Nie wiem, co by zrobił. Zamknął w zoo?

– Nieważne, to tylko mój stary sen.

W piątek spałem trochę dłużej niż zwykle. Powoli wykonałem poranną toaletę. Torbę miałem spakowaną. Zjadłem duże, późne śniadanie. Na stole została lista osób, którym należą się podziękowania i – jak w przypadku Antoniego Dyby z Olsztyna – rekompensata. „Kiedyś może odwiedzę grubą Turczynkę w sklepie z używaną odzieżą w Amsterdamie? Pomogła mi się ubrać za siedem euro. prostytutce z burdelu w Amsterdamie też należy się drink. Nieproszona przyniosła mi plastry i lód na obitą głowę. Wiele osób pomogło mi... nie umrzeć. Lista tych, którzy chronili Vicky

i Tomka jest dłuższa i podpisana łzami. Niedługo wrócimy tu i osobiście we trojkę podziękujemy wszystkim”.

Przed jedenastą zapukał Konrad.

– Gotowy?

– Jedziemy na lotnisko. Tylko pożegnam się jeszcze z tymi, których zdążyłem poznać.

Konrad złapał torbę, a ja wziąłem pod pachę nowego laptopa.

Na Okęciu pożegnałem się z młodym Konradem jak ze starym przyjacielem. Machaliśmy do siebie nawet przez szybę. Zdałem bagaż. Podeszedłem do stanowiska odprawy osobistej i wrzuciłem laptopa oraz zawartość kieszeni do plastikowego pudełka.

– Proszę jeszcze zdjąć buty i zegarek, bo inaczej włączy się alarm – ostrzegła mnie poważna pani w mundurze.

Dorzuciłem jeszcze pasek, po czym przeszedłem przez wykrywacz metali. „Biiiiip”, rozległ się sygnał ostrzegawczy i zaczęło błyskać pomarańczowe światło.

– Ma pan jeszcze jakieś metalowe przedmioty przy sobie? Proszę jeszcze raz sprawdzić kieszenie – zakomunikowała.

Wróciłem się.

– O, przepraszam, zapomniałem o tym – wyciągnąłem z kieszeni marynarki małe, białe pudełko.

– Proszę mi pokazać, co to jest? – otworzyła pudełeczko i z nieukrywanym kobiecym uśmiechem popatrzyła na złoty pierścionek z pobłyskującym w świetle lamp gwieździstym szafirem. – Piękny. Zaręczynowy?

– Tak. To właściwie taki... skutek uboczny.